

"Małej siostrzyczce" Mary Nargi Bolk.

Colleen McCullough

Nieprzyzwoita Obsesja

Z angielskiego przełożyła Zdzisława Lewikowa

Książka i Wiedza

Skan i korekta Roman Walisiak

Tytuł oryginału An Indecent Obsession

Okładkę i strony tytułowe projektowała Joanna Złonkiewicz

Redaktor Barbara Tarasiewicz

Korekta: Ewa Długosz-Jurkowska, Ewa Dmowska,

Redakcja techniczna: Krystyna Kaczyńska

(c) Copyright by Colleen McCullough, 1981 Published by arrangement
with Harper and Row Publishers, Inc.

(c) Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo "Książka i Wiedza",
Warszawa 1993

Wydanie I

Obj. ark. druk. 18

Skład i łamanie wykonano w systemie "Fototype" w "KiW"

Druk i oprawę wykonali

Zakłady Graficzne, Poznań, ul. Wawrzyniaka 39

Trzynaste tysiące sto pięćdziesiąta piąta publikacja "KiW"

ISBN 83-05-12644-7

Opis z okładki.

Rok 1945. Właśnie przebrzmiały ostatnie akordy II wojny światowej. Australijski szpital wojenny na jednej z wysp Pacyfiku ma wkrótce ulec likwidacji. Na jego oddziale psychiatrycznym jest jeszcze sześciu pacjentów w różnym stopniu dotkniętych psychozą tropikalną. Wszyscy oni - od zdrowego Michaela, zesłanego tu z premedytacją przez zwierzchników, do intryganta i psychopaty Lucjusza - wraz z siostrą Helen Langtry tworzą zamknięty świat, do którego każdy wnosi swój ciężki bagaż doświadczeń wojennych i życiowych, swoje kompleksy, obsesje, nie zawsze zdrowe emocje i pragnienia. Wszyscy pacjenci kochają się w siostrze Langtry i każdy na swój sposób chciałby ją zdobyć. Zarzewiem niepokoju i pierwszym ogniwem w łańcuchu tragicznych zdarzeń staje się miłość siostry do JEDNEGO z nich.

Trzecia powieść Colleen McCullough okazała się godną następczynią "Ptaków ciemnych krzewów". Od pierwszego wydania w 1991 r. była dziesięciokrotnie wznawiana. Jest najlepiej sprzedającą się powieścią tej autorki. Swoje powodzenie zawdzięcza zarówno fascynującej tematyce, jak i sposobowi jej przedstawienia. Została również sfilmowana.

Pierwszym zajęciem Colleen McCullough było pielęgniarstwo, a jej pasją - medycyna, zwłaszcza psychiatria i neurologia, którą studiowała m.in. na Uniwersytecie w Yale. Wiedza i doświadczenie pozwoliły jej tak świetnie i kompetentnie opisać, co się dzieje w mózgach i w sercach pacjentów oddziału X. Trafnie ujął to jeden z recenzentów: "Ta pani wie, o czym pisze".

Część Pierwsza.

Rozdział Pierwszy.

Młody żołnierz przystanął i patrzył niepewnie na nieoznaczone żadnym napisem wejście do pawilonu X. Postawił swój brezentowy worek na ziemi i zastanawiał się, czy rzeczywiście dotarł na miejsce przeznaczenia. - To ostatni pawilon w tym kompleksie budynków - wyjaśnili mu, gdy pytał, jak ma iść, i wskazali kierunek ścieżką w dół. Byli zajęci i ucieszyli się, kiedy im powiedział, że sam potrafi znaleźć drogę. Dopiero wczoraj zdał broń batalionowemu rusznikarzowi, ale już przedtem rozporządzono się wszystkim, co dotyczyło jego osoby. Uwolniono go od brzemienia, do którego tak przywykł, że go nawet nie czuł. "To chyba ten budynek" - pomyślał, choć pawilon wydał mu się o wiele mniejszy od tych, które mijał po drodze, i bardziej cichy. Oddział dla chorych na tropikalną psychozę. Cóż za zakończenie wojny! Ale nieważne, jak się skończyła, najważniejsze, że się skończyła.

Siostra Helen Langtry śledziła go niepostrzeżenie z okna swego biura. Wzbudził w niej mieszane uczucia: była zła i równocześnie zaciekawiona. Zła, bo narzucili go jej w momencie, gdy była pewna, że już nikogo nie przyślą, i bała się, że jego przybycie naruszy delikatną równowagę, jaka panowała na oddziale X. Jej ciekawość wywołał zaś sam fakt, że przybył ktoś nowy i nieznany, kogo będzie musiała rozszyfrować. "M. E. J. Wilson" - przeczytała w zawiadomieniu.

Był sierżantem sławnego batalionu sławnej dywizji. Nad kieszenią na

lewej piersi nosił czerwono-niebiesko-czerwoną baretkę Krzyża Walecznych, najbardziej prestiżowego i rzadko przyznawanego odznaczenia. Obok widniały wstążki Gwiazdy Orderu za Wojnę 1939-1945, Gwiazdy za Kampanię Afrykańską i Gwiazdy Pacyfiku. Już prawie całkiem zbielała, maskująca zasłona dookoła kapelusza była pamiątką z Bliskiego Wschodu. Wpięta w nią oznaka rozpoznawcza dywizji miała szarą obwódkę. Nosił spłowiały zielony mundur, porządnie wyprany i wyprasowany. Kapelusz siedział na głowie pod przepisowym kątem, pasek pod brodą był na miejscu, a mosiężne sprzączki błyszcząły. Zauważyła, że choć niezbyt wysoki, był solidnej budowy, a mocno opalona skóra na jego szyi i ramionach przypominała kolorem tekowe drzewo. "Ten to na pewno długo wojował" - pomyślała. Nie przychodziło jej do głowy nic, co mogłoby wyjaśnić, dlaczego przysłano go do X oddziału. Otaczała go co

6

prawda delikatna aura zagubienia, jak kogoś, kto przywykł wiedzieć, dokąd zmierza, i nagle stwierdził, że stopy prowadzą go w całkiem innym, nieznanym kierunku. Ale tak czuje się każdy, kto przybywa na nowe miejsce. Nie było w nim natomiast ani śladu typowych oznak, takich jak widoczne zaburzenia świadomości i orientacji czy zaburzenia zachowania. Doszła do wniosku, że wygląda absolutnie normalnie, i to właśnie było w oddziale X nienormalne.

Tymczasem żołnierz zdecydował, że czas ruszyć dalej. Zamaszyście uniósł z ziemi swój worek i postawił pierwszy krok na długim podjeździe, prowadzącym do frontowych drzwi pawilonu. W tym samym momencie siostra Langtry obeszła swoje biurko i wyszła z pokoju na korytarz. Spotkali się w doskonale zsynchronizowany sposób, wpadając z dwóch

stron jednocześnie na wiszącą w drzwiach ażurową zasłonę z kapsli od butelek po piwie. Zrobił ją pewien dowcipniś, który już dawno wyzdrowiał i wrócił do swego batalionu. Zużył na tę zasłonę wiele metrów żyłki wędkarskiej, na którą naniział kapsle. Zamiast podzwaniać melodyjnie, jak chińskie szklane korale, dźwięczały blaszanym brzękiem. I tak ich pierwszemu spotkaniu towarzyszył dysonans.

- Dzień dobry, sierzancie. Jestem siostra Helen Langtry - powiedziała, witając uśmiechem jego wejście w świat X oddziału, który był jej światem. Irytację, wciąż kipiącą pod powierzchnią uśmiechu, zdradzał jedynie szybki, rozkazujący ruch dłoni, jakim domagała się od niego dokumentów. Od razu zauważyła, że były nie zapieczętowane. Ach, ci idioci z izby przyjęć! To pewne, że zatrzymał się gdzieś po drodze i przeczytał je.

Nie certując się, żołnierz uwolnił się od swego ekwipunku tylko na tyle, by móc zasałutować. Potem zdjął kapelusz i nie ociągając się podał jej kopertę zawierającą dokumenty.

- Przepraszam, siostró - powiedział - i bez czytania wiem, co w nich jest. Obróciła się i wprawnym ruchem rzuciła kopertę z dokumentami przez otwarte drzwi do swego pokoju tak, by wylądowała na biurku. Chciała dać mu do zrozumienia, że nie oczekuje, by stał przed nią jak słup i patrzył, jak grzebie w jego personaliach. Później będzie miała dość czasu, żeby zapoznać się z oficjalną wersją jego choroby. Teraz trzeba, żeby się odprężył i poczuł swobodnie.

- Pan Wilson? - spytała. Spodobał jej się jego spokój.

7

- Tak, Michael Edward John Wilson - powiedział i lekkim uśmiechem

skwitował wyraz sympatii, jaki dostrzegł w jej oczach.

- Jak mamy się do pana zwracać? Michael?

- Michael lub Mike, jak kto woli. - Był całkowicie opanowany, tak się jej przynajmniej zdawało. Nie było po nim widać żadnych oznak niepewności. "Boże, żeby tylko tamci dobrze go przyjęli" - pomyślała.

- Skąd pan do nas przyjechał?

- O, z daleka - odpowiedział wymijająco.

- Niech pan da spokój, sierżancie! Przecież wojna się skończyła. Nie obowiązuje już zachowywanie tajemnicy. Przypuszczam, że przybył pan z Borneo, ale nie wiem, z której części. Z Brunei? Z Balikpapan? Czy z Tarakanu?

- Z Balikpapan.

- Nie mógł pan wybrać lepszej pory na przyjazd do nas - powiedziała wesoło - bo zaraz będzie kolacja, a racje żywieniowe mamy tu całkiem niezłe. - Idąc przodem, poprowadziła go krótkim korytarzem na oddział. Pawilon X zbudowano z różnych materiałów odpadowych, jakby w roztargnieniu porzuconych na terenie szpitala. Nigdy nie hospitalizowano w nim chorych wymagających gruntownego leczenia. Wykorzystany w pełni, mógł pomieścić wygodnie dziesięć łóżek, w najgorszym razie dwanaście czy czternaście. Dodatkowe łóżka można było jeszcze umieścić na werandzie. Budynek miał kształt prostokąta. Zbudowano go z surowych desek okrętowych, pomalowanych na jasnobrązowy kolor. Żołnierze mówili żartem, że to kolor niemowlęcej kupki. Podłoga była z klepek. Okna, a raczej duże otwory bez szyb, miały żaluzje z drewnianych listewek, które można było zamknąć w razie złej pogody. Dach stanowiła strzecha z nie zszywanych łądyg trzciny palmowej.

W tej chwili na sali było tylko pięć łóżek. Cztery stały przy ścianie, ustawione obok siebie, jak to w szpitalu, a piąte dziwnie nie na miejscu, osobno, po przeciwnej stronie i pod ścianą zamiast prostopadle do niej, wbrew szpitalnym regulaminom.

Łóżka były szare, niskie, typowo szpitalne. Każde porządnie zasłane, ale bez jakichkolwiek koców czy kołder. W parnym klimacie tej szerokości geograficznej wystarczały prześcieradła. Oba, górne i dolne, były z niebielonego płótna, ale przez lata energicznej obróbki w pralni zbielewały jak stare kości. Jakies dwa metry nad każdym wezłowiem umieszczona była obręcz jak w koszu do koszykówki, a z niej spływało parę metrów

8

moskitiery w soczystozielonym kolorze. Moskitiery były upięte stylowo i z fantazją, jakby wyszły spod ręki co najmniej Jacques'a Fatha w okresie jego szczytowej formy. Obok każdego łóżka stała stara metalowa szafka.

- Możesz złożyć bagaż na to łóżko - powiedziała siostra Langtry, wskazując na ostatnie ze stojących rzędem czterech łóżek. Stało najbliżej szczytowej ściany, a więc i blisko otworów z żaluzjami, rozmieszczonych wzdłuż niej i z tyłu. To było dobre łóżko, bo miało zapewniony przewiew.

- Potem schowasz swoje rzeczy - dodała. - Mamy pięciu pacjentów na oddziale i chciałabym, żebyś ich poznał jeszcze przed kolacją.

Michael położył kapelusz na poduszce, a pozostałe części ekwipunku porozkładał na łóżku. Potem rozejrzał się. Część sali naprzeciw jego łóżka odgradzały ustawione szeregiem parawany. Patrząc na nie miał wrażenie, jakby leżał za nimi jakiś tajemniczy umierający. Siostra skinęła ręką, żeby poszedł za nią, i z łatwością, jaką daje długa praktyka, wśliznęła się pomiędzy dwa parawany. Nie było tam nic tajemniczego i nikt nie umierał.

Zobaczył długi, wąski stół, jak w klasztorным refektarzu. Po jego obu stronach ustawiono ławki, a u szczytu stał fotel. Wyglądał na całkiem wygodny.

Dalej były drzwi prowadzące na werandę, która stanowiła jakby przedłużenie jednego boku pawilonu. Weranda była szeroka na trzy, a długa na dwanaście metrów. Bambusowe rolety umocowane pod strzechą miały chronić przed deszczem, ale teraz je zwinięto, by nie zawadzały.

Ogrodzenie ze słupków i palików tworzyło balustradę, sięgającą prawie do pasa. Podłoga była z klepek, tak jak na oddziale, i dudniła głucho jak bęben przy każdym kroku obutych stóp Michaela. Przy ścianie, graniczącej z salą oddziału, stały rzędem i dość blisko siebie cztery łóżka. Na umeblowanie pozostałej części werandy składała się zbieranina różnych foteli i stół bliźniaczo podobny do refektarzowego na tamtej sali, ale trochę dłuższy. Stał blisko drzwi. Po jego obu stronach ustawiono ławki. Sporo foteli wokół sugerowało, że ta część werandy jest miejscem, gdzie chętnie przesiadywano. Na prawie całej ścianie były otwory okienne z żaluzjami. Drewniane listewki żaluzji rozchyłono do końca, tak aby każdy, najmniejszy nawet podmuch wiatru miał szansę dostać się do wnętrza. Bo chociaż weranda znajdowała się po zawietrznej, osłoniętej od monsunu stronie domku, była jednak wystawiona na wiatry wiejące z południowego wschodu.

Dzień już zamierał, choć jeszcze nie wydał ostatniego tchnienia. Plamy delikatnych, złocistych i błękitnych cieni kładły się na ziemi za balustradą

9

werandy. Wielka czarna chmura, niby czoło burzy, płynęła w załamującym się świetle, aż osiadła na wierzchołkach palm kokosowych. Wydawały się

sztywne i poślacane, jak tancerze z wyspy Bali w pełnym rynsztunku. Powietrze lśniło i wprawiało w bezładny ruch tumany kurzu. Świat wydawał się tonąć i spadać na dno porażonego słońcem morza. Tęcza, niby klatka z barwnych żeber, wzbijała się w górę, podtrzymując nieboskłon, ale w połowie łuku zniknęła, brutalnie wymazana ze sklepienia. Motyle odchodziły, a nocne ćmy przychodziły... Spotykały się i mijały bez powitań, jak milczące, migocące duchy. Uwięzione w liściach palmowych ptaki wywodziły harmonijne, czyste i radosne trele.

"O Boże, teraz się zacznie - pomyślała siostra Langtry, wprowadzając sierżanta Wilsona na werandę. - Nigdy nie wiem, jacy oni będą. Ich logika nie mieści się w granicach rozumu, więc mogę do nich dotrzeć tylko instynktem, co jest ogromnie irytujące... Gdzieś w środku mam jakieś przeczucia czy dar poznawczy, który ich rozumiem, ale kierując się samym rozsądkiem nie potrafię ich rozszyfrować".

Poinformowała ich przed półgodziną, że ma przybyć nowy pacjent, i wyczuwała ich niepokój. Wiedziała, że tak będzie, bo zawsze widzieli zagrożenie w każdym nowo przybyłym. Dopóki się do niego nie przyzwyczaili i nie przywrócili równowagi w świecie, w którym żyli, zwykle okazywali mu niechęć. Ich reakcja była wprost proporcjonalna do stanu zdrowia nowego pacjenta w chwili, gdy przybywał na oddział. Im więcej czasu siostra Langtry musiała mu poświęcać ich kosztem, tym bardziej go nie lubili. Z czasem sprawy się układały, ponieważ pacjent z nowicjusza stawał się swoim chłopem, ale zanim to nastąpiło, nie było jej łatwo.

Czterej żołnierze siedzieli przy stole lub w jego pobliżu. Wszyscy, z wyjątkiem jednego, bez koszul. Piąty leżał rozciągnięty na najbliższym

łóżku i czytał książkę.

Tylko jeden z nich podniósł się na ich widok. Był to wysoki, szczupły mężczyzna, dobrze po trzydziestce. Miał włosy z natury jasne, a jeszcze rozjaśnione słońcem, i niebieskie oczy. Nosił spłowiałą, tropikalną kurtkę i miękkie, pustynne buty. Na naramiennikach widniały trzy brązowe gwiazdki kapitana. Kurtuazja, jaką zmanifestował wstając, wydawała się u niego czymś naturalnym, ale odnosiła się wyłącznie do siostry Langtry. Uśmiechnął się do niej w taki sposób, by wykluczyć jako adresata uśmiechu nowo przybyłego mężczyznę, stojącego u jej boku.

10

Pierwsze, co Michael zauważył, to sposób, w jaki żołnierze patrzyli na siostrę Langtry. Było to spojrzenie nie tyle kochające, ile władcze. I co go najbardziej zafrapowało: ich spojrzenia omijały go, choć nie było im łatwo nie patrzeć na niego. Siostra chwyciła go bowiem za ramię i ciągnęła za sobą od drzwi, aż do chwili gdy stanął obok niej. A jednak udało im się nie patrzeć na niego, nawet temu niedomagającemu, który leżał na łóżku.

- Michael, chciałabym, żebyś poznał Neila Parkinsona - powiedziała siostra Langtry. Widać było, że chce załagodzić napięcie i udaje, że nic się nie dzieje.

Michael zareagował na kapitańskie gwiazdki Neila, tak jak go nauczono w gwardii. Stanął wyprostowany na baczność, z rękami wyprężonymi po bokach.

Ale za okazany szacunek spotkał go policzek. Jakby go ktoś uderzył na odlew w twarz.

- Do jasnej cholery! Wypchaj się z tymi honorami! - syknął Neil.

- Tu na oddziale wszyscy mamy ten sam problem. Na razie fioły nie mają

rang. - Wojskowa musztra bardzo się teraz Michaelowi przydała. W reakcji na grubiańskie słowa Neila nawet nie zmienił wyrazu twarzy. Zluzował tylko swą postawę "na baczność" i przybrał pozycję "spocznij". Wyczuwał zdenerwowanie siostry Langtry, bo chociaż spuściła rękę i nie trzymała go już za ramię, stała tak blisko niego, że jej rękaw ocierał się o jego mundur. Odniósł wrażenie, że niepokoje się o niego i chce mu w ten sposób dodać odwagi, więc odsunął się nieco od niej. To była jego inicjacja i musiał przebrnąć przez nią o własnych siłach.

- Niech pan mówi tylko w swoim imieniu, kapitanie - odezwał się inny żołnierz. - To nieprawda, że wszyscy mamy ten sam problem. Może się pan uważać za fioła, skoro pan tak chce, ale mnie nic nie brakuje.

Umieścili mnie tu tylko po to, żeby mi zamknąć gębę. Innych powodów nie mieli. Po prostu byłem dla nich niebezpieczny.

Kapitan Parkinson odwrócił się w stronę mówiącego. Był nim młody człowiek, rozwalający się półnago na fotelu: gładki w mowie, wyzywający, uderzająco przystojny.

- Ty też się wypchaj, cholerny spryciarzu! - warknął Neil, a niespodziewana nienawiść w jego głosie podziałała na wszystkich paraliżująco.

"Czas, żebym w to wkroczyła, zanim wymkną mi się spod kontroli"

- pomyślała siostra Langtry, bardziej rozgniewana, niż to po sobie dawała poznać. Powitanie, jakie zgotowano Michaelowi, wskazywało na

11

ich większą niż zwykle nietolerancję. Poprzednie "powitania" też z trudem zasługiwały na to miano, ale tym razem mieli najwyraźniej zamiar poprowadzić swoją grę wyjątkowo podle i- w minorowej tonacji.

Zaakceptowanie takiego ich zachowania przychodziło jej zawsze z trudem, bo kochała ich i chciała być z nich dumna.

Zwracając się teraz do nich, przyjęła ton chłodny, niedbale obojętny i lekko rozbawiony. Miała nadzieję, że uda jej się tym sposobem utrzymać to małe zajście we właściwych proporcjach, by Michael nie poczuł się dotknięty.

- Przepraszam pana, sierżancie! - powiedziała. - Muszę raz jeszcze powtórzyć: To jest Neil Parkinson. Ten gentleman w fotelu, który dołożył swoje trzy grosze, to Lucjusz Daggett. A na ławie koło Neila siedzi Matt Sawyer. Matt jest niewidomy i woli, żebym mówiła o tym każdemu od razu na początku, bo to oszczędza mu przykrości później. Tam dalej siedzi Benedykt Maynard, a na łóżku Nugget Jones. Panowie, to nasz najnowszy nabytek, Michael Wilson!

A więc miała to już za sobą. Okręt został spuszczonej na wodę. Kruchy ludzki okręcik, bardziej kruchy niż inne, inaczej by się tu nie znalazł... Teraz rozpinał żagle... czekają go burze, nawałnice i cisze oddziału X. "Pomóż mu, Boże! - westchnęła. - Nie wygląda na to, by było z nim cokolwiek nie w porządku, coś jednak musi być. Jest spokojny. Zapewne wypływa to z jego natury. Ma też w sobie siłę. Ta siła podtrzymuje jego mechanizmy obronne i dlatego nie uległy zniszczeniu. Takiego przypadku jeszcze tu nie było".

, Patrzyła na nich z powagą, przenosząc wzrok z jednego na drugiego. - Ale z was złościcy - powiedziała. - Dalibyście biednemu Michaelowi choć odrobinę szansy.

Neil zaśmiał się i usiadł na ławie bokiem, by mieć na oku Lucjusza, a równocześnie mówić do "nowego".

- Szansy? - Ach, siostrze, niech siostra da spokój! Jak można mówić o szansie komuś, kto znalazł się na oddziale X? Ten oddział, sierżancie Wilson, ta zbawienna instytucja, w której się znalazłeś, to prawdziwa otchłań -jak ta, którą Milton nazwał "rajem dla głupców". To pasuje do nas jak ulał. Krążymy bez celu po tej otchłani i nic nie znaczymy dla świata i wojny. Jesteśmy niepotrzebni, jak wymiona u byka...

Przerwał, żeby zobaczyć, jakie wrażenie wywarły jego słowa na Michaelu.

A Michael wciąż stał obok siostry Langtry: wspaniały młody mężczyzna

12

w pełnym tropikalnym umundurowaniu. Na jego twarzy widać było zainteresowanie, ale nie było na niej żadnych oznak lęku. Neil był dawniej bardziej pomocny. Gdyby chciał, mógłby podziałać jak bufor, by nie doszło do konfliktu między nowo przybyłym a pozostałymi żołnierzami. Pewnie Michael mu podpadł, bo nie pasował do oddziału X. Nie był ani niepewny, ani niedojrzały uczuciowo, ani oszołomiony. Nie uzewnętrzniał żadnej spośród rozlicznych cech, których posiadanie byłoby tu właśnie na miejscu. Miał wygląd zdrowego, krzepkiego i młodego żołnierza, mimo iż był frontowym weteranem. Zdawał się też być w pełni władz umysłowych i na pewno nie wymagał takiej opieki, jaką go siostra Langtry wyraźnie otaczała.

Od momentu, gdy przed kilkoma dniami nadeszła wiadomość o zakończeniu działań wojennych przeciw Japonii, Neil zaczął się niepokoić, że czas nagli, a on nie zdążył podjąć żadnych istotnych decyzji. Co prawda czuł, że siły mu wracają, ale nie miał dotąd okazji wystawić ich na próbę. Ten krótki czas, jaki szpital wojenny numer 15 i jego oddział X miały jeszcze przed sobą, był mu potrzebny. Chciał wykorzystać każdą sekundę i

zamieszanie wywołane przybyciem nowego pacjenta nie było mu na rękę.

- Wcale mi nie wyglądasz na człowieka z tropikalnym bzikiem - powiedział do Michaela.

- Ja też tak uważam - odezwał się chichocząc Lucjusz. Pochylił się, żeby dać Mattowi kuksańca w żebra. Zrobił to trochę za mocno i w dodatku ze złością. - Powiedz, Matt - zapytał - czy on wygląda, jakby miał tropikalnego bzika?

- Skończ z tym - warknął Neil.

Chichot Lucjusza przeszedł w śmiech. Odchylił głowę do tyłu i ryknął śmiechem, brzmiącym jak kanonada dźwięków głośnych, lecz pozbawionych wesołości.

- Tego już nadto! - ostro odezwała się siostra Langtry. Spojrzała na Neila, ale nie dostrzegła w jego twarzy niczego, co wychodziłoby jej naprzeciw. Potem patrzyła po kolei na każdego z nich. Ich opór był absolutny. Byli zdecydowani, by pokazać się nowemu pacjentowi jako dokuczliwi, rozhandryczeni, rozstrojeni nerwowo ludzie. W takich razach jej bezsilność była szczególnie bolesna, choć wiedziała z doświadczenia, że nie należy zbyt mocno na nich naciskać. Taki nastrój jak dzisiejszy nigdy u nich długo nie trwał. Im był gorszy, tym bardziej prawdopodobne, że potem, gdy im się humor poprawi, nastąpi silny zwrot w przeciwną stronę.

13

Gdy skończyła zapoznawać swoich pacjentów z Michaeliem, zauważyła, że on patrzy na nią ze skupieniem, które ją trochę zaniepokoiło. Jego oczy, inaczej niż oczy większości nowo przybyłych pacjentów, nie ustawiały przed sobą ściany, aby się za nią ukryć, ani nie miały w sobie łatwego do odczytania błagania o pomoc, adresowanego donikąd. Po prostu

wpatrywał się w nią jak mężczyzna, który widzi coś zachwycająco nowego, na przykład małego szczeniaczka albo jakiś atrakcyjny przedmiot - uroczy, ale niepraktyczny.

- Usiądź! - poprosiła. Uśmiechnęła się, nie chcąc, by poznał, że zdenerwowało ją lekceważące zachowanie tamtych. - Masz już pewnie miękkie nogi...

Zaskoczyło ją, że od razu zrozumiał, iż uwaga o miękkich nogach miała być raczej reprimendą w stosunku do tamtych niż wyrazem współczucia dla niego. Udało jej się usadowić go w fotelu naprzeciw Neila i pozostałych, a sama usiadła w takim miejscu, by widzieć Neila, Michaela, Lucjusza i Bena. Pochyliła się do przodu, odruchowo wygładzając szary materiał swego uniformu.

Zawsze starała się poświęcać więcej uwagi tym pacjentom, których zachowanie uzasadniało potrzebę szczególnej wobec nich czujności. Teraz także zanotowała w pamięci, że Ben zaczyna się niepokoić i jest rozkojarzony. Matt i Nugget mieli szczęśliwą naturę, potrafili nie zwracać uwagi na nieustanne wzajemne dogryzanie sobie Neila i Lucjusza. Ale Ben źle znosił ich kłótnie i gdyby pozwoliła, by trwały, popadłby w głęboką depresję.

Lucjusz patrzył na nią spod półprzymkniętych powiek i wyrazem tak obmierzłej zmysłowej poufałości, że wszystko się w niej burzyło. Czuła, że on uwłacza jej naturze, wychowaniu i zawodowi. Od dawna pracowała na oddziale X, nauczyła się opanowywać wstręt. Starła się zrozumieć, co powoduje, że mężczyzna patrzy na nią takim wzrokiem. Lucjusz był jednak szczególnym przypadkiem. Nigdy nie udało jej się osiągnąć z nim tego, co chciała. Czasem czuła się winna, że może niedość mocno chciała.

To, że niezbyt energicznie starała się dojść z nim do ładu miało swój początek w pierwszym tygodniu pobytu Lucjusza na oddziale. Udało mu się wówczas niezłe zawrócić jej w głowie, do czego otwarcie się przyznawała. Wprawdzie szybko odzyskała rozsądek, nie wyrządziwszy szkody ani jemu, ani sobie, niemniej nie opuszczało jej poczucie winy, że na samym początku zabrakło jej trzeźwego osądu. Lucjusz miał w sobie jakąś moc,

14

która ją onieśmiałała, i choć nienawidziła u siebie tego uczucia, nie mogła nic na to poradzić.

Z wysiłkiem przeniosła wzrok z Lucjusza znowu na Bena. To, co zobaczyła na jego pociągłej, wymizerowanej twarzy, spowodowało, że rzuciwszy okiem na zegarek, który nosiła przypięty do uniformu na piersi, poprosiła:

- Ben, czy nie mógłbyś pójść do kuchni i sprawdzić, co się dzieje z ordynansem? Spóźnia się z kolacją! Ben zerwał się na nogi, kiwnął jej głową z powagą i dumnie odmaszerował. Poruszenie, jakie powstało, sprowadziło myśli Lucjusza na inny tor. Wyprostował się w fotelu, szeroko otworzył swoje żółtawe oczy i spojrzał wpierw na Michaela, potem na Neila, wreszcie znowu na siostrę Langtry. W jego oczach pojawił się teraz wyraz zamyślenia bez cienia jakiegokolwiek zmysłowości.

Siostra Langtry przełknęła ślinę i zwróciła się do Michaela: - Masz tyle spaghetti na piersiach... Kiedyś ty wstąpił do wojska? Chyba w pierwszej grupie ochotników?

Michael miał krótko obcięte, metalicznie lśniące włosy, pięknie ukształtowaną głowę i twarz, na której widać było tylko kości, żadnych

mięśni, mimo to wcale nie przypominała podobnej do trupiej czaszki głowy Benedykta. Skórę dokoła oczu znaczyły delikatne kreski, dwie głębokie bruzdy żłobiły mu twarz. Nie był już chłopcem, ale mężczyzną, choć zmarszczki na pewno były przedwczesne. Robił wrażenie człowieka prostolinijnego i szczerego. Oczy Michaela nie mieniły się to żółto, to znów zielono, jak oczy Lucjusza. Były szare, szarością nieprzemijającą, bezwzględna. Były bardzo spokojne, opanowane i inteligentne.....Siostra Langtry zdołała poczynić te wszystkie obserwacje w ułamku sekundy, potrzebnym Michaelowi, by złapać oddech i odpowiedzieć na jej pytanie. Nie zdawała sobie sprawy, że wszyscy, nawet niewidomy Matt, patrzą na nią. Wszyscy zauważyli, że interesuje się "nowym".

- Tak, byłem w pierwszej grupie poborowych - odpowiedział Michael. Nugget przestał udawać, że wciąż na nowo czyta podniszczony leksykon medyczny dla pielęgniarek, i odwrócił głowę, by gapić się na Michaela. Ruchliwe brwi Neila uniosły się w górę.

- Aż tak długo byłeś na wojnie?... Całe sześć lat? Co teraz o niej myślisz? - pytała siostra Langtry.

- Będę szczęśliwy mogąc wrócić do cywila - odparł rzeczowo.

15

- Ale początkowo bardzo chciałeś się zaciągnąć?

- Tak.

- Kiedy zmieniłeś zdanie?

Popatrzył na nią, jakby uważał jej pytanie za niewiarygodnie naiwne, i wzruszył ramionami, ale odpowiedział dość kurtuazyjnie:

- Przecież to obowiązek!

- Ach, obowiązek - odezwał się Neil z ironią w głosie. - Ta najgorsza ze wszystkich obsesji. Wciągnięto nas nieświadomych, a potem obowiązek kazał nam nadal w tym tkwić. Pragnąłbym żyć w świecie, w którym będzie się wychowywać dzieci w przekonaniu, że przede wszystkim mają obowiązek wobec samych siebie.

- O, nie! Niech mnie diabli, jeśli bym tak miał wychowywać swoje dzieci! - ostro odparował Michael.

- Nie głoszę tu żadnych hedonistycznych haseł ani nie namawiam was do niczego niemoralnego - powiedział Neil z pewną niecierpliwością.

- Po prostu chciałbym, żeby na świecie zapanował ustrój, który nie będzie wysyłał na rzeź najlepszych synów ojczyzny... To wszystko!

- Zgoda! Zapewniam pana, że jestem absolutnie tego samego zdania

- powiedział uspokojony już Michael. - Przepraszam ale źle pana przedtem zrozumiałem.

- Wcale się nie dziwię - wtrącił Lucjusz, który nie przepuścił nigdy żadnej okazji, by zirytować Neila - bo u niego to tylko słowa, słowa, słowa... Czy tak właśnie zaliczyłeś swoich zabitych, Neil? Zagadałeś ich na śmierć, ot co...

- A cóż ty wiesz o zabijaniu, ty artysto, pożał się Boże, to nie jest strzelanie do kaczek! Siłą cię zaciągnęli do wojska i przez cały czas kwiczałeś jak obdzierany ze skóry wieprz. A potem znalazłeś sobie przyjemną i wygodną pracę daleko poza liniami frontu i dekowałeś się przez całą wojnę. Rzygać mi się chce, jak patrzę na ciebie.

- A mnie się jeszcze bardziej chce rzygać, gdy patrzę na ciebie, zarozumiały bydlaku! - burknął Lucjusz. - Któregoś dnia wiesz, co zrobię? Zjem na śniadanie twoje jaja...

, Nastrój Neila zmienił się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Cała złość z niego opadła. Oczy zaczęły wesoło tańczyć. Mój drogi chłopie, one naprawdę nie są warte twego trudu, zapewnił Lucjusza.

- Bo widzisz... moje jaja są tycie - malusieńkie.

Nugget chichotał, Matt pokrzykiwał, Michael śmiał się w głos, a siostra
16

Langtry nagle pochyliła nisko głowę, wpatrując się z desperacją we własny podolek.

Gdy po chwili odzyskała właściwą postawę, położyła kres tej wymianie zdań.

- Panowie używacie dzisiaj bardzo agresywnego języka - powiedziała chłodno, lecz dosadnie. - Pięć lat spędzonych w wojsku zapewne wpłynęło na moją edukację, ale moja wrażliwość nie zmieniła się i dlatego bardzo proszę: gdy znajduję się w zasięgu głosu, powstrzymajcie się od używania ordynarnych wyrazów. - Obejrzała się i spojrzała surowo na Michaela. - To się odnosi również do pana, sierżancie!

- Tak jest, siostró - powiedział posłusznie Michael i zaśmiał się, wcale nie spieszony.

Jego śmiech był zaraźliwy, przyjemny i taki... zdrowy, że cała się rozjaśniła.

Ni stąd, ni zowąd Lucjusz zerwał się z miejsca i ruchem pełnym naturalnego, a zarazem sztucznego wdzięku wśliznął się na wolny fotel między Neilem i Benedyktem. Potem pochylił się nad Michaeliem i zuchwale zmierzwił mu włosy. Michael ani drgnął. Nie zrobił żadnego ruchu, nie odtrącił go i nie okazał gniewu, ale objawiła się w nim nieoczekiwanie jakaś nagła czujność, jakby wskazanie, że jest kimś, z kim

nie należy w ten sposób żartować, co siostrę Langtry zafrapowało i dało jej do myślenia.

- Ty to sobie na pewno dasz radę! - zapewnił Michaela Lucjusz. Potem odwrócił się i spojrzał drwiąco na Neila. - Coś mi się wydaje, że będzie pan tu miał konkurenta, panie kapitanie rodem z Oxfordu. I bardzo dobrze! Wprawdzie on późno wystartował, ale do mety daleko... nie ma jej jeszcze w zasięgu wzroku.

- Wynoś się! - powiedział Neil gwałtownie, a dłonie zacisnęły mu się w pięści. - Wynoś się, do jasnej cholery!

Lucjusz minął Michaela i siostrę Langtry bokiem, prześlizgując się giętkim ruchem w stronę drzwi. Ale tu zderzył się z Benem i cofnął się, sycząc jak oparzony. Szybko mu to jednak przeszło. Unosząc pogardliwie wargę, skłonił się szerokim gestem w jego stronę i zapytał:

- Opowiedz nam, Ben, jakie to uczucie, gdy się morduje starców i małe dzieci? - po czym zniknął na korytarzu.

Ben stał w drzwiach tak straszliwie osamotniony, taki sponiewierany, że na jego widok Michael przeżył prawdziwy wstrząs. Do głębi przejął go wyraz zgaszonych czarnych oczu Bena. - "Może dlatego tak się tym przejmuję - pomyślał - że to jest pierwsze autentyczne uczucie, z jakim

17

się tu spotykam. Biedaczysko! Wyraża swoim wyglądem wszystko to, co ja czuję, a czuję się tak, jakby ktoś zgasił we mnie wszystkie światła".

Benedykt przesuwiał się w stronę swego fotela, szurając nogami jak mnich, z rękami skrzyżowanymi na brzuchu. Michael uważnie obserwował jego ciemną, zabiedzoną twarz, zżartą gorączką, która trawiła go od wewnątrz.

Ben budził litość i choć on i Colin wcale nie byli do siebie podobni,

Michael uświadomił sobie nagle, że Ben przypomina mu Colina. Ze wszystkich sił zapragnął mu pomóc. Zmusił wzrokiem uciekające oczy Bena, by na niego spojrzwały, a gdy tak się stało, uśmiechnął się do niego.

- Ben, nie pozwól, by Lucjusz wyprowadzał cię z równowagi

- powiedział Neil. - Przecież dobrze wiesz, że on nie jest niczym więcej jak tylko nic nie znaczącym zerem, ot, takim sobie wypierdkiem. to wszystko.

- On jest zły - powiedział Benedykt, wypowiadając to słowo tak, jakby je długo przeżuwał, zanim je z siebie wreszcie wyrzucił.

- Wszyscy jesteśmy źli, tylko zależy jak na to spojrzeć, Odparł Neil spokojnie.

Siostra Langtry wstała. Jej zdaniem Neil dobrze sobie radził z Mattem i Nuggetem, ale nigdy mu się nie udawało trafić do przekonania Benowi.

- Ben, czy dowiedziałeś się, co się dzieje z kolacją? spytała.

Na chwilę mnich stał się zwykłym chłopcem. Jego oczy zrobiły się łaskawsze i jakby większe. Patrzył na siostrę z nie ukrywaną sympatią.

- Kolacja już nadchodzi, już nadchodzi, siostro - mówiąc to uśmiechnął się do niej. Był jej wdzięczny za zrozumienie, którym się kierowała, wysyłając go na rekonesans.

Gdy patrzyła na Bena, jej wzrok złagodniał. Po chwili jednak odwróciła się od niego. - Pomogę ci poukładać twoje rzeczy, powiedziała do

Michaela i skierowała się w stronę drzwi. Ale jeszcze nie całkiem

skończyła z grupą na werandzie. - Panowie! Ponieważ kolacja się spóźnia, uważam, że powinniście już wejść do środka, włożyć koszule i spuścić rękawy. Z moskitami nie ma żartów!

Michael wolałby zostać na werandzie, żeby zobaczyć, jak ci panowie się

zachowują, kiedy nie ma przy nich siostry. Uznał jednak, że jej prośba to rozkaz, i poszedł za nią na oddział. Jego oporządzenie: parciany pas, worek i tornister leżały na łóżku. Siostra stała z założonymi rękami i obserwowała go. Nie uszło jej uwagi, że pracował metodycznie i rozpakowywanie szło mu sprawnie i łatwo. Zaczął od małego chlebaka przymocowanego do pasa. Wyciągnął szczotkę do zębów, przybrudzony, 18

ale cenny kawałek mydła, tytoń, przybory do golenia - wszystko to poukładał porządnie w szufladzie swojej szafki.

- Czy miałeś pojęcie, w co się pakujesz, gdy cię tu wysyłali?

- Widziałem wielu kolegów bzikujących w tropikach, ale to nie to samo.

Tu jest oddział chorych na tropikalną psychozę?

- Tak! - przytaknęła łagodnie.

Zdjął z wierzchu tornistra zrolowany koc i prześcieradło, potem zaczął wyciągać ze środka skarpetki, bieliznę, ręcznik, czyste koszule, spodnie, szorty.

- Ciekawe - powiedział. - Pustynia nie doprowadziła do szaleństwa tylu żołnierzy co dżungla... To ma swoje uzasadnienie, przypuszczam. Pustynia tak nie osacza człowieka, o wiele łatwiej tam żyć...

- Dlatego nazywamy tę chorobę tropikalną, właśnie od tropikalnej dżungli.

- Wciąż go obserwowała. - Włóż do szafki to, co ci jest najbardziej potrzebne. Tam dalej jest kredens, w którym umieścisz wszystko inne. Mam klucz do kredensu, więc gdybyś czegokolwiek potrzebował, wystarczy zawołać... Nie jest tu tak źle, jak się wydaje.

- Ależ nie, wszystko jest w porządku! - uśmiechnął się kącikiem ust.

- Byłem już w znacznie bardziej zwariowanych miejscach, w gorszych

opalach. - Czy masz żal, że cię tu przysłano? Trzymał w ręku zapasową parę butów i nie pochylał się ku niej, tylko wyprostowany, patrząc jej w twarz, powiedział: - Wojna się skończyła, siostró, i już wkrótce wrócę do domu. A na obecnym etapie mam już tak bardzo wszystkiego dość, że jest mi najzupełniej obojętne, gdzie ten okres przeczekać. - Rozejrzył się po sali. - Tu mam o wiele lepsze warunki niż w obozie i klimat też jest lepszy niż na Borneo. Całe wieki nie spałem w porządnym łóżku... - Uniósł rękę i trzepnął fałdy moskitiery.

- Wygody jak w domu... i jest nawet mamuśka... Nie! Wcale nie mam żalu.

Ukłuła ją ta mamuśka: jak śmiał! Ale i tak z czasem utraci to złudne

wrażenie. Dalej go sondowała: - Dziwi mnie, że nie masz żalu, a

powinieneś, bo mogę przysiąc, że wcale nie masz tropikalnej psychozy.

Wzruszył ramionami i znowu zabrał się do swego tornistra. Miał w nim

tyle samo książek co zapasowej bielizny i ubrań. Zauważyła, że Michael

świetnie pakuje. - Musi siostra wiedzieć - wyjaśniał jej - że przez długi

czas wykonywałem bardzo głupie rozkazy. Niech mi siostra wierzy, że

19

wysłanie mnie tutaj nie było wcale takie głupie jak niektóre rozkazy, które musiałem wykonywać.

- A czy we własnym odczuciu zgadzasz się z opinią, że jesteś nienormalny?

Zaśmiał się bezgłośnie. - Nie! Mojemu umysłowi nic nie brakuje.

Zmieszala się. Po raz pierwszy w swojej długiej karierze pielęgniarzkiej

nie wiedziała, co powiedzieć. Dopiero gdy znowu sięgnął do tornistra,

znalazła wreszcie coś w miarę logicznego, do czego mogła nawiązać. - Jak

to dobrze - zauważyła - że masz przyzwoite pustynne buty na miękkiej

podeszwie. Nie mogę znieść stukotu podkutych butów po parkiecie. -

Przewertowała kilka jego książek leżących na łóżku, były to przeważnie powieści współczesnych amerykańskich pisarzy: Steinbecka, Faulknera, Hemingwaya.

- Nie masz angielskich autorów?

- Nie mogę ich strawić - powiedział, układając książki w stertę, aby je przenieść do swojej szafki.

Odczuła tę uwagę jako mały przytyk pod swoim adresem. Nie okazała mu jednak niechęci, choć w duchu uważała, że byłoby to całkiem naturalne.

- Czemu?

- Bo to jest świat, którego nie znam. Poza tym odkąd wyjechaliśmy z Bliskiego Wschodu, nie spotkałem już żadnych ruchomych punktów zaopatrujących żołnierzy w książki. A tak naprawdę, to my chyba mamy więcej wspólnego z jankesami niż z Anglikami.

Helen Langtry należała do angielskiego kręgu czytelniczego i nigdy nawet nie otworzyła książki napisanej przez współczesnego amerykańskiego pisarza. Postanowiła więc porzucić ten temat i wrócić do spraw zasadniczych.

- Powiedziałeś, że miałeś już wszystkiego dość i nie robiło ci różnicy, gdzie ten okres przeczekasz. Czego miałeś dość?

- Wszystkiego! To było podłe życie... - Ściągnął sznurkiem swój worek i wziął w rękę pusty już tornister.

- A nie boisz się powrotu do domu? - spytała. Skierowała go w stronę kredensu.

- Dlaczego miałbym się bać?

Otworzyła kredens i odsunęła się, by mógł włożyć swoje rzeczy do środka.

- Wiesz, coraz częściej się z tym spotykam, że nasi pacjenci boją się powrotu do domu. Obserwuję to już od kilku miesięcy, także dowiaduję się od moich koleżanek i kolegów z personelu pielęgniarstwa. Może to przez to, że

20

wojna za długo trwała, ich więzy z domem osłabiły się i stracili poczucie przynależności do rodziny.

Michael skończył układać swoje rzeczy w kredensie, odwrócił się i spojrzał na nią z uwagą.

- Tak! Tutaj to jest możliwe. Ludzie znaleźli tu jakąś namiastkę domu, coś, co im daje poczucie przynależności. Siostró, a czy siostra też się boi powrotu do domu?

Zamrugnęła powiekami. - Nie sądzę - wycedziła powoli i uśmiechając się dodała: - Niezły z ciebie gagatek...

Uśmiech, jakim ją obdarzył w odpowiedzi, był serdeczny i dziwnie przenikający. - Już mi to mówiono... - wyznał.

- Daj mi znać, gdybyś czegoś potrzebował. Za parę minut schodzę z dyżuru, ale około siódmej będę z powrotem.

- Dziękuję, siostró. Poradzę sobie.

Poszukała wzrokiem jego oczu i potakująco skinęła głową.

- Tak, myślę, że sobie poradzisz - powtórzyła.

Rozdział Drugi.

Ordynans, który przyniósł kolację, narobił takiego hałasu, że siostra Langtry, zamiast udać się prosto do swego biura, weszła do jadalni. Kiwnęła głową ordynansowi.

- Co mamy dziś na kolację? - spytała, wyjmując talerze z kredensu.

Ordynans westchnął. - Jak by to powiedzieć... Chyba... mielone mięso, smażone ziemniaki i kapustę, siostró.

- Pewnie więcej kapusty niż mięsa?

- To mi w ogóle wygląda na coś niewydarzonego, siostró, ale deser jest niezły: coś jakby knedle w słodkim sosie...

- Moim zdaniem nawet najgorszy deser jest lepszy niż nic. Aż dziw, jak się poprawiły racje w ostatnich sześciu miesiącach.

- Święta prawda, siostró - zgodził się z zapalem ordynans.

Gdy podeszła do maszynki spirytusowej, na której miała zwyczaj podgrzewać potrawy przed ich podaniem, posłyszała szmer dochodzący z biura. Odłożyła talerze i bezgłośnie przeszła korytarzem.

21

Lucjusz stał pochylony nad jej biurkiem i trzymał w ręku nie zalakowaną kopertę z dokumentami Michaela.

- Odłóż to! - krzyknęła.

Posłuchał od niechcienia. Zachowywał się tak, jakby przechodząc obok, przypadkowo wziął w rękę kopertę. Jeśli przeczytał to, co było w środku, i tak już było za późno. Zauważyła, że dokumenty są w kopercie. Patrząc na Lucjusza nie miała jednak do końca pewności, czy je przeczytał czy nie.

Na tym właśnie polegał problem, jeśli chodziło o Lucjusza, że on działał wielopłaszczyznowo. Chyba sam miał trudności z rozeznaniem, gdzie góra, a gdzie dół. Najłatwiej mu było oczywiście przekonać samego siebie, że nie uczynił nic złego. Wyglądał jak wzór cnót, jak ktoś, kto absolutnie nie ma potrzeby szpiegować czy uciekać się do nieuczciwego postępowania. Ale z historii jego życia wynikało całkiem co innego.

- Czego tu szukasz, sierżancie?

- Chciałem prosić o nocną przepustkę - powiedział bez zająknięcia.
- Przykro mi, ale miał pan więcej przepustek nocnych w tym miesiącu, niż panu przysługuje - odrzekła chłodno. - Czy pan czytał te dokumenty?
- Ależ siostrze, czyż ja mógłbym coś takiego uczynić?
- Wiesz co, któregoś dnia powinie ci się noga, wpadniesz i wtedy dostanie ci się ode mnie. A na razie proszę mi pomóc z wydaniem kolacji, skoro już tu jesteś.

Zanim opuściła biuro, zabrała dokumenty Michaela i zamknęła je na klucz w najwyższej szufladzie, klnąc się w duchu za to, że dopuściła do tak poważnego niedopatrzenia. Nie pamiętała, by kiedykolwiek przedtem popełniła taką nieostrożność. Zanim zabrała Michaela na oddział, powinna była pomyśleć o zamknięciu dokumentów na klucz. Widać rzeczywiście wojna już trwa za długo i dlatego zaczyna popełniać błędy.

Rozdział Trzeci.

Pobłogosław, dobry Boże, nas i te dary, które z Twej dobroci spożywać mamy, i spraw, żebyśmy potrafili być Ci za nie wdzięczni - tak modlił się na głos Benedykt, a jego słowom towarzyszyła prawie zupełna cisza.

22

Tylko Lucjusz zignorował modlitwę o błogosławieństwo. Jadł przez cały czas, głuchy na to, co działo się obok.

Pozostali czekali, aż Benedykt skończy, i dopiero potem wzięli do rąk sztucce i zabrali się do podejrzonej brei na swoich talerzach. Ani byli przejęci modlitwą Bena, ani wyprowadzeni z równowagi zachowaniem Lucjusza. Michael doszedł do wniosku, że ten rytuał musiał już dawno stracić dla nich atrakcyjność nowości, którą kiedyś zapewne miał.

Rozmyślając o dopiero co zjedzonej kolacji, Michael stwierdził, że choć

tutejsza kuchnia również była wojskowa, to jednak kucharz mile polecił jego podniebienie. Nie mówiąc już o tym, że były tutaj takie luksusy jak deser.

Michael lubił wyciągać wnioski z zachowania każdej nowo poznanej grupy ludzi. Stało się to u niego rutyną, jednym ze sposobów na życie, nawet pewnego rodzaju grą. Zakładał się z samym sobą o jakąś wyimaginowaną sumę, czy jego założone opinie okażą się słuszne. Wolał to, niż przyznać się, że przez ostatnie sześć lat stawką w tych zakładach było właściwie jego życie.

Teraz oceniał swoich współtowarzyszy niedoli na oddziale X. Byli dziwną grupą, to fakt. Ale radzili sobie całkiem nieźle, nie lepiej i nie gorzej niż inni. Ot, kilku ludzi usiłujących wypracować sobie jakiś sposób na w miarę zgodne życie we wspólnocie. Ci mężczyźni byli podobni do niego, byli tak samo jak on do granic wytrzymałości zmęczeni wojną i widokiem mężczyzn, mężczyzn, wciąż tylko mężczyzn...

- Powiedz, Mike, czemu przysłano cię akurat tu, na oddział X? - spytał go nagle Benedykt z błyskiem w oku.

Michael odłożył łyżkę, bo i tak skończył już jeść deser, i wyciągnął puszkę z tytoniem. - Bo omal nie zabiłem jednego faceta - powiedział, wyciągając bibułkę z paczki. - I pewnie bym go zabił, gdyby nie to, że było tam dość ludzi, by mnie powstrzymać.

- A więc nie chodziło o wroga? - zapytał Neil.

- Nie! To był pułkowy sierżant sztabowy mojej własnej kompanii.

- I to wszystko? - spytał Nugget, robiąc przedziwne miny przy przełykaniu jedzenia.

Michael patrzył na niego zatroskany. - Co tobie? Czy coś ci dolega?

- Mam przepuklinę przetyku. To mnie łapie za każdym razem, gdy chcę coś przełknąć.

Oznajmił to z dużym przejęciem, prawie z takim samym nabożeństwem, z jakim Benedykt odmawiał swoją małą modlitwę przed kolacją. Były

23

w jego wyznaniu i tragizm, i pogodzenie się z losem. Michael zauważył, że wszyscy, nawet Lucjusz, zareagowali uśmiechem. Widać lubili tego małego człowieczka z twarzą łasiczki.

Michael skręcił sobie papierosa, zapalił i odchylił się do tyłu, składając ręce na karku, bo ławka nie dawała żadnego oparcia dla pleców. Usiłował odgadnąć, jakimi ludźmi są pacjenci oddziału X. Dobrze się tu czuł, głównie dlatego że był w obcym miejscu i w otoczeniu obcych twarzy. Po sześciu latach wciąż w tym samym batalionie już po zapachu umiał rozpoznać, który z kolegów właśnie puścił baka.

Wiek niewidomego żołnierza ocenił Michael na dobrze po trzydziestce.

Ten człowiek niewiele mówił i niewiele dla siebie żądał. Całkowite przeciwieństwo Nuggeta, który był chyba maskotką oddziału. Każda kompania miała swój talizman na szczęście. Dlaczego oddział X miałby być inny?

Michael wiedział już, że na pewno nie polubi Lucjusza. Zresztą nikt go tu nie lubił. Podobnie jak w przypadku Nuggeta, nic w osobowości Lucjusza nie wskazywało na to, by się kiedykolwiek choć Otarł o pole bitwy.

Michael nikomu nie życzył udziału we frontowych walkach, niemniej uważał, że ludzie, którzy w nich uczestniczyli, byli inni. I nie chodziło tu o odwagę, stanowczość czy siłę. Starcie zbrojne z wrogiem nie mogło wydobyć z nikogo tych cech, jeśli ich w danym człowieku nie było, i nie

mogło ich zniszczyć, jeśli były. Groza walki na froncie wnikała znacznie głębiej w duszę człowieka. Sprawa była o wiele bardziej skomplikowana. Patrzenie śmierci w oczy przydawało znaczenia życiu. Pokazywało człowiekowi, że o jego śmierci decyduje ślepy przypadek. Pozwalało mu zrozumieć, jaki jest samolubny, gdy dziękuje losowi, że go ominęła kula, choć dobrze wie, że ta kula trafiła przecież kogoś innego. Bliskość śmierci uzależniała też człowieka od zabobonu czy przesady. Po akcji cierpienie i samoudręka mijały; jedynie bowiem w czasie jej trwania żołnierz stawał się we własnym odczuciu zwierzęciem. I pomyśleć, że dla tych, którzy potem badali jego wojenne losy, był tylko pozycją w statystyce...

Neil głośno się nad czymś rozwodził, a Michael zmuszał się do słuchania, bo uważał, że Neil jest osobą, którą należy szanować. On też miał za sobą długą karierę wojenną, z tym że jej sceną była pustynia. Neil był bez wątpienia prawdziwym frontowym żołnierzem. Świadczyła o tym cała jego postawa.

24

- Jeśli się nie mylę - mówił teraz - to nie pozostaniemy tu już dłużej niż jakieś osiem tygodni. - Michael słuchał tylko jednym uchem, ale zrozumiał, że Neil rozważa możliwość bliskiego rozwiązania oddziału X. Zafascynowany, przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą i powoli godził się z faktem, że wiadomość o mającym wkrótce nastąpić powrocie do domu wprawiała tych mężczyzn w przerażenie. Niewidomy Matt aż trzął się ze strachu. "Jacy oni są dziwni... tak, na pewno są dziwni..." - myślał i przypominał sobie, że już siostra Langtry mu powiedziała, iż oni boją się powrotu do domu.

Siostra Langtry... Od bardzo dawna nie miał do czynienia z kobietami. Nie

był całkiem pewny, co do niej czuje. Wojna przewróciła wszystko do góry nogami. Z trudem oswajał się z myślą, że kobieta może sprawować władzę. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek przed wojną spotykał kobiety przejawiające taką pewność siebie jak ona. Mimo iż była uprzejma i okazywała ludziom zainteresowanie, widać, że przywykła rządzić, i wcale jej nie było przykro, gdy dawała mężczyznom poznać siłę swojej władzy. Nie była typem babskiego dragona, nawet nie była kandydatem na dragona. Ale Mikę uważał, że to straszne mieć do czynienia z kobietą, która jest przekonana, iż mówi tym samym językiem i myśli tymi samymi kategoriami co mężczyzna. Nie mógł nawet podbudować swojej miłości własnej tym, że otarł się o front w większym stopniu niż ona: prawdopodobnie ona też spędziła kawał czasu pod bezpośrednim ostrzałem. Nosila srebrne gwiazdki kapitana oddziałów sanitarnych, co jest raczej wysoką rangą.

Pacjenci oddziału X uwielbiali ją. Gdy go wprowadziła na werandę, od razu sobie uświadomił, ile jest w nich niechęci do niego. Oceniali go ostrożnie i nieufnie, jak właściciel ocenia potencjalnego akcjonariusza. Doszedł do wniosku, że właśnie takie nastawienie kryje się za ich pokazową, udawaną histerią. A przecież nie mieli powodu do obaw. Jeśli to, co mówił Neil, jest prawdą, to prawdopodobnie nikt z nich nie będzie tu dostatecznie długo, by się musiał z jego powodu przyzwyczajać do nowych układów. On sam nie pragnął niczego więcej, jak tylko pozbyć się wreszcie wojny i wojska, wyzbyć się wszelkich wspomnień o tych sześciu latach, które teraz zbliżały się do końca.

Gdy się dowiedział, że został przeniesiony do szpitala polowego numer 15, w pierwszej chwili się ucieszył. Teraz jednak trudno mu było pogodzić się

z myślą, że przez następne dwa miesiące będzie się tutaj wylegiwać i zbijać

25

bąki i że będzie miał za dużo czasu na myślenie i wspomnianie. Był zdrowy i w pełni władz umysłowych. Dobrze o tym wiedział i wiedzieli o tym także faceci, którzy podjęli decyzję o wysłaniu go tutaj. Co innego ci biedacy z oddziału X. Oni naprawdę byli chorzy i cierpieli. Widział to na ich twarzach, słyszał w ich głosie. Z czasem będzie się mógł pewnie lepiej zorientować, co, jak i dlaczego, a na razie wystarczy, iż wie, że są lub byli chorzy na tropikalną psychozę. Jedyne, co mógł dla nich uczynić, to starać się być użytecznym.

Zaraz potem, gdy ostatni żołnierz skończył jeść deser, Michael wstał i zebrał ze stołu brudne, emaliowane naczynia, a następnie postanowił zbadać, jak wygląda oddziałowa świetlica.

Rozdział Czwarty.

Co najmniej sześć razy dziennie siostra Langtry przechodziła przez teren pomiędzy kwaterami pielęgniarek a oddziałem X. Ostatnie dwa razy przemierzała go późnym wieczorem. W dzień cieszyła się, że może się przejść i rozprostować nogi, ale nigdy nie czuła się swobodnie, idąc tamtędy po ciemku. W dzieciństwie bała się ciemności. Za nic nie spałaby w pokoju, w którym się nie paliła nocna lampka. Oczywiście, od tego czasu wykształciła w sobie dostateczną samokontrolę, aby umieć opanować ten idiotyczny, bezpodstawny lęk. A jednak jeszcze i teraz, przemierzając tę przestrzeń po zapadnięciu zmroku, starała się cały czas myśleć intensywnie o jakimś konkretnym zadaniu. Oświecała sobie też drogę elektryczną latarką, bo w tedy majaczące cienie nie groziły w tak

namacalny sposób.

Tego dnia, gdy do oddziału przybył Michael Wilson tiostra zeszła z dyżuru, gdy tylko mężczyźni zasiedli do kolacji. Poszła prosto do mesy na swój własny posiłek. Wracając po kolacji na oddział, skierowała światło latarki na ścieżkę przed sobą i myślała z radością, że czekają ją teraz najmiłsze chwile w całym dniu pracy. Do takich należał właśnie ów czas pomiędzy jej własną przerwą kolacyjną a wygaszeniem świateł na oddziale. Tego wieczoru cieszyła się szczególnie: nowy pacjent zawsze zwiększał jej zainteresowanie i pobudzał intelekt.

26

Po drodze rozmyślała o różnych rodzajach cierpienia. Przypomniała sobie, jak się swego czasu żaliła przed siostrą przełożoną, gdy przeniesiono ją na oddział X. Niezadowolona, protestowała przeciwko decyzji tej nieugiętej kobiety, tłumacząc, że nie ma doświadczenia z chorymi umysłowo i, co gorsza, ci ludzie wzbudzają w niej mieszane uczucia. Uważała wówczas to przeniesienie za policzek wymierzony jej ze strony wojska, tym bardziej nieoczekiwany, że nastąpił po wielu podziękowaniach, jakie otrzymała za lata spędzone w punktach opatrunkowych i szpitalach polowych na froncie. To były straszne czasy: namioty, klepisko zamiast podłogi, kurz, gdy panowały upały, i błoto w okresie deszczowym. Starła się być zdrowa i sprawna, by podołać obowiązkowi sanitariuszki. Strach i ból przytłaczały i trwały całe tygodnie, miesiące i lata. Ale wtedy cierpiała inaczej. Wyplakiwała gorące łzy nad żołnierzem, któremu amputowano oba ramiona. Płakała nad rannym, któremu kleista masa jelit wylewała się z jamy brzusznej. Rozpaczała nad sercem, które nagle przestawało bić i stawało się zimne i nieme jak kawał mięsa w lodowatej piersi. Ale to były

zjawiska fizyczne: przemijały i koniec. Reperowała, co mogła, oplakiwała to, czego zreperować nie mogła, i starała się o tym zapomnieć. Trzeba było iść naprzód, wciąż naprzód, byle dalej.

Cierpienia, jakie odczuwali pacjenci oddziału X, były inne. To były cierpienia ducha i umysłu, niezrozumiałe, często wyszydzane lub zbywane lekceważąco. Przedtem uważała, że wysłanie jej do oddziału X było zniewagą, było podważeniem jej umiejętności pielęgniarских i przekreśleniem lat, które spędziła szczerze oddana służbie w swoim zawodzie. Dopiero teraz zrozumiała przyczyny, które sprawiły, że się wtedy poczuła tak głęboko zraniona. Chodziło o romantyzm tego zawodu. Chciała służyć tym, którzy byli bohaterami. Ból zadany ciału czy fizyczne okaleczenie w walce stawiały tych, którzy cierpieli, na najwyższym piedestale. To byli bohaterowie. To byli ludzie dający prawdziwe dowody szlachetności i dzielności. Właśnie dlatego w owych latach, spędzonych w przyfrontowych jednostkach sanitarnych, ich cierpienie doprowadzało ją do łez i rozdzierało serce współczuciem. A co było szlachetnego w rozstroju nerwowym? Nic! To była plama w życiorysie, dowód słabości charakteru.

Takie były poglądy siostry Langtry, gdy przybyła na oddział X. Tłumiąc żal zaciskała wargi i była pełna niechęci. Niewiele brakowało, a zaczęłaby nienawidzić tych swoich nerwowo chorych pacjentów. Uchroniła ją od tego etyka pielęgniarська i skrupulatność, z jaką podchodziła do

27

wszystkich swoich obowiązków. To te cechy sprawiły, że stopniowo zaczęła zmieniać swoje nastawienie. Pacjent nigdy nie przestał być dla niej przede wszystkim pacjentem, teraz zaś doszło jeszcze zrozumienie, że

cierpienie duszy jest czymś równie realnym jak cierpienie ciała. Była zdecydowana nie dopuścić, by ktokolwiek mógł jej zarzucić zaniechanie obowiązków. Niemniej pierwsze dni na oddziale X były dla niej bardzo trudne i musiała wziąć się mocno w garść, by przez nie przebrnąć.

Po jakimś czasie doszło u niej z kolei do przesady w zajmowaniu się nowymi pacjentami i z troskliwej opiekunki przeistoczyła się w osobę tak bardzo oddaną powierzonym jej pieczy pacjentom, że przekraczało to znacznie jej pielęgniarские obowiązki. A zaczęło się od tego, że uświadomiła sobie nagle, iż w bazie szpitalnej numer 15 nikogo nie obchodzi los pacjentów X oddziału. Gdy baza rozpoczęła swoją działalność, znajdowała się zbyt blisko frontu i działań wojennych, by mogła się nastawić na leczenie tropikalnej psychozy. W większości wypadków pacjenci, którzy znaleźli się na oddziale X, zostali tam przeniesieni z innych oddziałów szpitalnych. Dotyczyło to między innymi Nuggeta, Matta i Benedykta. Gdy zdarzyło się, że u chorych występowały poważniejsze zaburzenia psychiczne, wtedy z miejsca ewakuowano ich do Australii. W "dziesiątce" zostawali ci, którzy wykazywali słabsze zaburzenia lub mieli mniej wyraźne objawy. W wojsku nie pracowało wielu lekarzy psychiatrów, a w takim szpitalu jak baza 15 nie było żadnego. W każdym razie siostra Langtry w swojej praktyce z żadnym się nie spotkała.

Typowej pracy pielęgniarzki było tu mało albo jej wcale nie było. Nie mając więc pola do popisu w tej dziedzinie, postanowiła zająć się problemem, który określała jako cierpienia oddziału X.

Cierpienia jej pacjentów nie były bólem mózgu, lecz duszy. Był to ból

nieuchwytny i podstępny, niemal abstrakcyjny. Ale był integralnie związany z organizmem i tak jak cierpienie fizyczne czy kalectwo mógł zniszczyć nawet zdrowy skądinąd organizm. Ból duszy jest czymś niepotrzebnym, złowieszczym, niepokojącym i bezsensownym.

Towarzyszy mu bardzo złe samopoczucie, a jego skutki trwają o wiele dłużej niż w wypadku okaleczenia fizycznego. Tymczasem wiedza o nim jest o wiele mniejsza niż o jakiegokolwiek innej gałęzi medycyny.

Stopniowo pacjenci oddziału X zaczęli budzić w siostrze Langtry coraz żywsze zainteresowanie. Fascynowała ją różnorodność przypadków, jakie reprezentowali. Odkryła w sobie także szczególną zdolność do kojenia ich

28

najcięższych cierpień. Oczywiście ponosiła też porażki. Dobra pielęgniarka musi umieć pogodzić się z niepowodzeniem - jeśli przedtem zrobiła wszystko co możliwe, by mu zapobiec. Mimo że brakowało jej podstawowych wiadomości z dziedziny psychiatrii, wiedziała, iż jej obecność na oddziale X znakomicie wpływa na poprawę stanu zdrowia większości pacjentów.

Rychło przekonała się, że wydatkowanie sił psychicznych może być o wiele bardziej wyczerpujące niż najbardziej nawet męcząca praca fizyczna. Nauczyła się narzucać sobie rygory i rozwijać w sobie ogromne rezerwy cierpliwości i zrozumienia. Gdy już wyzbyła się dawnych uprzedzeń do pacjentów, zaczęła się zastanawiać, dlaczego są tak bardzo egocentryczni. Z początku trudno jej było ich zrozumieć, sama bowiem starała się w swoim dorosłym życiu być zawsze pracowita, pogodna i życzliwa. Dopiero potem zrozumiała, że ten rzekomy egocentryzm wynika właśnie z braku "ego" u jej pacjentów. Najwięcej wiedzy zdobyła

korzystając z własnych doświadczeń. Nie było bowiem w bazie nikogo, kto mógłby służyć jej kompetentną pomocą. Mało też było literatury fachowej.

Helen Langtry była niewątpliwie urodzoną pielęgniarzką: walczyła o swoich pacjentów, pobudzała ich do działania i kierowała ich myśli w stronę interesujących problemów. I ten nowy, tak różny od poprzedniego styl pielęgnowania chorych stał się jej bardzo bliski.

Czasem bardzo długo czekała na jakiś wyraźny dowód, że udało jej się dotrzeć do świadomości pacjenta. Często trwało to bardzo długo, znacznie dłużej, niż się spodziewała. Nieraz, gdy przełom wreszcie następował, zastanawiała się, jaki był jej osobisty wkład w uzyskanie sukcesu. Czuła, że jej pomoc jest znacząca. Gdyby choć przez chwilę w to zwątpiła, już dawno postarałaby się o przeniesienie na inny oddział.

"Oddział X - myślała -jest jak pułapka, w którą wpadłam, i... jest mi w niej dobrze".

Gdy światło latarki padło na podjazd, zgasiła ją i stąpała po jego deskach tak cicho, jak tylko jej obute nogi na to pozwalały.

Pierwsze drzwi w korytarzu na lewo prowadziły do jej biura. Był to mały pokój, dwa metry na dwa, i gdyby nie szczytowe ściany z oknami i żaluzjami, sprawiałby przerażające wrażenie wnętrza łodzi podwodnej. Z trudem mieścił się tu mały stolik, którego używała jako biurka; z jednej jego strony stał jej fotel, z drugiej fotel dla gości. Nieco miejsca zajmowały zwykłe półki z desek, ustawione w kształcie litery "L", i jeszcze dwie

drewniane zamykane szuflady, które nazywała swoją kartoteką. W górnej

szufladzie przechowywała teczki wszystkich żołnierzy, którzy byli pacjentami oddziału X od samego początku. Nie było ich zbyt wiele. Zawierały kopie dokumentów pacjentów, którzy zostali już wypisani z oddziału. W drugiej szufladzie trzymała lekarstwa, które - według siostry przełożonej i pułkownika "Ważnego" - powinna mieć zawsze pod ręką. Miała tu paraldehyd doustny i w zastrzykach, fenobarbiturany, morfinę, mieszanę APC zawierającą aspirynę, fenacetynę i kofeinę, potas, mleczko magnezowe, mieszanę opiumową, rycynę, wodzian chloralu, wodę destylowaną, placebo i dużą butelkę trzygwiazdkowego szpitalnego brandy

.Chateau Tanunda".

Zdjęła kapelusz z podwiniętym rondem i getry, a wojskowe buty starannie ustawiła za drzwiami. Potem schowała pod biurko mały wiklinowy koszyk, w którym miała parę osobistych drobiazgów przydatnych podczas dyżuru, i włożyła na nogi miękkie pustynne buty. Ponieważ baza szpitalna numer 15 znajdowała się w strefie oficjalnie uznanej za malaryczną, cały personel medyczny był rygorystycznie zobowiązany po zapadnięciu zmroku wkładać odzież zakrywającą wszystkie części ciała: u góry od przegubów dłoni po szyję i u dołu aż do palców u nóg. W straszliwym upale uprzykrzało to życie jeszcze bardziej. A przecież obszar wokół bazy w promieniu wielu kilometrów był obficie spryskiwany roztworem DDT, co eliminowało groźbę przeniesienia malarii przez moskity. Bardziej wyemancypowane pielęgniarki nosiły szare, tropikalne kurtki i długie spodnie i w dzień, i po zapadnięciu zmroku. Głosiły przy tym teorię, że spodnice są znacznie mniej wygodne niż spodnie. Natomiast te pielęgniarki, które -jak Helen Langtry - spędziły większą część wojny w

przyfrontowych punktach opatrunkowych, gdzie spodnie były z reguły obowiązkowe, wołały teraz, korzystając ze względnego luksusu bazy 15, nosić bardziej kobiece ubiory.

Siostra Langtry miała o tym swoje zdanie. Uważała mianowicie, że na jej pacjentów lepiej działa widok kobiety w sukni niż w stroju podobnym do ich własnego munduru. Miała także teorię o szkodliwości hałasu i wchodząc na oddział po zapadnięciu zmroku zawsze zdejmowała obuwie. Zabraniała też pacjentom nosić buty na terenie szpitala.

Za fotelem dla gości wisiały przypięte do ściany pinezkami portrety pacjentów. W sumie było ich piętnaście. Neil szkicował twarze wszystkich

30 pacjentów, którzy w czasie jego pobytu przeszli przez oddział X. Były tu też portrety aktualnych pacjentów oddziału. Gdy pracując przy biurku patrzyła na tę galerię, miała przed sobą najbardziej miarodajny rejestr pacjentów. Jeśli bowiem jakiegoś pacjenta przenoszono na inną placówkę, natychmiast przewieszala jego portret na mniej eksponowane miejsce. W tej chwili na centralnym miejscu znajdowało się pięć twarzy, ale było jeszcze miejsce na szóstą. Problem polegał na tym, że Helen nie spodziewała się przybycia szóstej twarzy; nie teraz, gdy czas, jaki 15 baza miała przed sobą, gwałtownie się kurczył, wojna się skończyła i ucichły armaty. A jednak właśnie dziś przybył Michael, nowy obiekt dla bystrego oka Neila. Siostra była ciekawa, czego dopatrzy się Neil w twarzy Michaela, i złapała się na tym, że wyczekuje chwili, kiedy rezultat tego spojrzenia zostanie umieszczony na ścianie naprzeciwko.

Siedziała w fotelu, z brodą opartą na dłoniach, wpatrzona w centralny rząd rysunków.

"Moi chłopcy" - pomyślała o nich ciepło. Z miejsca jednak odcięła się od tej niebezpiecznej myśli. Od kiedy pracowała na oddziale X, zrozumiała, że angażowanie się w sprawy pacjentów jest czymś niepożądanym i na pewno w niczym im nie pomaga. Przecież od jej decyzji zależą ich dalsze losy. Jeśli nie chce być ich sędzią, to na pewno powinna być im zawsze podporą. Jej pozycja w szpitalu dawała jej dużą władzę. Utrzymanie równowagi było na oddziale sprawą niezmiernie delikatną, a ona właśnie znajdowała się w punkcie, gdzie ważyły się szale w jedną lub drugą stronę, była języczkiem uwagi i mogła w razie potrzeby którąś szalę przeważać. Bardzo poważnie traktowała swoją władzę i nigdy jej nie nadużywała ani nie podkreślała. Tylko czasem, przypadkowo, jak właśnie w tej chwili, uświadamiała sobie, że ją posiada, i bała się, czy nie jest to przejaw pychy. Bo tu kryło się niebezpieczeństwo. Dobra pielęgniarka nie powinna nigdy wmawiać sobie, że ma misję do spełnienia, ani się oszukiwać, że to ona jest powodem powrotu pacjenta do zdrowia. Wyzdrowienie, czy to psychiczne, czy fizyczne, zawsze ma swe źródło we wnętrzu pacjenta. Musiała się teraz aktywnie czymś zająć. Czowała, że jest jej to potrzebne. Wstała, wyciągnęła pasek z kluczami przypięty do wewnętrznej kieszeni spodni i znalazła klucz do górnej szuflady kartoteki. Otworzyła ją i wyjęła historię choroby Michaela.

31

Rozdział Piąty.

Gdy siostra Langtry usłyszała pukanie do drzwi, usiadła z powrotem w fotelu; teczka z dokumentami Michaela, wciąż nie otwarta, leżała przed nią na biurku. Neil Parkinson usiadł naprzeciw niej w fotelu dla gości i przez chwilę wpatrywał się w nią poważnym wzrokiem. Helen nie

przejmowała się jego spojrzeniem, po prostu uśmiechała się i czekała. Neil nigdy nie patrzył na nią tak po prostu, jak patrzy przyjaciel, z sympatią. Za każdym razem, gdy się spotykali, jego oczy rozbierały ją na części i z powrotem składały w całość. Nie patrzył na nią pożądlivie, ale tak, jak zachwycony mały chłopiec, który rozbiera na części swoją najmilszą zabawkę, żeby dojść do tajemnicy kryjącej się w jej wnętrzu. Odkrywanie prawdy o Helen Langtry nigdy go nie nużyło. Każdego wieczoru, gdy przychodził do jej biura, aby z nią posiedzieć i porozmawiać tylko we dwoje, znajdował w tym źródło nieustającej radości.

Helen nie była uderzającą pięknoscią ani nie miała seksapilu, który czasem zastępuje urodę. Była młoda i miała wyjątkowo piękną cerę, tak jasną, że widać było prześwitujące przez nią żyłki - choć ostatnio, na skutek zażywania atabryny, jej skóra nabrała nieco żółtawego odcienia. Rysy miała regularne, może trochę zbyt drobne, ale oczy były duże i brązowe, w tym samym ciepłym kolorze brązu co włosy. Z jej oczu emanował spokój, chyba że była zła, wtedy strzelały ogniem. Miała typową figurę pielęgniarki: kształtną, lecz niestety zbyt płaską pierś, bardzo dobre, długie, szczupłe i ładnie umięśnione nogi, zgrabne, delikatne stopy i kostki. Taką figurę zawdzięczała niewątpliwie i temu, że była nieustannie w ruchu i dużo pracowała. Gdy w dzień nosiła suknię, białe nakrochmalone fałdy pielęgniarskiego welonu stanowiły wdzięczną oprawę dla jej twarzy. Wieczorem, gdy chodziła w spodniach, nosiła wojskowy kapelusz z podwiniętym rondem. Wkładała go tylko na drogę, gdy szła na dyżur lub wracała z niego. Na oddziale chodziła z odkrytą głową. Krótkie, wijące się włosy były dobrze utrzymane: cesał ją kapral z

kwatremistrzostwa, w cywilu fryzjer. Za strzyżenie, mycie i układanie włosów oddawała mu swoją część szczodrego przydziału alkoholu dla pielęgniarek. Kapral cesał chętnie i był na każde zawołanie.

32

Tak się siostra Langtry przedstawiała na zewnątrz. A w środku była twarda jak hartowana stal, inteligentna, bystra i czytana, jak czytane bywają dziewczęta, które chodziły do ekskluzywnych żeńskich szkół. Była stanowcza, szorstka i przy całej swojej dobroci i wyrozumiałości - niezależna. Choć była swoim pacjentom bardzo oddana i zdolna do dużych poświęceń, to jednak nigdy się przed nimi do końca nie otwierała. To, co stanowiło jej wnętrze, było dla nich niedostępne. Doprowadzało to Neila do szału, ale z drugiej strony stanowiło sekret jej ogromnej dla niego atrakcyjności.

Na pewno nie było jej łatwo znaleźć odpowiednie podejście do żołnierzy, którym jej osoba przypominała, że istnieje taki dawno już przez nich zapomniany gatunek ludzi jak kobiety. A jednak udawało jej się to znakomicie. Nigdy nie okazywała żadnemu z nich nawet cienia jakiegokolwiek seksualnego czy romantycznego (wszystko jedno jak to nazwiemy) zainteresowania. Oficjalnie mieli zwracać się do niej "siostrze", ale mówili "siostrzyczko". I chciała być dla nich siostrą, pielęgniarką, kimś, komu na nich ogromnie zależy, ale równocześnie kimś, kto nie ma ochoty odsłaniać przed nimi swego "ja".

Niemniej z Neilem Parkinsonem łączył ją jakiś głębszy związek. Nigdy na ten temat nie rozmawiali ani się do tego otwarcie nie przyznawali, ale oboje wiedzieli, że gdy się skończy wojna i wrócą do cywila, Neil będzie się starał utrzymać z nią kontakt, a ona będzie tym staraniom przychylna.

Oboje pochodzili z bardzo dobrych domów i zostali wychowani w przywiązaniu do pewnych zasad. Było dla nich nie do pomyślenia, by sprawy osobiste mogły mieć pierwszeństwo przed służbowymi. Poznali się w czasie wojny i to ona narzuciła styl ich znajomości. Po wojnie nie będzie to już miało znaczenia - ta perspektywa wydawała się Neilowi bardzo nęcąca. Z bolesną żarliwością czekał na otwarcie się tych nowych możliwości, bo kochał Helen Langtry i marzył, że właśnie ona wypełni mu życie. Neil nie był tak silny jak ona, czy też raczej był bardziej niż ona zaangażowany uczuciowo i dlatego w ich wzajemnych stosunkach trudniej mu było utrzymać się w ściśle nakreślonych przez nią granicach. Nigdy ich nie przekroczył - najwyżej spojrzeniem lub słowem. Sama myśl o tym, że mógłby ją dotykać czy całować, była dla niego przerażająca; wiedział bowiem, że gdyby tylko spróbował tak postąpić, natychmiast by mu kazała spakować się i wyjechać, nie patrząc na to, że jest pacjentem. Wojsko niechętnie przyjmowało kobiety do służby w warunkach wojennych

33

i frontowych. Na ogół ograniczano się do pielęgniarek. Helen Langtry uważała, że wojsko powołując ją na odpowiedzialne stanowisko okazało jej zaufanie, którego nie wolno jej zawieść przez utrzymywanie wyczerpujących emocjonalnie stosunków intymnych z mężczyzną, który jest równocześnie jej pacjentem i żołnierzem.

Niemniej Neil nie wątpił, że łączy ich jakieś ciche porozumienie. Był pewny, że siostra Langtry dzieli to przekonanie i godzi się na nie. Inaczej z miejsca by go wyprowadziła z błędu, wierząc, że tak nakazuje jej obowiązek.

Neil Longland Parkinson był jedynakiem urodzonym w bogatej, znanej w

Melbourne rodzinie. Wychowanie, jakie odebrał swego czasu w Australii, ukształtowało go na młodego człowieka bardziej angielskiego niż sami Anglicy. Jego akcent niczym nie zdradzał australijskiego pochodzenia; był arystokratyczny i arogancki jak akcent angielskiego lorda. Wprost z gimnazjum w Geelong wysłano go do Anglii na uniwersytet oxfordzki. Zrobił tam dyplom magisterski z historii i od tego czasu w kraju swego urodzenia nie spędził więcej niż parę miesięcy. Miał ambicję zostania malarzem, więc ciągnęło go do Paryża. W końcu osiadł na Peloponezie w południowej Grecji i tam się urządził. Prowadził interesujące, choć pozbawione wyższych aspiracji życie, ożywione jedynie burzliwymi wizytami pewnej włoskiej aktorki, która była jego kochanką, ale koniecznie chciała zostać żoną. Wśród męczących burz i emocjonalnych stresów nauczył się mówić po grecku tak płynnie jak mówił po angielsku, francusku i włosku. Malował z dużym zapałem i uważał siebie raczej za mieszkającego poza krajem Anglika niż Australijczyka.

Jego plany nie przewidywały małżeństwa, chociaż zdawał sobie sprawę, że prędzej czy później będzie się musiał ożenić. W podobny sposób odkładał na później wszystkie decyzje dotyczące dalszych losów. Był młody, nie miał jeszcze trzydziestu lat i wydawało mu się, że ma przed sobą ogromnie dużo czasu.

Potem nagle i tragicznie wszystko się odmieniło. Nawet na greckim Peloponezie słyszało się od jakiegoś czasu poszepty na temat nadchodzącej wojny. Pewnego dnia Neil otrzymał list od ojca. List był sztywny i niesympatyczny. Mówił o tym, że Neil musi wreszcie skończyć z młodzieńczymi wybrykami, że jest coś winien swojej rodzinie i swojej pozycji społecznej i że jego obowiązkiem jest jak najprędzej wrócić do

domu, póki to jeszcze możliwe.

34

Neil popłynął do Australii pod koniec 1938 roku. Znalazł się w kraju, którego prawie nie znał. Gdy witał się z rodzicami, wydali mu się dalecy i obcy. Nie sądził, by żywili do niego jakieś głębsze uczucia. Przypominali mu wiktoriańską szlachtę i chyba rzeczywiście nią byli, tyle że nie z czasów królowej Wiktorii, lecz ze stanu Wiktorii w Australii.

Powrót Neila do kraju zbiegł się z ukończeniem przez niego trzydziestego roku życia. Uznał tę datę za kamień milowy na swej drodze. Nawet teraz, gdy o tym myślał, wciąż na nowo powracał lęk, który go prześladował od tamtej chwili, od dnia powrotu. Jego ojciec! Ten bezwzględny, czarujący, silny i bardzo energiczny starszy pan! Dlaczego nie spłodził więcej synów? Nie do wiary wprost, że spłodził tylko jednego, i to w późnym wieku. To wielki ciężar być jedynym synem Longlanda Parkinsona, a jeszcze większy chcieć mu dorównać lub go przewyższyć.

I jedno, i drugie wydawało się Neilowi zupełnie niemożliwe. Gdyby chociaż starszy pan potrafił zrozumieć, że to jego wina, iż syn nie może mu dorównać. Neil nie miał, niestety, tak jak jego ojciec pochodzenia robotniczego, które wprawdzie zaprawiło jego młodość goryczą, ale było czynnikiem pobudzającym do działania, było wyzwaniem. W dodatku Neil odziedziczył po matce skłonność do wytworności. Od chwili, gdy stał się na tyle dorosły, by zdobyć się na własną opinię o otaczającym go świecie, Neil czuł się przegrany...

Był nastolatkiem, gdy zrozumiał, że zależy mu o wiele bardziej na ojcu niż na matce, chociaż ojciec go ignorował, a matka miała niemądrą tendencję do ochraniań go. Wyjazd z domu do szkoły z internatem Neil powitał z

ogromną ulgą. Ustalił sobie wtedy pewien rutynowy sposób na życie i trzymał się go od pierwszego semestru w gimnazjum w Geelong aż do swoich trzydziestych urodzin. Doszedł do wniosku, że nie ma sensu walczyć z rzeczywistością, skoro walka jest niemożliwa. Należy raczej unikać spotkań z rzeczywistością i ignorować ją. Gdy stał się pełnoletni, matka zaopatrzyła go w fundusze, które aż nadto wystarczały, by zaspokoić wszystkie jego potrzeby. Postanowił wówczas, że odtąd będzie żył swoim własnym życiem, z dala od Melbourne i rodziców, że znajdzie sobie własne miejsce pod słońcem.

Tymczasem bliska groźba wybuchu wojny zniweczyła wszystkie jego zamysły. Okazało się, że są pewne sytuacje, których nie da się mimo wszystko ani uniknąć, ani zignorować.

Z okazji jego trzydziestych urodzin rodzice wydali wspaniały obiad. Była to bardzo uroczysta impreza. Na liście gości znalazło się wiele

35

nazwisk młodych debiutantek z dobrych domów. Każda z nich, według matki Neila, była odpowiednią kandydatką na żonę syna. Obecni byli także dwaj arcybiskupi. Jeden był przedstawicielem kościoła anglikańskiego, drugi rzymskokatolickiego. Byli również dwaj ministrowie. Jeden reprezentował ciało ustawodawcze stanu, drugi federacji. Gościem na tym obiedzie był także modny lekarz, brytyjski wysoki komisarz i francuski ambasador. Oczywiście zaproszenia wysłała matka Neila. W czasie obiadu Neil prawie nie zauważał młodych pań oraz ważnych osobistości i jakby nie dostrzegał matki; całą uwagę skupił na ojcu. Starszy pan siedział na honorowym miejscu przy końcu stołu, a jego twarde, niebieskie oczy lekceważąco taksowały gości. W jakiś sposób Neil

odgadł, co się dzieje w głowie jego ojca, i to nastawiło go doń przychylnie; chciał znaleźć okazję, by z nim porozmawiać. Zafrapował go ten staruszek, który tak niewiele dał z siebie synowi - chyba tylko kolor i kształt oczu.

Dopiero niedawno Neil uświadomił sobie, jak bardzo jest wciąż niedojrzały, mimo że już przestał być młodzikiem. Kiedy panowie wstali od stołu, by przyłączyć się do pań w salonie, ojciec wziął go pod ramię; Neil był zachwycony tym gestem.

- Oni sobie poradzą bez nas - powiedział starszy pan i parsknął śmiechem.

- Nasze zniknięcie da przynajmniej twojej matce dobry powód do narzekań.

W bibliotece pełnej oprawnych w skórę książek, których nigdy nawet nie otworzył, nie mówiąc już o czytaniu, Longland Parkinson usadowił się w wysokim fotelu, a jego syn usiadł na niskiej kanapie u jego stóp. Półmrok, jaki panował w pokoju, nie był w stanie ukryć śladów trudnego życia na pomarszczonej twarzy starego mężczyzny ani złagodzić jego spojrzenia, które było ogniste, twarde jak kamień i drapieżne. Natomiast oczy te nie mówiły nic o tym, że ich właściciel odznacza się również samorodną inteligencją, niezależnym myśleniem, pewnym uczuciowym chłodem i przywiązaniem do staromodnych zasad etycznych. Wszystko, co Neil czuł dla swego ojca, przełożył teraz na język miłości i zastanawiał się nad sprzecznością tkwiącą w jego własnej duszy. "Dlaczego - myślał - wybrałem do kochania kogoś, kto wcale nie czuje potrzeby, by być kochanym?"

- Nie bardzo się sprawdziłeś w roli syna - powiedział starszy pan, ale nie było wyrzutu w jego głosie.

- Wiem.

36

- Gdybym przewidział, że mój list potrafi skłonić cię do powrotu do domu, dawno bym go już wysłał.

Neil wyciągnął przed siebie ręce i przyglądał im się. Miał długie dłonie o cienkich palcach, gładkie jak u dziewczyny i trochę podobne do rąk dziecka, bo nigdy nimi nie pracował. Nie pracował w tym sensie, że nie wykonywał pracy w sposób przemyślany i nie dawała mu ona satysfakcji intelektualnej. Lubił malować, ale jego malarstwo nie miało dla niego poważnego znaczenia. - To nie twój list przywiódł mnie z powrotem do domu - powiedział powoli.

- A więc co? Wojna?

- Nie!

Wiszący na ścianie kinkiet oświetlał z tyłu różową, łysą czaszkę ojca, rzucając cień na jego twarz, w której oczy błyszczały, ale przecięte twardą linią usta pozostały zamknięte.

- Ja się nie nadaję - rzekł Neil.

- Nie nadajesz? Do czego? - To było typowe u ojca, że interpretował słowa, które słyszał, raczej od strony ich dynamiki niż znaczenia.

- Jestem kiepskim malarzem.

- Skąd wiesz?

- Powiedział mi to ktoś, kto wie. - Mówienie przychodziło mu teraz z większą łatwością. - Zgromadziłem wystarczająco dużo prac, by zorganizować wielką wystawę. Zawsze chciałem zacząć wystawiać z dużą pompą, nie żeby jeden obraz wisiał tu, a parę tam... W każdym razie napisałem do przyjaciela w Paryżu, który ma własną galerię, że chciałbym

w jego galerii urządzić swoją pierwszą wystawę. A ponieważ mój przyjaciel miał wielką ochotę na spędzenie wakacji w Grecji, przyjechał do mnie, żeby zobaczyć moje obrazy. I nie spodobały mu się. "Bardzo ładne - powiedział. - Całkiem udane, naprawdę, ale nie ma w nich ani oryginalności, ani siły, ani nawet instynktownego wyczucia środków wyrazu". Potem zasugerował, żebym raczej wykorzystał swój talent w sztuce użytkowej.

Jeśli nawet starszego pana wzruszył ból, jakiego doznał jego syn, to tego po sobie nie pokazał. Uważnie jednak słuchał, co ma mu syn do powiedzenia.

- Wojsko - powiedział w końcu. - Wojsko będzie dla ciebie bardzo dobrym wyjściem.

- Chcesz powiedzieć, że zrobi ze mnie mężczyznę?

- Wpierw trzeba by dotrzeć do tego, co w tobie siedzi. Chcę przez to

37

powiedzieć, że to, co jest w środku, musi mieć szansę na wydostanie się na zewnątrz.

Neil zadrżał. - A jeśli tam niczego nie ma?

Starszy pan wzruszył ramionami, uśmiechnął się nikłym, obojętnym uśmiechem i zapytał: - Chyba warto się przekonać?

Nie padło ani słowo na temat przejmowania rodzinnego biznesu. Neil uważał, że dyskusja na ten temat nie ma sensu. Był przekonany, że jego ojciec nie martwi się o biznes, że nic go nie obchodzi, co się stanie z biznesem, gdy on przestanie nim zarządzać. Stosunek Longlanda Parkinsona do jego budowlanej firmy był tak samo chłodny i obojętny jak jego stosunek do żony czy syna. Nie żądał, by syn się wykazał. Nie czuł

żału do syna ani się na niego nie gniewał za to, że się nie sprawdził. Nie czuł też potrzeby podbudowywania swego autorytetu żądaniem, by jego syn był taki sam jak on, lub by osiągnął to, co jemu udało się osiągnąć. Gdy żenił się z matką Neila, na pewno dobrze wiedział, jakiego potomka może się po niej spodziewać, ale nie przejmował się tym. Przez małżeństwo z nią mógł zagrać na nosie tym ludziom z towarzystwa, do których przez ten ożenek chciał dotrzeć. W tej dziedzinie, podobnie jak we wszystkich innych, Longland Parkinson robił tylko to, co mu sprawiało przyjemność i co pozwalało mu urzeczywistnić swoje plany. Siedząc obok ojca Neil dostrzegł w nim coś, co go boleśnie dotknęło: zauważył mianowicie, że ojciec go kocha i że się nad nim lituje. Chyba starszy pan nie wierzył, że Neil ma w sobie tę męską tężyznę, o której przedtem mówili, a był niewątpliwie dobrym znawcą charakterów. Tak więc Neil poszedł do wojska i oczywiście zasilił kadrę oficerską. Gdy wybuchła wojna, przydzielono go do batalionu Australijskiej Piechoty, zaokrętowano i wysłano do północnej Afryki. Neilowi bardzo się w Afryce podobało. Czuł się tam bardziej w domu niż we własnym kraju. Z łatwością nauczył się mówić po arabsku i szybko stał się kimś potrzebnym i pożytecznym. Okazał się zdolnym i sumiennym żołnierzem, a nawet odkrył w sobie hart i niezwykłą odwagę. Lubili go zarówno podwładni, jak przełożeni i po raz pierwszy w życiu Neil polubił samego siebie. "Mimo wszystko mam w sobie coś z mego ojca" - mówił sobie w duchu, nie kryjąc radości z tego powodu. Czekał końca wojny i oczami duszy widział siebie, jak wraca do domu zahartowany i okrzepły w bojach i dzięki tym doświadczeniom zdolny do owej stanowczej bezwzględności,

którą, czuł to, jego ojciec z miejsca rozpozna i będzie w nim podziwiał. Neil bardziej niż czeokolwiek w życiu pragnął, by oczy ojca, te oczy drapieżnego ptaka, patrzyły na niego jak na równego sobie.

A potem przyszła Nowa Gwinea, a po niej wyspy, lecz wojna na Pacyfiku nie przypadła Neilowi do gustu tak jak kampania afrykańska. Dotąd uważał, że proces dojrzewania ma już za sobą, ale ta wojna przekonała go, że to, co przeżył do tej pory, było tylko igraszką. Na pustyni czuł się wyzwolony, natomiast dżungla zacisnęła pętlę na jego duszy i wyssała z niego wszelką radość. Równocześnie jednak dżungla uczyniła go mocniejszym i wykazała, że jest bardzo wytrzymały. Była to cecha, z której sam nie zdawał sobie sprawy. W końcu niczego już nie udawał. Przestał nawet dbać o to, co inni o nim myślą. Chciał jedynie znaleźć w sobie dość siły, by zapewnić szansę przeżycia sobie i swoim żołnierzom. Wszystko skończyło się dla niego z początkiem 1945 roku, po nieudanej, niezwykle krwawej kampanii. W czasie tej kampanii, jednej z mniejszych zresztą, Neil popełnił błąd, za który jego ludzie zapłacili życiem. To tragiczne wydarzenie pozbawiło go nagle ogromnego zaufania, jakie w nim pokładano. I gdyby jeszcze chciano mieć mu to za złe, gdyby go zwymyślano, mógłby to może lepiej znieść. Tymczasem wszyscy darowali mu winę. Poczawszy od żołnierzy z jego kompanii, którzy uratowali się z katastrofy, skończywszy na starszych rangą oficerach, którzy byli jego przełożonymi, wszyscy mu przebaczyli... Im bardziej mu wmawiali, że to nie była jego wina, że nie ma ludzi doskonałych, że każdemu może się czasem zdarzyć jakiś błąd, w tym głębszą popadał depresję. Nie miał o co i przeciwko czemu walczyć i to spowodowało, że stracił siłę przebicia, załamał się i nie był już zdolny do niczego.

Gdy w maju 1945 roku przyjęto go na oddział X, cały czas płakał. Tak dalece pogrążył się w rozpacz, że ani nie wiedział, ani nie chciał wiedzieć, gdzie go umieszczono. Przez kilka dni po przybyciu na oddział nie narzucano mu żadnych rygorów. Mógł robić wszystko, na co miał ochotę. Ale on na nic nie miał ochoty, tylko kulił się w sobie, trzął się, płakał i rozpaczał. Siostra Langtry, która początkowo czuwała nad nim trzymając się z boku, wreszcie ostro się za niego wzięła, nie bacząc, że traktuje ją jak uprzykrzonego intruza. Nie dała mu spokoju, krzyczała na niego, a nawet zmuszała go do jedzenia. Wciąż podkreślała, że nie ma niczego specjalnego w jego dolegliwościach, niczego, co wyróżniałoby go spośród innych

39

pacjentów. Żądała, by przebywał razem z innymi chorymi, podczas gdy on zamykał się w czterech ścianach swego pokoju i nie chciał nikogo widzieć. Zlecała mu różne prace do wykonania, zachęcała, prowokowała do mówienia, naprzód o byle czym, a potem o sobie samym. Właśnie o sobie chciał mówić nade wszystko.

Powracająca świadomość budziła się w nim powoli, ale potem poprawa następowała szybkimi skokami. Do jego świadomości zaczęły docierać sprawy dotyczące już nie tylko jego samego, ale i innych ludzi. Zaczął dostrzegać innych pacjentów i zauważać otoczenie. W końcu zainteresował się funkcjonowaniem oddziału X i osobą siostry Langtry. Helen Langtry zajęła szczególne miejsce w jego świadomości. Co prawda początkowo nie bardzo ją lubił, bo wydawała mu się zbyt rzeczowa i złościło go, że nie uważa jego przypadku za jedyny w swoim rodzaju, unikatowy. Ale właśnie wtedy, gdy doszedł do wniosku, że Helen jest po

prostu typową wojskową pielęgniarzką, w niej jakby zaczęło coś tajać, zmiękła i stała się serdeczna. Tak bardzo wyróżniała się na tle tego wszystkiego, z czym spotykał się w ciągu ostatnich kilku lat, że gdyby na to pozwoliła, Neil zupełnie straciłby dla niej głowę. Ale Helen nigdy by mu na to nie pozwoliła... Dopiero gdy był już wyleczony, potrafił docenić, jak subtelnie go od siebie odsunęła.

Lekarze nie uważali, by Neil wymagał skierowania na dalsze leczenie do Australii, ale też nie wysłali go z powrotem do jednostki. Najwyraźniej jego dowódca wolał, by Neil został tam, gdzie jest. Jego dywizja została wycofana ze służby czynnej, nie był więc tam potrzebny.

W pierwszym okresie przedłużający się przymusowy wypoczynek na oddziale X nawet mu się podobał. Był blisko siostry Langtry, to było najważniejsze. Ona traktowała go już wówczas raczej jak kolegę niż pacjenta, on zaś starał się tak ustawić ich przyjaźń, by nie rzutował na nią jego status na oddziale X. Gdy jednak poczuł się już wyleczony i gotowy do podjęcia służby w wojsku, znowu zaczęły go dręczyć wątpliwości.

"Dlaczego nie chcą, bym wrócił do jednostki?" - pytał sam siebie i odpowiadał: "Ponieważ nie można mi już ufać. Gdyby z jakiegokolwiek powodu wojna rozgorzała na nowo, nie byłbym już w stanie objąć dowództwa, jeszcze więcej żołnierzy zginęłoby przeze mnie".

Choć wszyscy temu przeczyli, Neil był przekonany, że to był właśnie prawdziwy powód, dlaczego - choć minęło już prawie pięć miesięcy - on wciąż jeszcze pozostaje więźniem oddziału X. Nie rozumiał, że

40

neuroza wciąż jeszcze w nim tkwi i że jej głównym objawem jest właśnie totalne zwątpienie w siebie samego. Tymczasem gdyby istotnie wojna na

nowo rozgorzała, najprawdopodobniej powierzono by mu na próbę obowiązki i zapewne bardzo dobrze by sobie z nimi poradził. Tragedią Neila było to, że wojna się skończyła i nikogo już do służby czynnej nie powoływano.

Pochylił się, by przeczytać nazwisko na dokumentach leżących na biurku siostry. - To trochę kłopotliwe, że ci go tak późno przysłali - powiedział.

- To jest dość nieoczekiwane, ale czy kłopotliwe, to się dopiero okaże. On mi nie wygląda na kogoś, kto sprawia kłopoty.

- Masz rację, on rzeczywiście jest bardzo uprzejmy. Ale zauważyłem, że powtarza wyświechtane zwroty jak papuga.

Odwróciła się od okna i spojrzała na niego zdziwiona. Neil nigdy nie był tak nieżyczliwy i krytyczny w stosunku do innych mężczyzn.

- Moim zdaniem ten chłopak jest jak najbardziej w porządku. Jego irytacja dla niego samego była nieoczekiwana i niewytłumaczalna.

- Nie wiem, dlaczego siostra tak uważa, czyżby się siostrze podobał? Nigdy bym nie przypuszczał, że jest w siostry typie.

To ją rozśmieszyło. - Nie chodzi o mnie, Neil. Ale to jest niegodne ciebie, mój drogi. Mówisz zupełnie jak Lucjusz, a to nie jest komplement. Czemu tak się zawzięłeś na tego biedaka?

- Bo jestem zazdrosny - odpowiedział nonszalancko i wyjął z kieszeni ciężką, złotą papierośnicę. Musiała być bardzo droga. Na jednym jej rogu widniał monogram Neila. Nikt inny na oddziale nie palił tak wytwornych papierosów jak on. Co prawda na oddziale poza nim nie było innych oficerów.

Otworzył papierośnicę i poczęstował ją papierosem, trzymając w drugiej ręce zapalniczkę.

Z westchnieniem wzięła papierosa i czekała, by go jej zapalił. - Zawsze mnie skusisz na papierosa w czasie dyżuru. Nie powinnam tego robić. A niechby mnie tak siostra przełożona na tym przyłapała. Nie wiem, co by mi zrobiła... powiesiła... poćwiartowała... Ale wolne żarty! Za chwilę będę musiała cię stąd wyprosić, bo muszę się zapoznać z dokumentami Michaela, zanim zjawi się tutaj pułkownik "Ważny".

- O, Boże! Nie mów, że zwali nam się tu jeszcze dziś wieczór!

41

Rozbawiło ją to. - Jeśli chodzi o ścisłość, to on mnie się tu zwali, nie tobie.

- A co to się stało, że nasz dzielny szef postanowił wypuścić się tak daleko w teren, i to nocną porą?

- Chodzi o Michaela. Zadzwoiłam do pułkownika i poprosiłam, żeby przyszedł wyjaśnić, co zrobić z Michaelem, bo nie dostałam żadnych instrukcji w tej sprawie. Nie wiem, dlaczego przysłano go do bazy 15 i dlaczego zapuszkowano go na X oddziale. Moim zdaniem to bardzo dziwne. - Nagle westchnęła i wyprostowała się. - Jakoś nie wydaje mi się, by dzisiejszy dzień był udany...

- Jeśli o mnie chodzi, to żaden dzień w "dziesiątce" nie jest i nigdy nie był udany - powiedział ze smutkiem w głosie Neil. Pochylił się, by zgasić papierosa w czerepie szrapnela, który służył siostrze Langtry jako popielniczka. - Już prawie pięć miesięcy głupieję tu z bezczynności, siostrzyczko. Inni przychodzą i wychodzą, a ja wciąż tu siedzę, jak stały lokator.

Tak właśnie przejawiało się cierpienie - typowe dla oddziału X. Neil niewątpliwie cierpiał; cierpiała też siostra Langtry, ale inaczej. Bolesnie przeżywała cierpienia swoich pacjentów, bo nie mogła im pomóc. Ich

cierpienia wynikały bowiem z choroby, a leczenie nie było łatwe. Z żalem stwierdzała, że wszystko, co dla nich zrobiła w ostrej fazie choroby, rozmyło się z czasem i nie pamiętali o tym podczas długiej rekonwalescencji.

- Zrozum, przeszedłeś coś w rodzaju rozstroju nerwowego - tłumaczyła mu łagodnie, zdając sobie sprawę, że to słabe pocieszenie. Czowała, że znowu zaczynają tę bezsensowną dyskusję: Neil domaga się, by mu wymierzono karę, bo okazał się słaby i nie sprostał zadaniu, a ona usiłuje, zwykle na próżno, przekonać go, że nic podobnego, że wcale nie był słaby.

- Dobrze wiesz, że wyszedłem z rozstroju już całe wieki temu - syknął ze złością. Wyciągnął przed siebie ramiona i zacisnął pięści tak mocno, że widać było nabrzmiące sznury ścięgien i napięte pod skórą bicepsy.

Neil nie wiedział, że Helen patrząc na tę małą demonstrację fizycznej siły poczuła nagły przypływ pożądania. Gdyby wiedział, może by ją pocałował lub chciał się z nią kochać. Ale, jak zawsze w takich okolicznościach, twarz siostry Langtry nie zdradzała ani jej myśli, ani uczuć.

- Może już nigdy nie będzie ze mnie dobry żołnierz, ale na pewno mógłbym robić coś pożytecznego, wszystko jedno gdzie. Ach, siostrzyczko, jestem tak strasznie, tak bezgranicznie zmęczony pobytem na oddziale X. Przecież nie jestem chory umysłowo!

42

Wzruszył ją ten krzyk rozpacz. Oni zawsze ją wzruszali, a już szczególnie Neil. Spuściła głowę i mrużąc oczy, mówiła:

- To już długo nie potrwa. Wojna się skończyła. Wkrótce wrócimy do domu. Wiem, że nie takiego rozwiązania pragnąłeś, i wiem, dlaczego boisz się powrotu do domu. Ale uwierz mi, niech tylko się odmieni sceneria i

niech się okaże, że masz wiele do zrobienia, w ciągu kilku sekund mocno staniesz na nogi. Naprawdę!

- Ale jak mam wrócić do domu, skoro tam są wdowy i sieroty, które stały się nimi z mojej winy. Co będzie, gdy spotkam wdowę po którymś z moich zabitych żołnierzy? Przecież zginął przeze mnie! Co mam jej powiedzieć? Co mam uczynić?

- Nie martw się. Na pewno powiesz właśnie to, co trzeba. Daj spokój, Neil! To tylko jakieś twoje zwidy i eksploatujesz je po to, żeby się dręczyć, bo nie masz co robić z czasem. Nie lubię mówić do ciebie w ten sposób, ale naprawdę przestań w końcu litować się nad samym sobą, bo nic innego przez cały czas nie robisz...

Ale Neil nie miał ochoty jej słuchać. Był w złym nastroju. Sam się w ten nastrój wprowadził i znajdował w tym jakąś przewrotną przyjemność. - Nie zapominaj, siostrze - perorował twardym głosem - że to moja niekompetencja była bezpośrednią przyczyną śmierci przeszło dwudziestu ludzi z mego batalionu. Wdowy i sieroty po nich na pewno nie są zwidami, mogę cię o tym zapewnić.

Od wielu tygodni nie widziała go w tak kiepskim stanie psychicznym jak dziś. Jednym z powodów na pewno było przybycie na oddział Michaela. Zjawienie się nowego pacjenta zawsze denerwuje starych rezydentów. W dodatku Michael jest szczególnym przypadkiem. Na pewno nie pozwoli sobie kierować i nie da się Neilowi wodzić za nos. Bo Neil lubił dominować nad oddziałem i narzucać swój reżim.

- Wiesz, Neil, mógłbyś dać spokój ciągłemu powracaniu do tamtych frontowych wydarzeń. Jesteś uczciwym i wspaniałym człowiekiem, byłeś uczciwym i wspaniałym oficerem. Przez pięć lat żaden oficer nie spełniał

swoich obowiązków lepiej od ciebie. Posłuchaj mnie teraz! Przecież nikt nigdy nie udowodnił, że ludzie z twego batalionu stracili życie na skutek popełnionego przez ciebie błędu. Jesteś żołnierzem i dobrze wiesz, jak może się skomplikować każda akcja na froncie. A poza tym, najgorsze już się stało. Ci ludzie nie żyją. A co dobrego robisz dla wdów i sierot siedząc tu u mnie, denerwując się, roniąc łzy nad nimi, ale i nad sobą? Nikt z nas

43

nie ma gwarancji na piśmie, że jego życie potoczy się tak, jak sobie tego życzy. Musimy umieć radzić sobie z naszym życiem wtedy, gdy jest dobre, i wtedy, gdy jest złe. Przecież o tym wiesz, więc dość tych żalów! Co za dużo, to niezdrowo!

Neil rozchmurzył się. Z uśmiechem wyciągnął do niej rękę, ujął jej dłoń w swoją i przytulił do niej policzek. - Dobrze, siostrzyczko! - powiedział. - Twoje posłanie dotarło do mnie. Zrobię wszystko, by się poprawić. Nie wiem, jak ci się to ze mną udaje, ale zawsze potrafisz ukoić moje cierpienie. Chyba ty sama działasz na mnie bardziej niż twoje słowa. Chcę, żebyś wiedziała, jak wiele dla mnie tu na oddziale znaczysz. Bez ciebie... nie, nie mogę sobie nawet wyobrazić, czym byłaby "dziesiątka" bez ciebie. Siostra Langtry rozważała jego słowa. Powiedział, że zawsze udaje jej się ukoić jego cierpienie. Ale jak to się działo, dlaczego jej się to udawało, tego nie wiedziała. Nie wystarczała jej sama świadomość, że pomogła. Chciała poznać tę magiczną formułę, która to sprawiła, a ona zawsze jej się wymykała...

Z powagą patrzyła na twarz Neila po drugiej stronie biurka i zastanawiała się, czy słusznie postąpiła, mówiąc to, co powiedziała, by mu dodać otuchy. Trudno jej było oddzielić to, co należało do jej obowiązków, od

tego, co wynikało z jej uczuć. Nie była pewna, czy nie wyżyła Neilowi więcej szkody niż pożytku, nawiązując z nim przyjacielskie stosunki.

Chciałaby też wiedzieć, czy i jak dalece Neil zgrywał się przed nią, chcąc ją w ten sposób zmusić, by poświęcała mu więcej uwagi. Zdawała sobie sprawę, że Neil mężczyzna cieszy się u niej większymi, znacznie większymi względami niż Neil pacjent. I bała się, by związane z Neilem plany na przyszłość nie przesłoniły jej terażniejszości. Istniała bowiem duża szansa, że będzie kontynuowała znajomość z Neilem po wojnie, a w czasie pokoju ich stosunki staną się o wiele bliższe. Myślała nawet o tym, jak to będzie, gdy on ją po raz pierwszy pocałuje, i rozważała czy ma się zdecydować na poślubienie go. Ale równocześnie rozumiała, że myślenie o tym tu i teraz było nie na miejscu. Więcej, było nie w porządku.

Neil był w jej oczach przystojnym, podniecającym i interesującym mężczyzną. Świat, w którym się obracał, bardzo przypominał jej własny świat. Ich przyjaźń wydawała się więc czymś zrozumiałym i logicznym. Podobał jej się jego wygląd, maniery, wykształcenie i pochodzenie. Lubiała, a nawet więcej niż lubiała ten gatunek ludzi. Dobrze, ale co z jego obsesjami? Jego nieszczęsnymi, wciąż powtarzającymi się obsesjami? To,

44

że z uporem wracał ciągle do tej strasznej rzezi na froncie, jakby już na zawsze miała naznaczyć jego życie żałobą, było obsesją. Przez te jego obsesje budziły się w niej wątpliwości, czy rzeczywiście ich stosunki mają szansę utrzymać się w czasie pokoju. Nie miała zbyt wielkiej ochoty inwestować uczuć w człowieka, który jest emocjonalnym kaleką, nawet jeśli doskonale rozumiała, jakie były przyczyny tego kalectwa. Jej potrzebny był raczej ktoś, kto stanąłby obok niej jak partner, a nie ktoś, kto

w niej będzie szukał oparcia, choćby ją nawet czcił jak boginię.

- Po to tu właśnie jestem - szepnęła - by koić twój ból. - Delikatnie wysunęła dłoń z jego dłoni. Nie chciała zranić jego uczuć. Dokumenty Michaela wciąż jeszcze leżały na stole. - Przepraszam cię, Neil, ale muszę przerwać naszą rozmowę, mam tu jeszcze pracę do wykonania - powiedziała, wskazując na dokumenty.

Wstał z fotela i popatrzył na nią z niepokojem. - Ale zajrzysz jeszcze potem do nas? Nie przeszkodzi ci w tym nowy pacjent?

Spojrzała na niego zdziwiona. - Nie, Neil! Nic mi nie może w tym przeszkodzić! Czy kiedykolwiek zdarzyło mi się nie przyjść na naszą nocną herbatkę? - Zaśmiała się do niego, a potem pochyliła głowę nad papierami Michaela.

Rozdział Szósty.

By dotrzeć do oddziału X, najbardziej oddalonego obiektu na terenie szpitala, pułkownik Wallace Donaldson musiał cały czas oświetlać sobie drogę latarką. Był wściekły. "To jest naprawdę oburzające - myślał. - Przecież mamy pokój, żadne zaciemnienie już nie obowiązuje, a kierownictwo nie potrafi zadbać o przyzwoite oświetlenie terenu". Szpital dosłownie tonął w najgłębszych ciemnościach, a że był opustoszały i prawie nikt już w nim nie mieszkał, więc nie można było nawet liczyć na światło padające z okien.

W ciągu ostatnich sześciu miesięcy baza 15 żałośnie się skurczyła.

Zmniejszył się jednak wyłącznie stan personelu, natomiast rozległe tereny szpitala pozostały nietknięte. To tak, jakby tęgi mężczyzna zeszczuplał, ale nadal był skazany na noszenie ubrań skrojonych na grubasa. Amerykanie

zbudowali ten szpital niewiele ponad rok temu i zaraz potem przenieśli się dalej. Nie ukończony i tylko częściowo umeblowany szpital pozostawili Australijczykom, którzy przybyli tu z Indii Wschodnich i zmierzali w kierunku zachodnim.

W dniach swojej świetności szpital był w stanie pomieścić, co prawda w dużej ciasnocie, pięciuset pacjentów. Zatrudniał wówczas trzydziestu lekarzy oraz sto pięćdziesiąt pielęgniarek - tak zapracowanych, że wolny dzień pozostawał jedynie w sferze marzeń. Teraz zostało tu zaledwie sześć oddziałów, wśród nich oddział X, położony na samym końcu terenu, na skraju lasu palmowego. Lasek dostarczał dawniej koprę kokosową Holendrom i był dla nich źródłem niezłej fortuny. Z trzydziestu lekarzy pozostało w bazie tylko dziesięciu plus jeden patolog. Połowę stanowili chirurdzy, a resztę przedstawiciele różnych specjalności. Po ogromnych kwaterach dla pielęgniarek snuło się ich obecnie nie więcej niż trzydzieści. Pułkownik Donaldson był neurologiem. Dostał przydział do oddziału X w momencie gdy baza 15 przeszła w ręce Australijczyków. Na oddziale była wtedy garstka żołnierzy cierpiących na zaburzenia emocjonalne, których w największym nasileniu choroby wycofano ze służby i wysłano do szpitala. Przed wojną pułkownik Donaldson starał się o uzyskanie praktyki na Macquarie Street w Sydney. Walczył usilnie, by się utrzymać na tej najbardziej prestiżowej, choć niezwykle wymagającej scenie medycznej, okupowanej przez najlepszych specjalistów w mieście. Udana spekulacja akcjami w 1937 roku, kiedy to świat wydobywał się z recesji, dostarczyła mu dość pieniędzy, by mógł odkupić dobrą praktykę na Macquarie Street. Właśnie zaczęły mu się trafiać wysokie honoraria w najlepszych szpitalach w Sydney, gdy Hitler napadł na Polskę. Od tego momentu wszystko się

zmieniło. Pułkownik z przerażeniem myślał o nikłej szansie na to, by koło historii mogło potoczyć się w powrotnym kierunku i by wróciła sytuacja sprzed 1939 roku. Gdy patrzył w przyszłość z perspektywy tej piekielnej dziury, jaką była baza numer 15, a było to ostatnie z wielu podobnych miejsc, w których w czasie tej wojny przebywał, to nie wydawało mu się możliwe, by cokolwiek mogło jeszcze być kiedyś takie jak dawniej, nawet on sam.

Pozycja społeczna pułkownika była doskonała, mimo że w czasie wielkiej recesji rezerwy finansowe rodziny Donaldsonów drastycznie się skurczyły. Na szczęście miał brata na giełdzie i to głównie dzięki niemu rodzina wróciła do dobrobytu. Podobnie jak Neil, pułkownik mówił bez

46

cienia australijskiego akcentu: do szkół chodził w Newington, na uniwersytet w Sydney, ale wszystkie podyplomowe medyczne kwalifikacje zdobywał w Anglii i Szkocji i lubił myśleć o sobie raczej jako o Angliku niż Australijczyku. Nie żeby się wstydził tego, że jest Australijczykiem, ale po prostu dlatego, że lepiej być Anglikiem.

Jedną z "ulubionych antypatii" pułkownika Donaldsona była kobieta, z którą za chwilę miał się spotkać: siostra Helen Langtry. Takie nic - myślał o niej - niespełna trzydziestoletnia. Wprawdzie nie była przeszkolona w wojsku, ale znalazła się w armii już w 1940 roku i jest zawodową pielęgniarzką. Ta kobieta była dla niego wielką niewiadomą. Z jednej strony musiał przyznać, że mówiła dobrą angielszczyzną, miała gładkie maniery i najwyraźniej odebrała staranne wykształcenie, a szlify pielęgniarские zdobywała w jednym z najlepszych szpitali, szpitalu uniwersyteckim imienia Księcia Alfreda. Ale z drugiej strony nie miała za

grosz wojskowej dyscypliny ani drylu i brak jej było tego subtelnego wyczucia, komu należy okazać szacunek. Poza tym chyba nie bardzo rozumiała, że jej pozycja społeczna jest właściwie typu usługowego. Gdyby pułkownik mógł być ze sobą do końca szczery, toby przyznał, że boi się siostry Langtry jak ognia. Każde spotkanie z nią zmuszało go do pełnej umysłowej i duchowej mobilizacji. Może to było nawet z korzyścią dla niego, ale go męczyło. Zawsze potrafiła tak mu zaleźć za skórę, że potem przez całe godziny nie mógł dojść do siebie.

Wszystko go w oddziale X irytowało. Nawet zasłona zrobiona z kapsli po piwie. Na żadnym innym oddziale nie pozwolono by na coś takiego. Ale siostra przełożona, zwykle wredna i nadgorliwa, gdy chodziło o oddział X postępowała nad wyraz dyplomatycznie. A przyczyna była taka: podczas pierwszych dni pracy oddziału X jeden z pacjentów tak się zmęczył wysłuchiwaniami tyrady przełożonej, kiedy pouczała siostrę Langtry, że zastosował wobec niej zaskakująco prosty i skuteczny sposób: chwycił ją za kołnierz i jednym ruchem rozdarł jej pielęgniarzki strój od góry do dołu. Oczywiście pacjent był szalony jak "marcowy zając" i został natychmiast odesłany do Australii, ale po tym wypadku przełożona bardzo się pilnowała, by niczym nie rozdrażnić pacjentów oddziału X.

Światło dobiegające z korytarza pozwoliło obejrzeć pułkownika Wallace'a Donaldsona w całej okazałości. Był wysokim, eleganckim mężczyzną około pięćdziesiątki, z typową dla panów lubiących alkohol purpurową siatką żyłek na policzkach. Nosił starannie wypielęgnowane stalowo szare

47

wąsy o proporcjach zgodnych z wojskowym kanonem; pozostała część twarzy była dokładnie ogolona. Teraz, kiedy był bez czapki, w siwiźnie

jego włosów widać było odciśnięty rowek - tam gdzie otok czapki uciska skórę głowy. Włosy miał przetłuszczone, niezbyt gęste i cienkie.

Bładoniebieskie oczy były nieco wylupiaсте, ale wciąż, zachowywał resztki młodzieńczej urody. Nadal miał niezłą figurę, szerokie bary, prawie całkiem płaski brzuch. W dobrze uszytym garniturze przedstawiał się imponująco, a w bezbłędnie skrojonym mundurze wyglądał na marszałka polnego bardziej niż którykolwiek prawdziwy marszałek.

Siostra Langtry wyszła mu naprzeciw, zaprosiła do swego biura i zadbała, by się wygodnie rozsiadł w fotelu. Sama nie usiadła, ale nadal stała. "To jeden z jej małych trików - pomyślał z niechęcią pułkownik.

- Jedyne sposoby, aby mogła nade mną górować".

- Panie pułkowniku, przepraszam, że wyciągnęłam pana taki kawał drogi, ale ten pacjent - lekko uniosła papiery, które trzymała w ręce

- przybył do nas dzisiaj, a ponieważ nic od pana nie słyszałam o jego przyjeździe, więc przypuszczam, że pan też nic o tym nie wiedział.

- Siadaj, siostrze! - powiedział dokładnie takim tonem, jakiego by użył karcąc nieposłusznego psa.

Nie zmieniając wyrazu twarzy, bez sprzeciwu opuściła się na fotel. W szarych spodniach i marynarce wyglądała jak uczeń szkoły kadetów. I chyba ona wygrała pierwszą rundę spotkania, bo udało jej się go sprowokować, by pierwszy zachował się niegrzecznie.

W milczeniu przekazała mu dokumenty.

- Nie! Nie chcę teraz tego czytać. Proszę tylko o krótką relację, o co tam chodzi?

Siostra Langtry spojrzała na niego ze zdziwieniem, ale bez niechęci. Po pierwszym spotkaniu z pułkownikiem Donaldsonem Lucjusz nazwał go

"Ważny", a ponieważ to przezwisko idealnie do niego pasowało, więc przyłgnęło na dobre. Zastanawiała się, czy on wie, że cały szpital tak go nazywa za plecami, i doszła do wniosku, że chyba nie wie. Nie mógłby zignorować przezwiska, które mu ubliża.

- Sierżant Wilson - mówiła jednostajnym głosem - ma 29 lat. Jest w wojsku od samego początku wojny. Był w północnej Afryce, Syrii, Nowej Gwinei, na Wyspach. Brał udział w bardzo wielu akcjach zbrojnych, ale nie mamy powodu sądzić, że jego wybuchowość ma jakikolwiek związek z uczestnictwem w walkach. Był świetnym żołnierzem, wykazał

48

się dużą dzielnością w akcjach i został odznaczony Krzyżem Walecznych. Trzy miesiące temu zginął jego jedyny i bardzo bliski przyjaciel. Został zabity w ciężkim starciu z wrogiem. Od tego czasu Wilson był samotny i trzymał się z dala od kolegów.

Pułkownik ciężko i boleśnie westchnął, po czym zwrócił się do siostry, by mówiła dalej.

- Michaela podejrzewa się o chorobę umysłową od momentu - kontynuowała - gdy tydzień temu w obozie, w którym przebywał, doszło do bardzo przykrego incydentu. Michael wdał się w bójkę z pułkowym sierżantem sztabowym i już sam ten fakt wydał się bardzo dziwny ludziom, którzy znali ich obu. Co gorsza, Michael niechybnie zabiłby sierżanta, gdyby obecni przy tym koledzy nie odciągnęli go w porę. Jedyny komentarz, na jaki zdobył się Michael od czasu tego wypadku, to ten, że chciał zabić sierżanta i że na pewno by go zabił, gdyby mu nie przeszkadzono. Powtórzył to wiele razy, ale nie chce rozwijać tego tematu. Gdy dowódca usiłował dowiedzieć się, co było powodem zajścia, Michael

odmówił odpowiedzi. Natomiast sierżant sztabowy okazał się niezwykle rozmowny. Oskarżył Michaela, że go seksualnie molestował, i żądał postawienia go przed sądem wojennym. Stwierdzono bez żadnych wątpliwości, że zmarły przyjaciel Michaela był homoseksualistą; opinie, czy Michael jest nim również, były podzielone. Sierżant sztabowy i jego zwolennicy utrzymywali, że Colin i Michael byli kochankami, ale ogromna większość żołnierzy z ich kompanii twierdziła z całą stanowczością, że Michael jedynie opiekował się Colinem i był jego przyjacielem - zupełnie platonicznie.

Komendant batalionu doskonale znał tych żołnierzy, wszyscy trzej długo pod nim służyli: Michael i jego zmarły kolega od samego powstania batalionu, a sierżant sztabowy od Nowej Gwinei. Zdaniem komendanta Michael nie powinien w żadnym wypadku stanąć przed sądem. Całe zajście kładł na karb chwilowego rozstroju nerwowego i nakazał poddać Michaela badaniom medycznym. W rezultacie tych badań stwierdzono, że Michael "nie panuje nad swoimi władzami umysłowymi". Muszę przyznać, że nie bardzo rozumiem, co to ma znaczyć - dodała z powagą i pewnym smutkiem w głosie. - W każdym razie Michaela zapakowano w samolot i wysłano do bazy 15, a oficer w izbie przyjęć automatycznie skierował go na oddział X.

49

Pułkownik zacisnął wargi i uważnie przyjrzał się siostrze Langtry. Znowu opowiadała się za jedną ze stron; robiła to stale z godnym pożałowania uporem. - Chcę zobaczyć sierżanta Wilsona w mojej klinice jutro z samego rana. Wtedy przejrzę jego dokumenty. Proszę go tam osobiście przyprowadzić, siostrzo. - Spojrzał na słabą żarówkę wiszącą nad biurkiem.

- Nie wiem, jak pani może cokolwiek przeczytać w tym świetle, ja bym nie mógł. - Fotel wydał mu się widać twardy i niewygodny, bo przesuwając po nim pośladki, chrząkając i marszcząc gniewnie brwi.

- Nienawidzę przypadków, które mają tło seksualne - oświadczył nieoczekiwanie.

Siostra Langtry wzięła przedtem bezwiednie do ręki ołówek. Teraz kurczowo zacisnęła wokół niego palce. - Bardzo mi przykro z tego powodu, panie pułkowniku - powiedziała, nie usiłując nawet ukryć sarkazmu. - Sierżant Wilson nie powinien był jednak znaleźć się na oddziale X. Prawdę mówiąc, nie powinien był się znaleźć na żadnym oddziale, w ogóle nie należało go hospitalizować. - Jej głos drżał.

Niecierpliwym ruchem włożyła palce w układne brązowe fale swojej fryzury i wzburzyła je. - Uważam, że z sierżantem Wilsonem postąpiono podle. Przecież to niedopuszczalne, żeby bójka i jakieś zupełnie nie sprawdzone podejrzenia mogły złamać młodemu człowiekowi życie - zwłaszcza że on i tak już przeżył dramat, straciwszy na froncie najlepszego przyjaciela. Wciąż myślę o tym, co on teraz przeżywa. Chyba odczuwa to tak, jakby się przedzierał przez jakąś potworną mgłę, z której nigdy nie uda mu się wyjść na właściwą drogę. To ja z nim rozmawiałam, a nie pan, i zapewniam pana, panie pułkowniku, że on jest absolutnie w porządku; nie ma żadnych zaburzeń ani psychicznych, ani seksualnych, ani żadnych innych. Moim zdaniem lekarz odpowiedzialny za przysłanie go tutaj powinien stanąć przed sądem wojennym. To hańba dla armii, że odmówiono sierżantowi Wilsonowi możliwości oczyszczenia się z zarzutów i żeby się go pozbyć, wpakowano go na oddział X.

Jak zwykle, pułkownik nie wiedział, jak zareagować na tak wielką

zuchwałość. Ludzie stojący w hierarchii szpitalnej tak wysoko jak on na co dzień nie stykali się z czymś podobnym. - Do diabła! - wściekał się w duchu. Przecież ona mówi z nim, jakby się uważała za kogoś równego mu wykształceniem i intelektem. Temu, co się teraz wyrabia z wojskowymi pielęgniarzami, winien jest pewnie ich oficerski stopień, no i dość duża

50
autonomia, jaką uzyskały w bazie 15. A te cholerne, głupie welony, które noszą, też się pewnie przyczyniły do tego, że im się poprzewracało w głowach. Tylko zakonnice powinny nosić welony i tylko do nich powinno się zwracać "siostró".

- Co też siostra opowiada - odezwał się hamując złość. Postanowił, że będzie się zachowywał rozsądnie. - Zgadza się, że okoliczności są trochę niezwykle, ale przecież wojna się skończyła i pobyt tego młodego człowieka tutaj nie może w żadnym razie potrwać dłużej niż kilka tygodni. A przecież zdaje sobie chyba siostra sprawę, że groziło mu, iż znajdzie się w o wiele gorszych opałach niż tu u nas, na oddziale X.

W tym momencie ołówek wysunął jej się z ręki, uderzył o róg biurka i upadł z głuchym trzaskiem obok pułkownika. Ten siedział jakby nigdy nic, ale się zastanawiał, czy ona to zrobiła umyślnie. Gdyby chciał się trzymać litery prawa, powinien by złożyć na nią raport do siostry przełożonej.

Przełożona była jedynym oficerem, który mógł pociągać pielęgniarzki do dyscyplinarnej odpowiedzialności. Ale problem polegał na tym, że od czasu awantury z rozdarciem uniformu przełożona miała trochę stracha przed siostrą Langtry. Boże, co by się tu działo, gdyby on złożył skargę...

- Oddział X to istne piekło! - krzyczała siostra Langtry. Nigdy przedtem nie widział jej tak wściekłej. To rozbudziło jego ciekawość. Nie ulegało

kwestii, że los sierżanta Wilsona szczególnie blisko ją obchodził. Chyba więc warto będzie spotkać się z nim rano.

A siostra nadal wykrzykiwała rzeczy, które jeszcze bardziej podsycaly jej złość: - Pacjentów, z którymi nikt nie wie, co zrobić, upycha się w oddziale X i zapomina o nich. Pan jest neurologiem, a ja pielęgniarką z wykształceniem ogólnym, nie psychiatrycznym. Żadne z nas nie posiada doświadczenia ani kwalifikacji w dziedzinie psychiatrii. Czy pan wie, jak należy z tymi ludźmi postępować, panie pułkowniku? Bo ja nie wiem. Błądzą po omacku, robię co mogę, ale jestem świadoma, że to nie wystarcza. Każdego ranka, gdy przychodzę na dyżur, proszę Boga, żeby udało mi się przeżyć ten dzień, nie robiąc krzywdy żadnemu z moich pacjentów. Tak łatwo złamać tych kruchych i trudnych ludzi... Jestem pewna, że pacjenci oddziału X zasługują na więcej, niż pan lub ja możemy im zaoferować.

- Dość tego, siostro! - krzyknął i jego policzki stały się jeszcze bardziej purpurowe.

51

- Jeszcze nie skończyłam - zareplikowała, nie przejmując się jego sprzeciwem i nie ustępując. - Nie będę mówiła teraz o sierżancie Wilsonie, ale spójrzmy na pięciu pozostałych pacjentów oddziału X. Matt Sawyer został przeniesiony do nas z oddziału neurologicznego. Lekarze nie potrafili znaleźć żadnej organicznej przyczyny jego ślepoty, więc postawili diagnozę, że to histeria. Pan, pułkowniku, był jednym z lekarzy, którzy zgodzili się z tą opinią. Nugget Jones został tu przeniesiony z chirurgii miękkiej po dwóch diagnostycznych operacjach brzusznych. W historii

jego choroby wspomina się, że doprowadzał do szału cały oddział bez przerwy uskarżając się na różne objawy chorobowe. Rozpoznanie: hipochondria. Neil, chciałam powiedzieć kapitan Parkinson, miał zwykłe załamanie psychiczne, które można by określić dokładniej jako głębokie przygnębienie. Ale jego dowódca, sądząc, że go ochrania, każe mu u nas siedzieć przez długie miesiące. Rozpoznanie: inwolucyjna depresja.

Benedykt Maynard wpadł w szal, gdy jego kompania ostrzelała wieś, a potem się okazało, że tam nie było ani jednego Japończyka. Były natomiast kobiety, dzieci i starcy. Ponieważ w czasie gdy zaczęły się jego psychiczne problemy, Benedykt otrzymał niewielką ranę w głowę, przyjęto go na neurologię z podejrzeniem wstrząsu mózgu. Potem przeniesiono go na oddział X. Diagnoza: dementia praecox, czyli schizofrenia. Właściwie zgadzam się z tą diagnozą, ale w takim razie Bena powinno się wysłać na leczenie specjalistyczne do Australii, zapewnić mu tam dozór i właściwą opiekę. A weźmy Lucjusza Daggetta. Dlaczego się tu znalazł? W jego papierach nie ma żadnej diagnozy. Ale i pan, i ja dobrze wiemy, dlaczego on tu jest. Ponieważ chciał naśladować Rileya, znanego ongiś hochsztaplera, i szantażował swego dowódcę. Usiłował go zmusić, by mu pozwalał na wszystko, na co mu tylko przyjdzie ochota. Oczywiście dowództwo nie mogło tego na dłuższą metę tolerować i nie wiedząc, co z nim zrobić, przysłało go do nas. Uznano widać, że oddział X jest świetnym miejscem, by go tu przetrzymać do końca wojny.

Pułkownik zerwał się na nogi, siny z powstrzymywanej wściekłości. - Wypraszam sobie! - ryknął. - Siostra mi tu mówi impertynencje!

- Czyżby to, co mówię, brzmiało impertynencko? W takim razie bardzo pana, panie pułkowniku, przepraszam. - I od razu złość jej przeszła. Wrócił

niewzruszony spokój, będący od dawna jej znakiem firmowym.

Pułkownik trzymał już rękę na klamce, ale odwrócił się jeszcze.

52

- Przypominam siostrze, że sierżant Wilson ma stawić się w mojej klinice jutro o dziesiątej rano. I proszę nie zapomnieć, że ma go siostra osobiście przyprowadzić. - Z błyskiem w oku zastanawiał się gorączkowo, czym by ją tu urazić. Szukał w myśli jakichś ostrych słów, które by się przebiły przez nieprzeniknioną jej twarz. - Czy siostry nie dziwi - rzucił w końcu - że sierżant Wilson, taki niby przykładowy żołnierz, z tyłoma wysokimi odznaczeniami, stale na pierwszej linii frontu, a jednak przez sześć lat nie zdołał awansować wyżej niż do stopnia sierżanta?...

Siostra Langtry słodko się uśmiechnęła. - Ależ panie pułkowniku! Przecież wszyscy nie mogą być wielkimi szefami. Ktoś musi w końcu wykonywać także brudną robotę!

Rozdział Siódmy.

Po wyjściu pułkownika siostra Langtry siedziała jakiś czas bez ruchu przy swoim biurku. Czuła, że zimny pot występuje jej na brwiach i na górnej wardze. To były przykre skutki zdenerwowania, którego nie mogła sobie wybaczyć. "Co za głupota - myślała - tak nawymyślać człowiekowi..."

Szczególnie, że nic dobrego z tego nie wynikło. Przeciwnie, niepotrzebnie odkryła przed nim uczucia; wołałaby, żeby o nich nie wiedział. Gdzie się podziała jej umiejętność samokontroli, dzięki której zawsze dotąd wychodziła zwycięsko ze wszystkich konfliktów z pułkownikiem.

Mówienie temu człowiekowi o oddziale X i jego ofiarach było absolutną stratą czasu. Nie pamiętała, by kiedykolwiek była tak wściekła na niego jak dziś.

A wszystko wzięło się stąd, że przeczytała historię choroby Michaela i ogromnie się nią wzruszyła. Gdyby pułkownik przyszedł trochę później, miałaby czas nieco ostudzić emocje i opanować się. Ale on zjawiał się zaledwie parę sekund po tym, jak odłożyła papiery Michaela.

Nie знаła lekarza wojskowego, który opisał przypadek Michaela. Nie potrafiła sobie skojarzyć jego nazwiska z żadną znajomą twarzą. Jedno jest pewne: to doskonały stylist. Gdy czytała jego relację, ludzie wplątani w tę historię ożywali w jej wyobraźni, szczególnie Michael, który i tak był wciąż obecny w jej myślach.

53

Po ich krótkim spotkaniu na oddziale snuła na temat Michaela różne domysły, ale żaden nie dorównywał tragicznej prawdzie zawartej w jego historii. Ogromnie mu współczuła. Nie mogła przestać myśleć o tym, jak straszny cios dotknął tego biedaka, jaka go spotkała niesprawiedliwość i jak bardzo musiał być z tego powodu nieszczęśliwy.

W miarę jak odsłaniały się nowe szczegóły jego historii, podświadomie angażowała się w nią emocjonalnie. Razem z Michaelem rozpaczała nad utratą przyjaciela. Czuła dławienie w gardle i ucisk w piersiach. Miała trudności z przełykaniem. Narastał w niej żal. Kiedy wszedł pułkownik, wyładowała na nim całą swoją złość.

"Praca na oddziale X już mi się zaczyna dawać we znaki" pomyślała. W ciągu kilku minut, pod koniec spotkania z pułkownikiem, popełniła wszystkie grzechy, przed którymi ostrzega podręcznik dla pielęgniarek: od niepotrzebnego emocjonalnego zaangażowania się po ciężką niesubordynację.

Wciąż miała przed oczami twarz Michaela. Tak, ten umie sobie radzić,

potrafi sobie nawet poradzić z oddziałem X. Zwykle najbardziej współczuła swoim pacjentom dlatego, że byli tacy nieporadni. Tym razem było inaczej. Przejęła się losem człowieka, który na pewno żadnej pomocy z jej strony nie potrzebował. W tym kryło się pewne niebezpieczeństwo. Do tej pory przed wchodzeniem w zbytnią uczuciową zażyłość z pacjentami broniła ją świadomość, iż są chorzy, smutni, słabi, jednym słowem, niemęscy. Nie chodziło o to, by w ogóle wystrzegać się mężczyzn czy romansów. Nie! Po prostu dobra pielęgniarka, taka, która chce dać z siebie swoim pacjentom wszystko, co najlepsze, musi pozostać niezaangażowana uczuciowo. Nie żeby była całkowicie odporna na wszelkie emocje czy uczucia. Nie wolno jej jedynie dopuścić do nawiązania stosunków erotycznych z pacjentem. Jeśli do takich stosunków dojdzie w normalnym szpitalu, to już jest bardzo źle, ale jeśli chodzi o pacjenta chorego psychicznie i niezrównoważonego umysłowo, to jest to wręcz katastrofalne. Nawet o Neilu wiele myślała i nadal nie miała pewności, czy postępuje słusznie, planując spotkanie z nim po wojnie, gdy wrócą do domu. Wmawiała sobie co prawda, że nie ma w tym nic złego, bo on jest już prawie wyleczony, a oddział bardzo bliski rozwiązania. Poza tym wciąż jeszcze była w stanie panować nad sytuacją i gdyby zaszła potrzeba, potrafiłaby przestawić się na myślenie o nim jako o kimś biednym, smutnym i kruchym...

54

"Jestem tylko człowiekiem - mówiła sobie w duchu. - Nie wolno mi o tym zapominać".

Westchnęła, rozprostowała mięśnie i odeszła myślami daleko i od Neila, i od Michaela. Jeszcze za wcześnie, żeby wrócić na oddział. Wciąż była

spocona i miała wypieki na twarzy. Musiała poczekać, aż całkiem przyjdzie do siebie. Przypomniła jej się ołówek, którym rzuciła w pułkownika, i zastanawiała się, gdzie też się podział. Aż trudno jej było uwierzyć, że pułkownik okazał się taki nieprawdopodobnie tępy. Niewiele brakowało, a rzuciłaby w niego czerepem szrapnela, który ważył trzy kilogramy. Ledwie się powstrzymała, tak ją rozzłościł pytaniem, dlaczego Michael nie zrobił kariery. Gdzie ten pułkownik był przez ostatnie sześć lat? Niewiele wiedziała o innych armiach, ale po sześciu latach pielęgnowania australijskich żołnierzy orientowała się, że w jej kraju było co najmniej kilku wybitnie uzdolnionych ludzi, którzy mieli i inteligencję, i talent dowódczy, i wszystkie inne zalety, które powinny cechować oficera, a jednak uparcie odmawiali przyjęcia awansu do stopnia wyższego niż sierżant. To chyba miało coś wspólnego ze świadomością klasową - w najlepszym sensie tego słowa. Ci żołnierze byli dumni z tego, kim są, i nie czuli żadnej potrzeby zdobywania wyższych stopni. Była przekonana, że właśnie Michael Wilson należał do tej wyjątkowej grupy ludzi. Jeśli się myli, to widać nie umie wyciągać właściwych wniosków z pracy w wojsku.

Czyżby nikt nigdy nie powiedział pułkownikowi, że są tacy ludzie jak Michael? Czy sam tego nie widział? Chyba nie, skoro uczeplił się właśnie tego, by jej dokuczyć. Cholerny pułkownik! Trudno w to uwierzyć, ale wymawiał spółgłoski w jeszcze bardziej wyszukany sposób niż Neil, który przecież mówił z istic lordowskim akcentem. Głupio jej było, że się na niego rozgniewała. Właściwie powinno mu się współczuć. Przecież mimo wszystko praca w bazie numer 15 jest czymś bardzo odległym od eleganckiej praktyki na Macquarie Street. "Właściwie - pomyślała - ten

pułkownik jest całkiem przystojny i przypuszczalnie pod swoim świetnie skrojonym mundurem jest taki sam jak inni mężczyźni, ma te same potrzeby i pragnienia". Chodziła nawet plotka, że pułkownik miał długotrwały romans z siostrą Heather Connolly z bloku operacyjnego. Podobno większość lekarzy ma jakieś małe flirty czy romanse, a z kim innym mogliby flirtować jak nie z pielęgniarkami. Niech mu to wyjdzie na zdrowie!

Siostra Langtry w końcu znalazła ołówek. Leżał daleko z drugiej strony biurka. Wcisnęła się pod biurko, podniosła go i położyła na miejsce.

55

O czym, u diabła, mogła Heather Connolly rozmawiać z pułkownikiem? Bo chyba o czymś musieli rozmawiać. Przecież nie spędza się całego czasu z kochankiem tylko na kochaniu się. W czasie pokoju, gdy Wallace Donaldson praktykował jako neurolog, interesował się pewnym nowo odkrytym zespołem chorób kręgosłupa. Te choroby nosiły dziwne nazwy, zupełnie niemożliwe do wymówienia, i połączone myślnikiem, toby było jeszcze trudniej. Może o nich rozmawiał pułkownik z siostrą Connolly i żałował, że w bazie 15 nie ma tych skomplikowanych chorób. Jeśli tu zdarzały się przypadki związane z kręgosłupem, to były to ciężkie, potworne okaleczenia zadane przez pociski i szrapnele. A może rozmawiali o żonie pułkownika, która podtrzymuje ognisko domowe gdzieś tam w Vaucluse lub na Bellevue Hill? Mężczyźni bardzo lubią rozmawiać z kochankami o swoich żonach, tak jak lubią obmawiać jednego przyjaciela przed drugim, nawet jeśli podkreślają tylko jego zalety. Panowie często wyrażają żal, że obie panie nie mają sposobności się poznać. Co więcej, są przekonani, że ich żony i kochanki na pewno

zaprzyjaźniłyby się, gdyby tylko towarzyski obyczaj im na to pozwolił. I to jest całkiem rozsądne, bo gdyby myśleli inaczej, źle by to świadczyło o ich guście w doborze kobiet.

Helen Langtry dobrze pamiętała, choć myśl o tym sprawiała jej ból, że taki właśnie był jej kochanek. Lubił mówić z nią o swojej żonie. Ubolewał, że konwenans nie pozwalała im się spotkać. Był pewny, że bardzo by się polubiły. Ale jej wystarczyło to, jak swoją żonę opisywał, a robił to kilkakrotnie, by wiedzieć, że znenawidziłaby tę kobietę. Oczywiście nigdy mu tego nie powiedziała, była zbyt rozsądna.

Gdy teraz o tym myślała, zdawało jej się, że to wszystko działo się bardzo dawno temu. Czasu, jaki upłynął, nie można mierzyć tykaniem zegara odliczającego sekundy, minuty czy godziny. Ten czas narastał zrywami, sporadycznie, jakby za każdym razem jakiś monstrualnie wielki owad zrzucał z siebie kolejny pancerz i wyłaniał się inny i inaczej czujący. Inny i inaczej czujący był też świat, w który wchodził.

Kochanek Helen był lekarzem, specjalistą chorób skórnych, i pracował jako konsultant w szpitalu w Sydney. Był to pierwszy i zarazem jedyny szpital, w jakim w tym mieście pracowała. Kochanek był wysoki, ciemnowłosy i przystojny. Miał trzydzieści pięć lat. Oczywiście był żonaty. Jeśli się dziewczynie nie udało złapać na męża lekarza, gdy był on jeszcze na stażu i mieszkał w szpitalu, to już jej się w ogóle nie uda go złapać. A Helen niespecjalnie się podobała młodym lekarzom, stażystom.

Woleli

56

ładniejsze, weselsze, pulchne, pustogłowe dziewczyny. Dopiero po trzydziestce zaczynały im się nudzić kobiety, które wybierali jako

dwudziestolatki.

Helen Langtry była poważną młodą kobietą, najlepszą uczennicą w szkole pielęgniarstwie. Zastanawiano się nawet, dlaczego wybrała pielęgniarstwo zamiast medycyny. Pochodziła z bogatej rodziny farmerskiej. Kształciła się w jednej z najlepszych szkół dla dziewcząt, z internatem. Prawda jest taka, że Helen zdecydowała się studiować pielęgniarstwo tylko dlatego, iż naprawdę chciała zostać pielęgniarką. Właściwie zanim zaczęła pracować, to tak do końca nie wiedziała, dlaczego chce nią być. Zdawała sobie jednak sprawę, że ten zawód zapewnia fizyczną i emocjonalną bliskość ludzi, a tego właśnie chciała. Pielęgniarstwo było wówczas uważane za godne i odpowiednie zajęcie dla dobrze urodzonych panien. Rodzice więc cieszyli się z jej wyboru. Przedtem zaofiarowali się, że zapewnią jej środki na studia medyczne, gdyby wolała zostać lekarzem, i poczuli ulgę, gdy odmówiła.

Miała duże powodzenie jeszcze na praktyce, gdy jako uczennica przychodziła na zajęcia do szpitala. Nie nosiła okularów, nie była ani niezgrabna, ani agresywna, nigdy się nie szczyciła swoją inteligencją. I gdy była w szkole z internatem, i w domu prowadziła ożywione życie towarzyskie, choć nigdy nie przywiązywała się do jednego, wybranego chłopca. To samo było podczas czterech lat studiów pielęgniarstwa: chodziła na wszystkie dancingi, nigdy nie pietruszkowała ani nie podpierała ścian, spotykała się na kawie u Repina z różnymi młodymi ludźmi, chodziła z nimi do kina. Nie chciała się jednak poważnie zaangażować. Pielęgniarstwo interesowało ją bardziej.

Po ukończeniu studiów dostała pracę w szpitalu imienia Księcia Alfreda i tam właśnie spotkała swego przyszłego kochanka, owego specjalistę

chorób skórnych, który został świeżo zaangażowany w charakterze konsultanta. Zbliżyła ich do siebie zgodność poglądów i usposobień. Doktorowi spodobało się w Helen szczególnie to, że zawsze miała na końcu języka właściwą odpowiedź. Oczywiście od razu dostrzegła, że się nią interesuje, ale dopiero po dłuższym czasie zorientowała się, że pociąga go jako kobieta. A gdy to w końcu zrozumiała, była już w nim po uszy zakochana.

Od nieżonatego przyjaciela, adwokata, pan doktor wypożyczył mieszkanie, znajdujące się w jednym z wieżowców przy końcu ulicy

57

Elizabeth, i poprosił Helen, by się tam właśnie spotykali. Zgodziła się, choć dobrze wiedziała, w co się pakuje. Jej przyjaciel był bowiem człowiekiem otwartym, co uważała za cudowną zaletę, i nie omieszkął powiedzieć jej w sposób bezpośredni i szczery, wdając się nawet w bolesne szczegóły, że nie ma mowy, by mógł się kiedykolwiek rozwieść i ożenić z Helen. Zapewnił jednak, że ją kocha i rozpaczliwie pragnie, by została jego kochanką.

Zostawszy kochankami oparli swoje stosunki na bezwzględnej wzajemnej szczerości i w równie szczery sposób przestali być kochankami dwanaście miesięcy później. W czasie gdy ich romans jeszcze trwał, nie spotykali się zbyt często. Było to możliwe tylko wtedy, gdy pan doktor mógł znaleźć jakieś dobre wytłumaczenie dla swojej żony, co wcale nie było łatwe.

Specjaliści chorób skórnych nie miewają nagłych wezwań do chorych, tak jak chirurdzy czy położnicy. Jak to jej przyjaciel dowcipnie obrazował, jeszcze się nie zdarzyło, by jakiegoś specjalistę chorób skórnych wyciągnięto z łóżka o trzeciej nad ranem do pacjenta z trądzikiem. Ona też

nie mogła zwalniać się na zawołanie. Była wtedy młodszą pielęgniarką, i nie miała prawa do żadnych specjalnych względów przy układaniu listy dyżurów. Nie udawało im się więc spotykać częściej niż raz na tydzień, a bywało, że tylko raz na trzy lub cztery tygodnie.

Z początku myślała, że jest nie żoną, lecz kochanką, wydawała się Helen podniecająca. Żona to coś swojskiego i bezpiecznego, a do kochanki przylgnęła opinia osoby niezwyklej i tajemniczej. Niestety rzeczywistość okazała się inna. Ich spotkania były ukradkowe i krótkie. Denerwowało ją, że sam akt miłosny zabierał więcej czasu ich spotkań niż inne, intelektualne formy kontaktu. Co nieznaczy, że nie lubiła uprawiać miłości lub potępiała ją jako coś poniżającego. Była inteligentna i pojętna. Szybko się nauczyła sztuki miłosnej i wiedziała, jak zmienić lub przystosować zdobytą wiedzę, by zadowolić seksualnie partnera, a przy okazji także siebie. Otrzymywała od niego małe wskazówki, które miały jej pomóc dotrzeć do samej istoty jego potrzeb seksualnych, ale nie mogła ich ze skutkiem spożytkować, gdyż nigdy nie było na to czasu.

I tak pewnego dnia zmęczył się nią. Od razu jej o tym powiedział, niczego nie owijając w bawełnę i nie tłumacząc się. A że Helen miała spokojne usposobienie i dobre maniery, nie wypadało jej nic innego, jak pogodzić się z odprawą. Włożyła kapelusz, i rękawiczki i wyszła z jego życia... Okazał się w końcu kimś obcym, kimś, kto czuł inaczej niż ona.

58

Bardzo ją to wtedy bolało. A najwięcej to, że nie rozumiała, dlaczego on ten romans zaczął i dlaczego postanowił go zakończyć. Czasem, gdy była w dobrej formie, snuła optymistyczne domysły, wyobrażała sobie, że ich romans skończył się dlatego, iż jemu za bardzo na niej zależało i nie mógł

znieść myśli, że łączy ich jedynie przelotna miłostka. Kiedy była bardziej szczerą wobec siebie, przyznawała, że prawdziwym powodem rozstania było to, iż ich stosunek stał się połączeniem dyskomfortu ze straszliwą jednostajnością. Dostrzegała jeszcze jedną przyczynę zakończenia romansu: jej stosunek do niego także się zmienił. Zaczęła odczuwać do niego niechęć, którą coraz trudniej jej było ukryć. W pewnym momencie uświadomiła sobie bowiem, że doktorkowi nie robi chyba większej różnicy, czy ma w łóżku ją czy kogoś innego. Być może potrafiłaby sprawić, by kochanek był nią oczarowany i bez reszty oddany, ale musiałaby poświęcić mu cały swój czas i energię. Tak przypuszczalnie zachowywała się jego żona.

Nie uważała jednak, by miało jakikolwiek sens aż takie zabieganie o niego.

Miała inne cele w życiu niż sprawianie przyjemności człowiekowi tak egocentrycznemu i samolubnemu. Zapewne ogromna większość kobiet pragnęłaby przeżyć życie w ten sposób - ale nie Helen. Nie dlatego, że nie lubiła mężczyzn, wcale nie. Po prostu czuła, że byłoby błędem poświęcić życie jednemu mężczyźnie, nawet jeśli miałby zostać jej mężem.

Była pielęgniarką. Ta praca dawała jej radość i satysfakcję, jakiej, szczerze mówiąc, nigdy nie zaznała w miłości. Helen naprawdę bardzo lubiła pielęgnować. Cieszyło ją, że tyle się wokół niej dzieje, że zawsze ma dużo do zrobienia, że wciąż widzi nowe twarze... Życie w szpitalu stawiało przed nią wciąż nowe, absorbujące problemy. Jej przyjaciele, a miała paru dobrych przyjaciół, tylko patrzyli po sobie i współczująco kiwali głowami: "Biedna Helen, widać na dobre połknęła bakcyła pielęgniarstwa".

I rzeczywiście, nie było co do tego wątpliwości.

Niewykluczone, że z czasem miałyby jeszcze inne przygody miłosne i może któraś z nich byłaby dostatecznie poważna, by zmienić jej pogląd na małżeństwo. Ale przeszkodziła w tym wojna. W wieku dwudziestu pięciu lat była jedną z pierwszych pielęgniarek, które na ochotnika zgłosiły się do wojska. Od momentu wstąpienia do wojska i wtopienia się w jego życie nie miała już czasu na myślenie o sobie. Pracowała w wielu polowych szpitalach w północnej Afryce, na Nowej Gwinei i na Wyspach na

59

Pacyfiku. W jej życiu nie było już śladu dawnej jednostajności. Ach, jakie życie miała teraz! Może był to i kierat, bo wymagano od niej bardzo dużo pracy, ale wszystko było takie fascynujące, takie inne. Nic nie mogło się z tym równać, ani w przeszłości, ani - obawiała się - w przyszłości.

Pielęgniarki w czynnej służbie wojennej stanowiły bardzo szczególną grupę kobiet, a Helen Langtry należała do niej sercem i duszą.

Niemniej wojenne lata kosztowały ją też wiele cierpień. Fizycznie zniosła je lepiej niż większość dziewczyn, była bowiem wytrzymała i rozsądna.

Także psychicznie przeżyła je lepiej od innych. Ale gdy pojawiła się szansa na pracę w bazie 15, wciąż w wojsku, ale już nie na pierwszej linii, powitała ją z westchnieniem ulgi. Początkowo chciano ją wysłać z powrotem do Australii, ale się zwycięsko obroniła. Była przekonana, że z tak dużym doświadczeniem i stosunkowo dobrym zdrowiem będzie tu mogła pracować dla kraju z większym pożytkiem niż w Sydney czy Melbourne.

Gdy sześć miesięcy temu sytuacja w szpitalu zaczęła się poprawiać i praca nie była już tak gorączkowa, Helen miała czas, aby pomyśleć o sobie i zastanowić się, co chciałyby dalej robić. Czy będzie jej teraz odpowiadała

praca w jakimś cywilnym szpitalu? I czy pielęgnowanie chorych jest naprawdę wszystkim, czego chce od życia? Złapała się na tym, że rozmyśla także o sprawach bardziej osobistych, a nawet o intymnym życiu uczuciowym, a więc o problemach, których praca nie może rozwiązać. Gdyby nie rozczarowanie, jakie jej sprawił Lucjusz Daggett, może nie przyjmowałaby tak ochoczo awansów Neila. Gdy przyjęto na oddział Lucjusza, Neil przeżywał właśnie najgorszy okres załamania psychicznego. Helen widziała w nim wtedy wyłącznie cierpiącego pacjenta. Natomiast Lucjusz zrobił na niej ogromne wrażenie, choć nadal nie potrafiła wyjaśnić, na czym ono polegało. Wmaszerował na oddział w tak świetnej formie, w pełni władz umysłowych, pewny siebie, panujący zarówno nad sobą, jak i nad sytuacją, w jakiej się znalazł, że na jego widok dosłownie zabrakło jej tchu. Przez dwa dni była nim zafascynowana, podobał jej się i pociągał ją, dzięki niemu poczuła się tak, jak nie czuła się od lat: poczuła, że jest ładną i mogącą się podobać kobietą. Ale Lucjusz nie potrafił długo utrzymać się w tej roli i bardzo szybko sam zabił w niej uczucie, które wzbudził. Straciła cały sentyment dla niego obserwując, jak znęca się nad młodziutkim, nieszczęśliwym żołnierzem, który przebywał wówczas na oddziale, ponieważ będąc w jednostce usiłował popełnić samobójstwo.

60

Gdy odkryła, że Lucjusz to raczej ołów niż złoto, tak się tym przejęła, że była nieomal gotowa zrezygnować z pracy i swego pielęgniarskiego powołania. Jej reakcja była głupia i przesadna. Sama potem doszła do tego przekonania. Ale wtedy, gdy ją ten cios spotkał, ogromnie cierpiała. Na szczęście Lucjusz nigdy się nie dowiedział, że wywarł na niej tak wielkie

wrażenie. Był to chyba jeden z nielicznych wypadków w jego życiu, gdy nie kierował się wyłącznie chęcią zysku. Był oszołomiony: oddział X był czymś zupełnie nowym dla niego, dokoła były same obce twarze, i Lucjusz o jeden dzień za długo zwlekał z uczynieniem ruchu, który mógłby utrwalić jego stosunki z siostrą Langtry. Gdy się w końcu zdecydował na próbę podbicia jej serca, angażując cały swój wdzięk, odrzuciła go w dość bezceremonialny sposób, wcale się nie zastanawiając, czy jest słaby i kruchy czy nie.

Niemniej ta pomyłka zapoczątkowała zmianę w jej postępowaniu. Być może spowodowała to świadomość, że jeszcze trochę, a wojna się zwycięsko skończy i niezwykle tryb życia, jaki dotąd wiodła, ulegnie zmianie. A może to Lucjusz odegrał rolę księcia z bajki i zbudził siostrę Langtry ze snu, w którym sama się pograżyła? W każdym razie od tej chwili zaczęła odsuwać od siebie myśl o całkowitym poświęceniu się obowiązkom związanym z pracą.

Gdy więc Neil Parkinson wyszedł już z depresji i okazał jej zainteresowanie, Helen dostrzegła w nim atrakcyjnego człowieka i pociągającego mężczyznę. Jej niezłomne postanowienie, by trwać przy swej życiowej misji, którą widziała w pielęgniarstwie, zaczęło się chwiać. Początkowo tylko go lubiła, ale potem szczerze pokochała. Neil nie był samolubem ani egotystą. Podziwiał ją, ufał jej i bardzo ją kochał. To, że czeka ich po wojnie wspólne życie, uważała za wielkie szczęście, i im ta perspektywa stawała się bliższa, tym bardziej ją cieszyła.

Równocześnie jednak z żelazną samodyscypliną nie pozwalała sobie na żadne intymne myśli związane z Neilem. Nie próbowała przyglądać się jego ustom i dłoniom, nie chciała wyobrazić sobie, że się całują czy że się

ze sobą kochają. Bała się, że gdy sobie na to pozwoli, to się naprawdę zdarzy. A byłaby to jej zdaniem katastrofa. Baza 15 to nieodpowiednie miejsce na narodziny związku, który, miała taką nadzieję, będzie trwał przez całe życie. Wiedziała, że Neil myśli podobnie, inaczej doszłoby już między nimi do zbliżenia. To było nawet przyjemne, że mogła balansować na linii uczuć, ignorować owe z całą surowością zduszone w sobie

61

pragnienia, pożądania i chęci i udawać, że wcale nie widzi, jak Neila ponosi namiętność.

Nagle ocknęła się i patrząc na zegarek stwierdziła, że jest już kwadrans po dziewiątej. Jeśli zaraz nie zjawi się na oddziale, gotowi pomyśleć, że nie przyjdzie wcale.

Rozdział Ósmy.

Siostra Langtry opuściła biuro i idąc krótkim korytarzem w dół, weszła na salę chorych. Nie przeczuwała w tym momencie, że delikatna równowaga panująca na oddziale X zaczyna się już chwiać.

Spoza parawanów stojących naprzeciw łóżka Michaela dochodził cichy szmer rozmowy. Siostra wśliznęła się pomiędzy dwa parawany i już była przy refektarzowym stole. Neil siedział na ławie najbliższej jej fotela, obok niego Matt; Ben i Nugget usadowili się naprzeciw, zostawiając jednak puste jedno miejsce tuż obok jej fotela. Spokojnie zajęła swoje miejsce u szczytu stołu i spojrzawszy po obecnych stwierdziła, że jest ich tylko czterech.

- A gdzie Michael? - spytała i poczuła, że ogarnia ją lekka panika. Czyżby zawiódł ją znowu jej osąd? Jak mogła być na tyle głupia, by założyć, że jest normalny i że z jego strony nie grożą żadne niespodzianki. Wojna już

się wprawdzie skończyła, ale oddział X nie został jeszcze rozwiązany. Kiedyś nigdy by nie zostawiła nowo przyjętego pacjenta tak długo bez opieki, szczególnie w czasie jego pierwszych godzin na oddziale. Czyżby Michael przyniósł jej pecha? Naprzód zostawiła bez opieki jego dokumenty, a teraz okazuje się, że jego samego też nie umiała dopilnować. Chyba zbladła, gdyż wszyscy czterej mężczyźni popatrzyli na nią z niepokojem. Musiała się także zdradzić głosem, bo Matt również coś zauważył.

- Mike jest w świetlicy i robi nam herbatę. - Mówiąc to, Neil wyciągnął papierośnicę i częstował kolegów papierosami. Wiedziała, że nie popełni takiej gafy, by zaoferować jej papierosa tutaj, poza czterema ścianami jej biura.

62

- Nasz "nowy" lubi być użyteczny - powiedział Neil, służąc kolegom ogniem swojej zapalniczki. - Po kolacji zebrał i wyniósł brudne naczynia, pomógł ordynansowi zmywać, a teraz robi herbatę.

Poczuła, że ma zupełnie suche wargi, ale nie miała odwagi zwilżyć ich językiem. Bała się, że ten ruch zdradzi, iż dziś zachowuje się inaczej niż zwykle. - A gdzie jest Lucjusz? - spytała.

Matt cicho się zaśmiał. - Chodzi na nocne wycieczki, jak kocur.

- Mam nadzieję, że nie będzie go przez całą noc - dodał Ben, krzywiąc usta.

- A ja mam nadzieję, że będzie, inaczej czekają go duże nieprzyjemności - powiedziała siostra i ośmieliła się przełknąć ślinę.

Michael przyniósł herbatę w wielkim starym czajniku, który pamiętał lepsze czasy; teraz w miejscach, gdzie odpadła emalia, rdzewiał i brzydko

się wyszczerbił. Postawił czajnik przed siostrą i wrócił do świetlicy po deskę, która służyła im za tacę. Było na niej sześć szczerbatych emaliowanych kubków, jedna wykrzywiona łyżeczka do herbaty, stara puszka po sproszkowanym mleku, w której trzymali cukier, i zniszczony dzbanek cynowy, napełniony skondensowanym mlekiem rozcieńczonym wodą. Na tej samej desce znajdowała się także elegancka aynsleyowska porcelanowa filiżanka z podstawką, obie ręcznie malowane i złocone, a obok pięknie grawerowana srebrna łyżeczka.

Helen z rozbawieniem zauważyła, że Michael usiadł naprzeciw Neila z jej końca stołu, tak jakby mu nie przyszło do głowy, że może to miejsce rezerwują dla Lucjusza. Dobrze! To świetnie zrobi Lucjuszowi, kiedy się przekona, że nie tak łatwo zaskarbić sobie uznanie nowego pacjenta. Z jakiej racji miałby Lucjusz Michaela straszyć czy szykanować? Michael był zdrowy. Nie cierpiał na lęki czy zaburzenia percepcji jak inni pacjenci oddziału X, gdy ich przyjmowano do szpitala. Nie miała wątpliwości, że dla niego Lucjusz był raczej śmieszny niż przerażający. "Ale jeśli używam Michaela jako miernika normalności, to znaczy, że sama jestem trochę nienormalna. Mnie Lucjusz bardzo niepokoi. Niepokoi od dnia, w którym przeszło mi odurzenie nim, minęła fascynacja i odkryłam, że jest psychopatą, moralnym imbecylem. Boję się go, bo potrafił mnie oszukać. Byłam bliska zakochania się w nim. Z radością witałam w nim objawy normalności, tak jak teraz cieszą mnie objawy, które wydają mi się normalne u Michaela. Czyżbym i tu się myliła?"

63

- Kubki są zapewne dla nas, a filiżanka z podstawką dla siostry, chyba dobrze odgadłem? - spytał Michael.

Uśmiechnęła się. - Tak! Filiżanka jest moja. Dostałam ją w prezencie urodzinowym.

- A kiedy siostra obchodzi urodziny?

- W listopadzie.

- A więc najbliższe urodziny będzie już siostra obchodziła w domu.

Ciekaw jestem, ile lat siostra skończy.

Neil zeszywniał. To samo Matt. Nugget patrzył przerażony, tylko Ben nie wykazał żadnego zainteresowania. Siostra wyglądała raczej na zaskoczoną niż obrażoną. Zanim zdążyła odpowiedzieć, odezwał się Neil:

- Nie twój interes, ile siostra ma lat!

Michael zamrugął oczami. - A czy to nie ona powinna zwrócić mi uwagę, kolego? Nie jest chyba taka stara, by jej wiek miał stanowić tajemnicę państwową.

- "Ona" mówi się o kociej mamie, a to jest siostra Langtry. - Głos Matta drżał z oburzenia.

- Ile lat będzie siostra miała w listopadzie? - powtórzył Michael, nie dla przekory, ale dlatego, że oni wszyscy wydali mu się zbyt przeczulenii i chciał im zademonstrować swoją niezależność.

- Trzydzieści jeden - padła swobodna odpowiedź siostry.

- I nie jest siostra mężatką ani wdową?

- Nie! Jestem starą panną.

Zaśmiał się, potrząsając głową. - Nie! Nie wygląda siostra na starą pannę.

Atmosfera zageściła się. Wszystkich zezłościła jego arogancja i fakt, że siostra ją toleruje. - Mam puszkę herbatników w biurze - odezwała się nagle i dodała: - Kto pójdzie po nią na ochotnika?

Pierwszy podniósł się Michael. - Z przyjemnością pójdę po nią, proszę mi

tylko powiedzieć, gdzie leży.

- Szukaj na półce pod książkami. To jest puszka po glukozie, i na pokrywce ma nalepkę z napisem: "Herbatniki". Jaką herbatę pijesz?

- Czarną i dwie łyżeczki cukru! Dziękuję, siostro! Wszedł, a przy stole zapanowało całkowite milczenie. Siostra nalewała herbatę, a mężczyźni dmuchali dymem z papierosów, jakby chcieli znaleźć ujście dla swojej złości.

Michael wrócił z puszką w ręce. Zanim usiadł, obszedł stół i każdego częstował herbatnikami. Brali przeważnie po cztery, więc gdy doszedł do

64
Matta, sam wyjął cztery herbatniki z puszki i włożył je delikatnie pod jedną z jego dłoni, leżących nieruchomo na stole. Potem przysunął dzbanek z herbatą tak blisko Matta, by mógł go namacać, czując jego ciepło. W końcu usiadł przy siostrze Langtry, uśmiechając się do niej z nieukrywaną sympatią i zaufaniem. Jego uśmiech wydał jej się niezwykle wzruszający i wcale jej nie przypominał Lucjusza.

Pozostali siedzieli milcząc, czujni i zamknięci w sobie. Helen nie zwracała na nich uwagi. Była zajęta Michaeliem. Odwzajemniła mu uśmiech i myślała o tym, że jest taki miły, tak odświeżająco spokojny, bez tego ogromnego bagażu lęków, które dręczyły tamtych pacjentów i które sami wywoływali. Nie miał w sobie ani śladu ich niepewności. Nie wyobrażała też sobie, że Michael mógłby kiedykolwiek wykorzystać ją do swoich własnych emocjonalnych potrzeb, tak jak to robili tamci.

Nagle Nugget wydał głośny jęk, złapał się za brzuch i odsunął ze złością swoją herbatę. - O Boże, znowu mnie boli. Ooooooch! Siostro, czuję się tak, jakbym znowu miał wgłębienie jelita czy zapalenie uchyłków.

- Tym lepiej! Będzie więcej dla nas! - powiedział Neil nie okazując żadnego współczucia. Wziął od Nuggeta herbatę, wlał ją do własnego, już pustego kubka, potem sięgnął po cztery herbatniki i podzielił je między wszystkich tak zgrabnie, jakby rozdawał karty.

- Ale siostrze, mnie naprawdę boli - pojękiwał Nugget.

- Gdybyś nie leżał cały dzień na łóżku i nie czytał tych medycznych podręczników, to na pewno czułbyś się lepiej - zawyrokował Ben z potępieniem w głosie. - To bardzo niezdrowo - dodał. Rozejrzał się dokoła z miną, jakby mu coś przeszkadzało. - Tu jest kiepskie powietrze! - oznajmił, wstał i poszedł w stronę werandy.

Nugget znowu zaczął jęczeć i aż zgiął się wpół.

- Ach ty mój biedaku!... - uspokajała go siostra. - Może byś przeszedł się do mego biura i zczekał tam na mnie. Przyjdę, jak tylko będę mogła. A jeśli chcesz, to możesz tymczasem zmierzyć sobie puls i policzyć oddechy. Dobrze?

Nugget skwapliwie wstał i ściskając brzuch, jakby wszystko miało z niego wypaść, uśmiechnął się triumfująco do kolegów. - Widzicie? Siostra wie, że ja nie udaję. To moje colitis znowu daje o sobie znać. Jestem tego pewien. - I pośpiesznie udał się w głąb oddziału.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego, siostrze - przejął się Michael. On naprawdę wygląda na chorego.

65

- Aha! - ironicznie skomentował Neil.

- Nic mu nie jest - wyjaśniła siostra. Najwyraźniej nie brała sobie do serca utyskiwań Nuggeta.

- To nie ciało, ale dusza Nuggeta jest chora - nieoczekiwanie wtrącił Matt.

- Ten mały głuptas po prostu tęskni za matką. Przebywa u nas tylko dlatego, że oddział X jest jedynym miejscem, gdzie chcą go trzymać. My zaś tolerujemy go jedynie ze względu na siostrę Langtry. Ale gdyby ci na górze mieli choć trochę rozumu, to by go wysłali do domu, do mamy, już przed dwoma laty. Tymczasem trzymają go tutaj, a on dostaje bólów krzyża, głowy, jelit, serca i nie wiedzieć czego jeszcze i gnije tu jak my wszyscy.

- Gnicie też jest potrzebne w naturze - stwierdził melancholijnie Neil. "Oni tu się kłębią i kotłują jak wiatr i chmury przed burzą - pomyślała siostra, wędrując wzrokiem od jednej twarzy do drugiej. - Przed chwilą ich wzajemny układ znamionował pogodę, a już wszystko zaczyna się kłębić, kipieć i mamy burzę. Ale co tę burzę tym razem sprowokowało? Czyżby uwaga na temat gnicia?"

- Na szczęście jest z nami siostra Langtry, więc nic złego nam nie grozi - powiedział z nadzieją w głosie Michael. Neil zaśmiał się i tym razem zabrzmiało to bardziej naturalnie. "Może tym razem nie dojdzie do burzy" - pomyślała.

- Brawo! - zawołał Neil. - Nareszcie znalazł się w naszym gronie ktoś, kto zna się na galanterii wobec kobiet. Teraz twoja kolej, siostrze. Odparuj zręcznie komplement, jeśli możesz.

- Nie rozumiem, dlaczego miałabym to robić? Nie dostawałam za dużo komplementów...

Trochę to Neila zabolalo, ale nic nie dal po sobie poznać. Oparł się wygodnie o ławkę. - Ależ to kłamstwo - powiedział figlarnie - bezczelne kłamstwo. Przecież siostra dobrze wie, że ją zasypujemy komplementami. Ale jeśli już mamy kłamać, to może siostra nam powie, za jakie grzechy

gnuśniej tu razem z nami?

- Macie rację! Popeliłam okropny grzech: polubiłam oddział X. Gdyby nie to, żadna siła nie zmusiłaby mnie do pozostania tutaj.

Matt gwałtownie podniósł się z ławy, jakby coś stało się tu dla niego nagle nie do zniesienia. Pewnie, jakby widział, podszedł do końca stołu i lekko położył rękę na ramieniu siostry. - Jestem zmęczony, siostrzo, i chcę już powiedzieć wszystkim dobranoc. To dziwne,

66

ale dzisiejszej nocy budzi się we mnie wiara, że gdy jutro rano wstanę, to będę znowu widział.

Michael uniósł się, żeby mu pomóc przejść przez zaporę parawanów, ale Neil wyciągnął rękę przez stół i powstrzymał go.

- Nie, kolego, nie trzeba. On zna drogę jak nikt.

- Dolać ci herbaty, Michael? - spytała siostra.

Skinął głową i miał zamiar coś powiedzieć, gdy parawany znowu się poruszyły i spoza nich wyłonił się Lucjusz. Usiadł na ławce obok Neila, na miejscu, gdzie siedział Matt.

- Ach, jak ślicznie! - zawołał. - Przyszedłem w samą porę na herbatę.

- O wilku mowa... - westchnął Neil.

- A wilk tuż - dokończył Lucjusz. Założył ręce na kark, lekko pochylił się do tyłu i spod na wpół przymkniętych powiek obserwował tamtych. - Ach, jaka urocza z was grupka. Widzę, że pozbyliście się hołoty i została sama elita. Jeszcze nie ma dziesiątej, siostrzyczko, więc nie ma co patrzeć na zegarek! Pewnie się siostra martwi, że wróciłem na czas.

- Wcale nie - odpowiedziała spokojnie. - Byłam pewna, że wrócisz w porę. Nigdy ci się nie zdarzyło wrócić nawet minutę po dziesiątej, jeśli nie

miałeś przepustki. I jeśli o to chodzi, to jeszcze nigdy nie naruszyłeś regulaminu.

- Dobrze! Tylko czemu siostra mówi o tym takim smutnym tonem? Odnoszę wrażenie, że nic nie sprawiłoby siostrze większej przyjemności, jak donieść na mnie pułkownikowi "Ważnemu".

- Mylisz się! Wcale by mi to nie sprawiło przyjemności. W tym właśnie sęk, przyjacielu. Cholernie ciężko pracujesz na to, by ludzie myśleli o tobie jak najgorzej. I nie zaznasz spokoju, póki ich nie zmusisz, by tak o tobie myśleli.

Lucjusz westchnął, pochylił się, oparł łokcie o stół, a brodę na rękach. Jego gęste, kręcone, złocistorude włosy, odrobinę za długie, opadły teraz do przodu, przykrywając brwi. "Jaką on ma nieskazitelną urodę - pomyślała siostra Langtry i równocześnie poczuła do niego silną niechęć. - Jest doskonały aż do przesady. Wyjątkowo trudno zaakceptować jego koloryt". Siostra podejrzewała, że Lucjusz przyciemnia sobie brwi i rzęsy. A może tylko depilował brwi i stosował coś, co miało wzmocnić rzęsy. Nie wynikało to z seksualnej dewiacji, tylko z czystej próżności. Miał oczy o złocistym połysku, bardzo duże i ładnie rozmieszczone pod łukami nienaturalnie ciemnych brwi. Nos prosty i cienki jak klinga,

67

z dumnie rozdętymi nozdrzami. Kości policzkowe, niby wysokie konstrukcje, podtrzymywały opięte na nich mięśnie twarzy. Usta zbyt zacięte, by można je nazwać pełnymi, nie były jednak wcale wąskie i miały ładnie zarysowane kontury, takie, jakie się widzi jedynie na rzeźbach.

"Nic dziwnego, że gdy go zobaczyłam po raz pierwszy, jego uroda

powaliła mnie na obie łopatki. A jednak nie pociąga mnie już ani ta twarz, ani wspaniały wzrost tego mężczyzny, ani jego piękne ciało. W każdym razie to się nawet nie umywa do tego, co czuję do Neila, a nawet do Michaela". - Snując te rozważania, siostra Langtry doszła do wniosku, że z Lucjuszem jest coś nie w porządku, coś jest nie tak z jego wnętrzem... nie jest to słabość ani skaza, ale coś zasadniczego, co stanowi o nim całym, coś wrodzonego, zatem nie do usunięcia...

Przez chwilę patrzyła na Neila. W każdym towarzystwie Neil uchodziłby za przystojnego mężczyznę. Był podobny do Lucjusza, choć nie miał jego spektakularnego kolorytu. Większości przystojnych mężczyzn parę zmarszczek na twarzy zwykle dodaje urody. Tak było właśnie z Neilem. Ale gdyby takie zmarszczki pojawiły się na twarzy Lucjusza, z Pięknego zamieniłyby go w Bestię. Świadczyłyby o hulaszczym życiu, nie o doświadczeniu, o drażliwym usposobieniu raczej niż o cierpieniu. Lucjusz najprawdopodobniej roztyje się z czasem, Neil na pewno nie. U Neila najbardziej jej się podobały żywe, niebieskie oczy obramowane jasnymi rzęsami, a także brwi. Miał urocze brwi. Chciałoby się je bez końca głaskać koniuszkiem palca.

Natomiast Michael był całkiem inny. Typem urody przypominał Rzymianina, i to w najlepszym stylu. Więcej w nim było charakteru niż piękna, więcej siły niż pobłażliwości dla własnych słabostek. Miał w sobie coś z Cezara, coś, co wskazywało, że bardzo długo musiał troszczyć się o innych i o siebie, że przeszedł niebo i piekło, ale nigdy nie przestał być prawdziwym mężczyzną i wciąż jest panem samego siebie. Nie miała wątpliwości, że Michael jest niezwykle atrakcyjnym mężczyzną.

Czuła, że Lucjusz ją obserwuje. Odpowiedziała mu spojrzeniem pełnym

chłodu i rezerwy. Odniosła nad nim zwycięstwo i miała tego świadomość. Lucjusz nigdy się nie dowiedział i nie dowie, dlaczego jego czar na nią nie podziałał. Nie miała zamiaru powiedzieć mu ani o dużym wrażeniu, jakie na niej wywarł na początku, ani dlaczego się z niego tak szybko otrząsnęła.

68

Tej nocy jego umiejętność samokontroli jakby go trochę zawiodła. Nie chodzi o to, że stał się nagle bardziej uczuciowy, ale chciał się takim wydać.

- Spotkałem dziś wieczór dziewczynę z moich rodzinnych stron

- oznajmił, wciąż jeszcze z brodą opartą na dłoniach. - To wprost nie do wiary! Wyobraźcie sobie tę ogromną przestrzeń dzielącą mój grajdołek od bazy numer 15. I ona mnie poznała. Na szczęście! Bo ja jej wcale nie pamiętałem. - Nagle opuścił ręce i jego głos zabrzmiał jak wysoki, lekko zdyszany głos dziewczęcy. Tak przekonywająco odegrał przed nimi to spotkanie, iż siostra Langtry miała wrażenie, że fizycznie w nim uczestniczy.

- Twoja mama prała dla nas bieliznę - mówił dyszkantem - a ty zawsze odnosiłeś ją nam w koszu. Nie pamiętasz? Mój ojciec był dyrektorem banku. - W tym momencie jego głos znowu się zmienił i teraz był głosem Lucjusza, przemawiającego pewnym siebie, szyderczym tonem. - Stanowisko twego tatusia musiało mu przysporzyć wielu przyjaciół w okresie kryzysu, gdy wszyscy dokoła tracili oszczędności. Całe szczęście, że moja mama nie miała co stracić, bo nie posiadała żadnych oszczędności.

- Jesteś okrutny - szepnęła i wyglądała tak, jakby miała się zaraz

rozpłakać.

- Wcale nie - stwierdziłem, i była to absolutna prawda.

- Nie miej mi tego za złe - wykrztusiła, a jej wielkie czarne oczy były pełne łez.

- Jakże mógłbym mieć coś przeciwko takiej ładnej dziewczynie jak ty.

- W tym momencie Lucjusz uśmiechnął się błyskawicznym jak cięcie brzytwą i bezwstydnym uśmiechem. - To nie była prawda - wyjaśnił

- bo mam takie jedno coś, co chętnie skierowałbym przeciw niej... Siostra

Langtry siedziała teraz tak jak on przedtem, z łokciami

opartymi na stole i brodą w dłoniach. Zafascynowana patrzyła, jak Lucjusz przybiera coraz to inne miny i pozy, po aktorsku odgrywając swoją przygodę.

- Tyle w tym goryczy, Lucjuszu - powiedziała siostra. - To było chyba strasznie przykre dla ciebie, że musiałeś odnosić bieliznę dyrektorowi banku...

Wzruszył ramionami, próbując bezskutecznie udawać, że ma to wszystko w nosie. - Tak! - przyznał. - Ale wiele jest przykrych rzeczy. - Miał teraz rozszerzone i błyszczące oczy. - Mówiąc prawdę, odnoszenie bielizny dyrektorowi banku, lekarzowi, kierownikowi szkoły, anglikańskiemu

69

księdzu czy też dentyście ani w połowie tak nie bolało jak to, że nie miałem butów... nie miałem w czym pójść do szkoły! A ta dziewczyna chodziła do tej samej szkoły co ja. Przypomniałem to sobie od razu, gdy mi powiedziała, kim jest. Nawet pamiętam, w jakich bucikach chodziła do szkoły: to były małe czarne lakierki a la Shirley Temple, zapinane na pasek i z jedwabną kokardką. Moje siostry były ładniejsze od wszystkich

dziewczyn w miasteczku, także od niej, ale chodziły bez butów, bo nie miały żadnych.

- Czy nie przyszło ci nigdy na myśl, że czasem ci, co mieli buciki, zazdrościli wam swobody chodzenia bosą? - Siostra Langtry powiedziała to niezwykle serdecznym tonem, chciała bowiem koniecznie znaleźć coś, co pozwoliłoby mu spojrzeć na swoje dzieciństwo z lepszej strony. - Gdy byłam dzieckiem, chodziłam do miejscowej szkoły, dopiero potem wysłano mnie na pensję. Nosłam do szkoły buciki trochę podobne do tych, jakie miała córka dyrektora banku. Pamiętam, jak zazdrościłam pewnemu małemu urwisowi, który tańczył bosą na łące pełnej bodiaków i nawet się nie skrzywił. Ach! Jak bardzo wówczas pragnęłam móc zrzucić swoje buciki... - Bodiaki! - zawołał Lucjusz, uśmiechając się. - To dziwne, że zupełnie o nich zapomniałem. W moim grajdołku bodiaki miały kolce na półtora centymetra, a ja wyciągałem je ze stóp, nie czując ani trochę bólu.

- Usiadł teraz prosto i patrzył na nią błyszczącymi oczami. - Ale w zimie, moja droga, wykształcona, dobrze odżywiona i ubrana siostrze Langtry, w zimie moje pięty, stopy z tyłu i z boków pękały aż po golenie.

- Słowo "pękały" wymówił tak dramatycznie, że zabrzmiało jak strzał z karabinu. - Tak, siostrze, pękały i krwawiły - słowo "krwawiły" wymówił przeciągle, jakby chciał zobrazować lejącą się krew - z zimna. Z zimna, siostrze Langtry! Czy siostra kiedykolwiek cierpiała z powodu zimna?

- Tak - odpowiedziała. Czowała się upokorzona i także trochę zła, że mówił do niej takim tonem. - Było mi zimno na pustyni. Byłam głodna i cierpiałam z pragnienia. A w dżungli było mi gorąco, chorowałam, nie

byłam w stanie zatrzymać w sobie ani płynów, ani stałych pokarmów. Ale spełniłam swój obowiązek i nie skarzę się. Nie jestem jakimś bezdusznym tworem i bardzo mnie wzruszyły twoje przejścia w dzieciństwie.

Przepraszam, jeśli użyłam niewłaściwych słów. Powiedziałam je w najlepszej intencji.

- Siostra się lituje nade mną, a ja nie chcę niczyjej litości! - krzyknął. W jego głosie był ból i nienawiść.

70

- Źle mnie zrozumiałeś. Wcale nie lituję się nad tobą. Dlaczego, na miłość boską, miałabym się litować? Nie ma znaczenia, skąd przybyłeś, ważne, dokąd zmierzasz.

Tymczasem Lucjuszowi znowu odmienił się nastrój. Odrzucił smutek i przestał obnażać swoje cierpienia. Był teraz ożywiony, chłodny i rozmowny. - Ale jedno jest pewne, że tuż przed wojną, zanim mnie wzięli do wojska, nosiłem najlepsze buty, jakie można kupić za pieniądze. Przeniosłem się do Sydney i zostałem aktorem. Takim aktorem, że niech się schowa Laurence Olivier...

- Jakiego nazwiska używałeś na scenie?

- Sheringham! Lucjusz Sheringham! - wymówił z wielkim namaszczeniem, przeciągając zgłoski. - Dopiero po jakimś czasie zrozumiałem, że to nazwisko jest za długie do neonowych reklam. Zmieniłem je wówczas na Lucjusz Ingham. Lucjusz to dobre imię na scenę i niezłe do radia, ale gdy pojedę do Hollywood, zamienię Lucjusza na coś lepiej brzmiącego, na przykład Rhett albo Tony. A gdy stanę się aktorem podobnym raczej do Colmana niż do Errolla Flynna, wtedy najlepsze będzie proste imię, na przykład John.

- A czemu nie zostaniesz przy Lucjuszu? Przecież też brzmi bardzo dobrze.
- Nie pasuje do Inghama - stwierdził stanowczo. - Gdybym chciał zostać Lucjuszem, to musiałbym wymienić Inghama. Ale czekajcie, to jest dobry pomysł! Na przykład Lucjusz Diabło! Brzmiałoby całkiem nieźle i dziewczyny by szalały.

- A Daggett nie jest dobre?

- Daggett? Też mi nazwisko! Brzmi jak barani zad! - Twarz mu się wykrzywiła, jakby sobie przypomniał jakiś dawno przytępiony ból. - Ach, żeby siostra wiedziała, jaki byłem dobry na scenie, choć może trochę za młody... Nie miałem dość czasu, żeby wyraźniej zaznaczyć swoją obecność w teatrze, a tymczasem król i ojczyzna powołali mnie do wojska. Gdy wrócę, mogę już być za stary... To straszne, że jakiś świński lizus, taki z wysokim ciśnieniem albo bogatym tatusiem, który go wykupi z wojska, będzie zamiast mnie występował w świetle reflektorów. To naprawdę niesprawiedliwe!

- Jeśli jesteś dobrym aktorem, to wiek nie ma znaczenia - powiedziała siostra. - Wrócisz na scenę. Na pewno się na tobie poznają. Ale dlaczego nie próbowałeś wstąpić do któregoś z teatrzyków wojennych? Tyle ich powstało...

71

Oburzył się. - Jestem poważnym aktorem, a nie jakimś rewiowym komediantem. Ci, którzy rekrutowali do tych teatrzyków, sami wyglądali jak ze starego wodewilu. Szukali tylko magików i grajków. Młodzi aktorzy nie mieli po co się zgłaszać.

- Mimo wszystko wierzę, że dostaniesz się na scenę. Na pewno ci się to uda. Jeśli ktoś pragnie czegoś tak silnie, jak ty pragniesz zostać sławnym

aktorem, to musi to osiągnąć.

Nagle doleciał ją przeraźliwy jęk. Z trudem oswobodziła się ze zwodniczego czaru, jakim omotał ją Lucjusz. Tak bardzo była pod wrażeniem jego uroku, że go niemal pokochała...

Jęk dochodził z okolic jej biura. To Nugget hałasował, w dodatku tak głośno, że mógł zbudzić Matta.

- Siostro! - wołał. - Bardzo źle się czuję...

Zerwała się z miejsca i z prawdziwym żalem spojrzała na Lucjusza. - Tak mi przykro, wierz mi, ale muszę teraz pójść do niego, inaczej wszyscy będziemy mieli noc z głowy.

Była już w połowie drogi, gdy krzyknął za nią: - Nieważne, siostro!

Przecież mnie nic nie boli...

Na jego twarzy pojawił się grymas goryczy i frustracji. Ta wspaniała, krótka chwila, gdy mógł cieszyć się czyjąś aprobatą i wspominać światła rampy, minęła. Przerwał ją jęk rozdrażnionego chłopca dopraszającego się mamy. I mama, jak to robią wszystkie mamy zawsze i wszędzie, natychmiast pobiegła z pomocą, bo uważała, że jest mu potrzebna. Lucjusz wpatrywał się w swój kubek z herbatą. Herbata już wystygła i na powierzchni pojawiła się brzydka plama stężałego mleka. Rozgoryczony, uniósł kubek i bardzo powoli, z rozmysłem, wylał całą jego zawartość na stół. Płyn szeroko rozlał się po stole. Neil zerwał się raptownie, chcąc uciec przed główną strugą spływającej z blatu herbaty, która obryzgiwała mu spodnie. Michael szybko odsunął się w drugą stronę. Tylko Lucjusz pozostał na miejscu, nie martwiąc się o los swego ubrania. Obserwował, jak płyn rozlewa się wzdłuż krawędzi stołu i skapuje na podłogę.

- Wytrzymaj to, idioto - syknął przez zęby Neil. Lucjusz popatrzył mu prosto

w twarz i roześmiał się.

- Zmuś mnie! - wyrzucił z siebie, nadając tym dwóm słowom niezwykle obraźliwe brzmienie.

Neil zatrzęsł się cały, zeszywniał, zbladł, wykrzywił wargi i powiedział - Gdyby nie to, że jestem od ciebie wyższy rangą, sierżancie, z największą
72

przyjemnością zmusiłbym cię do wytarcia plamy i jeszcze wsadziłbym do niej twój nos. - Potem odwrócił się na pięcie i tylko czystym trafem znalazł przejście pomiędzy parawanami, wcale go nie szukając.

- A bodaj cię... - szyderczo wołał za nim Lucjusz. - Uciekaj, byle dalej!

Schowaj się za swoimi gwiazdkami, kapitanie! Nie masz za grosz odwagi!

Teraz, już rozluźniony, odwrócił głowę i zobaczył, że Michael energicznie wyciera stół szmatą. Patrzył na to przez chwilę, niezmiernie zdziwiony.

- Ach, ty głupi ośle! - powiedział w końcu.

Michael nie odpowiedział. Położył kapiącą szmatę i pusty kubek razem z innymi rzeczami na desce udającej tacę. Potem podniósł ją i wyniósł z pokoju. Lucjusz został sam przy stole. Wszystko w nim wygasło. Z całych sił walczył, aby się nie rozplakać, i z trudem mu się to udało.

Rozdział Dziewiąty.

Oddział X powstał w rok po założeniu szpitala bazy numer 15. Krótco po jego otwarciu siostra przełożona ułożyła listę dyżurów: do obsługi pacjentów oddziału przewidywała dwie pielęgniarki.

Pielęgniarka wyznaczona do pomocy siostrze Langtry była słabą i niezbyt sympatyczną dziewczyną. Szybko okazało się, że brak jej predyspozycji do zajmowania się tymi nietypowymi pacjentami. Pracowała tylko przez miesiąc, a potem zastąpiła ją gruba, pełna werwy i humoru siostra o

mentalności uczennicy, która śmiała się z byle czego i przy każdej okazji. Ta przetrwała zaledwie tydzień i zażądała przeniesienia na inny oddział. Wprawdzie jej osobiście nie przydarzyło się nic złego, ale potwornie się wystraszyła, kiedy w jej obecności siostra Langtry musiała się zmagać z pacjentem, który miał atak szału. Przełożona czuła się w obowiązku co jakiś czas przeproszać, że jeszcze nie przysłała nowej pielęgniarki. Obiecywała, że jak tylko uda jej się kogoś odpowiedniego dostać, zaraz go skieruje na oddział. Nigdy tego jednak nie zrobiła. Być może nie mogła nikogo znaleźć albo po prostu o tym zapomniała. Siostra Langtry nigdy się nie dowiedziała, jak było naprawdę.

73

Była zadowolona, że może pracować na oddziale sama. Chociaż kosztowało ją to wiele wysiłku i nie przespanych nocy, nigdy nie prosiła o przysłanie drugiej pielęgniarki. Wprawdzie nie mogła w tej sytuacji korzystać z wolnych dni, ale i tak nie bardzo by wiedziała, co tutaj z nimi robić. Nie było tu absolutnie dokąd pójść. Nie należała do tych, co lubią chodzić na przyjęcia, ani do tych, co lubią się opalać. A to były jedyne rozrywki, jakie baza 15 miała do zaoferowania. Siostra Langtry uważała, że bardziej ją interesuje towarzystwo pacjentów. Pracowała więc sama, na dwie zmiany, z przerwą obiadową. Po trzech nieudanych próbach znalezienia

drugiej pielęgniarki doszła do wniosku, że lepiej dla pacjentów, gdy mają do czynienia z jedną niż z dwiema kobietami, a także z jednym ośrodkiem dyspozycyjnym i jedną metodą leczenia. Doskonale zdawała sobie sprawę z wagi i zakresu swoich obowiązków. Stanowiła część aparatu wojny i wiedziała, że nie wolno jej myśleć o własnych interesach ani zbytnio

sobie

pobłażać. Rozumiała, że gdy ojczyzna jest w niebezpieczeństwie, musi dać z siebie wszystko i wykonywać swoją pracę najlepiej, jak potrafi.

Jeśli decydując się na samodzielne prowadzenie oddziału X w jakiś sposób umacniała swoją władzę, to nie było to z jej strony zamierzone. Była też całkowicie pewna swoich intencji, jeśli chodzi o stosunek do pacjentów.

Nigdy nie mogłaby postąpić wobec nich niewłaściwie. Co prawda, czasem zdarzało się, że nie rozumiała ich do końca. Dzieciństwo spędzone w luksusowych warunkach sprawiło, że ani sercem, ani umysłem nie była w stanie pojąć, jak bardzo może nędza doskwierać człowiekowi, choćby takiemu jak Lucjusz Daggett. Podobnie brak doświadczenia nie pozwolił jej dostrzec wielu prawnych problemów, jakie normują stosunki pomiędzy pielęgniarką a pacjentami na oddziale. Uważała, że dobrze robi zwalniając fachowo wyszkoloną pielęgniarkę i przekazując ją do służby gdzie indziej. Gdy kazano jej wziąć urlop na miesiąc, przekazała oddział zastępczyni i wyjechała bez bólu. Po powrocie zastała na oddziale prawie same nowe twarze, ale podjęła pracę w miejscu, w którym ją opuściła...

Dzień pracy rozpoczynała o świcie albo i wcześniej. W tej szerokości geograficznej długość dnia zależała od pory roku - i siostrze Langtry bardzo to odpowiadało. Zjawiała się na oddziale już o wschodzie słońca, znacznie wcześniej niż pomoce kuchenne, do których należało przygotowanie śniadania. Często jednak żadna nie pokazywała się w kuchni o odpowiedniej

74

porze. Jeśli pacjenci jeszcze spali, najpierw szykowała dzbanek świeżej herbaty i talerz pełen kromek chleba z masłem, a dopiero potem ich

budziła. Sama także uczestniczyła we wspólnej porannej herbacie, a następnie przeprowadzała lustrację brudownika i świetlicy. Pacjenci szli w tym czasie do łaźni, aby wziąć prysznic i ogolić się. Jeśli do tej pory nie zjawiała się żadna z pomocy kuchennych, siostra brała się za przygotowanie śniadania.

Około ósmej zasiadała wraz z pacjentami do śniadania, a potem układała im dokładny plan zajęć na cały dzień. Naprzód razem ścielili łóżka.

Następnie siostra sprawdzała, jak upięto moskitiery. Szczytne zadanie misternego upięcia moskitier w stylu Jacques'a Fatha należało zawsze do któregoś z wyższych pacjentów, takich jak Neil czy Lucjusz. To siostra przełożona wymyśliła styl, w jakim moskitiery mają być układane na dzień. Było powszechnie wiadome: jeśli na inspekcji oddziału stwierdziła, że siatki są właściwie ułożone, to już na inne rzeczy nie zwracała większej uwagi.

Na oddziale zawsze można było znaleźć sprawnych i zdolnych do pracy mężczyzn, więc utrzymanie porządku nie stanowiło żadnego problemu. Pod doświadczonym i skrupulatnym okiem siostry Langtry sami, nawet bez pomocy ordynansów, potrafili zadbać o czystość. Siostra uważała, że ordynansów powinna skierować tam, gdzie są bardziej potrzebni - tu tylko przeszkadzali.

Niektóre sporne sprawy na oddziale X zostały po pewnym czasie rozwiązane ku zadowoleniu wszystkich zainteresowanych. Neil, jako oficer, otrzymał osobny pokój. Niewielki, bo tylko dwa metry na dwa i pół. Znajdował się tuż obok biura siostry Langtry. Właściwie był to dawny gabinet zabiegowy. Bez trudu mogła zeń zrezygnować, bo nikt na oddziale nie wymagał medycznych zabiegów. Nie było tu psychiatry, który by

aplikował pacjentom jakąś specjalną terapię. Tak więc gabinet zabiegowy zawsze służył za mieszkanie nielicznym pacjentom oficerom, którzy przewinęli się przez oddział. Gdy siostra Langtry musiała opatrzyć pacjenta, robiła to w swoim biurze. Do tej pory trafiały się jej jedynie takie przypadki jak grzybice, ropniaki, wrzody czy stany zapalne skóry. Bywały oczywiście poważniejsze choroby, na przykład nawroty malarii czy pewne stadia tropikalnej gorączki jelitowej. Dotyczyły jednak pacjentów leżących, których doglądano w łóżku, lub przenoszono na inny oddział, właściwy dla danej choroby.

Nie było w pawilonie X toalet ani dla żołnierzy, ani dla personelu.

Wszyscy pacjenci chodzący, tak jak i personel całej bazy 15, korzystali

75

z głębokich rowów latrynowych, które z przerwami ciągnęły się wzdłuż całego terenu szpitala. Latryny były codziennie dezynfekowane i co jakiś czas wypalane benzyną lub naftą, aby zapobiec rozprzestrzenianiu się bakterii. Sprawni i chodzący pacjenci myli się w specjalnych betonowych pomieszczeniach służących za łaźnię. Łaźnia oddziału X położona była z tyłu, za innymi oddziałami. Dzieliła ją od nich odległość około 70 metrów. Dawniej korzystało z tej łaźni jeszcze sześć innych oddziałów. Ale kiedy pół roku temu tamte oddziały uległy likwidacji, łaźnia należała już wyłącznie do oddziału X, podobnie jak latryna w pobliżu. Jeden z pokoi na oddziale przeznaczono na brudownik. Trzymano w nim butelki na mocz, baseny i kaczki, pokrowce na te naczynia, a także skąpy przydział prześcieradeł. Cuchnący środkami dezynfekcyjnymi pojemnik na pooperacyjne odpady także znajdował się w brudowniku, choć był rzadko używany. Wodę dla oddziału trzymano w metalowej kadzi ustawionej na

wysokim stojaku na poziomie dachu. Dzięki różnicy poziomów woda dochodziła stamtąd do świetlicy, brudownika i gabinetu zabiegowego. Gdy na oddziale wszystko szło gładko, siostra miała czas, by pójść do swego biura i zająć się robotą papierkową. Wypełniała formularze, wypisywała zapotrzebowanie na dostawy, sporządzała listy rzeczy do pralni i wprowadzała codzienny wpis do historii choroby każdego pacjenta. Co jakiś czas oddział X odbierał swój przydział w magazynie. Magazyn mieścił się w blaszanym baraku o solidnej konstrukcji i dobrych zamkach i podlegał bezpośrednio biuru kwatermistrza. W wyznaczony dzień rano siostra szła z jednym ze swych pacjentów do magazynu i starali się pobrać jak najwięcej z tego, co było na składzie. Najlepszym pomocnikiem w jej wyprawach do magazynu okazał się mały, skulony, nie wpadający w oko Nugget. Dopiero gdy byli już z powrotem na oddziale, uszczęśliwiony Nugget wyciągał poukrywane w najróżniejszych miejscach na jego chudym ciele istne cuda: tabliczki czekolady, puszki z ciastkami lub budyniem, sól na przeczyszczenie, talk kosmetyczny, tytoń, bibułki do skręcania papierosów i zapalki. Wizyty władz zwierzchnich: siostry przełożonej, pułkownika "Ważnego" i pułkownika żandarmerii, sprawującego funkcję inspektora, odbywały się zawsze w godzinach rannych. Na szczęście nie zdarzały się często i godziny przedpołudniowe należały raczej do spokojnych, przez nikogo nie zakłócanych. Siostra Langtry siadywała wówczas na werandzie w otoczeniu swoich pacjentów i rozmawiała z nimi albo razem milczeli.

Około wpół do pierwszej, to oczywiście zależało od kuchni, przynoszono

76

pacjentom obiad. Wtedy siostra opuszczała oddział i szła na obiad do

mesy. Popołudnie spędzała przeważnie w swoim pokoju. Czytała lub cerowała. Zawsze miała do cerowania całe stosy męskich skarpetek, koszul i bielizny. Czasem kładła się na małą drzemkę. Około czwartej po południu szła do pokoju pielęgniarek i wypijała z nimi filiżankę herbaty. Spędzała tam zwykle godzinkę na rozmowie z siostrami, które się akurat o tej porze tam znalazły, i to był jej jedyny towarzyski kontakt z koleżankami. Spotykały się co prawda na posiłkach w mesie, ale tam panowała zwykle atmosfera pośpiechu.

O piątej siostra Langtry wracała na oddział X, by przypilnować wydawania pacjentom kolacji. Około szóstej piętnaście udawała się znowu do mesy na swoją kolację i o siódmej była z powrotem w swoim biurze na oddziale. Ta część dnia sprawiała jej najwięcej radości. Odwiedzał ją wtedy zwykle Neil, by razem z nią wypalić papierosa. Przychodzili także inni pacjenci, gdy czuli potrzebę porozmawiania z nią lub gdy ona czuła, że takiej rozmowy potrzebują. Następnie dokonywała ostatniego i najważniejszego wpisu do historii choroby pacjentów. Krótco po dziewiątej zawsze któryś z nich zaparzał herbatę i wypijali ją wspólnie przy stole refektarzowym. Około dziesiątej pacjenci szykowali się do spania; pół godziny później siostra opuszczała oddział.

Na oddziale panował teraz spokój, pacjentów było mało i siostra miała łatwe życie. Dawniej, w najgorętszym okresie działania oddziału X, spędzała tam znacznie więcej czasu. Zwykle przed wyjściem wydzielala środki uspokajające, a gdy miała pacjenta skłonnego do gwałtownych wybuchów i przemocy, na dyżurze pozostawał przez całą noc ordynans lub siostra zastępcza. Tak ciężko chorzy nie pozostawali jednak długo na oddziale, chyba że zanotowano zdecydowaną poprawę ich stanu. Zawsze

udawało jej się wciągać pacjentów do zespołowej pracy. Zwykle na oddziale znalazł się choć jeden pacjent, na którym mogła polegać. Tacy stanowili najcenniejszą pomoc. Mogła być pewna, że w czasie jej nieobecności będą sprawowali pieczę nad oddziałem i pilnie obserwowali pacjentów budzących niepokój. Siostra była przekonana, że taka pomoc jest znacznie lepsza od tej, jaką mógłby oferować dodatkowy personel. Zespołowa praca na oddziale miała jeszcze jeden ważny aspekt. Zapełniała mianowicie pacjentom pustkę ich dni. Po zakończeniu ostrej fazy choroby pacjent spędzał w szpitalu długie tygodnie, w czasie których nic się nie działo. Nie było nic do roboty. Zanim nastąpiło zwolnienie ze szpitala, nuda zatruwała mu życie. Lepiej mieli się tacy pacjenci jak Neil Parkinson, którzy

77

mogli tu rozwijać swój talent lub hobby. Ale malujących pacjentów było niewiele. Niestety, siostra nie miała zdolności do uczenia robót ręcznych, nawet gdyby udało jej się zdobyć potrzebne materiały. Od czasu do czasu któryś z pacjentów wyrażał chęć plecienia wikliny, robienia na drutach lub szycia i wtedy siostra starała się jak mogła zachęcać go do tego. Ale to nie zmieniało faktu, że na ogół na oddziale X panowała nuda. Więc im więcej pacjentów udało się jej wciągnąć do zespołowej pracy, tym lepiej.

Tej nocy, gdy na oddziale zjawił się Michael, siostra jak zwykle wyszła z biura po dziesiątej. Miała ze sobą latarkę. Wszystkie światła na oddziale były już wygaszone z wyjątkiem jednego, które paliło się w najdalszym końcu sali, nad stołem refektarzowym. Zgasiła je. Kontakt znajdował się u wejścia z krótkiego korytarza na salę chorych. Od tej chwili posługiwała się już tylko latarką, kierując jej światło na podłogę.

Poza lekkim szmerem oddechów na sali panowała cisza. Siostra stała w półcieniu. Z zadowoleniem stwierdziła, że żaden z pacjentów nie chrapie. Doszła do wniosku, że chyba tylko dzięki temu tolerują się nawzajem. Mimo ich różnych dziwactw i nieokrzesań przynajmniej we śnie mogą się od siebie uwolnić i nie przeszkadzać jeden drugiemu. Martwiła się, czy Michael przypadkiem nie chrapie. Miała nadzieję, że nie. Gdyby chrapał, na pewno koledzy przestaliby go lubić.

Od czasu, gdy zniesiono zaciemnienie, na oddziale nigdy nie było całkiem ciemno. W korytarzu światło świeciło się całą noc. Świeciły się także żarówki na schodach prowadzących do łaźni i latryny. Białe światło przenikało też przez okna w ścianie, przy której stało łóżko Michaela. Wszystkie moskitiery były spuszczone i spływały łagodnymi falami na łóżka, które wyglądały jak elegancko przystrojone katafalki. Właściwie bardziej jeszcze przypominały grobowce: jakby szeregiem leżeli śpiący rycerze, pogrążeni w swym najdłuższym i najwspanialszym śnie, otuleni ciemnymi chmurami niby dymem z pogrzebowych stosów.

Tyle lat przepracowała jako pielęgniarzka, że pewne czynności wykonywała automatycznie. Teraz jej dłoń trzymająca latarkę odruchowo prześliznęła się do przodu, zasłaniając światło. I zostały już tylko rubinowo jarzące się prześwity pomiędzy ciemnymi pałeczkami palców.

Najpierw podeszła do łóżka Nuggeta i przez siatkę moskitiery skierowała na niego przyciemnione światło latarki. Spał jak dziecko, tak, spał. chociaż na pewno rano poinformuje ją, że przez całą noc nawet oka nie zmrużył. Pomimo upału miał pizamę zapiętą pod szyję, a zastępujące

kołdrę prześcieradło porządnie wsunięte pod ramiona. Biedny Nugget!

Jeśli nie miał obstrukcji, to cierpiał na biegunkę. Jeśli mijał ból głowy, to na pewno zaczynały się bóle krzyża. Jeśli nie przechodził właśnie zapalenia skóry z nacieczonymi krwawymi plamami jak surowe mięso, to na plecach tworzyły mu się ogromne karbunkuły. Tylko wtedy był zadowolony, gdy cierpiał tortury z powodu prawdziwego lub wyimaginowanego bólu. Wiecznie nosił ze sobą zniszczony, z zagiętymi rogami podręcznik dla pielęgniarek, który zwinął komuś, jeszcze zanim przybył na oddział. Znał go na pamięć i doskonale rozumiał wszystko, co tam było napisane. Siostra Langtry potraktowała go tego wieczoru jak zwykle łagodnie, z dużym współczuciem. Chętnie pozwalała się wciągać w interesujące dyskusje na temat symptomów choroby, które w danej chwili brały u niego górę nad innymi. Bez końca dawała mu środki na przeczyszczenie, uśmierzała bóle, smarowała maściami. Posłusznie wypełniała te nakazy terapii, które on sam sobie wybrał. Jeśli nawet podejrzewał, że większość pigułek, miksturek i iniekcji, którymi go faszerowała, była tylko nieszkodliwym placebo, nigdy się do tego nie przyznał.

Obok stało łóżko Matta. On także spał. Łagodne, czerwonawe światło latarki muskało jego zamknięte powieki, lekko oświetlając regularne rysy jego szczupłej, męskiej twarzy. Martwiła się o niego, gdyż nie była w stanie nic dla niego ani z nim zrobić. Kurtyna, która zapadła pomiędzy jego mózgiem i oczami, pozostawała szczelnie zamknięta. Siostra Langtry wciąż go namawiała, by prosił pułkownika "Ważnego" o regularne neurologiczne badania, ale Matt odmawiał: jeśli coś tam jest w jego mózgu, to i tak go to w końcu zabije; a jeśli on to sobie wszystko zmyślił, tak jak powszechnie sądzono, to nie ma sensu tym się przejmować. Na

jego szafce przy łóżku stała fotografia przedstawiająca kobietę w wieku trzydziestu paru lat, z włosami zwiniętymi w wałki na podkładce w najlepszym hollywoodzkim stylu. Na ciemnej sukni miała ładny biały kołnierzyk w stylu Piotrusia Pana. Trzy małe dziewczynki z takimi samymi białymi kołnierzykami ustawiono dookoła matki, jakby dla ozdoby. Na jej kolanach siedziała jeszcze jedna, czwarta dziewczynka, zupełny maluch. "Jakie to dziwne - pomyślała siostra - że tylko on jeden, ten niewidomy, który nie wiadomo, czy nie mógł czy nie chciał widzieć, ma na szafce zdjęcie swoich bliskich". Pracując tutaj przekonała się, że pacjenci oddziału X rzadko miewają kogoś bardzo bliskiego, a jeszcze rzadziej fotografię tej bliskiej osoby.

79

Benedykt we śnie zupełnie nie przypominał siebie na jawie. Na jawie był cichy, spokojny, opanowany i nieśmiały. We śnie cały czas z kimś walczył, rzucał się i jęczał. Najwyraźniej sen nie był dla niego odpoczynkiem. Ze wszystkich pacjentów Ben ją najbardziej martwił. Coś go dręczyło i zżerało, a ona nie potrafiła nic na to poradzić. Nie umiała do niego dotrzeć - nie dlatego, że był wrogi, bo nigdy wrogi nie był, ale dlatego, że wydawał się nie słuchać jej rad, a jeśli słuchał, nie rozumiał, co do niego mówi. Siostra Langtry miała poważne podejrzenie, że u źródeł wielkiej udreki Bena leżą sprawy seksualne. Któregoś dnia postanowiła to sprawdzić. Spytała go, czy miał kiedyś dziewczynę. Odpowiedział krótko: - Nie! - Dlaczego nie? - pytała dalej, wyjaśniając, że nie chodzi jej o to, czy spał z dziewczyną, ale czy znał jakąś młodą kobietę, z którą chciałby się zaprzyjaźnić, a może nawet ożenić. W odpowiedzi twarz Bena wykrzywiła się i pojawił się na niej wyraz nieopisanego wstrętu. -

Dziewczyny są plugawe! - powiedział i choć nalegała, nie chciał nic więcej dodać. Tak, martwiła się o niego, i to nie tylko z tego, ale jeszcze z wielu innych powodów.

Zanim podeszła do Michaela, zajęła się przestawieniem parawanów stojących dokoła stołu refektarzowego. Przylegały bowiem tak blisko do łóżka Michaela, że miałyby z nimi kłopot, gdyby musiał wstać w nocy. Złożyła je więc jak wachlarz i odsunęła pod ścianę. W łóżku, które obecnie zajmował Michael, przez długi czas nikt nie spał, bowiem padało na nie światło z okien.

Ucieszyło ją, że Michael śpi bez góry od pizamy. W tym klimacie było to bardzo wskazane. Złoscili ją tacy jak Matt i Nugget, którzy upierali się przy tradycyjnej, zapiętej pod szyję bluzie. Nie umiała ich w żaden sposób przekonać, by z niej zrezygnowali. Zastanawiała się, co mogło być tego powodem. Czy nie przemożny wpływ na ich życie kobiet, żony czy matki, które idealizowali? W ich pojęciu wyobrażały one przyzwoitość i skromność cywilizowanego świata, tak bardzo odległego od rzeczywistości oddziału X.

Michael leżał tyłem do sali. Widać nie przeszkadzało mu światło dochodzące z okien i padające na twarz. "To dobrze - pomyślała. - To znaczy, że zaakceptował to niepopularne łóżko". Nie mogła widzieć jego twarzy, musiałaby stanąć z drugiej strony. Ale nie miała ochoty patrzeć na jego twarz, gdy śpi, i pozostała na miejscu. Delikatne światło latarki oświetlało jego gołe plecy i ramiona i zajaśniało

80

srebrnym blaskiem na łańcuszku, który nosił na szyi. Miał na nim swoje "śmiertelniki", płytki z oznaczeniem tożsamości. Żołnierze mówili o nich

żartem "kartki na mięso". Były to dwie ciemne plastikowe płytki, które teraz przesunęły mu się na plecy i jedna leżała na poduszce, a druga pod nią. Gdyby zginał - te płytki miały ułatwić identyfikację, oczywiście gdyby zostało z niego tyle, iż łańcuszek miałby się na czym trzymać. Gdyby znaleziono go z obiema płytkami, spodnią odesłano by razem z jego rzeczami do domu, a pochowany zostałby z tą górną, nadal wiszącą na jego szyi. Ale to już nie może się zdarzyć. "Wojna się skończyła - pomyślała - i nic takiego się już nie wydarzy..."

Rozpamiętywała swój dotychczasowy kontakt z Michaeliem. Jak on dziwnie na nią patrzył! Tak, jakby mu trudno było traktować ją poważnie, jakby uważał, że wyszła ze swojej roli i weszła w jakąś inną, niewłaściwą. Jakby chciał jej dać do zrozumienia, że nie powinna zajmować się nim, a raczej tymi biedakami, którzy jej potrzebują, bo jemu jej pomoc nie jest i nigdy nie będzie potrzebna. Był jak mur na jej drodze, jak nieoczekiwane zetknięcie się z obcą, nieznaną siłą. Michael nie pasował do oddziału X. Inni pacjenci też uważali, że to nie miejsce dla niego.

Stała przy jego łóżku dłużej, niż zamierzała. Straciła poczucie czasu. Latarek skierowała na tył jego głowy i nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, gładziła moskitierę.

Z drugiego końca sali doszedł ją nagle cichy szmer. Spojrzała w tamtą stronę i zobaczyła w najdalszym kącie łóżko Lucjusza, widoczne teraz, kiedy odsunęła parawany. Lucjusz siedział na brzegu łóżka. Nogę zgiętą w kolanie objął ramionami i obserwował ją. Widział, jak patrzyła na Michaela. Poczowała się nagle tak, jakby ją przyłapał na jakiejś uwłaczającej i sekretnej erotycznej scenie. Była zadowolona, że na sali jest zbyt ciemno, by zauważył jej rumieniec.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, jak dwaj pojedynkujący się, chłodno oceniający nawzajem swą siłę przeciwnicy. Potem Lucjusz zmienił pozycję. Opuścił nogę i podniósł rękę do góry, machając do niej w nieszczerym geście pozdrowienia. Jeszcze moment i zniknął za moskitierą. Siostra ruszyła w jego stronę normalnym krokiem, przeszła przez salę i pochyliła się nad jego łóżkiem, by lepiej umocować moskitierę. Uważała jednak, aby przypadkiem nie napotkać jego wzroku.

Nie miała zwyczaju sprawdzać Neila, chyba żeby ją do siebie poprosił.

81

Ale nigdy tego nie robił. Gdy tylko znalazł się w swoim sanktuarium, stawał się panem własnego życia. Nie pozostawało jej nic Innego jak to uszanować.

Na oddziale panował spokój. Wszystko było w porządku. Siostra zatrzymała się na chwilę w biurze, żeby zdjąć płócienne pustynne cichołazy i włożyć na powrót wysokie buty i getry. Włożyła też kapelusz. Schyliła się do swego koszyka i wrzuciła do niego dwie pary skarpet. Wybrała je z worka Michaela, bo wymagały zacerowania. Ruszyła do drzwi wyjściowych. Cicho prześliznęła się przez zasłonę z kapsli i już była na dworze. Z jasno świecącą latarką w ręce kierowała się w stronę swojej kwatery, wybierając drogę na przełaj. Było wpół do jedenastej. O jedenastej wykąpie się i pościele sobie łóżko, a jeśli zaśnie o wpół do dwunastej, to będzie miała przed sobą sześć godzin nieprzerwanego snu. Pacjenci oddziału X nie byli pozbawieni opieki także podczas jej nieobecności. Jeśli zdarzyło się, że nagle posłyszała swój wewnętrzny budzik, a każda dobra pielęgniarka miewa takie instynktowne przeczucie zagrożenia, sama odwiedzała nocą oddział albo dawała znać siostrze z

dyżuru nocnego, żeby podczas patrolu miała szczególne oko na "dziesiątkę". Nawet jeśli by jej wcześniej nie uprzedziła, to i tak siostra z dyżuru nocnego zawsze wpadała na krótką kontrolę. Były to czynności rutynowe. A w najgorszym razie można było uciec się do telefonu. Na szczęście od trzech miesięcy nie zdarzył się na oddziale żaden nocny kryzys, więc mogła spać spokojnie.

Część Druga.

Rozdział Dziesiąty.

Stało się tak, jak siostra Langtry przewidywała. Wizyta Michaela w klinice pułkownika "Ważnego" nic nie dała. Pułkownik skupił całą uwagę na ciele Michaela a zupełnie zignorował jego duszę. Badał go na wszystkie strony, obmacywał, klepał, osłuchiwał, opukiwał, nakłuwał, szczypał, łaskotał i uderzał a Michael znosił to z niezmaconym spokojem. Na rozkaz pułkownika zamykał oczy, koniuszkiem wskazującego palca dotykał końca nosa, nie poruszając głową, wodził oczami za wędrującym ołówkiem tam i z powrotem, w górę i w dół. Stał z zamkniętymi oczami, trzymając stopy bardzo blisko siebie. Chodził po linii prostej. Skakał naprzód na jednej nodze, a potem na drugiej. Wyczytywał litery z tablicy do badania wzroku, miał sprawdzane pole widzenia i badano jego zdolność kojarzenia słów i znaczeń. Michael cierpliwie znosił nawet te najbardziej agresywne badania oczne, gdy przekrwione oko pułkownika wpijało się w jego oko, a oftalmoskop stał w

pogotowiu. Siostra siedziała na krześle tuż obok i zdziwiła się, widząc, że Michael nie mrugnął także wtedy, gdy po raz pierwszy owionął go przykry zapach z ust pułkownika.

Po badaniu kazano Michaelowi poczekać na zewnątrz, a siostra siedząc naprzeciwko pułkownika obserwowała, jak nerwowo porusza kciukiem po wewnętrznej stronie swej górnej wargi. Nie był to apetyczny widok, bo przypominał dłubanie w nosie, ale wiedziała, że pułkownik stymulował tym sposobem swój proces myślenia.

- Pierwsze, co mu zrobię jeszcze dziś po południu - odezwał się wreszcie pułkownik - to punkcję lędźwiową.

- A po kiego czorta? - wysnęło się siostrze, zanim zdołała się opanować.

- Słucham, siostrzo?!

- Powiedziałam, że nie rozumiem, po co ta punkcja. Pan dobrze wie, panie pułkowniku, że pod względem neurologicznym sierżantowi Wilsonowi nic absolutnie nie dolega. Po cóż więc narażać go na przykry ból i kazać mu leżeć w łóżku, skoro wiemy, że jest zdrowy jak ryba? Po prostu przez ostatnie kilka lat miał ciężkie życie i przebywał w okropnym klimacie.

Pułkownik był tego rana wyraźnie nie w sosie i nie czuł się na siłach, by podjąć z nią walkę. Jego mały wyskok zeszłej nocy, w którym dużą rolę

84

odegrała butelka whisky i siostra Connolly, był reakcją na kłótnię z siostrą Langtry. Nie chciał więc nawet myśleć o tym, że miałby znowu z nią walczyć. Pewnego dnia dojdzie między nimi do ostatecznej rozgrywki, obiecał to sobie solennie, ale jeszcze nie dziś...

- Dobrze, siostrzo, nie zrobię mu punkcji. - Odłożył wieczne pióro, zamknął

teczkę z historią choroby Michaela i podał jej takim gestem, jakby była zatruta. - Żegnam panią, siostró!

Wstała. - Żegnam pana, panie pułkowniku! - powiedziała. Odwróciła się i wyszła.

Michael czekał przed barakiem, w którym mieściła się klinika, i od razu do niej podszedł. Wyszła stamtąd tak szybko, jakby musiała natychmiast zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Czy pułkownik już skończył ze mną? - spytał.

- Tak, jak najbardziej. Chyba że rozwinie się u ciebie jakaś paskudna choroba kręgosłupa o nazwie niemożliwej do wymówienia. Myślę, i chyba się nie mylę, że nie będziesz go już musiał oglądać, może tylko podczas inspekcji oddziału i na ogólnym obchodzie, który pułkownik "Ważny" odbywa raz w tygodniu.

- Jak się nazywa ten pułkownik? Ważny?

Zaśmiała się. - Lucjusz go tak nazwał i to przezwisko na dobre do niego przyłgnęło. Naprawdę nazywa się Donaldson. Boję się, by to przezwisko nie poszło za nim do Sydney na Macquarie Street.

- Co krok to niespodzianka. Ciekaw jestem, ile jeszcze niespodzianek mają w zanadrzu ludzie z "dziesiątki".

- Chyba nie więcej niż w obozach czy choćby w twoim batalionie.

- Nie, tam nie było dla mnie żadnych niespodzianek. Znałem wszystkich aż za dobrze. Niektórych od wielu, wielu lat. Przecież nie wszyscy, którzy byli ze mną od samego początku, zostali zabici lub musieli odejść z wojska z powodu odniesionych kontuzji. Gdy batalion jest w ruchu lub szykuje się do akcji, wtedy nie odczuwa się monotonii. Ale przez ostatnie sześć lat prawie bez przerwy przebywałem w jakimś obozie. W obozach na

pustyni przeżywałem burze piaskowe, w innych monsunowe deszcze. Pamiętam nawet, że rozbiliśmy raz obóz w wesołym miasteczku. Wszystkie obozy i miejsca postoju kojarzą mi się z upałem. Nieraz myślałem o rosyjskim froncie i zastanawiałem się, jak żołnierze reagują na chłody i zimno. Bywało nawet, że marzyłem o takich warunkach. Czy to nie wariactwo, gdy życie żołnierza staje się tak potwornie monotonne, że marzy mu się

85

jakiś inny obóz czy inne miejsce postoju, zamiast marzeń o domu czy kobietach? Prawdę mówiąc, nie znam innego życia - tylko obozowe.

- Tak, masz rację. Wojna przyniosła ze sobą także ten problem. Zresztą monotonia to również największy problem oddziału X. zabójczy dla mnie i dla pacjentów. Dlatego wolę pracować nie wiem ile godzin i prowadzić oddział całkiem sama, bo inaczej, gdybym nie miała co robić, też bym chyba dostała tropikalnego bzika. A jeśli chodzi o pacjentów, to przecież ci chłopcy są sprawni fizycznie. Mogliby doskonale wykonywać nawet całodzienną ciężką pracę. Niestety nie ma dla nich żadnej pracy. Ci ludzie nie mają nic do roboty i beczynnie spędzają czas. Jestem pewna, że gdyby mieli jakieś stałe zajęcie, to psychicznie poczuliby się o wiele lepiej niż teraz. - Uśmiechnęła się. - Ale to już nie będzie trwało zbyt długo. Wkrótce wszyscy wrócimy do domu.

Michael już wiedział, że powrót do domu nie jest dla pacjentów "dziesiątki" tym, na co czekają. Milczał jednak i równym krokiem przemierzał z siostrą Langtry przyszpitalny teren.

Siostrze przyjemnie było tak iść z Michaeliem. Nie pochylał ku niej z szacunkiem głowy jak Neil ani całej figury jak Lucjusz, ani nie

przemykał się chyłkiem jak Nugget. Szedł przy niej całkiem naturalnie, po koleżeńsku, prawie tak jakby szedł z mężczyzną. Być może to trochę dziwne, ale odczuwała to jako coś bardzo miłego.

- Czy ty masz jakiś zawód w cywilu? - spytała go, skręcając na ścieżkę, która prowadziła pomiędzy opustoszałymi już pawilonami.

- Tak. Jestem farmerem i specjalizuję się w mleczarstwie. Mam sto dwadzieścia hektarów ziemi w dolinie rzeki Hunter koło Maillandu. Moja siostra i jej mąż zajęli się jej uprawą na czas wojny, ale woleliby wrócić do Sydney, więc gdy tylko znajdę się znowu w domu, od razu przejmę gospodarstwo. Mój szwagier to prawdziwy mieszczuch, ale gdy musiał dokonać wyboru, to okazało się, że jednak woli dość krowy i być rano budzony przez koguty, niż nosić mundur i służyć jako cel do strzelania - powiedział z lekką pogardą w głosie.

- Cieszę się, że mamy jeszcze jednego wiejskiego chłopaka na oddziale X. Teraz będziemy w większości. Wprawdzie Neil, Matt i Nugget są z miasta, ale skoro ty do nas dołączyłeś, to będzie nas czworo ze wsi.

- A mogę wiedzieć, skąd siostra pochodzi?

- Mój ojciec ma posiadłość koło Yass.

- A jednak siostra wylądowała w Sydney, jak Lucjusz.

86

- Zgadza się, że w Sydney, ale na pewno nie jak Lucjusz... Zaśmiał się i rzucił jej szybkie spojrzenie z boku.

- Przepraszam, siostrze.

- Chciałabym, żebyś mi mówił "siostrzyczko", tak jak wszyscy. Prędzej czy później i tak to zrobisz.

- Oczywiście, siostrzyczko! Bardzo chętnie.

Wspięli się na niewielkie faliste wzgórze, piaszczyste, a jednak oplecione jak pajęczyną długimi kłęczami szorstkiej trawy i upstrzone prostymi, smukłymi pniami palm kokosowych. Po chwili znaleźli się na brzegu morza i tu się zatrzymali. Silny wiatr wiejący od morza uderzał w welon siostry. Michael wyciągnął swoje przybory do palenia i przysiadł, tak jak to robią chłopcy, na piętach, a Helen uklękła przy nim, uważając, by piasek nie dostał się jej do bucików, które nosiła na dyżurze.

- Ilekroć mam przed sobą taki widok jak ten, od razu przestaje mi przeszkadzać, że jestem na Wyspach - powiedział Michael, skręcając sobie papierosa. - Czy to nie zabawne? Właśnie wtedy, gdy człowiek myśli, że już dłużej nie wytrzyma moskitów, błota, potu, malarii i dyzenterii - budzi się rano i patrzy, a na świecie panuje najpiękniejsza pogoda, jaką Bóg kiedykolwiek zesłał na ziemię. Gdy widzi się piękno przyrody, jak my teraz, lub spotyka człowieka nieoczekiwana przyjemność, natychmiast rodzi się myśl, że świat nie jest taki zły...

Było pięknie i zupełnie pusto. Plażę stanowił krótki, prosty odcinek wybrzeża, pokryty piaskiem szarym jak sól z pieprzem. Blisko wody cofający się odpływ zostawił mokre, ciemniejsze pasmo piasku. Plaża musiała być częścią dłuższego cypla, który z jednej strony zamykała linia widnokregu łącząca niebo z wodą, a z drugiej dolina porośnięta tropikalnym lasem mangrowe, dyszącym oparami rozkładu. Lustro wody przypominało cienką warstwę farby nałożonej na biel: było szkliste, bladozielone i zupełnie nieruchome. W dali widać było rafę, ale horyzont skrył się za białym wachlarzem piany, którą toczyły przybrzeżne fale.

- To plaża dla pacjentów - powiedziała siostra, przysiadając na piętach. - Jest pusta, bo rano nie wolno z niej korzystać. Za to jest do waszej

dyspozycji codziennie od pierwszej do piątej po południu. Ordynansi i personel niewojskowy przychodzą tu o tej samej porze co wy. Niestety, nie mogłabym tu przyjść z tobą, bo w tych godzinach plaża jest zamknięta dla kobiet. Musisz teraz zadbać o to, żeby wojsko zaopatrzyło cię w kąpielówki. Ta plaża to prawdziwy dar Boży. Daje

87

naszym chłopcom tyle radości... Bez niej nasi pacjenci nigdy by nie wrócili do zdrowia.

- A co z plażą dla pielęgniarek, siostrzyczko?

- Nasza plaża jest z drugiej strony cypla. Jesteśmy w trochę gorszej sytuacji niż wy, bo siostra przełożona nie pozwala nam kompać się nago.

- Ta stara wiedźma psuje każdą zabawę.

- Lekarze i oficerowie mają plażę po naszej stronie i oddziela ich od nas niewielkie pasmo wzgórz. Pacjenci oficerowie mogą chodzić na tamtą plażę lub tutaj.

- Czy lekarze muszą nosić kąpielówki? Uśmiechnęła się. - Nie przyszło mi do głowy spytać o to. Zmęczyło

ją siedzenie na piętach, więc umyślnie spojrzała na zegarek i zerwała się z miejsca. - Lepiej już wracajmy - powiedziała. Nie grozi nam wprawdzie dzisiaj inspekcja siostry przełożonej, ale nie nauczyłam cię jeszcze upinać moskitiery. Mamy tylko godzinę na naukę, bo potem będzie obiad.

- Ależ to nie potrwa tak długo, ja bardzo szybko się uczę - bronił się, nie mając ochoty stąd odejść i zrezygnować z przyjemności, jaką mu dawał czysto towarzyski kontakt z kobietą.

Siostra jednak potrzęsnęła głową i ruszyła w drogę powrotną zmuszając go w ten sposób, by poszedł za nią. - Możesz mi wierzyć, upinanie moskitiery zajmie ci o wiele więcej czasu, niż myślisz. Nie zdajesz sobie z tego sprawy, bo jeszcze nie próbowałaś. Gdybym wcześniej wiedziała, jakie się w tym kryją możliwości, tobym zaproponowała pułkownikowi "Ważnemu", aby upinanie moskitiery według wzoru siostry przełożonej traktował jako test na spostrzegawczość.

- Nie rozumiem, co siostra chce przez to powiedzieć. - Zatrzymał się na chwilę, by otrząsnąć piasek ze spodni, i zaraz do niej dołączył.

- Nie uwierzysz, ale niektórzy pacjenci oddziału X nie umieją upiąć moskitiery tak, jak sobie życzy siostra przełożona. Na przykład Benedykt. Wszyscy próbowaliśmy go uczyć i on wykazał maksimum dobrej woli, ale nie może tego złapać, mimo że jest dość inteligentny. Produkuje najdziwniejsze i najwspanialsze wariacje na temat układu siostry przełożonej, ale nie potrafi go zrobić dokładnie tak, jak ona każe. Nie potrafi, i już...

- Siostra jest bardzo szczerą wobec nas.

Zatrzymała się i spojrzała na niego z powagą. - Inaczej to nie miałyby sensu. Wszyscy jesteśmy w jakiś sposób częścią dziesiątego oddziału. Bez

88

względu na to, czy nam się tu podoba czy nie, czy się tu nadajemy czy nie, czy czujemy się z tym oddziałem związani czy nie, póki nie wrócimy do domu, tu jest nasz dom. I przekonasz się, że nie stać nas tutaj na taki luksus jak posługiwanie się eufemizmami. Mówimy prawdę bez względu na to, czy jest drastyczna czy nie.

Potaknął, ale nic nie odpowiedział, tylko wpatrywał się w nią, jakby

doceniał w niej teraz nie tylko walor nowości, ale i nabrał szacunku - bardziej, niż to jeszcze wczoraj przyznawał.

Po chwili spuściła oczy i szła dalej znacznie wolniej i swobodniej niż przedtem, krokiem spacerowym, a nie jak zwykle szybkim, marszowym. Chciała choć na chwilę odejść od codziennej rutyny i miło jej było znajdować się przy nim. Nie musiała przy nim pamiętać, że jest pielęgniarką, i martwić się, jak się jej pacjent czuje. Mogła się w pełni zrelaksować i udawać przed samą sobą, że Michael jest po prostu chłopcem, którego poznała gdzieś w towarzystwie.

Niestety, czas szybko uciekał i tuż za rogiem opuszczonego budynku ukazał się ich oczom oddział X. Neil stał przed wejściem i czekał na nich. Siostra Langtry poczuła nawet złość, bo wypatrywał jej tak, jak zbyt troskliwy ojciec wypatruje z niepokojem dziecka, które po raz pierwszy wraca samo ze szkoły.

Rozdział Jedenasty.

Po południu Michael wybrał się znowu na plażę, ale tym razem z Neilem, Mattem i Benedyktem. Nugget nie miał ochoty, a Lucjusza nie mogli nigdzie znaleźć.

Michaela zafascynowała sprawność, z jaką Matt się poruszał. Zauważył, że wystarczyło, by Neil lekko dotknął jego łokcia, ramienia czy dłoni, a Matt już świetnie sobie radził z dalszą nawigacją. Michael przypatrywał się temu i uczył, by w razie nieobecności Neila mógł go zastąpić. Nugget opowiedział mu w łaźni, używając przy tym wielu technicznych szczegółów, że Matt nie jest naprawdę niewidomy, bo lekarze stwierdzili, że jego oczom nic nie brakuje. Michael nie miał jednak żadnych wątpliwości, że Matt nie widzi. Ktoś, kto udaje ślepego, umyślnie

szukałby po omacku,

89

potykał się i przerysowywał swoją rolę. Tymczasem Matt zachowywał się godnie, w niczym nie przesadzał i nie wyglądał na kogoś, kto oszukuje.

Na plaży przebywało około pięćdziesięciu mężczyzn. Leżeli na piasku, porozrzucani w grupkach to tu, to tam. Ta plaża mogłaby pomieścić nawet i tysiąc ludzi i nie robiłaby wrażenia przepelnionej. Wszyscy wylegujący się tu

mężczyźni byli nadzy. Niektórzy byli kalekami, inni poznaczeni bliznami.

Ponieważ dopuszczano tu również personel niewojсковy, a także rekonwalescentów po malarii i różnych chorobach tropikalnych, ci

panowie w dobrej formie z oddziału X byli tu całkiem na miejscu. Michael zauważył, że plażowicze grupowali się zgodnie z ich przynależnością oddziałową, osobno chorzy na neurozę, osobno ci po operacjach plastycznych, operacjach kości

i skóry, brzusznych i ci z interny. Personel też trzymał się razem.

Pacjenci oddziału X położyli swoje ubrania daleko od pozostałych grup, aby ich nie podejrzewano, że podsłuchują, co mówią inni. Woda w morzu

była ciepła i mało orzeźwiająca, niczym letnia kąpiel dziecka. Pływali przez godzinę. Potem wyciągnęli się na piasku, żeby się wysuszyć, i

posypywali się drobnymi ziarenkami, w których kryształki rutylu lśniły jak malutkie, eleganckie cekiny. Michael usiadł, aby skrócić papierosa. Zapalił go i podał Mattowi. Neil uśmiechnął się, ale nic nie powiedział, tylko patrzył z uwagą na pewnie poruszające się dłonie Michaela, gdy ten zabrał się do skręcania następnego papierosa, dla siebie.

"Jaka to przyjemna odmiana w porównaniu z pobytem w obozie"

- myślał Michael, spoglądając w dal na morze oczami zwężonymi od blasku wody. Cienkie niebieskie smużki dymu przez chwilę unosiły się w powietrzu, zanim je porwał podmuch wiatru i rozwiął w nicość. Miło jest oglądać innych ludzi, nie tylko tych z własnego batalionu, ci nowi stanowią bardziej zżyłą rodzinę, łagodnie sterowaną przez kobietę - jak powinno być w każdej rodzinie. Przyjemnie mieć blisko siebie kobietę. Kontakt z siostrą Langtry był jego pierwszym od sześciu lat nieprzelotnym kontaktem z kobietą. Zdążył już zapomnieć, jak kobiety chodzą, jak pachną, jakie są inne. To dzięki niej odczuwał tu niemal rodzinne ciepło. Płynęło bezpośrednio od niej, kobiety trzymającej ster, o której nikt w "dziesiątce", nawet Lucjusz, nie mówił wulgarnie czy bez szacunku. Siostra Langtry była kobietą z klasą, ale była jeszcze czymś więcej. Panie z wyższych sfer nigdy go nie interesowały, jeśli poza

90

dobrymi manierami nie miały jeszcze czegoś, co wyróżniało je od innych przedstawicielek tego gatunku. Dostrzegł u siostry Langtry pewne cechy, które miał on sam, które zresztą miała większość mężczyzn. Nie bała się wypowiadać swego zdania, nie bała się mężczyzn tylko dlatego, że są mężczyznami.

Z początku trochę go denerwowała. Musiał jednak uczciwie przyznać, że wina była raczej po jego niż po jej stronie. Bo dlaczegoż by nie mogły kobiety mieć władzy i stanowisk, jeśli umieją sobie z tym radzić? Ona umiała, a w dodatku była ogromnie kobieca i bardzo, bardzo miła. Nie stosowała też żadnych widocznych kruczków, aby z tej zróżnicowanej grupy mężczyzn stworzyć jakąś całość. Nie ulegało wątpliwości, że ją naprawdę kochali. Kochali dlatego, że każdy z nich znajdował w niej

kobiecość, jakiej szukał. Michael z początku tej kobiecości nie dostrzegał, ale odkrył ją już po jednym dniu i dwóch rozmowach w cztery oczy. To nie znaczy, że miał ochotę rzucić siostrę na łóżko i posiąść. Wcale nie.

Spodziewał się czegoś przyjemniejszego i bardziej subtelnego: powolnego i cudownego odkrywania jej ust, szyi, ramion, nóg... W okresie, gdy nie mógł sobie pozwolić na nic więcej niż przepelniający go poczuciem winy poniżający samogwałt, jego męskość zamierała. Teraz jednak, gdy przez cały dzień miał blisko siebie kobietę, soki zaczęły w nim wzbierać na nowo, a myśli sięgać wyżej kreski, na której kończyły się marzenia nie do osiągnięcia. Siostra Langtry nie była dziewczyną z plakatu, była prawdziwa. Ale dla Michaela była kimś ze świata marzeń i to nie miało nic wspólnego z wojną ani z tym, że było mało kobiet. Była kobietą ulepioną z lepszego kruszcu, córką właściciela ziemskiego; gdyby nie wojna, w zwykłych warunkach nigdy by jej nie spotkał.

Biedny Colin! On by ją na pewno znienawidził. Nie w ten sposób, w jaki nienawidził jej Lucjusz, ponieważ Lucjusz równocześnie jej pragnął, nawet więcej, kochał ją. On tylko udawał przed sobą samym, że jej nienawidzi za to, że nie odwzajemnia jego uczuć, czego w żaden sposób nie był w stanie zrozumieć. Colin był jednak inny i to było jego tragedią. Byli razem od samego początku. Michael poczuł do niego sympatię niemal od razu, gdy tylko zaciągnęli się do wojska. Colin był chłopcem, do którego wszyscy się o byle co przyczepiali, nawet dobrze nie wiedząc, dlaczego ich irytuje, choć powodów do irytacji było na każdym kroku mnóstwo. Koledzy opędzali się od niego jak od utrapionej muchy. Michael natomiast miał

w sobie silny zmysł opiekuńczy, przysparzający mu kłopotów od wczesnego dzieciństwa, i zawsze gromadził wokół siebie kulawe kaczęta. Colin był dziewczęco smukły i trochę za ładny, równocześnie jako żołnierz był szaleńczo zajadły w walce. Przeszkadzała mu w życiu zarówno uroda, jak i pewne dręczące go namiętności - podobne do tych, które przeżywał Benedykt. Zakopując niedopałek papierosa w piasku, Michael spojrzał z uwagą na Bena. W psychice tego chłopca walczyły ze sobą skomplikowane nurty: udręczenie, nicowanie własnej duszy, dziki bunt. Podobne katusze przeżywał Colin. Michael założyłby się o każdą sumę, że i Ben objawiał szaleńczą zajadłość w walce. Tacy ludzie jak on i Colin zachowywali się w walce inaczej niż większość żołnierzy. Będąc na co dzień uosobieniem łagodności, w ferworze walki stawali się szaleńczo odważni i dzielni jak mityczni herosi. Przeważnie takimi szaleńcami w boju byli ludzie, którzy pragnęli udowodnić coś samym sobie - zwłaszcza gdy ich konflikty duchowe stawały się źródłem rozlicznych kłopotów. Michael, idąc za głosem swego instynktu opiekuńczego, początkowo tylko współczuł Colinowi, ale w miarę jak mijały miesiące i zmieniały się kraje, w których przebywali, zaczął go darzyć jakąś szczególną sympatią i przyjaźnią. Dobrze się czuli razem w walce, zgadzali się ze sobą w życiu obozowym, a gdy byli na przepustce, nie mieli ochoty ani pójść na kurwy, ani upić się do nieprzytomności. Trzymali się razem w każdych okolicznościach i to wydawało im się pożądane i zupełnie naturalne. Czasem bliskość zamazuje ostrość widzenia i tak się stało z Michaelem. Dopiero gdy przybyli na Nową Gwineę, zaczął się domyślać, jakiego typu kłopoty przeżywa Colin. Do kompanii przydzielono nowego podoficera. Był to gruby, pewny siebie samochwała w randze pułkowego sierżanta

sztabowego, który wkrótce obrał sobie Colina za cel kpin i złośliwości. Michael z początku nie bardzo się tym przejmował, bo wiedział, że póki tam jest, sprawy nie posuną się dalej, niż on na to pozwoli. Sierżant jakoś zaakceptował granicę wyznaczoną przez Michaela i nie miał zamiaru jej przekroczyć. Jego docinki wobec Colina nie były zbyt częste i ograniczały się do nieprzyjemnych uwag i spojrzeń. Michael spokojnie czekał, bo był pewien, że gdy tylko pójdą do akcji, sierżant się przekona, jaki jest naprawdę pozornie słaby Colin.

Tymczasem pewnego dnia zastał Colina zupełnie rozstrojonego. Włożył wiele cierpliwości i starań, by się dowiedzieć, o co chodzi. I z przerażeniem usłyszał, że powodem cierpienia Colina są zaloty pułkowego sierżanta.

92

Colin wyznał Michaelowi, że ma homoseksualne inklinacje. Zdawał sobie sprawę, że to jest niewłaściwe, wiedział, że to wbrew naturze, pogardzał sobą, ale nic nie mógł poradzić. Wyznał przy tym, że obiektem jego pożądań nie jest bynajmniej pułkowy sierżant, ale właśnie Michael. Poznawszy prawdę, Michael nie odczuwał wstępu ani oburzenia czy zgorszenia, jedynie ogromny żal, współczucie i litość. Byli z Colinem serdecznie zaprzyjaźnieni i prawdziwie sobie oddani, jak mógłby odwrócić się od niego? Przeszli razem tak wiele! Długo rozmawiali i w końcu doszli do wniosku, że wyznanie Colina nie tylko nie zrobiło żadnego wyłomu w ich wzajemnych stosunkach, ale je jeszcze wzmocniło. Michael nie miał skłonności homoseksualnych. Ale nie mógł zacząć inaczej traktować Colina przez to, że on je miał. Uznał, że takie jest życie, tacy bywają mężczyźni i nic tego faktu nie zmieni. Wojna zmusiła go do prowadzenia

szczególne trybu życia, nauczyła go tolerować rzeczy, które jako cywil z miejsca by odrzucił. Musiał przyjmować życie takim, jakie jest, bo jedynym wyjściem była - dosłownie - śmierć. Jeśli się wybierało życie, trzeba było nauczyć się tolerancji. Póki go pozostawiano w spokoju, nie wchodził w prywatne życie innych.

Niemniej poczucie, że Colin kocha go jak kochanka, ogromnie obciążało go psychicznie. Czuł się jeszcze bardziej za Colina odpowiedzialny.

Nieemożność odwzajemnienia uczuć Colina tak, jakby on tego pragnął, kładła się ciężkim brzemieniem na sumienie Michaela. Chciał to Colinowi wynagrodzić, opiekując się nim i ochraniając go. Byli razem w tyłu bitwach, razem ocierali się o śmierć, znosili nędzę, głód, samotność, tęsknotę za domem, cierpieli poniewierkę i chorowali. Zbyt wiele ich łączyło, by można to było odrzucić. W poczuciu winy, że nie może się Colinowi w pełni odpłacić za jego miłość, Michael szukał sposobów rekompensaty przez świadczenie Colinowi takiej pomocy i usług, jakie mieściły się w jego naturze. A Colin, choć nie mógł przeżywać z nim wspólnych uniesień seksualnych, to jednak od owego pamiętnego dnia na Nowej Gwinei jakby rozkwitł i rozpromienił się wewnątrz.

Śmierć Colina była dla Michaela szokiem, z którego trudno mu było się otrząsnąć. Patrzył i nie wierzył własnym oczom, że taki drobiazg, malutki metalowy odprysk szybszy od dźwięku mógł zabić człowieka. Colin został trafiony w krótko ostrzyżone miejsce między karkiem a podstawą czaszki i umarł cicho, bez jednej kropli krwi, nawet się nie skrzywiwszy. Michael długo siedział przy nim trzymając go za rękę. Jakby wierzył, że sztywna,

93

zimna dłoń przyjaciela w końcu odwzajemni jego uścisk. Musiano siłą

rozłączyć te dwie dłonie, martwą i żywą, i wyperswadować Michaelowi nadzieję, że dopatrzy się isierki życia w tej spokojnej, Uśpionej twarzy. Colin wyglądał szlachetnie, jakby odpoczywał. Było w nim coś czystego, coś, co się nie dało sprofanować. Śmierć to zapewne wkrótce odmieni, bo zawsze tak robi; jest niepoahamowana i bezmyślna. Michael zastanawiał się, czy nieżywa twarz Colina naprawdę wyglądała jak twarz śpiącego, czy też on to chciał za wszelką cenę w niej zobaczyć. Tak bardzo chciał wierzyć, że Colin tylko usnął. Michael nieraz już odczuwał ból, ale nigdy tak straszny.

Gdy minął pierwszy szok po śmierci Colina, Michael z przerażeniem odkrył w sobie drugi nurt, płynący jakby obok tej jego bezgranicznej rozpacz. Ten drugi nurt niósł ze sobą cudowne uczucie wyswobodzenia się. Był wolny! Na zawsze odeszła zmora obowiązku nakazującego mu opiekować się kimś niezaradnym i słabym. Gdyby Colin żył, Michael nigdy by się nie uwolnił od obowiązku opieki nad nim. Być może nie przeszkodziłoby mu to szukać miłości gdzie indziej. Na pewno jednak osłabiłoby jego inicjatywę w tym względzie, bo chyba Colin nie oparłby się próbie zawładnięcia Michaeliem na dobre. A więc śmierć Colina, czy chciał tego czy nie, przyniosła mu wyzwolenie. Była to przygnębiająca świadomość.

Przez dłuższy czas po tej tragedii Michael trzymał się na uboczu. Żył samotnie, na ile to było możliwe ze względu na szczególną pozycję, jaką miał w batalionie. Dzielnych i odważnych w walce żołnierzy było w jego sławnym batalionie wielu, ale żaden z nich nie dorównywał Michaelowi. Dowódca mówił o nim, że jest uosobieniem wszelkich żołnierskich cnót, to znaczy że posiadał rzadko spotykany, bardzo wysoki stopień

wojskowego profesjonalizmu. Michael traktował swój pobyt w wojsku jak pracę i nigdy w niej nie zawiódł, bo miał na uwadze nie tyle siebie, ile przede wszystkim dobro sprawy. Nigdy nie działał w zaślepieniu, zawsze rozważnie. Można było na nim polegać, że bez względu na jakiegokolwiek prowokacje zachowa zdrowy rozsądek. Robił to, co do niego należy, nie patrząc na konsekwencje, nawet gdy w grę wchodziło jego życie.

Cokolwiek robił: kopał rów, szosę, okopy czy grób, zdobywał pozycje nie do zdobycia albo na własną odpowiedzialność postanawiał wycofać się, bo taka była jego ocena sytuacji - nigdy nie narzekał, nie robił trudności, nie zgłaszał zastrzeżeń do rozkazu, nawet jeśli już w myślach rozważał, czyby go nie

94

obejść. Działał uspokajająco na żołnierzy, dodawał im odwagi i pewności siebie. Koledzy uważali go za wspaniałego kompana i wierzyli, że przynosi im szczęście.

W jakiś czas po wylądowaniu na wyspie Borneo wysłano go ze zwykłą, rutynową - jak sądzono - misją. Ponieważ batalion miał mało oficerów, dowódcą wypadu mianowano tego samego pułkowego sierżanta sztabowego, który swego czasu prześladował Colina. Grupa składała się z trzech barek i ludzi. Instrukcja nakazywała im udać się w kierunku takiej to a takiej plaży, opanować ją i przedostać się w głąb lądu. Wcześniejszy rekonesans upewnił ich, że nie ma tam Japończyków. Gdy jednak rozpoczęto akcję, okazało się, że Japończycy są, i ponad połowa kompanii została w rezultacie ataku zabita lub ranna. Jednej barce udało się bez szwanku uciec, gdyż jej obsada nie zdążyła wylądować. Druga została zatopiona pod ogniem wroga. Michael, jeszcze jeden sierżant i dowodzący

pułkowy sierżant sztabowy zdołali się zebrać, ściągnąć tych żołnierzy, którzy nie byli ranni lub tylko lekko ranieni, i wspólnymi siłami zanieśli ciężko rannych na pokład trzeciej barki, wciąż utrzymującej się na wodzie. W pół drogi spotkali się z oddziałem ratowniczym, który miał ze sobą środki medyczne, plazmę i morfinę. Nie uszkodzona barka dopłynęła bowiem z powrotem do bazy i przysłała im w porę pomoc.

Pułkowy sierżant bardzo ciężko przeżył stratę tylu ludzi i sprzętu. Winą obarczał tylko siebie, gdyż było to jego pierwsze samodzielne dowodzenie i widać nie sprostał zadaniu. Michael nie pamiętając mu tego, co zdarzyło się na Nowej Gwinei z Colinem, czuł się w obowiązku pocieszyć go i robił,

co mógł, by go podnieść na duchu. Skutek był szokujący. Sierżant przyjął jego pomoc dosłownie "z otwartymi ramionami". Przez pięć straszliwych minut Michael bał się, że oszaleje. Ten zawsze rzeczowo myślący żołnierz, nad którym namiętności nigdy nie miały władzy, stał się teraz ofiarą cudzej chorej namiętności. Uświadomił sobie w tym momencie, że oto cały

potworny cykl zaczyna się na nowo: nie chciana miłość, bolesna służalczość,

on sam jako ofiara, a równocześnie przyczyna tego zamętu... Poczul do sierżanta straszliwą nienawiść; nigdy w swoim życiu nikogo tak bardzo nie nienawidził. Gdyby ten człowiek nie starał się uwieść Colina, nigdy by nie doszło do wplątania Michaela w te sprawy, bo Colin nie znalazłby w sobie dość odwagi, by przyznać mu się do swoich homoseksualnych skłonności. Na szczęście Michael nie miał przy sobie broni i posłużył się jedynie

rękami. Ale był sprawny, wściekły i działał przez zaskoczenie, co mu dawało przewagę. To wystarczyło, by unicestwić sierżanta. I zabiłby go, gdyby sierżant nie zdołał krzykiem wezwać pomocy i gdyby ta pomoc nie znajdowała się tak blisko.

Gdy szła minął, Michael kompletnie się załamał. Nigdy, przez wszystkie lata służby w wojsku nie czuł potrzeby zabijania, nie dawało mu to żadnej satysfakcji, nigdy nawet nie nienawidził swoich przeciwników. Ale teraz, trzymając ręce na szyi sierżanta, odczuł przyjemność dającą się porównać jedynie ze szczytowaniem seksualnym. Wciskał kciuki w kości gnykowe jego krtani i napawał się rozkoszą. Rządziła nim ta sama bezmyślna bestialska żądza mordy, którą tak bardzo potępiał dotąd u innych.

Tylko on jeden wiedział, co naprawdę czuł podczas tej strasznej sceny, i dlatego postanowił, że nie będzie się bronił przed karą - jakakolwiek by była. Nie szukał usprawiedliwień dla swego czynu, odmawiał wszelkich komentarzy poza jednym: chciał zabić!

Dowódca batalionu, jeden z najlepszych oficerów dowodzących, pod jakimi żołnierze mieli szczęście służyć, zmusił Michaela do odbycia z nim rozmowy, w której uczestniczył również pułkowy lekarz, wspaniały doktor i cudowny człowiek, humanista. Poinformowali Michaela, że dowództwo dywizji przejęło jego sprawę nie pytając ich o zdanie, że sierżant domaga się sądu wojennego i nie zgadza się, by skargę rozpatrywano na szczeblu batalionu.

- Cholernie głupie bydlę... - stwierdził beznamiętnie dowódca batalionu.

- On nie jest ostatnio sobą - usiłował go tłumaczyć Michael, czując, że jest niebezpiecznie blisko łez.

- Jeśli się będziesz nadal tak zachowywał jak dotąd, to cię skażą - ostrzegł Michaela lekarz pułkowy - i zostaniesz pozbawiony wszystkiego, co mógłbyś z dumą wynieść z tej wojny.

- Niech mnie skażą... - odpowiedział Michael znużonym głosem.

- Ach, daj spokój, Mike! - wtrącił dowódca. Jesteś wart dziesięciu takich jak on.

- Chcę to już mieć za sobą - wyznał Michael. - Jestem już tak cholernie zmęczony wojną, ludźmi, w ogóle wszystkim... Oficerowie wymienili spojrzenia.

- Tak! To ci jest teraz potrzebne: dobry odpoczynek! - oznajmił lekarz pułkowy. - Wojna ma się już ku końcowi. A gdyby tak dać ci

96

dobrze, wygodne łóżko w dobrym, wygodnym szpitalu wojskowym i jeszcze na dodatek ładną pielęgniarkę, która będzie cię doglądała?

Michael szeroko otworzył oczy. - To brzmi niebiańsko - powiedział.

- Co mam zrobić, żeby tam się dostać?

- Nic! Po prostu nadal zachowuj się jak głupek - zaśmiał się lekarz.

- Wyślę cię do bazy numer 15 jako podejrzanego o zaburzenia psychiczne.

Nie martw się, gdy opuścisz wojsko, w twoich papierach nie będzie o tym wzmianki. Na to daję ci słowo. Tylko w ten sposób możemy zmusić naszego sierżanta, żeby... schował rogi...

Pakt przypieczętowano. Michael złożył na ich ręce swój pistolet i amunicję. Zapakowano go do polowego ambulansu, zawieziono na lotnisko, a stamtąd już wprost do bazy numer 15.

"Dobre, wygodne łóżko, w dobrym, wygodnym szpitalu i ładna pielęgniarka, która będzie go doglądała". Czy siostra Langtry spełnia te

warunki? Myślał raczej o kobiecie około czterdziestki, tęgiej, macierzyńskiej, takiej, co to "nie przejmuje się głupstwami". Nie spodziewał się, że pielęgniarka okaże się energiczną szczupłą dziewczyną niewiele starszą od niego, tak pewną siebie, że niech się schowa niejeden brygadier, i z większym rozumem niż niejeden marszałek polny... Ocknął się z zamyślenia i zobaczył, że Ben wpatruje się w niego jak urzeczony szeroko otwartymi oczami. Uśmiechnął się doń z nie ukrywaną sympatią - zanim odezwały się w nim ostrzegawcze dzwonki alarmowe. "Nie, nie będę się już więcej poświęcał! Dla nikogo! Nawet dla tego biednego, wymizerowanego nieszczęśnika, który wygląda jak na wpół zagłodzony bezdomny pies. Nigdy, nigdy więcej! - ostrzegał go instykt samozachowawczy. - A może mu jednak pomóc - odezwało się sumienie - bo przecież gdy będę działał z pełną świadomością, to nie stanę się bezbronną ofiarą". I postanowił całkiem serio, że jeśli zaoferuje Benowi przyjaźń, to od razu zakreśli jej wyraźne granice. Nie podejrzewał Bena o to, że jest pedałem. Uważał, że Ben po prostu potrzebuje przyjaźni, a nikt z pacjentów oddziału X nie okazuje mu najmniejszego zainteresowania. "I nic dziwnego - myślał Michael. - Ben ma w sobie tę niepokojącą odrętwiałość, z jaką spotykałem się już nieraz u innych żołnierzy. Taka apatia z reguły pozbawiała ich przyjaciół. Nie dlatego, że odrzucali próby zaprzyjaźnienia się, ale że reagowali na nie dziwacznie: ni stąd, ni zowąd zaczynali recytować jakieś religijne hasła albo mówili o rzeczach, o których większość ludzi woli nie słyszeć. Ben na pewno przeraża dziewczyny na

człowieka pustego wewnątrz, którego życie jest emocjonalną pustynią. Nic dziwnego, że tak lubi siostrę Langtry. Ona jedna traktuje go normalnie, podczas gdy wszyscy inni uważają go za strasznego dziwaka. Nikt jednak nie wie, choć może niektórzy domyślają się, że Ben jest szalenie porywczy i miewa wybuchy niezwyklej gwałtowności. Chyba tylko Neil ma dość doświadczenia, by się tego domyślać".

Nagle Ben poruszył się. Twarz mu się skurczyła, nozdrza ściągnęły, oczy dziwnie rozbłysły; gdy jednak napotkał wzrok Michaela, znowu przybrał kamienny wyraz twarzy. Michael odwrócił się i zobaczył Lucjusza, który paradował po plaży i właśnie z najdalszego jej końca kierował się w ich stronę. Lucjusz naprawdę paradował: podnosił wysoko nogi, naśladowując paradny krok gwardii honorowej i maszerował ku nim z ogromną pewnością siebie, świadom swej wyższości. Słońce oświecało jego złociste ciało, uwydatniając długość i grubość jego penisa, co wpędzało w kompleksy wszystkich mężczyzn na plaży, uświadamiając im ich fizyczne niedostatki i wywołując cichą, brzydką zawiść.

- Świnia! - warknął Neil, wkopując się długimi kościstymi palcami w piasek, jakby chciał się zabawić w kreta i całego siebie zakopać. Boże!

- zawołał. - Gdybym miał więcej odwagi, przyłożyłbym bengalską brzytwę do tego pakunku, który on nosi przed sobą.

- Ach, jaka szkoda, że nie mogę go chociaż ten jeden raz zobaczyć...

- westchnął Matt.

- To jest widok, który należy utrwalić w pamięci - zapewnił kolegów wyraźnie rozbawiony Michael.

Lucjusz podszedł bliżej i zgrabnie obrócił się wkoło, żeby Stać wyżej od nich. Jedną ręką z roztargnieniem pieścił swoją bezwłosą pierś.

- Może ktoś zagra ze mną w tenisa? - spytał, przecinając powietrze ręką niby wyimaginowaną rakieta.

- A mamy tutaj kort tenisowy? - zdziwił się Michael. - Jeśli tak, to zagrałbym z tobą jednego seta.

Lucjusz patrzył na niego podejrzliwie, nie wierząc, że oferta jest poważna.

- Nabierasz mnie, bydlaku! - krzyknął.

- A ty mnie nie? - zaśmiał się Michael. Mówisz, że chcesz grać w tenisa, a kij masz jak do krykieta...

Matt i Neil roześmiali się na całe gardło. Nawet Ben się nie oparł i nieśmiało zachichotał. Plażowicze w pobliżu zawtórowali cichym śmiechem,

98

bo wstyd im było, że podsłuchują. Lucjusz stał przez chwilę zupełnie oszołomiony i nie wiedział, jak się zachować. Ale jego niepewność trwała bardzo krótko. Po chwili wzruszył ramionami i poszedł w stronę morza, jakby od początku tylko do tego zmierzał.

Przechodząc obok Michaela, rzucił przez ramię: - To bardzo dobrze, że zauważyłeś... Cieszę się...

- Jak mógłbym nie zauważyć takiej wieży! Z początku myślałem nawet, że to jakaś pozostałość po moście w porcie Sydney - zawołał za nim Michael. Grupa plażowiczów obok nich przestała udawać, że nie słucha, i wybuchnęła głośnym śmiechem. Wielki moment Lucjusza zamienił się w farsę. Neil rzucił dla żartu garścią piasku w stronę Michaela. - Masz u mnie piątkę, synu - powiedział. - Nie masz pojęcia, jak załuję, że nie ja mu to powiedziałem.

Gdy siostra Langtry przyszła nieco po piątej na dyżur i zobaczyła, że jej

podopieczni głośno manifestują swoją sympatię do Michaela, ogarnęła ją taka radość, że miała ochotę śmiać się i powiewać chorągiewkami.

Uważała to za ważne, by go polubili, mimo iż został im narzucony w ostatniej chwili, tuż przed rozwiązaniem szpitala. Dlaczego to było takie ważne, nie umiałyby powiedzieć. Podejrzewała, że pragnie tego raczej ze względu na Michaela niż na innych pacjentów.

Z początku Michael budził w niej tylko ciekawość, potem zaangażowała się w jego sprawę w imię sprawiedliwości, wreszcie szczerze się nim zainteresowała. Jeśli żywiła jakieś obawy, czy uda mu się zadomowić na oddziale X, to związane one były nie tyle z Michaelem, ile z Neilem, który był tu kimś w rodzaju przywódcy. Neil nie powitał go zbyt serdecznie. Może się tylko zgrywał, ale nie wolno było zapominać, że on tu przewodzi, że ma pewną władzę, że inni, nawet Lucjusz, biorą z niego przykład, a więc od niego tylko zależy, czy życie na oddziale stanie się rajem czy piekłem na ziemi.

Gdy siostra odkryła, że Neil zaczął traktować Michaela jak równego sobie, poczuła dla niego dużą wdzięczność. "Teraz już nic Michaelowi nie grozi - pomyślała. - Pozostałym pacjentom też powinno być z nim dobrze".

Ben ogromnie ucieszył się wiadomością, że Michael gra w szachy. Szachy były jego ulubioną i chyba jedyną rozrywką, miał jednak kłopoty ze znalezieniem partnerów. Neila szachy nudziły, a Nugget nie czuł się na siłach, by w nie grać. Matt chętnie grywał w szachy wtedy, gdy mógł widzieć szachownicę i pionki. Od kiedy jednak stracił wzrok, doszedł do

99

wniosku, że wyobrażanie sobie ruchów na szachownicy na dłuższą metę, za bardzo go męczy. Lucjusz grał dobrze, ale zawsze denerwował Bena, bo

zamieniał walkę czarnych z białymi w metaforyczną walkę - między dobrem a złem. Widząc, że Bena rozstraja gra z Lucjuszem, siostra uznała, że nie jest to dla niego wskazane, i zabroniła im grać.

Zaraz po kolacji Ben wyjął szachy i z radością usadowił się na ławce naprzeciw Michaela. Obserwując tę scenę, siostra doszła do wniosku, że nareszcie jej oddział zjednoczył się. "Jak to dobrze mieć sprzymierzeńca" - pomyślała i wspaniałomyślnie przyznała, że Michael odniósł sukces z Benem, co jej nie zawsze się udawało.

Rozdział Dwunasty.

Lucjusz miał niektóre kocie cechy: nie tylko chodził jak kot, ale także widział w ciemności. Nie potrzebował więc latarki i pewnym krokiem poruszał się pomiędzy opustoszałymi pawilonami, zmierzając do znanego sobie miejsca na końcu plaży dla pielęgniarek. Wznosiło się tam wysokie usypisko kamieni z kopalni odkrywkowej, które siostra Langtry mylnie wzięła za cypel.

Żandarmeria nie była ostatnio zbyt rygorystyczna i Lucjusz dobrze o tym wiedział. Wojna się skończyła. Baza numer 15 była cicha niczym trup, jakim wkrótce już miała się stać. Nie wyczuwało się złej atmosfery ani żadnych niepokojów. Czuje anteny żandarmeri rejestrowały zupełny bezruch.

Tego wieczoru Lucjusz miał ważne spotkanie na plaży. Czuł się silny, lekki i aż do bólu podniecony. Czekala tu na niego panienska z jego rodzinnego miasteczka, szacowna córeczka miejscowego dyrektora banku. Niełatwo mu było namówić ją na nocne spotkanie. Zgodziła się dopiero wtedy, gdy sobie uświadomiła, że ma tylko dwie możliwości: albo spotka się z nim ukradkiem i nielegalnie, albo zrobi to na oczach licznie

zgrupowanych pielęgniarek obserwujących ich z okien mesy.

Dziewczyna była pielęgniarką w randze oficera, Lucjusz zaś tylko szeregowym żołnierzem. Wprawdzie niewinne spotkanie starych kumpli ze szkoły nie było oczywiście zabronione, jednak jakiegokolwiek intymne stosunki między nimi musiałyby się źle skończyć.

100

Czekałaby ją ostra reprimenda i postępowanie dyscyplinarne ze strony siostry przełożonej, która była niezwykle rygorystyczna, jeśli chodzi o przestrzeganie regulaminu. Te względy ostatecznie przeważyły i dlatego udało mu się namówić ją, żeby spotkali się nocą na plaży. Lucjusz nie miał żadnych wątpliwości, jak się sprawy potoczą dalej.

Nie było księżycy, który by mógł ich zdradzić, ale w tym ciemnym i tchnącym spokojem miejscu niebo błyszczało nieziemską wspaniałością.

Poplątane ze sobą chmury mgławic i roje gwiazd lśniły wzdłuż Drogi Mlecznej delikatnym, zimnym światłem, osrebrzając cały krajobraz.

Lucjusz nie miał więc kłopotu z odnalezieniem jej, choć stała pośród głębokich cieni. Zbliżył się cichutko i stanął obok niej.

- Nie słyszałam, jak nadchodzisz - szepnęła, lekko się wzdragając.

- Chyba ci nie jest zimno? Noc taka ciepła... - Rozcierał gęsią skórkę na grzbiecie jej dłoni przyjacielskim, choć obojętnym gestem.

- To z nerwów! Nie jestem przyzwyczajona wymykać się w ten sposób. To nie to samo co kiedyś, gdy się wymykałam po kryjomu z przyzwoitego, bezpiecznego domu dla pielęgniarek w Sydney.

- Uspokój się, nic nam nie grozi. Siądźmy sobie gdzieś wygodnie i zapalmy papierosa. - Trzymając ją za łokieć, pomógł jej wygodnie rozsiaść się na piasku. Usiadł dość daleko od niej, by się poczuła pewniej. - Nie

chcę być bezczelny, ale może masz jakieś prawdziwe papierosy? Mógłbym ci wprawdzie skrócić jednego, ale nie wiem, czy lubisz papierosy własnej roboty. - Gdy mówił, jego zęby błyszczały w ciemności.

Sięgnęła do kieszeni kurtki i wyjęła paczkę papierosów Craven "A". Wziął ją od niej ostrożnie, uważając, by się nie dotknęli palcami. Potem odegrał małą intymną scenkę, zapalając papierosa w swoich ustach i przekazując go jej już zapalonego. Następnie wyjął pudełko z tytoniem i spokojnie zrobił sobie skręta.

- Czy nikt nie zobaczy ogników naszych papierosów? - spytała zaniepokojona.

- To mało prawdopodobne - zapewnił ją. - Tutejsze pielęgniarki raczej dobrze się prowadzą, więc żandarmeria polowa nie zawraca sobie głowy kontrolowaniem takich miejsc jak to.

Odwrócił głowę, by przyrzeć się jej profilowi. - A co słyhać w naszym starym poczciwym grajdołku?

- Pusto tam teraz.

Niełatwo mu było zadać jej to pytanie, ale się zmusił:

101

- Nie wiesz, jak tam moja mama i siostry?

- A kiedy słyzałeś o nich ostatnio?

- Minęło już dobrych parę lat...

- Nie piszą do ciebie?

- Owszem, piszą, ale nie czytam ich listów.

- Więc po co udajesz, że się nimi interesujesz, i pytasz mnie o nie? Nie spodziewał się, że jest taka bystra. - Przecież musimy o czymś mówić... - odpowiedział łagodnie i dotknął jej ręki. - Jesteś

zdenerwowana?

- Zachowujesz się tak samo jak w szkole...

- Nie! Zbyt dużo wody upłynęło od tego czasu.

- Czy miałaś jakieś straszne przeżycia? - spytała z troską w głosie.

- Chodzi ci o wojnę? Czasami. - Myślał o swoim wygodnym i bezpiecznym biurze i trzęsącym się jak galareta majorze, jego formalnym szefie, choć tak naprawdę było akurat odwrotnie. - Mężczyzna musi spełnić swój żołnierski obowiązek, przecież wiesz...

- Ach tak! Wiem!

Przez chwilę milczeli, potem szepnął: - Jak to dobrze zobaczyć znajomą, przyjacielską twarz.

- I ja się cieszę z naszego spotkania. Wiesz, byłam szczęśliwa, gdy udało mi się zwolnić z pracy i pójść do wojska. Ale rozczarowałam się. Życie w wojsku okazało się inne, niż myślałam. Oczywiście byłoby inaczej, gdyby wojna wciąż jeszcze trwała... Baza numer 15 to martwe miejsce.

Zaśmiał się cicho. - Dobrze je określiłaś.

Pytanie, które teraz zadała, wysnęło jej się tak nagle, że nie zdążyła ugryźć się w język. - A co ty robisz na oddziale dziesiątym?

Miał na to gotową odpowiedź. Wymyślił ją, gdy uświadomił sobie, jakie są jego prawdziwe zamiary wobec miłej krajanki z rodzimego grajdołka.

- To po prostu zmęczenie walką. Rzecz najzwyczajniejsza w świecie!

- stwierdził, wydając potężne, długie westchnienie. Zdarza się nawet najlepszym spośród nas...

- Ach, Lucjuszu!

"To najgorszy dialog, jaki kiedykolwiek napisano - pomyślał. - Ale takie właśnie jest życie. Po cóż tracić czas na Szekspira, gdy wystarczy

Daggett".

- Już ci cieplej?

- O tak, znacznie. Powiedziałabym nawet, że mi gorąco.

- To może trochę popływamy?

102

- Teraz? Nie mam kostiumu.

Zmilczał, policzył do czterech i powiedział: - Jest ciemno. Wcale cię nie widzę, a zresztą nawet gdybym mógł cię zobaczyć, to i tak nie będę patrzył.

Oczywiście dobrze wiedziała, tak jak i on, że zgadzając się na to spotkanie, jak gdyby z góry przyzwałała mu na wszelką śmiałość. Uważała jednak, że dla formy wypada się podroczyć, gdyż rytuałowi powinno stać się zadość. W przeciwnym razie nie będzie miała czystego sumienia, a duchy przodków nie zaznają spokoju. Pragnęła go i chciała zostać jego kochanką, ale niech nie myśli, że jest tania czy łatwa. - Dobrze - powiedziała - wejdę do wody, ale pod warunkiem, że ty wejdiesz pierwszy i zostaniesz tam, dopóki nie wyjdę i nie ubiorę się.

- Zgoda! - zawołał. Zerwał się i niemal błyskawicznie zrzucił z siebie ubranie, zupełnie jakby to długo trenował.

Bała się, że jej się zgubi gdzieś w wodzie, więc pobiegła za nim najszybciej jak potrafiła, chociaż nie miała wprawy w szybkim zdejmowaniu butów i getrów.

- Lucjuszu, gdzie jesteś? - szeptała brodząc, póki woda nie doszła jej do kolan. Obawiała się, że dla kawału może ją nagle objąć lub złapać za nogę.

- Tu jestem! - odpowiedział z bardzo bliska. Powróciła jej pewność siebie.

Okazało się, że wcale nie zamierza jej za nic łapać.

Odetchnęła z ulgą, dalej brodziła po wodzie i podskakiwała, co chwila zanurzając się, aż woda przykryła jej plecy.

- Prawda, że przyjemnie tutaj? - spytał. - Chodź, popływajmy! Popłynęła za fosforyzującym błyskiem jego śladu na wodzie, silnie pracując rękami i nogami. Po raz pierwszy w życiu doznała uczucia rozkosznej swobody, jaką daje nagość niesionego przez fale ciała. To ją zbyt podnieciło, zawróciła i raz jeszcze popłynęła przed siebie. Już go teraz nie wypatrywała i nie wiedziała, czy płynie przodem czy też tuż obok.

Czuła się jak w jakimś zaczarowanym, cudownym śnie; jej myśli śmigają naprzód pozostawiając w tyle unoszące się na wodzie ciało. Była już po uszy zakochana w Lucjuszu. Nie trzęsała się nad swoją cnotą, bo nie była dziewicą; doskonale wiedziała, jaki będzie ciąg dalszy dzisiejszego wieczoru. A że jej partnerem miał być Lucjusz, była przekonana, że to, co ją czeka, będzie fajniejsze niż wszystko, co się jej dotąd przydarzało. Jeszcze silniej uwierzyła, że rządzi nią jakaś czarodziejska moc, gdy kątem oka dostrzegła, że Lucjusz płynie tuż obok niej. Spróbowała

103

dotknąć stopami dna, zgruntowała i stanęła czekając, by ją pocałował. Ale zamiast ją całować, Lucjusz chwycił ją w ramiona, uniósł do góry i wyszedłszy z wody skierował się ku miejscu, gdzie zostawił na ziemi swoje rzeczy. Ułożył na nich dziewczynę, usiadł obok niej, a gdy wyciągnęła do niego ręce, wtulił twarz w jej szyję. Gdy poczuła na szyi jego zęby, wygięła się łukiem jęcząc z rozkoszy. Ale już po chwili ten dźwięk zamienił się w zduszony jęk bólu. To, co z nią robił, nie było delikatnym szczypaniem jej skóry chwytliwymi wargami. On ją gryzł,

naprawdę gryzł. Z milczącym, dzikim, miażdżącym okrucieństwem. Z początku znosiła to, myśląc, że zaraz przestanie, że kieruje nim pożądanie, ale ból nie ustawał i stał się nie do zniesienia. Chciała uciec, zaczęła z nim walczyć, ale nie mogła się wydostać z jego ciężkiego, niewiarygodnie mocnego uścisku. Wreszcie ulitował się i przeniósł usta z szyi na jedną z jej piersi. Teraz kąsał ją mniej boleśnie, ale wkrótce znowu zwiększył się nacisk jego zębów. Nie mogła już dłużej powstrzymać okrzyku przerażenia. Czowała, że on chce ją zabić i że zrobi to zaraz, tu, na miejscu, gdzie leży.

- Przestań, Lucjuszu! Proszę cię, błagam, przestań, sprawiasz mi ból!

Te jęczące, płaczliwe słowa widać w końcu do niego dotarły, bo przestał ją gryźć i zaczął całować pierś, którą przed chwilą tak okrutnie zmaltretował. Ale te pocałunki były powierzchowne, byle jakie i szybko ustały.

"Już wszystko będzie dobrze" - pomyślała. Znowu go kochała jak za dziecinnych lat i pożądała, dając mu to poznać wzdychaniem i cichym mruzeniem. Lucjusz umieścił się teraz nad nią i opierając się na rękach, gwałtownym ruchem rozdzielił jej kolana, wciskając między nie swoje nogi. Poczowała ślepe uderzenia jego członka o swoje ciało. Sięgnęła dłonią, by go poprowadzić, i gdy znalazła to miejsce, gwałtownie zadrżała.

Chciała poczuć na sobie jego ciężar, dotykać jego muskółów, chwyciła go więc za ramiona i usiłowała przyciągnąć w dół, ku sobie. Pragnęła, by opasał ją ramionami, podłożył dłonie pod jej krzyż i mocno do siebie przytulił. Ale on nie miał zamiaru zbliżyć swego ciała i nadal odstawał od niej na całą długość ramion. Opierał się na dłoniach i dotykał jej tylko tam, gdzie uważał za konieczne, tak jakby dotknięcie jej gdzie indziej mogło osłabić jego cenną energię - przeznaczoną do jednego tylko celu. Gdy po

raz pierwszy wdarł się w nią z całej siły, zasyczała z bólu, ale była młoda, wilgotna, zrelaksowana i bardzo pragnęła tego zbliżenia, więc wystarczyło, że zaparła się stopami o ziemię i w ten sposób zmniejszyła głębokość, do jakiej mógł swoimi uderzeniami dotrzeć. Po chwili pochwyciła rytm jego

104

ciała i poruszała się zgodnie z nim. Nie cofała się, gdy on parł do przodu, za każdym razem unosiła się do góry, by spotkać jego natarcie.

Wolałaby, by ją objął, zamiast trzymać się z daleka, i cały czas chciała czuć go bliżej siebie, mimo to zaczęła odczuwać przyjemność. Jego dziwna pozycja osłabiała bodźce, które były jej potrzebne do osiągnięcia rozkoszy. Dlatego minęło z dziesięć minut, zanim doszła do szczytowania. Orgazm przyniósł jej ogromną i dziką rozkosz. Nigdy dotąd nie doznała niczego podobnego. Kloniczne skurcze objęły całe jej ciało i wstrząsały nią niby jakaś ekstatyczna epilepsja.

Była mu wdzięczna, że kontrolował się tak długo, by sprawić jej rozkosz, i teraz oczekiwała, że pójdzie w jej ślady i szybko osiągnie orgazm. Ale nic takiego się nie stało. Ponure, nieustające, obsesyjne uderzanie w nią trwało, trwało i trwało. Zaczęła się dusić z wyczerpania, osłabła i wyschła w środku. Wytrzymała to przez jakiś czas, ale przyszedł moment, że już dłużej nie mogła.

- Na miłość boską! - krzyknęła. - Wystarczy! Już dość!

Natychmiast się wycofał, wciąż w wzwodzie, nie osiągnąwszy szczytowania. I to ją kompletnie załamało. Nigdy dotąd nie czuła się tak wyprana z radości, tak zupełnie pozbawiona słodczy zwycięstwa. Nie miało sensu zadawanie mu nieodzownego pytania: "Czy ci było dobrze?" -

bo wyraźnie widziała, że nie było...

Ale przejmowanie się tym, co dotyczyło innych, nie leżało w jej naturze. Jeśli nie odczuł zadowolenia, to jego zmartwienie, nie jej. Leżała jeszcze przez chwilę, mając nadzieję, że może ją ucałuje lub obejmie, ale nie zrobił tego. Od chwili gdy wyniósł ją z wody, aż do końca stosunku ani razu jej nie pocałował, jakby dotknięcie ustami jej ust miało mu zepsuć całą przyjemność. A czy on w ogóle odniósł z tego stosunku jakąś przyjemność? "Chyba tak - myślała - bo przez cały czas był twardy jak skała".

Złączyła nogi, przekręciła się i opierając się na łokciu zaczęła szukać papierosów. Gdy je znalazła, Lucjusz wyciągnął rękę, by i jego poczęstowała. Zapalił. Błysk zapałki oświetlił jego twarz: była bez wyrazu. Długie, ciemne rzęsy opuścił w dół, by ukryć oczy. Mocno zaciągnął się papierosem i wydychając dym, zgasił zapałkę.

"Chyba dogodziłem tej głupiej suce - pomyślał leżąc na plecach z rękami pod głową, trzymając papierosa w lekko przymkniętych wargach. - Trzeba je rypać tak długo, aż zaczną błagać o litość. Nie będą miały wtedy prawa narzekać czy krytykować". Nie miało dlań żadnego znaczenia,

105

ile taki stosunek będzie trwać. Gdyby musiał, mógłby to robić całą noc. Gardził seksem, gardził dziewczynami, gardził samym sobą. Seks był tylko instrumentem, którym posługiwał się drugi instrument, ten który znajdował się między jego nogami. A on już dawno poprzysiągł sobie, że nigdy nie będzie narzędziem żadnego z nich. Zawsze będzie operatorem. On będzie mistrzem, a one jego sługami. Niestety, były i takie osoby jak Helen Langtry, których nie potrafił nagiąć do swojej woli, gdyż nie

pociągały ich ani sługi, ani mistrz. Boże, ile dałby za to, żeby widzieć Langtry na kolanach, błagającą i proszącą o każde z osobna i oboje razem - o sługi i o mistrza.

Spojrzał na zegarek, było pół do dziesiątej. "Czas już wracać, pomyślał - bo mógłbym się spóźnić, a nie mam zamiaru dać siostrze Langtry tej satysfakcji, by mogła napisać na mnie raport do pułkownika "Ważnego"".

Wyciągnął rękę i wyciął leżącej obok dziewczynie zgrabnego klapsa w tyłek. - Wstawaj, kochanie, czas na nas, już późno. Pomógł jej się ubrać, wykazując skrupulatną dbałość o każdy szczegół. Ukląkł przed nią jak pokojówka, by zasznurować jej buciki i zapiąć getry. Oczyszczył ją z piasku, pomógł włożyć szary tropikalny żakiet, zapiął jej pasek i nawet jej kapelusz z wywiniętym rondem uformował według swojego uznania. Jego ubranie było miejscami mokre od morskiej wody, ale nie zwrócił na to uwagi; włożył je bez ociągania.

Odprowadził ją aż do miejsca, gdzie zaczynały się bloki dla pielęgniarek. Przez cały czas trzymał ją za łokieć i prowadził przez ciemne wertepy, wewnętrznie chłodny, z udaną troskliwością. Wyczuwała to i wściekała się w duchu.

- Zobaczymy się jeszcze? - spytała, gdy się zatrzymał. Uśmiechnął się. - Całkiem na pewno, kochanie.

- Kiedy?

- Za parę dni. Nie możemy tego robić zbyt często, bo nas przyłapią. Przyjdę złożyć ci uszanowanie na werandzie twojej mesy i Wtedy się umówimy. Dobrze?

Stała na palcach i nieśmiało ucałowała go w policzek. Ostatni odcinek

drogi do domu przebyła już sama.

A Lucjusz, gdy tylko odeszła, znowu zamienił się w kota: zanurzył się w ciemnościach, ostrożnie omijając plamy światła. Gdy znalazł się wśród domów, trzymał się blisko ścian.

Po drodze wrócił do myśli, która towarzyszyła mu przez cały czas, gdy się kochał z pielęgniarką: sierżant Wilson. Bohater! Zarozumiała ciota, ot co!

106

Jakiś zapędzony w kozi róg dowódca, aby uniknąć hańby sądu wojennego, odesłał go na oddział X. Mógłby się założyć, że tak właśnie było. "Czy to nie dziwne - zastanawiał się - że nowi pacjenci, przybywający na oddział teraz, są bardziej zbikowani niż poprzedni?" Zorientował się od razu, że siostra Langtry uważa tego nowego za normalnego. Oszukał ją, po prostu nabrał. Oczywiście nie uwierzyła w to, co wyczytała w jego papierach. Żadna kobieta nie wierzy w te rzeczy, zwłaszcza gdy facet jest taki męski i silny jak sierżant Wilson. O takiego się chyba ta stara panna całe życie modliła. Miał jednak wątpliwości, czy na pewno Wilson będzie spełnieniem jej modłów. Przez długi czas sądził, że ten przywilej stanie się udziałem Neila. Ale w tej chwili nie był już tego taki pewny. Sam miałby ochotę pomodlić się o to, by Langtry wolała sierżanta Wilsona od kapitana Parkinsona. Wtedy byłoby mu o całe niebo łatwiej zrobić to, co zaplanował, a mianowicie sprawić, by Langtry czołgała się przed nim na kolanach.

Poczuł nagle, że strasznie bolą go jądra, i zatrzymał się pod zasłaniającą go ścianą jednego z pawilonów, aby się wysiusiać. Ale ten cholerny mocz jak zwykle nie chciał się zjawić. Zawsze trwało całe wieki, zanim mógł się wysiusiać. Przedłużał swoje starania, jak długo mógł, i robił wszystko, by

strumień popłynął: trzymał ten pogardzany, lecz cenny instrument między palcami, marszczył na nim skórę tam i z powrotem i powoli ogarniała go desperacja. Wszystko na nic, skutku nie było. Raz jeszcze rzucił okiem na zegarek i stwierdził, że nie może czekać. Trudno, będzie musiał znosić ten ból jeszcze trochę dłużej.

Część Trzecia.

Rozdział Trzynasty.

Michael już od prawie dwóch tygodni był pacjentem oddziału X, gdy siostrę Langtry zaczęły dręczyć jakieś dziwne przeczucia. Nie było to bynajmniej oczekiwanie czegoś miłego, lecz jakaś czająca się groza, nie mająca absolutnie żadnego odbicia w rzeczywistości. Przeciwnie, rzeczywistość zdawała się mieć wszelkie cechy stabilności i w pełni siostrę zadowalała. Nie było żadnych podziemnych nurtów: wszyscy Michaela lubili i on lubił wszystkich. Chłopcy byli bardziej zrelaksowani i na pewno mieli teraz większe wygody, skoro Michael obsługiwał ich jak kelner, przynosił i wynosił co trzeba i wszystko to z uśmiechem na ustach. Wyjaśnił jej, że przecież nie może bez końca czytać, a chwile nieróbstwa na plaży stanowią dla niego Wystarczający relaks. Tłumaczył, że czuje potrzebę ruchu nie dla samego ruchu, ale z jakimś celem. A więc ilekroć była potrzeba, robił ślusarskie reperacje, przybijał gwoździe, coś tam naprawiał. Pomyślał nawet o tym, by doszyć poduszkę do biurowego fotela siostry. Podłogi niemal lśniły, a świetlica

była uprzątnięta jak nigdy dotąd.

A jednak niepokój siostry nie ustępował. "Michael działa jak katalizator - myślała. - Potęguje jakieś reakcje". Być może dla niego samego i dla jego charakteru to jest zupełnie nieszkodliwe, ale nie wiadomo jak to się odbije na oddziale. To prawda, że jest lubiany i lubi swoich kolegów. Prawdą jest także, że nikt na oddziale nie bawi się w jakieś spiskowanie czy potajemne działanie. A jednak od chwili przybycia Michaela coś się zmieniło. Nie umiała powiedzieć, co i na czym polegała różnica. Być może zmieniła się tylko atmosfera.

Upał był trudny do zniesienia. W powietrzu panowała zupełna cisza.

Najmniejszy ruch ciała wywoływał strumienie potu. Wody oceanu za rewą przybrały kolor ponurej zieleni. Horyzont poszarzał. A gdy nastąpiła pełnia księżycy, zaczęło padać: przez dwa dni lało straszliwie i bez przerwy.

Wprawdzie zniknął dzięki temu kurz, ale zrobiło się błoto. Wszędzie wystąpiła pleśń: na moskitierach, prześcieradłach, parawanach, książkach, butach, odzieży, na przedmiotach z drewna, na chlebie. Ponieważ plaża była zamknięta, pleśń uchroniła pacjentów oddziału od śmiertelnej nudy. Siostra Langtry zarządziła bowiem i twardo to egzekwowała - by chłopcy zajęli się ścieraniem pleśni szmatkami

110

namoczonymi w spirytusie. Zabroniła również pacjentom wchodzić na oddział w butach. Czy się wchodziło od frontu czy od tyłu, trzeba je było zostawiać przed drzwiami. A jednak drogą jakiejś swoistej osmozy błoto przedostawało się do wnętrza i wszędzie było go pełno. Dzięki temu pacjenci mieli dodatkowe zajęcie, cały dzień chodzili z wiadrami, szczotkami, szmatami do podłóg i bezustannie je zmywali.

Na szczęście ten deszcz nie działał przygnębiająco. Inaczej bowiem niż na wyższych szerokościach geograficznych, gdzie deszcze są słabsze, ale chłodniejsze, ten nie zasnuwał słońca w jego wędrówce po firmamencie. Póki nie zadomowił się na dobre, miał w sobie nawet moc pobudzającą. Napęłniał ludzkie myśli przemożnym poczuciem siły. Dopiero kiedy rozpadał się na dobre, to znaczy w porze monsunów, stawał się w skutkach o wiele gorszy niż inne deszcze. Był bezlitosny i wszechobecny, a ludzie bezsilni i rozbiegani niczym mrówki.

Ale ten deszcz zjawił się za wcześnie, by mógł być początkiem monsunu. Gdy się rozjaśniło, nawet ów brudny i brzydki kompleks budynków, określany mianem bazy numer 15, nieoczekiwanie wypiękniał - do czysta umyty, wyszorowany i spłukany.

"Ach tak, widać o to chodziło - myślała siostra Langtry, czując ogromną ulgę. - Nie wiedziałam, skąd te złe przeczucia, a to wszystko z powodu deszczu. Zawsze tak na mnie wpływa i na nich też".

- Jakie to głupie! - powiedziała, wręczając Michaelowi wiadro z brudną wodą.

Grupa pacjentów oddelegowanych do mycia podłogi w brudowniku skończyła już sprzątanie, a Michael dopieszczał jeszcze ostatnie szczegóły. Tamci chłopcy złożyli już narzędzia i zażywali dobrze zasłużonego odpoczynku na werandzie.

- Co jest głupie? - spytał, wylewając wodę do zlewu. Potem dokładnie wytarł do sucha jego chromowaną powierzchnię.

- Miałam uczucie, że szykuje się jakiś kłopot; teraz sędzę, że po prostu zanosilo się na deszcz. Tak długo jestem już w tropikach, że można by się spodziewać, iż lepiej się na tym znam. - Oparła się plecami o framugę

drzwi i obserwowała go z podziwem: jak precyzyjnie wykonuje każde zadanie i jak gładko mu to idzie.

Rozwiesił ścierkę na brzegu wiadra, wyprostował się, obrócił i spojrzał na nią z rozbawieniem. - Zgadza się! To do pani podobne, siostrzyczko! - Przeszedł obok niej, wziął do ręki koszulę, która wisiała na gwoździu za

111

drzwiami, i włożył ją. - Deszcze w tropikach rzeczywiście po jakimś czasie działają przygnębiająco. Tu wszystko jest takie skrajne; nie ma nic pośredniego. Tak! Nie pamiętam, żebyś się dawniej w domu czuł nieswojo, gdy przez parę dni padał deszcz. Ale w tych stronach widziałem, jak to doprowadza ludzi do szaleństwa, niemal do morderstwa.

- Czy tak właśnie było w twoim przypadku?

Jego uśmiechnięte oczy na chwilę się zatroskały, ale zaraz wrócił do nich uśmiech. - Nie!

- A jeśli to nie było z powodu deszczu, to dlaczego?

- To już moja sprawa - powiedział figlarnym tonem.

- Obecnie jest to również moja sprawa - odparła i policzki jej poczerwieniały. - Och, dlaczego nie rozumiesz, że lepiej o pewnych rzeczach mówić? Jesteś tak samo zamknięty w sobie jak Ben.

Zapiął koszulę i włożył ją do spodni. Nie widać było po nim cienia nieśmiałości. - Nie denerwuj się, siostrzyczko; nie musisz się o mnie martwić.

- Wcale się o ciebie nie martwię, ale wystarczająco długo zajmuję się dziesiątką, by wiedzieć, że lepiej, gdy moi pacjenci mówią o swoich sprawach.

- Nie jestem siostry pacjentem - powiedział i stanął tak, jakby oczekiwał,

że zejdzie mu z drogi.

Nie zrobiła tego. Nadal stała w tym samym miejscu, raczej zmartwiona niż zła. - Ależ Mike, przecież to oczywiste, że jesteś moim pacjentem!

Przyznaję, że bardzo spokojnym pacjentem, ale nie zostałeś chyba przysłany na oddział bez poważnego powodu.

- Był powód, i to bardzo poważny: usiłowałem zabić człowieka.

- Dlaczego?

- W moich papierach napisano, jaki był powód.

- Dla mnie nie jest to wystarczający powód. Nie rozumiem treści twoich dokumentów - dodała twardo. - Przecież nie jesteś homoseksualistą?

- Skąd siostra wie? - spytał chłodno.

- Wiem! - odpowiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

Zaśmiał się, odrzucając głowę do tyłu. - Dobrze, siostrzyczko! Ale skoro dla mnie nie ma większego znaczenia powód, dla którego tu jestem, to czemu by to miało mieć znaczenie dla pani? Cieszę się, że tu jestem! To wszystko!

112

Odsunęła się od drzwi i weszła do środka. - Nie wiem, dlaczego ze mną walczysz. Co ty usiłujesz ukryć? Czyżby to była aż taka tajemnica, że w żaden sposób nie możesz mi jej wyjawić?

Przez chwilę był tak zdumiony, że nawet porzucił swoją zwykłą ostrożność. Wyczytała w jego spojrzeniu ogromne zmęczenie, irytację, wewnętrzne skłócenie i to ją zupełnie rozbroiło.

- Nie, nie musisz mi odpowiadać - powiedziała. - Nawet się nie staraj! - dodała i uśmiechnęła się przyjaźnie.

Wyraz jego twarzy złagodniał. Spojrzał na nią z sympatią.

- Niezbyt chętnie mówię o sobie, siostrze. Nie potrafię.
 - Czy boisz się, że mogłabym cię źle osądzić?
 - Nie, ale nie umiem znaleźć właściwych słów; jakoś mi się to nie udaje, w każdym razie nie wtedy, gdy trzeba. Może znalazłbym je o trzeciej nad ranem i wiedziałbym wtedy, jak ich użyć...
 - Z każdym tak bywa. Ale najważniejsze, żeby zacząć mówić. Jeśli zaczniesz, pomogę ci ciągnąć to dalej, bo bardzo chciałabym ci pomóc.
 - Siostrzyczko! - westchnął. - Ja naprawdę nie potrzebuję pomocy. Poddała się. Postanowiła przynajmniej na razie dać mu spokój.
 - No to powiedz mi, co sądzisz o Benedykcie?
 - Czemu pytasz o Bena mnie?
 - Bo tobie udaje się z nim dokonać tego, czego ja nigdy nie potrafiłam. Nie myśl, że jestem zazdrosna. Bardzo się z twego sukcesu cieszę, ale jestem ciekawa, na czym to polega.
- Spuścił głowę i namyślał się. - Powiedziałem już, siostrze, że mówienie nie jest moją mocną stroną. - Co ja o nim myślę? Lubię go. Współczuję mu. Ben nie jest zdrowy...
- Czy sądzisz, że to się zaczęło od tego strasznego incydentu na wsi podczas wojny?
 - O, nie! To się zaczęło dużo, dużo wcześniej.
 - Czy to dlatego, że stracił rodziców we wczesnym dzieciństwie, czy może zawiniła babka, która go wychowywała?
- Być może. Trudno powiedzieć. Ben sam o sobie niewiele wie. A jeśli nawet wie, to nie umie sobie poradzić ze swoją osobowością. Ale ja się na tym nie znam. Nie jestem specjalistą od chorób umysłowych.
- Ja też nie - wyznała z żalem.

- Ale siostra sobie dobrze radzi.

- Jeśli mam być szczerą, to przyznam, że bardziej się martwię o Bena

113

niż o kogokolwiek z was. Nie wiem, co z nim będzie, gdy przyjdzie mu opuścić bazę numer 15.

- Czy siostrze chodzi o to, co się stanie z Benem, gdy będzie musiał odejść z wojska?

- Tak! - Szukała w myśli odpowiednich słów, bo nie chciała zranić uczuć Michaela widząc, jak uparcie stara się pomóc Benowi. - Nie jestem pewna, czy Ben będzie zdolny do samodzielnego życia poza zamkniętym zakładem. A z drugiej strony nie chcę sugerować, że należy go w takim zakładzie umieścić.

- W szpitalu dla psychicznie chorych? - spytał nie dowierzając temu, co usłyszał.

- Tak, to mam na myśli. Niczym innym nie dysponujemy, jeśli chodzi o ludzi tak chorych jak Ben, choć mam pewne wątpliwości.

- Ależ siostra się myli! - krzyknął.

- Być może jestem w błędzie. Właśnie dlatego się waham.

- To by go zabiło!

- Tak! - Posmutniała. - Jak widzisz, nie mam łatwej pracy... Chwycił ją mocno za ramię i potrząsnął. - Proszę tylko nie robić niczego pochopnie. I błagam, niech siostra nie podejmuje decyzji, zanim się nie porozumie ze mną. - Wciąż trzymał ją za ramię.

- Nie martw się! Ben jest w coraz lepszym stanie, i to właśnie dzięki tobie. Dlatego z tobą o tym rozmawiam.

W drzwiach stanął Neil. - Myśleliśmy już, zażartował - że spłynęliście z

deszczem.

Siostra odsunęła się od Michaela o krok, a on natychmiast, jak tylko spostrzegł Neila, puścił jej ramię. -Nie, nie jest tak źle! wybąkała i uśmiechnęła się do Neila przepraszająco. Ale już po chwili miała do siebie żal o to, że poczuła się winna, a do Neila jakieś nie bardzo sprecyzowane pretensje, których nie wyjawiała.

Michael nie ruszył się z miejsca i był trochę zaskoczony widząc, że Neil gestem właściciela wyprowadza siostrę Langtry z brudownika, jakby miał do niej jakieś prawa. Potem westchnął, wzruszył ramionami i poszedł za nimi na werandę.

Oddział X na pewno nie był odpowiednim miejscem na prywatne rozmowy. Tyle tu było intymności co na środku placu defiladowego. Każdy prowadził ścisły rejestr tego, co robi drugi, a już szczególnie kontrolowali wszystko, co wiązało się z siostrą Langtry. Nie spoczęli, póki

114

nie wyjaśnili, gdzie ona jest i z kim. Czasem prowadzili nawet w pamięci arytmetyczne wyliczenia, by się upewnić, czy czas siostry jest równo podzielony między każdego z nich. Może jednak nie każdemu dostawała się równa miarka? Może ci, którzy więcej dla niej znaczyli, otrzymywali więcej? W tej arytmetyce szczególnie celował Neil.

Rozdział Czternasty.

O świcie następnego dnia pogoda ustaliła się na dobre i zapanowała kojąca cisza. Wszystkim poprawił się nastrój. Po zrobieniu porządków pacjenci rozsiedli się na werandzie, siostra zaś postanowiła odrobić papierkową robotę w biurze. Ogłoszono, że po południu plaża już będzie otwarta, i zanosilo się na jej tłumne odwiedziny. Dopiero wtedy, gdy plaża była

przez jakiś czas zamknięta, pacjenci oddziału X zrozumieli, jak wiele dla nich znaczyła. Była bowiem jedynym miejscem, gdzie mogli nie tylko zrzucić z siebie ubrania, ale pozbyć się również trosk, wyłączyć myśli, pływać, opalać się, a nawet drzemać w przyjemnym odrętwieniu.

Od otwarcia plaży dzieliło ich jeszcze kilka godzin, ale tym razem nie przejawiali swej zwykłej, irytującej apatii. Lucjusz położył się na jednym z łóżek na werandzie i spał. Neil namówił Nuggeta i Bena na partię kart, a Michael zaprowadził Matta w najdalszy koniec werandy, gdzie pod oknami biura siostry Langtry stało parę foteli. Było to miejsce raczej wyizolowane i dzięki temu względnie spokojne.

Matt chciał komuś podyktować list do żony i Michael zgłosił się na ochotnika, deklarując, że chętnie zostanie jego sekretarzem. Pani Sawyer wciąż jeszcze nie wiedziała, że mąż stracił wzrok. Matt prosił, by jej tej wiadomości nie przekazywać. Twierdził, że woli sam jej o tym powiedzieć, gdy się spotkają. Oczywiście nikt nie miał prawa sprzeciwiać się jego woli. Siostra Langtry też zgodziła się podporządkować jego życzeniu, choć wiedziała, że tak naprawdę Matt nie chce wyznać żonie prawdy, gdyż wciąż żywi rozpaczliwą nadzieję, że zanim ją spotka, zdarzy się jakiś cud i odzyska wzrok. Gdy Matt skończył dyktować, Michael przeczytał mu powoli cały list od początku: "...a ponieważ moja ręka jeszcze się całkiem nie zagoiła, mój

115

przyjaciel, Michael Wilson, zgodził się napisać ten list za mnie. Nie ma się jednak czym przejmować, bo wszystko idzie ku lepszemu. Myślę, że jesteś na tyle rozsądna, by wiedzieć, że gdyby rana była poważna, to już dawno odesłano by mnie z powrotem do Sydney. Proszę Cię, nie martw się o

mnie. Uściskaj i ucałuj od tatusia Margaret, Mary, Joan i małą Pam i powiedz im, że to już nie potrwa długo. Bardzo mi Ciebie brak. Uważaj na siebie i na dziewczynki. Twój kochający Cię mąż Matthew".

Listy, jakie żołnierze pisali do domu, miały zawsze nieco sztuczny, napsuszony styl. Mężczyźni, którzy je pisali, nie przewidywali, że kiedykolwiek znajdą się tak daleko od domu i swoich bliskich, iż trzeba będzie wziąć do ręki pióro. Poza tym wiadomo było, że listy są czytane przez cenzora, ale nikt nie wiedział, kim jest cenzor. Na wszelki wypadek większość żołnierzy w swoich listach balansowała pomiędzy uprzejmością a chłodem i zwycięsko opierała się pokusie opisywania trapiących ich nieszczęść czy frustracji. Pisali regularnie - jak tęskniące za domem dzieci, skazane na pobyt w internacie, którego nie znoszą. Gdy jednak żołnierze czuli się szczęśliwi i mieli wiele zajęć, potrzeba listownego komunikowania się z bliskimi, przebywającymi daleko od nich, malała w szybkim tempie.

- Myślisz, że to wystarczy? - spytał nerwowo Matt.

- Sądzę, że tak. Włożę ten list od razu do koperty i oddam siostrzyczce jeszcze przed obiadem. Pani Ursula Sawyer... a jaki adres? - 97, Fingleton Street, Drummoyne.

Lucjusz przeszedł przez werandę i z głuchym łoskotem klapnął w sąsiedni wiklinowy fotel. - Oczywiście, któż by jak nie Mały Lord Fauntleroy, spełniający właśnie jeden ze swoich dobrych uczynków odezwał się ironicznie. Chciał sprowokować Michaela.

- Uważaj, Lucjusz, siedzisz na tym fotelu nie mając na sobie nic poza szortami... wkrótce będziesz cały w pasy, jak więzień - ostrzegł go Michael, wkładając do kieszeni list Matta.

- Ja pieprzę te pasy...

- To dbaj, by był czysty, i uważaj na niego, wtrącił Matt wykonując odpowiednie gesty akurat w kierunku otwartych okien biura siostry Langtry.

- Poczekaj chwilkę, Mike! Mam list do żony Matta, który mógłbyś wysłać razem z tym - powiedział Lucjusz tak cicho, by nikt poza nimi trzema nie mógł usłyszeć. - Chcesz, to ci go przeczytam. "Szanowna pani, czy pani wie, że mąż jest ślepy jak nietoperz?"

Matt zerwał się z fotela tak szybko, że Michael nie zdołał go powstrzymać.

116

Udało mu się jednak stanąć pomiędzy rozwścieczonym niewidomym żołnierzem i jego prześladowcą. - Uspokój się, Matt - syknął, przytrzymując go w miejscu. - Lucjusz po prostu chciał ci zrobić przykrość, ale wierz mi, że nawet gdyby nie wiem jak się starał, to i tak nie mógłby takiego listu wysłać. Nie przepuści go cenzura.

Lucjusz obserwował ich w milczeniu. Widać było, że cieszy go ta scena. Naumyślnie trzymał wyciągnięte przed siebie nogi i nie cofnął ich, by przepuścić Matta, którego Michael chciał posadzić przy stole, obok kolegów grających w karty. Aby uniknąć awantury, Michael wybrał inną drogę: poprowadził Matta dookoła, obchodząc wysunięte nogi Lucjusza. Rozstali się bez słowa.

Gdy obaj odeszli, Lucjusz podszedł do balustrady ganku, oparł się o nią, przekrzywił głowę i próbował usłyszeć, o czym rozmawia z siostrą Langtry Michael, który właśnie wszedł do jej biura. Gdyby któreś z nich spojrzało przez otwarte okno w jego stronę, nie domyśliłoby się, że podsłuchuje. Po chwili doszedł go odgłos zamykanych drzwi i w biurze

zapanowała cisza. Wtedy prześliznął się obok grających w karty i zniknął za drzwiami prowadzącymi na oddział.

Zastał Michaela w kuchni, smarującego masłem duże pajdy chleba.

Chrupiący, świeży chleb był jedyną radością dla podniebienia, jaką baza numer 15 miała od niedawna do zaoferowania swoim pacjentom. To był naprawdę świetny chleb, nic więc dziwnego, że zajadali się nim zarówno pacjenci, jak i personel. Teraz jednak była dziewiąta wieczór i do ostatniej w tym dniu herbaty niewiele już pozostało z obfitej dziennej racji.

Pomieszczenie, w którym znajdował się Michael, nie było kuchnią w prawdziwym tego słowa znaczeniu, raczej czymś pośrednim między kuchnią a spiżarnią. Trzymano tu zapasy żywności, a także zmywano i przechowywano kuchenne naczynia i stołową porcelanę. Był tam bufet, zbudowany z surowych desek, i szafki na naczynia, które ciągnęły się szeregiem pod oknem i wzdłuż ściany między oknem a drzwiami do brudownika. Zlewozmywak mieścił się przy oknie; w pewnej od niego odległości stała na bufecie maszynka spirytusowa. Nie było tu żadnych urządzeń chłodzących. Lodówkę zastępowała siatka druciana, zwisająca na sznurze umocowanym do belki dachowej. Obracała się leniwie w powietrzu jak chińska latarnia.

Na końcu bufetu siostra Langtry ustawiła mały, ogrzewany spirytusem sterylizator. Wygotowywała w nim swoje strzykawki i parę innych

117

instrumentów, które trzymała na wszelki wypadek, bo a nuż się przydadzą.

Sytuacja, w której mogłyby okazać się potrzebne była raczej mało prawdopodobna. Siostra wiedziała z doświadczenia, że trzeba mieć strzykawki i igły do zastrzyków, a także igły do zszywania ran i parę

imadełek i peanów do ich przytrzymywania. Miała również różnego typu kleszcze i szczypce, zawsze sterylne, na wypadek gdyby któryś z pacjentów się zranił albo trzeba by mu było jak najszybciej dać zastrzyk uspokajający, gdyby ktoś został zaatakowany czy usiłował popełnić samobójstwo. Zaraz po otwarciu oddziału X toczyła się tu gorąca dyskusja, czy można pozwolić pacjentom, by mieli brzytwy, pasy i inne potencjalnie niebezpieczne przedmioty. Zastanawiano się nawet, czy nie powinno się trzymać noży kuchennych pod zamknięciem. W końcu jednak uznano, że nie ma sensu stosować takich środków ostrożności. W praktyce tylko raz się zdarzyło, że pacjent chcący popełnić samobójstwo posłużył się jakimś narzędziem, które i tak zresztą okazało się nieskuteczne. Nigdy też poważnie nie rozważano możliwości, by jakiś pacjent mógł zastosować przemoc wobec innych. Niczego w tej sprawie nie przedsięwzięto i już do niej nie wracano. Uważano bowiem, że gdyby w bazie numer 15 znaleźli się pacjenci, z którymi nie można by sobie poradzić, to na pewno nie pozostaliby tutaj, lecz z miejsca odesłano by ich do właściwego szpitala. Po zapadnięciu zmroku w kuchni pojawiały się karaluchy. Nic, żadne środki higieny istniejące na świecie nie dałyby rady zlikwidować tego robactwa, bo karaluchy przychodziły z zewnątrz. Właziły przez rury wodociągowe i kanalizacyjne, spadały z dachu krytego strzechą, zjawiały się nie wiadomo skąd. Gdy któryś z pacjentów zobaczył karalucha, natychmiast go zabijał, ale na jego miejsce od razu przychodziły inne. Neil regularnie raz na tydzień organizował wielkie polowanie. Od każdego z pacjentów, z wyjątkiem Matta, oczekiwano, że zabije co najmniej dwadzieścia karaluchów. Dzięki temu utrzymywano ich populację na stosunkowo niskim, możliwym do zniesienia poziomie. A że ta ponura

mała izba była zawsze czysta i uprzątnięta, nawiedzające ją robactwo wszelkiego autoramentu nie mogło liczyć na obfitą zdobycz.

Lucjusz stanął w drzwiach kuchni i przez jakiś czas obserwował smarującego chleb Michaela. W pewnej chwili sięgnął do kieszeni szortów, wyciągnął przybory do robienia papierosów i zaczął szykować sobie skręta. Chociaż Michael był o jakieś dziesięć centymetrów niższy od mierzącego prawie metr dziewięćdziesiąt Lucjusza, niewiele się od siebie 118

różnili. Obaj byli bez koszuli i obaj mieli szerokie klatki piersiowe, potężne bary i płaskie brzuchy.

Lucjusz rzucił okiem na drzwi prowadzące do biura siostry Langtry, vis-a-vis kuchni, i stwierdził, że są dokładnie zamknięte.

- Jakoś mi się nie udaje zaleźć ci za skórę - wycedził patrząc na Michaela. Włożył pudełko z tytoniem z powrotem do kieszeni i obiema rękami leniwie rolował okruchy tytoniu, wyłowione z pudełka. Mały arkusik ryżowej bibułki, który sobie przykleił do górnej wargi, powiewał przy każdym jego słowie. Ponieważ Michael nic mu nie odpowiedział, Lucjusz powtórzył zaczepkę, tym razem tonem obliczonym na wywołanie gwałtownej reakcji rozmówcy: - Jakoś nigdy nie udaje mi się zaleźć ci za skórę...

Michael wcale nie zareagował tak, jak się tego Lucjusz spodziewał, tylko spokojnie zapytał: - A dlaczego ci na tym zależy?

- Bo lubię zachodzić ludziom za skórę i lubię patrzeć, gdy wiją się jak piskorze... To bardzo urozmaica tutejszą okropną monotonię.

- Chyba lepiej byś zrobił, starając się być miły i użyteczny - Michael powiedział to dość kąśliwym tonem, gdyż wciąż jeszcze miał przed

oczami rozpacz malującą się na twarzy Matta.

Lucjusz wypuścił z rąk nie dokończonego papierosa, wypluł przyklejoną do ust bibułkę, jednym susem przebył dzielącą ich odległość i mocno chwycił Michaela za ramię, brutalnie okręcając go dookoła.

- Co ty sobie myślisz, kim ty jesteś? Nie waż się mówić do mnie takim mentorskim tonem!

- To brzmi jak jedna z kwestii, które recytujesz na scenie - powiedział Michael, spokojnie patrząc mu w oczy.

Przez jakąś minutę stali bez ruchu i tylko na siebie patrzyli. Potem uchwyt ręki Lucjusza zelżał. Nie odrywając jej od ramienia Michaela, otoczył palcami jego biceps i gładził go, pieścił miejsca, gdzie pojawiły się plamy od gwałtownego uścisku.

- Jest w tobie coś wyjątkowego, nasz kochany Michaelu, naprawdę... Tak, tak, mały niebieskooki pupilku siostry Langtry i innych... Jest w tobie coś, co by się jej ani trochę nie podobało, ale ja wiem, co to jest, i wiem, co mam z tym zrobić...

Mówił to sugestywnym, niemal hipnotyzującym głosem, a jego ręka ześliznęła się po przedramieniu Michaela i znalazłszy się na jego zaciśniętej pięści, delikatnie zmusiła ją do otworzenia się. Michael wypuścił z dłoni nóż do masła. Obaj wstrzymali oddech. Gdy w chwilę potem Lucjusz

119

przybliżył do niego głowę, Michael rozchylił wargi i z sykiem wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby. W jego oczach pojawił się błysk ożywienia.

Obaj równocześnie usłyszeli szmer i odwrócili się. W drzwiach stała

siostra Langtry.

Lucjusz niedbałym ruchem cofnął rękę. Zrobił to raczej bez pośpiechu i bez poczucia winy. A potem w jak najbardziej naturalny sposób odsunął się od Michaela o krok.

- Jeszcze nie skończyłaś smarować chleba? - spytała siostra, zwracając się do Michaela. Jej głos zabrzmiał nienaturalnie, ale poza tym wyglądała tak jak zawsze i nawet w oczach nie widać było zmieszania.

Michael znowu wziął do ręki nóż do masła. - Już prawie kończę, siostró - powiedział. Lucjusz odstąpił od niego. Przechodząc obok, spojrzał na siostrę ze złośliwym uśmiechem i wyszedł. Porzucony papieros leżał na podłodze. Powiew wiatru lekko poruszał okruchami tytoniu i bibułą.

Siostra weszła do kuchni i westchnąwszy głęboko stała na środku, machinalnie pocierając dłonią bok swojej sukni: tam i z powrotem, do góry i na dół. Z miejsca, w którym stała, mogła widzieć profil Michaela. Patrzyła, jak kroi posmarowane masłem pajdy na małe kromki i układa je kopiasto na talerzu.

- O co tu poszło? - spytała.

- O nic! - odpowiedział takim tonem, jakby go to nic nie obchodziło.

- Jesteś tego pewny?

- Jak najbardziej, siostrzyczko.

- Czy on nie usiłował... dobrać się do ciebie?

Michael odwrócił się i zajął przygotowywaniem herbaty. Czajnik na maszynie spirytusowej gwałtownie buzował, dodając jeszcze pary do i tak gęstej atmosfery. "O Boże, dlaczego ludzie nie zostawią mnie w spokoju?"

- myślał. - Dobrać się do mnie? - powtórzył za nią. Miał nadzieję, że udając durnia sprawi, iż ona przestanie się nim

interesować.

Ona zaś po desperacku próbowała uporządkować jakoś swoje myśli i opanować emocje. Zdawała sobie przy tym sprawę, że już dawno nie była tak bardzo zdenerwowana i wyprowadzona z równowagi. - Słuchaj, Michael! - wybuchła wreszcie, - Jestem dorosłą kobietą i nie chcę, żeby uważano mnie za małą dziewczynkę. Dlaczego uparcie traktujesz mnie tak, jakby to, co przeżywasz, było dla mnie za trudne, jakbym nie potrafiła

120

sobie z tym poradzić? A więc pytam cię jeszcze raz: czy Lucjusz usiłował cię podrywać? Powiedz prawdę! Tak czy nie?

Gdy Michael wlewał kipiący strumień wody z czajnika do przygotowanego pustego dzbanka na herbatę, ze zdenerwowania wylał sporo wrzątku na bufet. - Nie, siostrzyczko! - zapewnił ją. - Naprawdę nie! Lucjusz po prostu zachował się po swojemu, w typowy dla siebie sposób. - W kącikach jego ust pojawił się lekki uśmiech. Odstawił czajnik na kuchenkę, zgasił płomień i odwrócił się. Patrzył jej w oczy. - Lucjuszowi chodziło tylko o to, żeby mi zaleźć za skórę. Sam tak powiedział. Ale to mu się nie uda. Znałem już takich jak on... Żeby nie wiem jak mnie prowokował, nigdy więcej nie stracę nad sobą kontroli. - Zaciśnął dłoń w pięść. - Nie wolno mi. Boję się tego, co mógłbym wówczas uczynić... "Niewątpliwie w Michaelu jest coś wyjątkowego..." - Dziwnym trafem siostra Langtry pomyślała o nim to samo, co przedtem powiedział Lucjusz. Jej oczy spoczęły na jego nagim ramieniu, na jasnych włoskach pokrywających pierś. Nie była pewna, czy krople na jego skórze to pot czy skroplona para. Nagle przełękała się, że ich oczy mogą się spotkać. Czuła lekki zawrót głowy i zupełną pustkę wewnątrz. Była bezradna i zagubiona,

jak dziewczynka niemądrze zadurzona w jakimś obcym, dorosłym mężczyźnie.

Krew odpłynęła jej z twarzy. Zachwiała się. Michael natychmiast ruszył ku niej. Bał się, że zemdleje. Otoczył ramieniem jej talię i podparł silnie, by mogła utrzymać się na nogach. Początkowo nie czuła nic poza dotykiem jego ciała, ale po chwili ogarnęła ją fala pożądania, która zamieniła delikatną tkanę jej sutków w twarde, nabite stożki i spowodowała, że jej piersi boleśnie nabrzmiały.

- O Boże! Nie! - krzyknęła, uwalniając się z jego uścisku i błyskawicznie obróciła swój gwałtowny afekt w demonstrację przeciwko Lucjuszowi.

Lekko uderzyła pięścią w bufet i syknęła przez zaciśnięte zęby: - Ten człowiek jest niebezpieczny! On nam wszystkim zagraża! Byłby w stanie zabić po to tylko, by widzieć, jak jego ofiara skręca się z bólu...

Dla Michaela zbliżenie z siostrą było równie silnym przeżyciem jak dla niej. Drżała mu ręka, gdy ją podniósł, by zetrzeć pot z twarzy. Zrobił pół obrotu i zmusił się do spokojnego oddechu. Wciąż jeszcze nie ufał sobie na tyle, by móc spojrzeć jej w oczy.

- Jest tylko jeden sposób na Lucjusza - powiedział. - Nie pozwolić mu zależeć sobie za skórę.

- Dobrze by mu zrobiło, gdyby przez parę miesięcy popracował łopata.

121

- Mnie też by się to przydało i chyba nam wszystkim na dziesiątce.

- Uspokoił się i poczuł się już na siłach wziąć do ręki tace z herbatą.

- Chodźmy, siostrzyczko, filiżanka herbaty dobrze ci zrobi, zaraz poczujesz się lepiej...

Zdobyła się na coś w rodzaju uśmiechu. Patrzyła na niego i nie wiedziała,

czy ma się wstydzić czy szczyścić tym, co zaszło. Szukała na jego twarzy jakiejś aprobaty, czegoś, co mogłoby ją podnieść na duchu. Ale wyraz jego twarzy był obojętny - z wyjątkiem oczu o rozszerzonych źrenicach. Choć równie dobrze mogły być takie za sprawą Lucjusza.

Lucjusza nie było ani na oddziale, ani na werandzie. Na widok czajnika grający od razu odłożyli karty. Ucieszyli się, bo już od jakiegoś czasu czekali na herbatę.

- Im bardziej się pocę, tym więcej piję herbaty - powiedział Neil. Jednym łykiem wychylił zawartość swego kubka i zaraz go wystawił po jeszcze.

- Czas, mój przyjacielu, byś zażył tabletkę z solą - zauważyła siostra.

Bardzo się starała przywrócić głosowi zwykłą rubasznosc i niefrasobliwość.

Neil dziwnie na nią spojrzał. To samo inni.

- Czy coś się stało, siostrze? - spytał zaniepokojony Nugget. Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. - Nic strasznego! Lucjusz

dopuścił się małej agresji. To w jego stylu... Nie wiecie czasem, gdzie on się

podziewa?

- Chyba poszedł w stronę plaży...

- Przed pierwszą? To nie w jego stylu.

Nugget uśmiechnął się. W uśmiechu odsłonił wystające górne siekacze i wtedy jego podobieństwo do małego gryzonia stało się wyraźniejsze.

- A czy ja powiedziałem, że poszedł pływać? Nie powiedziałem także, na którą poszedł plażę. Poszedł na spacer, a jeśli tak się zdarzy, że spotka

jakąś ładną, młodą dziewczynę, to napewno zatrzyma się, żeby porozmawiać. To wszystko...

Michael odetchnął z ulgą i uśmiechnął się do siostry, jakby chciał jej powiedzieć: "A widzisz, a nie mówiłem, że nie ma się czym przejmować!"

Rozsiadł się wygodnie na krześle, uniósł do góry ramiona i oparł głowę na założonych na kark dłoniach. Siostra patrzyła na potężnie rozwinięte mięśnie jego klatki piersiowej i na ciemne włosy pod pachami, które zbiły

122
się i błyszczały od potu. Poczwała, że wracają jej kolory. Z dużym wysiłkiem udało jej się postawić filiżankę na spodku, by nie rozlać herbaty. "To śmieszne - pomyślała walcząc ze sobą. - Nie jestem podlotkiem. Jestem dorosłą i doświadczoną kobietą..."

Neil zeszywniał. Wyciągnął do niej rękę i zamknął jej dłoń w swojej, jakby chciał jej dodać otuchy. - Uspokój się! O co chodzi, siostrzyczko? Masz gorączkę?

- Chyba tak. Czy dasz sobie radę beze mnie, gdybym wyszła wcześniej? Czy wolisz, żebym poprosiła siostrę przełożoną o zastępstwo?

Neil odprowadził ją na oddział. Reszta pacjentów została przy stole. Mieli zmartwione miny. Michael też.

- Na miłość boską, nie dawaj nam żadnego zastępstwa! - prosił Neil. - Wyjdę z siebie, jak to zrobisz... Czujesz się już lepiej, czy mam cię odprowadzić do samej kwatery?

- Nie, dziękuję! To naprawdę nic poważnego. Po prostu trochę gorzej się dzisiaj czuję. Może przez pogodę. Zdawało mi się, że będzie chłodno i sucho, a teraz mam takie uczucie, jakbym wpadła do wazy z zupą. Mały wypoczynek po obiedzie powinien postawić mnie na nogi. - Rozchyliła zasłonę w drzwiach i zaśmiała się do niego przez ramię. - Zobaczymy się

wieczorem!

- Przyjdź tylko wtedy, gdy się lepiej poczujesz, siostrzyczko! A jeśli nie, to się nie przejmuj. I proszę cię, żadnych zastępstw. U nas jest spokojnie jak w grobie...

Rozdział Piętnasty.

Pokój zajmowany przez siostrę Langtry znajdował się w rzędzie dziesięciu podobnych pokoi, z których każdy miał od frontu szeroką werandę. Był to styl budownictwa typowy dla bazy numer 15. Ta dość koślawa konstrukcja stała na palach trzy metry nad ziemią. Helen Langtry była przez ostatnie cztery miesiące jedyną mieszkanką tego budynku. Nie dlatego, że miała jakieś społeczne nastawienie do innych pielęgniarek, ale na skutek naturalnej u dojrzałej kobiety potrzeby prywatności. Od czasu, gdy w 1940 roku wstąpiła do wojska, nigdy nie

123

miała własnego pokoju, musiała dzielić kwaterę z innymi. Kiedy pracowała w przyfrontowych punktach opatrunkowych, pielęgniarki mieszkaly po cztery w jednym małym namiocie. Nic dziwnego, że gdy znalazła się w bazie 15, tutejsze warunki wydały jej się rajem. Niemniej nadal musiała dzielić z kimś pokój - ten sam zresztą, który zajmowała teraz. Ale wtedy było tu dużo pielęgniarek i w całym bloku wibrowały ostre głosy kobiet, przebywających stale ze sobą. Gdy tylko jednak nastąpiła redukcja personelu pielęgniarstwa, te siostry, które zostały, postanowiły zamieszkać jak najdalej od siebie. Trudno im się dziwić, że gdy nastąpiła taka możliwość, zapragnęły się pławić w luksusie samotności.

Gdy tylko siostra Langtry znalazła się w swoim pokoju, podeszła do

biurka, otworzyła jego górną szufladę i wyjęła buteleczkę nembutalu w kapsułkach po czterdzieści pięć miligramów. Na biurku stała zawsze karafka przegotowanej wody przykryta tanią szklanką z grubego szkła. Siostra zdjęła szklankę, wlała do niej trochę wody i szybko połknęła tabletkę, nie czekając, aż się rozmyśli. Spojrzała w małe zniszczone lustro wiszące na ścianie nad biurkiem i zobaczyła w nim odbicie swoich podkrążonych oczu bez wyrazu. Nie odrywała wzroku od lustra, dopóki nie poczuła, że nembutal zaczął działać.

Z łatwością, jaką daje wprawa, wyjęła dwie długie wsuwki przytrzymujące na głowie welon, po czym zdjęła całą tę kunsztowną konstrukcję i położyła na krześle. Pusta i sztywna, wydawała się patrzeć na nią stamtąd z niemym szyderstwem. Pod welonem włosy siostry spotniały, a fale rozeszły się.

Usiadła na brzegu łóżka i zabrała się do rozsznurowywania bucików, które miała na sobie w czasie dyżuru. Zdjęła je i ustawiła równiutko obok siebie, odsuwając je na pewną odległość, by ich nie kopać, gdy będzie wchodziła i wychodziła z łóżka. Potem wstała i zdjęła z siebie mundur i bieliznę.

Bawełniany szlafrok, o nieco rozmazanym orientalnym wzorze, wisiał na gwoździu za drzwiami. Wciągnęła go na siebie i poszła wziąć prysznic w zimnej i ponurej łazience. Wreszcie, czysta, w przyjemnej, miękkiej bawełnianej piżamie, położyła się na łóżku i zamknęła oczy. Nembutal już działał i wywoływał objawy podobne do kaca po wypiciu zbyt dużej ilości dżinu: słabe zawroty głowy i lekkie nudności. Ale najważniejsze, że działał... Usilnie starała się pozbyć resztek świadomości i zasnąć, ale póki sen się nie zjawił, myślała o Michaelu. "Czy jestem w nim zakochana? - zastanawiała się. - Czy też tego, co do niego czuję, nie można nazwać

miłością? Może to wynika stąd, że już od dawna nie żyję normalnie? Może zbyt brutalnie tłamsiłam w sobie fizyczne potrzeby? Chyba o to właśnie chodzi... Mam nadzieję, że to to, a nie miłość. Byle tylko nie miłość... nie tutaj... nie z nim! Nie wygląda mi na mężczyznę, który potrafi docenić wagę uczucia".

W półśnie majaczyły jej się różne obrazy, to się zamazywały, to znów ze sobą łączyły. Zasypiając na dobre, czuła się szczęśliwa jak w raju i zdążyła jeszcze pomyśleć, że byłoby cudownie nigdy się z tego snu nie obudzić...

Rozdział Szesnasty.

Gdy siostra Langtry około siódmej wieczór wchodziła na oddział, tuż za drzwiami natknęła się na Lucjusza. Usiłował zręcznie przemknąć obok niej, ale zaszła mu drogę i z ponurą miną powiedziała:

- Chciałabym z tobą porozmawiać.
- Ach, siostrzyczko! Pozwól mi wyjść. Mam randkę.
- Trudno, musisz ją przełożyć na później. Proszę wejść do środka, sierzancie!

Lucjusz stał i obserwował ją. Najpierw zdjęła wojskowy kapelusz z podwiniętym rondem i otokiem z szarej wstążki w czerwone paski.

Powiesiła go tam, gdzie w ciągu dnia wisiała jej czerwona peleryna.

Bardziej mu się podobała w stroju, w którym chodziła wieczorem: cała na szaro. Wyglądała jak mały żołnierz.

Usiadła za biurkiem i spojrzała na niego. Zobaczyła, że stoi przy otwartych drzwiach, oparty o ścianę, ze skrzyżowanymi ramionami i niecierpliw się, bo chce jak najszybciej odejść.

- Proszę wejść, zamknąć drzwi i stanąć na baczność, sierzancie! -

zaczekała chwilę, aż spełni jej rozkaz, i mówiła dalej:

- Proszę mi dokładnie wyjaśnić, co zaszło dziś rano między panem a sierżantem Wilsonem.

Wzruszył ramionami i potrząsnął głową. - Nic, siostrzyczko.

- Nic, siostro! Nie wyglądało to w moich oczach na "nic".

125

- Tak? A na co wyglądało? - spytał, uśmiechając się, raczej rozbawiony niż przejęty.

- Wyglądało to tak, jakby pan podrywał homoseksualnie sierżanta Wilsona.

- Bo tak było - odpowiedział lakonicznie.

Tak ją tą odpowiedzią zaskoczył, że na chwilę zapomniała języka w gębie i gwałtownie szukała właściwych słów.

- Dlaczego? - zapytała w końcu.

- Ach, to miał być tylko mały eksperyment, nic więcej. Ponieważ wiem, że Michael jest pedałem, byłem ciekaw, jak zareaguje.

- Chyba zdaje pan sobie sprawę, że to jest pomówienie.

Zaśmiał się. - To niech mnie zaskarzy... Zapewniam siostrę, że Michael jest pedałem, i to wysokiej klasy.

- To nie wyjaśnia sprawy. Wciąż nie wiem, dlaczego właśnie pan, sierżancie, chciał go poderwać. Przecież nie jest pan homoseksualistą? Lucjusz przysiadł nagle bokiem na biurku, co tak zaskoczyło siostrę, że mimo woli odsunęła się do tyłu. Przybliżył twarz do jej twarzy. Mogła się teraz przyjrzeć jego niezwykłym tęczówkom. Składały się z mnóstwa różnokolorowych prążków i plamek, co w sumie dawało ów dziwny efekt zmieniającej się barwy oczu. W jego lekko rozszerzonych źrenicach odbijał się blask światła. Serce siostry puściło się istnym galopem, gdy

sobie przypomniała, jakie silne wrażenie wywarł na niej Lucjusz w pierwszych dniach pobytu na oddziale. I w tej chwili czuła się jak zahipnotyzowana czy zaczarowana. Ale to, co teraz powiedział, sprawiło, że czar zniknął, i pozbawiło go wszelkiej nad nią władzy.

- Jak trzeba, to mogę być wszystkim, kochanie! - szepnął. - Młodzi, starzy, mężczyźni, kobiety, dla mnie to bez różnicy... Ja mogę z każdym...

Nie potrafiła się pohamować i aż syknęła z odrazy. Przestań! Nie mów takich rzeczy! Niech cię diabli!...

Przybliżył do niej twarz jeszcze bardziej. Owionął ją przyjemny, czysty zapach. - No i co, siostrzyczko? Chodź! Spróbuj ze mną! Wiesz skąd się biorą twoje kłopoty? Stąd, że jeszcze tutaj z nikim nie próbowałaś.

Dlaczego nie zaczniesz od najlepszego? Ja tu jestem najlepszy. Naprawdę!

Ach, kobieto! Mogę sprawić, że będziesz z rozkoszy drżała, krzyczała i błagała o jeszcze... Nie możesz sobie nawet wyobrazić, jak ci potrafię dogodzić. Wypróbuj mnie, siostrzyczko! Nie zwlekaj! Spróbuj, jak to jest ze mną! Szkoda ciebie dla tego pedała albo tego, co pozuje na Anglika

126

i jest zbyt wyczerpany, aby mu stanął... Spróbuj ze mną! Ja tu jestem najlepszy!

- Wyjdź, Lucjusz!

- Nie lubię się całować, ale ciebie mam wielką ochotę pocałować. No, chodź tu, siostrzyczko, i pocałuj mnie!

Nie miała dokąd uciec. Jej fotel stał zbyt blisko ściany i nie dawał jej żadnego pola manewru. Odsunęła go jednak gwałtownie do tyłu, tak że z rozmachu uderzył o parapet. Odwróciła się, a na jej twarzy malowała się taka odraza, że nawet Lucjusz musiał to zrozumieć.

- Wynoś się stąd! I to już! - przycisnęła dłonią usta, jakby bała się, że zwymiotuje, a równocześnie wpatrywała się w jego fascynującą twarz z taką miną, jakby widziała w niej diabła.

- Proszę bardzo! Rób, jak chcesz, ale szkoda mi ciebie... - Wstał i coś tam majstrował przy spodniach, jakby chciał rozładować erekcję. - Z żadnym z nich nie zaznasz przyjemności, wierz mi! To nie są prawdziwi mężczyźni! - wykrzykiwał. - Tylko ja jeden jestem tutaj mężczyzną...

Jeszcze przez dłuższy czas po jego wyjściu patrzyła w skupieniu na zamknięte drzwi i oderwała od nich wzrok dopiero, gdy poczuła, że przerażenie i lęk zaczynają ustępować. Chciało jej się płakać i tylko napięta uwaga, z jaką wpatrywała się w drzwi, powstrzymywała łzy napływające do oczu. Wyczuwała w Lucjuszu jakąś niesamowitą siłę i chęć, by za każdą cenę zdobyć to, czego pragnie. Zastanawiała się, czy tak go też odebrał Michael, gdy wtedy w kuchni Lucjusz przeszywał go na wskroś swoimi oczami kozła.

Neil zapukał i wszedł, zamykając za sobą drzwi. Jedną rękę trzymał z tyłu i coś w niej ukrywał. Zanim zajął swoje miejsce w fotelu dla gości, wyjął papierośnicę i jak zwykle poczęstował siostrę Langtry papierosem.

Poczęstowana, powinna najpierw zmanifestować oburzenie i robić ceregiele, a dopiero potem wziąć papierosa. To weszło już w zwyczaj. Ale tego wieczoru zachowała się nietypowo. Chwyliła papierosa i pochyliła się ku niemu po ogień. Miała widać tak wielką ochotę zapalić, że nie pamiętała o tym, iż powinna najpierw dać się prosić.

Na dodatek przy każdym ruchu szurała bucikami o podłogę. Neil nie mógł ukryć zdumienia. - Nigdy dotąd nie widziałem, żebyś siedziała przy biurku w bucikach. Dlaczego ich nie zdjęłaś, siostrzyczko? Czy na pewno czujesz

się na siłach pełnić dziś dyżur? Może masz gorączkę? Nie boli cię głowa?

127

- Ani nie mam gorączki, ani nie boli mnie głowa, "doktorze"! Czuję się zupełnie dobrze. A bucików nie zdjęłam dlatego, że kiedy wchodziłam na oddział, spotkałam Lucjusza, który właśnie wychodził, i chciałam zamienić z nim parę słów. No i w końcu zapomniałam o bucikach...

Neil podniósł się, obszedł biurko i mimo ciasnoty ukląkł przed jej fotelem.

- Siostrzyczko, połóż tu nogę, szybko! - zawołał, klepiąc się po udzie.

Sprzączki u jej getrów były takie sztywne, że musiał nad nimi popracować, zanim je rozpiął. Po chwili jednak ściągnął getry, rozluźnił w buciku sznurowadła na tyle, by móc go bez trudu zdjąć, i podciągnął skarpetkę, aby przykryła koniec nogawki. Potem wszystkie te czynności powtórzył na drugiej nodze. Siedział na piętach i rozglądał się, szukając jej płóciennych bucików na miękkiej gumowej podeszwie, które zawsze wkładała na wieczorny dyżur.

- Na górnej półce - odpowiedziała mu.

- Teraz lepiej - stwierdził zadowolony, gdy je zasznurował. - Wygodnie?

- Tak, dziękuję!

Wrócił na fotel. - Ciągle jeszcze nie jesteś sobą. Masz taką przegraną minę.

Spojrzała na swoje dłonie: drżały. Wydawała się zaskoczona:

- Jakaś febra mną trzęsie, czy co...

- To czemu nie weźmiesz zwolnienia?

- To tylko nerwy, Neil.

Palili w milczeniu. Ona umyślnie wyglądała przez okno, a on wpatrywał się w nią z uwagą. Gdy się odwróciła, aby zgasić papierosa, położył przed

nią na biurku kartkę, którą przedtem ukrywał za plecami: mały portret Michaela.

Był na nim taki, jakim go i ona widziała: szlachetny, silny, o otwartym, uczciwym spojrzeniu. Patrząc w te oczy, nie mogła uwierzyć, że może się kryć za nimi coś niemęskiego.

- Wiesz, to najlepszy portret, jaki dotąd zrobiłeś. Myślę, że jest nawet lepszy od portretu Lucjusza, - Patrzyła pożądliwie na rysunek i miała nadzieję, że Neil nie zauważył, jak podskoczyła z wrażenia, gdy zobaczyła, kogo przedstawia. Ostrożnie wzięła portrecik do ręki i poprosiła Neila, by go przypiął do ściany obok innych portretów w jej małej galerii.

128

Wcisnął pinezki w cztery rogi kartki i umieścił go na końcu środka rzędu z prawej strony, tuż obok swojego. Portret Michaela był bardziej udany niż autoportret Neila. Gdy rysował siebie, zawiodła twórcza inwencja i jego twarz wypadła słabo: była zmęczona i mało wyrazista.

- Mamy już komplet portretów - powiedział i znowu usiadł.

- Zapalisz jeszcze jednego?

Znów zapaliła papierosa tak chciwie jak za pierwszym razem. Zaciągnęła się głęboko i wypuszczając dym odezwała się z jakąś sztuczną emfazą:

- Michael jest dla mnie uosobieniem męskiej enigmatyczności. -

Spoglądała na jego portret na ścianie.

- Chyba ci się coś pomyliło, siostrzyczko! To nie mężczyźni, ale kobiety są enigmatyczne. - Nie chciał się przyznać, że wie, jak trudno jej mówić o Michaelu. Nie miał też zamiaru zdradzić swojego obsesyjnego zainteresowania nią i Michaeliem. - To pewne, że kobiety są enigmatyczne.

Każdy ci to powie: od Szekspira po Shawa.

- Tak myślą mężczyźni... Szekspir i Shaw to też mężczyźni... Ale to działa w obie strony. Płeć przeciwna jest dla nas zawsze terra incognita. Ilekroć mi się wydaje, że już rozszyfrowałam mężczyzn, robicie jakiś

skomplikowany zwrot, odpływacie w innym kierunku i ja znowu nie wiem, na czym stoję. - Strzepnęła popiół i uśmiechnęła się do niego.

- Wiesz, dlaczego postanowiłam prowadzić oddział dziesiąty sama? Bo mam w ten sposób doskonałą szansę, żeby zaobserwować zachowanie grupy mężczyzn, gdy nie ingeruje w ich zachowanie żadna inna kobieta. Zaśmiał się. - Jakie to typowe... Ze mną możesz śmiało o tym mówić, ale lepiej nie przyznawaj się do tego Nuggetowi. Zobaczysz, od razu odkryje w sobie niezwykle przypadkowy przypadek morowej zarazy połączonej z wrzodami. Sądząc po wyrazie jej oczu, poczuła się trochę dotknięta. Miała ochotę zaprotestować, że źle ją ocenia. Zanim zdołała jednak przerwać jego wywód, on już gładko ciągnął swoją myśl, starając się zająć jej uwagę opowiadaniem żartobliwych historyjek.

- Zasadniczo mężczyźni to najmniej skomplikowane stworzenia. Może nie są tak prymitywne jak pierwotniaki, ale na pewno nie tak skomplikowane jak odpowiedź na pytanie, ile aniołów zmieści się na główce od szpilki.

- Do diabła, Neil! Okazuje się, że ty sam jesteś jeszcze większą

129

niewiadomą niż te anioły na główce od szpilki, a już na pewno jesteś o wiele bardziej od nich interesujący. Weźmy na przykład Michaela...

Już chciała mu powiedzieć, ale się powstrzymała. Zabrakło jej odwagi, żeby mu zrelacjonować to, co zaszło w kuchni między Michaeliem a

Lucjuszem. Gdy szła ze swojej kwatery na oddział, myślała po drodze, że

jedyną osobą, która mogłaby jej pomóc, jest właśnie Neil. Ale teraz wydawało się jej, że gdy mu o tym wydarzeniu opowie, to sama się przy tym zdemaskuje, a na to nie mogła sobie pozwolić. A poza tym trzeba by mu jeszcze przedstawić tę okropną scenę między nią a Lucjuszem. Nie wiadomo, jak by na to zareagował. Na wszelki wypadek zamknęła usta i nie dokończyła zdania.

- No dobrze, weźmy Michaela... - powtórzył za nią Neil, jakby ona wypowiedziała swoją myśl do końca. - Cóż jest takiego szczególnego w naszym Michaelu, który, jak wiemy, gra na co dzień rolę anioła? Ilu takich jak on mogłoby się zmieścić na główce od szpilki?

- Neil, jeśli będziesz mówił tak złośliwie jak Lucjusz, to przysięgam, że nigdy już się do ciebie nie odezwę.

Zdumiał się do tego stopnia, że upuścił papierosa. Schylił się, żeby go podnieść, i skonsternowany, patrzył na nią podejrzliwie. - Czym na miłość boską sprowokowałem ten zarzut? - spytał.

- Ach, niech licho porwie tego nieszczęśnika... On się nie liczy... - to było wszystko, co chciała powiedzieć.

- Siostrzyczko, czy ty mnie uważasz za swego przyjaciela, za kogoś, kto naprawdę stoi po twojej stronie i zawsze cię popiera?

- Oczywiście, że tak. Nie musisz pytać!

- To powiedz, o kogo ty się naprawdę niepokoisz? O Lucjusza czy o Michaela? Znam już Lucjusza od przeszło trzech miesięcy i muszę powiedzieć, że cierpię przez niego. Ale nigdy nie czułem się na oddziale tak źle jak teraz, gdy zjawił się u nas Michael. W ciągu dwóch tygodni to miejsce zamieniło się w jakiś rozpalony do niemożliwości kocioł, grożący wybuchem w każdej chwili. Co prawda utrzymuje się wciąż w stanie

wrzenia, dochodzi do strefy oznaczonej jako niebezpieczna i cofa się, ale dla mnie to czekanie na wybuch, bo wiem, że musi nastąpić, jest niesłychanie denerwujące. Zupełnie jakbym się znowu znalazł w ogniu walki na froncie.

- Wiedziałam, że masz coś przeciwko Michaelowi, ale nie przypuszczałam, że twoja niechęć jest aż tak wielka - powiedziała przez zaciśnięte wargi.

130

- Nie mam nic przeciw Michaelowi. To wspaniały chłopak. Ale to Michael, a nie Lucjusz spowodował, że sytuacja u nas tak się zaostrzyła.

- Ależ to nonsens! Jakże Michael mógłby to zrobić? Przecież jest taki spokojny...

"Nie, to do niczego nie doprowadzi - myślał obserwując ją uważnie. - Czy ona w ogóle wie, co się z nią, z nim, z nami wszystkimi dzieje?"

- A może to przez to, siostrzyczko, że ty się zmieniłaś, od kiedy przybył Michael - wycedził wolno. - Chyba zdajesz sobie sprawę, że nasze nastroje, nawet Lucjusza, i nasz sposób patrzenia na ludzi zależą od ciebie. A od kiedy przybył Michael, ty jesteś zupełnie inną osobą. Zmienił się twój sposób patrzenia na ludzi, zmieniły nastroje.

O Boże! Pomyślała: "Siostrzyczko, rób dobrą minę, nie zdradz się niczym!" Jej twarz nie wyrażała niczego. Malowało się na niej niemal uprzejme zainteresowanie, patrzyła na niego spokojnie i beznamietnie. Ale jej mózg przez cały czas gorączkowo pracował: usilnie starała się przewidzieć wszystkie możliwe konsekwencje tej konfrontacji i znaleźć jakiś wzorzec postępowania, który jeśli nawet nie zdołałby uspokoić Neila, to może, w świetle tego, co o niej wiedział, wydałby mu się logiczny. Dał

jej właśnie poznać, że zna ją o wiele lepiej, niż przypuszczała. Wszystko, co mówił, było prawdą, ale nie mogła się do tego przyznać, gdyż nie chciała go urazić. Wiedziała, że Neil jest psychicznie słaby i w dużym stopniu zależny od niej. Miała jednak żal, że narzucił jej temat, którego sama nie zdążyła jeszcze do końca uporządkować w myślach.

- Jestem zmęczona, Neil - powiedziała. Jej twarz była pełna napięcia, jakie przyniósł ze sobą ten długi i trudny dla niej dzień. - Po prostu to wszystko już za długo trwa. A może to ja jestem za słaba. Nie wiem, choć bardzo chciałabym to wiedzieć. - Zwilżyła wargi. - Ale proszę cię, nie zrzucaj całej winy na Michaela. To są zbyt skomplikowane sprawy, by je można było traktować w uproszczony sposób. Może dlatego jestem teraz inna, bo przeżywam trudne chwile? Nasz pobyt tu już się kończy, niedługo się zacznie nowe życie. Sądzę, że nie tylko ja przygotowuję się do czekających nas zmian, chyba wszyscy się na nie nastawiają. Jestem strasznie zmęczona. Proszę cię, Neil, nie rób trudności, po prostu dalej mi pomagaj i nic więcej.

Coś bardzo dziwnego działo się z Neilem. Kiedy siedział i słuchał, jak Helen Langtry niemal przyznaje się do klęski, odkrył w tym nagle jakiś bodziec dla siebie. W chwili, gdy ona znalazła się w dołku, jego własne siły

131

psychiczne zdawały się rosnać. Jakby żywił się jej kosztem. A więc to tak, myślał w radosnym uniesieniu. Nagle okazała się takim samym człowiekiem jak on, osobą, której energia i wytrzymałość mają swoje granice i która jest tak samo omylna jak wszyscy. Widzieć ją taką, znaczyło nie czuć się dłużej zdominowanym przez nią i poznać wreszcie

własną siłę.

- Gdy cię po raz pierwszy spotkałem - powiedział powoli - myślałem, że jesteś z żelaza. Miałaś wszystko to, czego mnie brakowało. Stracić paru swoich ludzi w walce? Oczywiście, przejęłabyś się tym, ale nie do tego stopnia, żeby znaleźć się tu, na dziesiątym oddziale. Cokolwiek by się stało, nigdy nie znalazłabyś się w takim miejscu jak to. Przypuszczam, że w tamtym czasie byłaś właśnie tym, czego najbardziej potrzebowałem. W przeciwnym razie nie byłabyś w stanie tak wiele dla mnie zrobić, a ty mi pomogłaś, i to bardzo. Nie chciałbym, żebyś się teraz załamała. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby cię przed tym uchronić. Ale to takie miłe, gdy się czuje, że na odmianę szala wagi zaczyna się przechylać w moją stronę.

- Rozumiem cię - powiedziała z uśmiechem. Ale po chwili dodała z westchnieniem: - Ach, Neil... Tak mi przykro. Naprawdę, - nie za dobrze się czuję. Nie mówię tego, żeby się tłumaczyć. Wcale nie. Masz absolutną rację, jeśli chodzi o moje podejście do ludzi i nastroje, ale chyba już nad nimi panuję.

- Chciałbym wiedzieć, dlaczego Michael znalazł się na dziesiątce.

- Wiesz doskonale, że nie powinieneś mnie o to pytać - odrzekła zdumiona. - Nie mogę dyskutować spraw jednego pacjenta z drugim.

- Chyba że ten pacjent nazywa się Benedykt lub LUCJUSZ. - Wzruszył ramionami. - Mimo wszystko uważam, że warto było próbować. Nie pytam o to z cichej ciekawości. On jest niebezpieczny i czuje się za bardzo niezależny... - W momencie, gdy wypowiedział te słowa, już ich pożałował, nie chciał bowiem, żeby się od niego odsunęła teraz, kiedy stała mu się taka bliska.

Nie cofnęła się jednak ani nie broniła swego stanowiska. Wstając z fotela oznajmiła: - Najwyższy czas, żebym się pokazała na oddziale. Ale nie myśl, że cię wyrzucam, Neil. Zbyt wiele ci zawdzięczam. Stała w drzwiach i czekała na niego. - Masz rację mówiąc, że Michael jest niebezpieczny. Lecz jeśli o to chodzi, to niebezpieczny jest Lucjusz, i Ben. Każdy na swój sposób, ale wszyscy jesteście niebezpieczni.

132

Rozdział Siedemnasty.

Tego wieczoru siostra Langtry opuściła oddział trochę wcześniej niż zwykle. Nie zgodziła się na propozycję Neila, który chciał ją odprowadzić. Wolnym krokiem szła do swojej kwatery i po drodze rozmyślała nad tym, jakie to straszne, że nie ma się do kogo zwrócić o pomoc... Była przekonana, że gdyby spróbowała pomówić z pułkownikiem "Ważnym", toby ją samą skierował na badanie poczytalności. Rozmowy z siostrą przełożoną w ogóle nie brała pod uwagę. Nawet wśród koleżanek pielęgniarek nie było żadnej, do której mogłaby się zwrócić, bo te najbliższe odeszły, gdy baza 15 uległa częściowej likwidacji.

Mijający dzień był jednym z najgorszych w jej życiu. Po tych kilku spotkaniach czuła się zupełnie rozbita. Niektóre sceny wciąż ją jeszcze dręczyły. Jak w krzywym zwierciadle, które normalne kształty zmienia w groteskowe, widziała Michaela, Lucjusza, Neila i siebie samą w wykrzywionej i zdeformowanej postaci; to pojawiali się, to znowu znikali z pola widzenia,

Chciała koniecznie znaleźć jakieś logiczne wytłumaczenie tego, co zaszło między Michaeliem i Lucjuszem. Jeśli chodzi o Michaela, to co innego mówił jej instynkt, a co innego wynikało z logicznej oceny jego

zachowania w kuchni oraz niektórych jego wypowiedzi. Dlaczego po prostu nie odepchnął Lucjusza? Mógł go nawet powalić, dlaczego tego nie zrobił? Stał tam jak fujara... Wydawało jej się, że trwało to całe godziny. Pozwolił temu straszemu typowi zdominować się fizycznie. A może zachował się tak dlatego, że gdy ostatnio kogoś odepchnął, to wynikała z tego walka na śmierć i życie i w jej rezultacie znalazł się na oddziale X? To tłumaczenie wydało jej się zupełnie prawdopodobne, chociaż nie miała całkowitej pewności, że właśnie w ten sposób doszło swego czasu do owej fatalnej bójki pomiędzy Michael'em a sierżantem sztabowym. Jego dokumenty nie zawierały żadnych szczegółów na ten temat, a on sam też niewiele o tym mówił. Nie mogła pojąć, dlaczego stał bezczynnie i pozwalał się Lucjuszowi obłapiać. Powinien był po prostu odejść. To na pewno mógł zrobić... Gdy spostrzegł, że ona stoi w drzwiach i śledzi ich, w jego oczach pojawił się wyraz wstydu i niezadowolenia, a potem zamknął się przed nią i nie chciał o tym mówić. To wszystko razem nie miało sensu.

133

Przypomniał jej się szept Lucjusza: "Jak trzeba, to mogę być wszystkim.... Młodzi, starzy, mężczyźni, kobiety, dla mnie to bez różnicy, ja mogę z każdym... Ja tu jestem najlepszy..." Mimo iż miała swoje własne doświadczenia, a także wiedzę pielęgniarzką, nigdy nie myślała, że mogą istnieć tacy mężczyźni jak Lucjusz. Mężczyźni, którzy potrafią swój seks tak ustawić, że działa na każde zawołanie, także jako środek do osiągnięcia różnych oportunistycznych celów. Zastanawiała się, jak do tego doszło, że Lucjusz stał się takim człowiekiem. Przeraziła ją sama myśl, jak wiele musiał przecierpieć, zanim się do tego stanu doprowadził. Miał tyle zalet:

urodę, inteligencję, zdrowie, młodość. A jednak nie miał niczego, był wyzuty ze wszystkiego, wewnątrznie pusty.

Neil wziął inicjatywę w swoje ręce i wymusił na niej, że przyznała się do postępowania, którego motywów sama jeszcze do końca nie rozumiała.

Znała Neila dość długo i blisko, ale go nigdy nie podejrzewała o wrodzoną siłę ducha. Nie postrzegала go jako silnego mężczyzny - a jednak był nim.

Był twardy. Niech Bóg ma ją w swojej opiece, jeśli ten mężczyzna ją kochał, a ona obróciła tę miłość na nice. Łagodne niebieskie oczy Neila lśniły niczym dwa kawałki lapis-lazuli.

Michael działał na nią nie tylko silnie, ale także jakby niezależnie od jej woli. Gdy sobie to uświadomiła, doznała szoku. Nie umiała jeszcze nazwać tego, co czuje, a już miała do niego ogromną słabość i na jego widok serce gwałtowniej biło. Nigdy przedtem niczego takiego nie odczuwała, nawet wtedy, gdy przeżywała najdziksze zrywy spełnionej do końca miłości. Gdyby Michael objął ją i pocałował, pociągnęłaby go za sobą na podłogę i kochała się z nim jak goniąca się suka...

Kiedy znalazła się w swoim pokoju, tęsknym wzrokiem spojrzała na górną szufladę biurka. Zmusiła się jednak siłą woli, by leżącą tam buteleczkę nembutalu zostawić w spokoju. Wprawdzie po południu zażyła tabletkę, ale wtedy było to absolutnie konieczne. Nie mogła spędzić tego popołudnia bezsennie. Musiała odzyskać równowagę, inaczej nie byłaby w stanie wrócić na oddział. Taka mała kuracja szokowa... Na szczęście miała już ten szok za sobą, nawet jeśli potem doszło do nowych szokujących przeżyć. Zrobiła, co do niej należało: wróciła na oddział, a raczej do tego koszmaru, jakim stał się teraz oddział X.

Neil miał oczywiście rację mówiąc, że to w niej nastąpiła zmiana. Tak

było! Stało się to przez Michaela i bardzo źle się odbiło na pacjentach. Miała przeczucie, że nastąpią jakieś kłopoty. Jaka była głupia łącząc je
134

z oddziałem i pacjentami, gdy w rzeczywistości to wszystko działo się w niej. I dlatego trzeba temu położyć kres. Musi z tym skończyć, musi... musi... musi! "O, Boże! - myślała. - Jestem szalona, tak samo nienormalna jak ci, którzy przeszli przez oddział dziesiąty. Co mam począć? Dokąd się teraz udać? O, Boże! Dokąd? Dokąd?"

Na podłodze w rogu była plama. Kiedyś wylała tam niechcący butelkę nafty do lampy. Pamiętała, że bardzo się tym wówczas przejęła. Plama wciąż tam była, stanowiąc przykre przypomnienie, jaka z niej niezdarą. Wzięła wiadro, szczotkę i na czworakach tak długo szorowała plamę, aż deska odzyskała dawną biel. Ale teraz reszta podłogi wydawała się brudna w porównaniu z tym miejscem, a więc szorując kawałek po kawałku posuwała się naprzód, aż cała podłoga była mokra, czysta i biała. Od razu poczuła się lepiej. Wysilek podziałał lepiej niż nembutał. Po takim zmęczeniu od razu zaśnie.

Rozdział Osiemnasty.

Mówię wam, że z nią się dzieje coś złego - upierał się Nugget. Drżał na całym ciele. - O rany, jak ja się fatalnie czuję... - Kaszlał z samego dna płuc. Odchrząknął i splunął przed siebie, trafiając z zadziwiającą dokładnością w pień palmy za plecami Matta. Siedzieli w szóstkę w kółku po turecku na plaży. Byli nadzy. Gdy się patrzyło na nich z pewnej odległości, wyglądali jak pierścień złożony z małych, brązowych, nieruchomych głazów ustawionych z rozkazu jakiejś wyroczeni albo dla spełnienia rytuału. Dzień był cudowny, ciepły, ale nie upalny, w powietrzu

nie czuło się wilgoci. Mimo tak kusząco pięknej pogody mężczyźni byli odwrócenii plecami do morza, piasku i palm. Patrzyli w środek koła, na siebie.

Przedmiotem ich dyskusji była siostra Langtry. Naradę zwołał Neil i wszyscy poważnie się w nią zaangażowali. Matt, Benedykt i Lucjusz uważali, że siostra jest w złej kondycji fizycznej, natomiast pod innymi względami nic jej nie brakuje. Nugget i Neil byli jednak zdania, że z siostrą w ogóle dzieje się coś złego. Jedynie Michael, gdy go pytali o opinię, odmawiał odpowiedzi, co okropnie wściekało Neila.

135

Neil zastanawiał się, kto z nich mówi szczerze. "Wciąż na nowo przetasowujemy teorie na temat jej ewentualnych chorób, począwszy od skórnych po malarię i choroby kobiece, jakbyśmy naprawdę wierzyli, że to tylko jej ciało jest chore - mówił sobie w duchu. - Ja zaś nie mam odwagi zasugerować im, że przyczyną może być coś innego. Chciałbym zniszczyć Michaela, ale na razie nie udało mi się znaleźć w nim żadnego słabego punktu. On jej wcale nie kocha... a ja ją Kocham... Czy to jest słuszne i sprawiedliwe, żeby do tego stopnia zasłonił mnie w jej oczach, że już mnie wcale nie dostrzega? Dlaczego on jej nie kocha? Mógłbym go zabić za krzywdę, jaką jej wyrządza..."

Rozmowa się nie kleiła. Jej uczestnicy tylko szarpali się ze sobą, co jakiś czas przerywając dyskusję i pogrążając się w milczeniu. Byli zaniepokojeni, gdyż siostra wiele dla nich znaczyła, a nigdy przedtem nie zdarzyło się, by musieli się o nią z jakiegokolwiek powodu martwić. Była dla nich jedynym oparciem, zbawczą skałą w morzu trapiących ich niepewności. Przywiązali się do niej. Tylko ona potrafiła uśmierzać

szalejące w nich burze i przywracać im spokój. Bez końca mogli wymyślać dla niej określenia i nazwy, posługując się przy tym metaforą mającą odrealnić te słowa i nadać im poetycki wydźwięk. Nazywali ją swoim drogowskazem, który świeci w ciemności, madonną, opoką, ogniskiem domowym i wspomżeniem cierpiących. Każdy z nich miał jakieś związane z nią wspomnienia i pojęcia odnoszące się tylko do niego samego i stanowiące jego osobisty, indywidualny powód do kochania jej. Dla Nuggeta była jedyną poza matką osobą, która się o niego troszczyła i przejmowała jego cennym zdrowiem. Gdy został przeniesiony z oddziału chorób wewnętrznych na oddział X, zarówno chorzy, jak i personel oddziału, który opuszczał, dali głośny wyraz swojej wdzięczności losowi i zadowolenia z tego powodu. W tym ruchliwym, smrodliwym i hałaśliwym świecie nikt nigdy nie miał czasu go wysłuchać. To go zmuszało do mówienia wiecznie podniesionym głosem i domagania się uwagi. Był chory, a oni wcale nie chcieli w to wierzyć. Gdy przybył na oddział X, cierpiał z powodu strasznego bólu głowy. Nie była to jedna z jego częstych migren, ale bolesne napięcie mięśni, które odczuwał równie silnie jak migrenę, choć ból był nieco inny. Siostra Langtry usiadła wtedy na brzegu jego łóżka i słuchała z uwagą, jak opisywał z detalami, jaki rodzaj bólu odczuwa. Okazała mu wiele zainteresowania i troski. Im bardziej lirycznie Nugget rozwodził się nad swoim bólem, tym większe

136

robił na niej wrażenie i tym bardziej mu współczuła. Zaaplikowała mu zimne okłady i rozłożyła przed nim całą baterię różnych małych pigułek. Cóż to za błogosławieństwo dla niego, gdy mógł nareszcie przedyskutować z kimś rozsądnie wszystkie swoje problemy. Takim

problemem było na przykład znalezienie leku najlepiej uśmierzającego ów nowy, bardzo szczególny ból głowy, inny niż wszystkie, jakie do tej pory odczuwał... Wiedział oczywiście, że z jej strony to tylko odpowiednia metoda postępowania z chorym, bo przecież nie był głupi i rozumiał, że zasadnicza diagnoza dotycząca jego choroby nie uległa zmianie. Wierzył, że siostra naprawdę troszczy się o niego, poświęcała mu bowiem wiele cennego czasu, a to było dla Nuggeta jedynym kryterium, według którego oceniał ludzi. I jeszcze to, że chociaż była ładną kobietą i wspaniałym człowiekiem, zawsze na niego patrzyła tak, jakby coś dla niej znaczył, jakby był dla niej ważny.

Benedykt widział w siostrze kobietę, która o całe niebo przewyższa wszystkie inne. Odróżniał przy tym zawsze kobiety od dziewczyn. Rodziły się albo jedną, albo drugą i to już nigdy się nie zmieniało. Dziewczyny były jego zdaniem okropne: śmiały się z jego wyglądu, dokuczały mu okrutnie i wymyślnie, jak koty. Kobiety zaś uważał za istoty spokojne, za rękojmię utrzymania gatunku ludzkiego i za stworzenia ukochane przez Boga. Mężczyźni zabijali, kaleczyli i cudzołożyli, dziewczyny rozrywały świat na strzępy, tylko kobiety uosabiały życie i światło. A siostra Langtry była ze wszystkich kobiet najdoskonalsza. Ilekroć ją widział, miał ochotę klęknąć przed nią, umyć jej stopy, nawet umrzeć dla niej, gdyby zaszła taka potrzeba. Nigdy nie myślał o niej w sposób plugawy: czuł, że byłaby to zdrada. Czasem jednak w jego nieposłusznych snach zjawiała się nieproszona wśród ukazujących mu się kobiecych piersi i miejsc owłosionych. Już samo to wystarczało aż nadto, by go utwierdzić w przekonaniu, że nie jest godzien, by na nią spojrzeć... Był gotów do pokuty, jeśliby tylko Bóg zechciał dać mu znak. Podejrzewał, iż to Bóg

sprawił, że siostra Langtry wkroczyła w jego życie i że to mógł być właśnie ów dany przez Niego znak. Jeszcze go do końca nie rozszyfrował, ale już dzięki siostrze nie wydawał się sobie tak bardzo inny niż wszyscy i zaczęło się w nim budzić poczucie przynależności. Takiego samego uczucia doznawał w kontakcie z Michaeliem. Od kiedy na oddziale zjawił się Michael, Benowi się zdawało, że siostra Langtry i Michael to jedna i ta sama osoba, ktoś nadzwyczajnie dobry i szlachetny.

137

Benedykt często kojarzył sobie pacjentów oddziału X z najróżniejszymi postaciami i pojęciami. Nugget był dla niego zawsze fretką, gronostajem, łasiczką lub szczurem. Wiedział, że to głupie, ale lubił wyobrażać sobie, że gdyby Nugget zapuścił brodę, toby mu wyrosły szczurze wąsy. Ilekroć spotykał Nuggeta golącego się w łazience, miał ochotę poradzić mu, by pożyczył sobie bengalską brzytwę i wygolił się dokładniej, gdyż te wąsy przyczaiły się tuż pod skórą... Matt kojarzył mu się z niezdara, zawada, omszałym głazem, gałką oczną, rodzynkiem, ośmiornicą z odrąbanymi mackami, samotną łzą, wszystkim co okrągłe, obłe i mętne, bo łzy też były mętne: prowadziły znikąd donikąd... Neil był jak stok górski, poorany deszczem w głębokie bruzdy, jak żłobkowana kolumna, jak dwie deski utrzymujące wóz w koleinach, jak hieroglify na obelisku ulepionym z gliny, jak śpiący strąk z nasionami, który nie może się otworzyć, ponieważ Pan Bóg skleił jego brzegi niebiańskim klejem i... śmieje się z Neila. Lucjusz był Benedyktem, ale takim, jakiego by Bóg stworzył, gdyby Benedykt był mu bardziej miły; stanowiłby uosobienie światła, życia i pieśni. A przecież Lucjusz był wcieleniem zła, sprzeniewierzeniem się Bogu i obrazą boską. Był opacznym zamysłem nieba. Skoro taki był

Lucjusz, jaki musiał wobec tego być Benedykt?

Neil zamartwiał się, gdyż czuł, że Helen wymyka mu się spod kontroli, i nie mógł tego znieść. Za nic! Szczególnie teraz, kiedy w końcu zrozumiał, jak bardzo jest mimo wszystko podobny do ojca. Tak... coraz bardziej przypominał starszego pana z Melbourne. Czuł, że rośnie w siłę. i sprawiało mu to przyjemność. Czy to nie dziwne, że dopiero kiedy przyjrzał się swojemu odbiciu w lustrze, jakie postawił przed nim Michael, po raz pierwszy w życiu zobaczył siebie takim, jakim jest naprawdę. Życie potrafi być okrutne... Że też poznanie siebie musi zawdzięczać człowiekowi, który równocześnie sprawił, iż powód, dla którego Neilowi tak bardzo zaczęło zależeć na poznaniu siebie, oddalił się... Helen Langtry była kiedyś jego i Neil nie zamierzał pozwolić, by od niego odeszła. Przecież musi być jakiś sposób, by ją odzyskać. Musi...

Dla Matta siostra Langtry była ogniwem łączącym go z domem, głosem w ciemności, droższym mu nad wszystkie inne głosy. Wiedział, że już nigdy nie zobaczy swego domu. Nieraz w bezsenne noce usiłował sobie przypomnieć, jak brzmi głos jego żony, jak brzmią cienkie dzwonki głosów jego córeczek, ale nie potrafił. Natomiast głos siostry Langtry trwale zakodował się w komórkach jego mózgu, o którym wiedział, że

138

umiera... W jej głosie odbijały się echem dźwięki innych czasów i miejsc, tak jakby w niej skryzalizowała się jego przeszłość. Jego miłość do niej była wyzuta z pożądania. Nie pożył jej ciała, ponieważ nigdy go nie widział, więc dla niego nie miała ciała. Brakło mu sił, by interesować się czymkolwiek ciałem. Przerażała go perspektywa spotkania z żoną. Bał się, że Urszula zechce wzbudzić w nim pożądanie, którego on już nie

potrafiłby z siebie wykrzesać. Był wzburzony na samą myśl, że musiałby obmacywać dłonią ciało swojej żony, krążyć po nim to w górę, to w dół, to w poprzek... jak ślimak, wąż czy unoszące się na wodzie morskie wodorosty, owijające się bez celu dookoła przypadkowej przeszkody.

Urszula należała do świata, który znał z czasów, gdy widział, zaś siostra Langtry była jego światłem w ciemności. Nie miała twarzy ani ciała; była uosobieniem czystości, czystym światłem.

Lucjusz wolał w ogóle o niej nie myśleć, gdyż ilekroć pojawiała się w jego wyobraźni, zawsze widział ów wyraz wstrętu na jej twarzy i odruch wymiotny, zapamiętane ze spotkania z nią w biurze. Co, u diabła, jest z tą kobietą? Czy nie mogła spojrzeć na niego jak na mężczyznę i przekonać się, jaki jest naprawdę? Nie chciał od niej niczego więcej, jak tylko pokazać jej, ile traci ignorując go. Po raz pierwszy nie wiedział, jak namówić kobietę, by chciała się z nim zadać. Zwykle przychodziło mu to z łatwością. Nie rozumiał, co się dzieje, czuł do niej złość i chciał się zemścić za ten wyraz niesmaku czy wstrętu na jej twarzy i za to, że go odepchnęła. Zamiast myśleć o siostrze Langtry, wolał rozmyślać ze szczegółami o zemście, o tym, jak wspaniale się na niej odegra. Każda jego myśl o niej kończyła się wizją siostry klęczącej u jego stóp, wyznającej, że się myliła, i błagającej, by dał jej jeszcze jedną szansę. Michael nie zdołał jej jeszcze dobrze poznać. Dopiero budziła się w nim nadzieja, że być może znajomość z nią stanie się dla niego źródłem radości. Na razie niczego takiego nie odczuwał. Jego znajomość kobiet była znikoma i właściwie ograniczała się wyłącznie do seksu. Jediną kobietą, którą dobrze znał, była jego matka, ale ona zmarła, gdy miał szesnaście lat. Popełniła samobójstwo. Widać doszła do wniosku, że nie

ma przed sobą żadnego celu, dla którego warto żyć. Jej śmierć była dla niego strasznym ciosem. Obaj z ojcem czuli się jakoś winni, choć tak naprawdę wcale nie wiedzieli, co takiego zrobili, że matka poczuła się zmęczona życiem. Jego siostra była od niego starsza o dwanaście lat i prawie jej nie znał. Jeszcze w czasach szkolnych dowiedział się, że dziewczyny uważają

139

go za interesującego i przystojnego chłopca. Trochę go to przerażało, trochę fascynowało, ale nic z tego nie wynikło. Jego dziewczyny były zwykle zazdrosne, że Michael opiekuje się kulawymi kaczątkami. Miały mu nawet za złe, że w ogóle ma takie skłonności i że poświęca im tyle czasu, zawsze bowiem niesienie pomocy stawiał na pierwszym miejscu. Michael nawiązał jednak dłuższy romans z pewną dziewczyną z Maitlandu. To, co ich łączyło, miało czysto fizyczny charakter. Chodziło im tylko o częste i urozmaicone uprawianie seksu. Michaelowi sprawiało to dużą przyjemność, a że jego partnerka żadnych innych żądań w stosunku do niego nie wysuwała, czuł się wolny. Wojna przerwała ich romans. On wyruszył na Środkowy Wschód, a ona bardzo szybko wyszła za mąż za kogoś innego. Jej zdrada nie zaboląła go zbytnio. Za bardzo był zaangażowany w walkę o przeżycie, by mieć czas na roztrząsanie takich spraw. Najdziwniejsze było to, że wcale nie odczuwał braku życia seksualnego. Bez seksu czuł się nawet silniejszy i zdrowszy. A może miał to szczęście, że należał do ludzi, którzy potrafią seks po prostu wyłączyć. Nie zastanawiał się nad tym i wcale go nie obchodziło, dlaczego tak jest. Dla siostry Langtry żywił przede wszystkim uczucie sympatii. Lubił ją i nie zdawał sobie nawet sprawy, że w pewnej chwili tę sympatię zaczęły

ubarwiać bardziej osobiste i intymne uczucia. Scena, która tego rana rozegrała się w kuchni pomiędzy nim a Lucjuszem, była dla Michaela szokiem. Podczas gdy Lucjusz wygłupiał się po pedalsku, on sam całkowicie panował nad sobą i tylko czekał na właściwy moment, by dać pełny upust wzbierającej w nim złości. Pamiętał jednak, że gdy ten moment nastąpi, nie wolno mu dopuścić do wystąpienia owej straszliwej żądzy zabijania, jaka pojawiła się wówczas w obozie, gdy go napastował sierżant sztabowy. Lecz gdy ta chwila nadeszła i Michael już dosłownie otwierał usta, by wygarnąć Lucjuszowi, co o nim myśli, nagle postyszał hałas i w drzwiach ukazała się siostra Langtry. Z początku ogarnął go straszny wstyd. Wyobraził sobie, jak on i Lucjusz musieli wtedy wyglądać. Nie wiedział, jak się tłumaczyć, więc nawet nie usiłował tego robić. A potem dotknął jej i w tej chwili coś między nimi zaszło, coś, co tkwiło głębiej, nie tylko w ciele, a jednak należało do spraw cielesnych. Wiedział, że ona przeżyła to tak samo mocno jak on. Są sytuacje nie wymagające słów ani nawet spojrzenia. O Boże, dlaczego siostra, której podlega oddział X, nie jest jakimś nieszkodliwym babsztylem w średnim wieku, bezpiecznym dragonem w spódnicy, jak to sobie wyobrażał, zanim znalazł 140

się na oddziale? Nie miało sensu nawiązywać romansu z siostrą Langtry, bo dokąd by go to zaprowadziło? A jednak... to była cudowna myśl... Niosła z sobą nadzieję na coś podniecającego, co jednak niewiele miało wspólnego z ciałem. Michael nagle zrozumiał, że nigdy przed tem nie był zakochany, że nigdy go nie oczarowała żadna kobieta.

- Słuchajcie! - powiedział Neil. - Nie wolno nam zapominać, że siostra na oddziale dziesiątym pracuje już od roku. To logiczne, przynajmniej dla

mnie, że jest już zmęczona bazą, zmęczona dziesiątką, zmęczona nami.

Przecież ona prócz nas nikogo nie widuje. Mike, ty tu jesteś nowy.

Powiedz, co o tym myślisz.

- Myślę, że z was wszystkich ja jestem najmniej kompetentny wypowiadać się na ten temat. A więc wolę spytać Nuggeta, co on o tym myśli...

- Ja się z tym nie zgadzam - powiedział stanowczym głosem Nugget.

- Gdyby siostra była nami zmęczona, gdyby miała nas dość, ja bym pierwszy o tym wiedział.

- Nie mówię, że ma nas dość, tylko że jest nami zmęczona. To jest różnica

- tłumaczył cierpliwie Neil. - A czy my wszyscy nie jesteśmy też zmęczeni? Dlaczego z nią miałyby być inaczej? Czy naprawdę wierzycie w to, że budząc się rano wyskakuje z łóżka z radosnym śpiewem na ustach, ponieważ za kilka minut znowu znajdzie się wśród nas? Czemu tak uparcie milczysz, Michaelu? Bardziej jestem ciekaw opinii twojej niż Nuggeta czy kogokolwiek z nich. Dlatego, że jesteś tu nowy, nie wdepnąłeś jeszcze tak głęboko jak my i możesz jeszcze normalnie patrzeć na te sprawy. Czy twoim zdaniem siostra lubi z nami przebywać?

- Mogę tylko powiedzieć, że nie wiem. Naprawdę nie wiem. Spytaj Bena - mówił Michael, patrząc Neilowi prosto w oczy. - Źle wybrałeś przyjaciela...

- Siostra Langtry ma za dobre serce, by mogła się nami zmęczyć - orzekł Benedykt.

- Pewnie jest sfrustrowana - powiedział Lucjusz.

Matt zaśmiał się. - I nic dziwnego, dziesiątka to na pewno miejsce, gdzie można być sfrustrowanym.

- Ależ nie to miałem na myśli, ty mrugający głupolu, tylko to, że ona jest

kobietą i potrzebuje chłopa...

Te słowa wzbudziły we wszystkich uczucie odrazy, ale choć to dotarło

141

do Lucjusza, zachowywał się tak, jakby mu to sprawiało przyjemność.

Uśmiechał się.

- Wiesz co, Lucjusz, chyba upadłeś tak nisko, że już niżej nie można

- usłyszał od Nuggeta. - Po tym, co powiedziałaś, chce mi się rzygać.

- A czy możesz wymienić cokolwiek, po czym nie chciałoby ci się rzygać? - zareplikował Lucjusz ze złością.

- Naucz się pokory, Lucjusz. Potrzeba ci wielkiej pokory! Wszyscy powinniśmy się nauczyć pokory, zanim umrzemy, a nikt z nas nie wie, kiedy umrze. To może równie dobrze zdarzyć się jutro jak za pięćdziesiąt lat - pouczał go cichym głosem Ben.

- Nie waż się prawić mi kazań, ty głupi zdechlaku! - warknął Lucjusz. - Jeśli będziesz tak nadal postępował, to znajdziesz się u czubków w Callan Park w tydzień po powrocie do cywila...

- Niedoczekanie twoje!

- Przysięgam, że nie będę na to czekał. Będę zbyt zajęty swoją artystyczną karierą, budowaniem sławy...

- Ja się na pewno do twojej sławy nie przyczynię - wtrącił się Matt.

- Nie dałbym ani centa, żeby zobaczyć, jak siusiasz...

Lucjusz parsknął śmiechem. - Gdybyś mógł widzieć, jak siusiam, to już zafundowałbym ci tego przeklętego centa...

- Neil ma rację - odezwał się nagle donośnym głosem Michael. Kłótnia od razu ustała. Wszyscy zwrócili głowy ku niemu i patrzyli z ciekawością, co będzie dalej. Takiego tonu nigdy u niego przedtem nie

słyszeli. Słysząc było w jego głosie pasję, złość i jakby świadomość własnego autorytetu.

- Oczywiście, że jest zmęczona. Czy można ją za to winić? - ciągnął Michael. - Codziennie to samo: Lucjusz czepia się każdego z was po kolei i każdy z was po kolei czepia się Lucjusza. Dlaczego, u diabła, nie możecie odczepić się jeden od drugiego i od niej też? Jeśli z nią jest coś nie tak, to jej sprawa, nie wasza. Gdyby chciała, żeby to była również wasza sprawa, toby wam o tym powiedziała. Odwalcie się od niej. Tak się zachowujecie, że możecie człowieka nie wiem do czego doprowadzić...

- Wstał. - Chodź, Ben, idziemy do wody... Umyj się dokładnie. Ja też spróbuję się umyć. Ale przy tych brudach, w których żeśmy się tu unurzali, to może nam zająć cały tydzień.

„Nareszcie pojawiła się maleńka szczelina w tym jego szczelnym pancerzu

- pomyślał Neil, obserwując bez radości, jak Michael i Benedykt

142

idą w stronę morza. Michael szedł wyprostowany, z głową do góry. - Do diabła! Widać mu na niej zależy. Ale czy ona o tym wie? Nie sądzę, żeby wiedziała... Jeśli mi się uda, to postaram się utrzymać ją w tej niewiedzy..."

- Po raz pierwszy zauważyłem, że straciłeś cierpliwość - powiedział Benedykt wchodząc do wody.

Michael zatrzymał się. Woda sięgała mu po pas. Spojrzał na szczupłą, ciemną, zgryzioną twarz Bena i na jego własnej twarzy też odmalowało się zmartwienie. - To było głupie z mojej strony... - przyznał. - Nigdy nie należy odbezpieczać broni tylko do połowy, bo jednak nie wygarnąłem im wszystkiego do końca. Mnie rzadko kiedy ponosi temperament... Nie

znoszę, gdy ludzie doprowadzają mnie do tego. To jest bez sensu. Dlatego ich opuściłem. Gdybym został, to zrobiłbym z siebie jeszcze większego durnia.

- Ale masz przecież dość siły, by nie dać się sprowokować - zauważył Benedykt z podziwem w głosie. - Chciałbym być taki jak ty.

- Daj spokój, przyjacielu! Ty jesteś najlepszy z nas wszystkich - zapewniał go z przekonaniem Michael.

- Naprawdę tak sądzisz, Mike? Bardzo się staram, ale nie jest mi łatwo. Za dużo straciłem...

- Sam siebie zatraciłeś, Ben, nic więcej. Ale wszystko jest jeszcze do odrobienia. Wciąż masz jeszcze szansę na znalezienie drogi powrotu.

- To przez wojnę! To ona zrobiła ze mnie mordercę. Choć wiem, że to z mojej strony tylko wymówka, bo tak naprawdę to nie wojna jest winna, lecz ja sam. Po prostu nie miałem dość siły, by zdać egzamin, przed jakim mnie Bóg postawił.

- Nie! To jednak wojna! - zdecydował Michael. - Wojna każdemu z nas wyrządziła jakąś krzywdę, nie tylko tobie, Ben! My wszyscy jesteśmy w dziesiątce dlatego, że wojna nas skrzywdziła. Gdyby nie wojna, bylibyśmy zdrowi. Mówią, że wojna jest czymś naturalnym, ale ja się z tym nie zgadzam. Może jest zjawiskiem naturalnym dla rodzaju ludzkiego, może jest naturalna dla starców, którzy ją zwykle wszczynają. Ale dla tych, którzy muszą walczyć na wojnie, jest ona najbardziej nienaturalnym sposobem na życie.

- A ja widzę w tym jednak rękę Boga - stwierdził Benedykt, zanurzając się tak głęboko, że woda przykryła mu całe plecy. Po chwili znowu się wynurzył i dodał: - I dlatego uważam, że musi być naturalna. To Bóg

posłał mnie na wojnę. Nie zgłosiłem się na ochotnika, ale

143

modliłem się, by Bóg mi powiedział, co mam robić. Bóg kazał mi czekać i powiedział, że jeśli uzna, że taki egzamin jest mi potrzebny, to pośle mnie na wojnę, no i posłał... A więc to musi być naturalne...

- Poród i stan małżeński to też są naturalne zjawiska - skrzywił się Michael.

- A ty masz zamiar się ożenić? - spytał Benedykt, wysuwając głowę do przodu, jakby chciał dobrze usłyszeć odpowiedź.

Michael zastanowił się. Myślał o siostrze Langtry, kobiecie wykształconej, dobrze urodzonej, ze stopniem oficerskim, pochodzącej z kulturalnego domu. Należała do klasy, z którą niewiele miał do czynienia przed wojną i wolał nie mieć nic do czynienia w czasie wojny. - Nie! - odpowiedział trzeźwym tonem. - Nie sądzę, bym miał teraz coś do zaoferowania jakiejś kobiecie. Nie jestem już taki jak dawniej. Za dużo wiem o sobie. Aby żyć z kobietą i mieć dzieci, trzeba chyba mieć jakieś złudzenia co do własnej osoby, a ja już nie mam złudzeń. Byłem na wojnie i wróciłem z niej żywy. Znalazłem się jednak teraz w miejscu, w którym nigdy bym się nie znalazł, gdyby nie wojna. Czy to ma jakiś sens?

- Tak, oczywiście.....- przytaknął gorliwie Benedykt, ale tylko dlatego, żeby zrobić przyjacielowi przyjemność. Tak naprawdę nie rozumiał nic z tego, o czym mówił Michael.

- Zabijałem ludzi - ciągnął dalej Michael. - Próbowałem nawet zabić rodaka. Dziesięcioro przykazań nie ma już takiego zastosowania jak przed wojną. Wyplukiwałem szczątki ludzkie ze ścian rozbitych bombowców, bo nie znaleźliśmy ich na ziemi tyle, by urządzić normalny, przyzwoity

pogrzeb. Szukałem „śmiertelników”, żołnierskich płytek do oznaczania tożsamości, brodząc we krwi i wnętrznościach po kostki, w gorszym paskudztwie niż w prawdziwej rzeźni. Bałem się nieraz tak bardzo, że nie sądziłem, iż potrafię jeszcze kiedyś normalnie funkcjonować. Często płakałem. Nie! Nie chciałbym mieć syna, jeśli miałby przejść to samo. Nie chciałbym mieć dziecka, nawet gdybym był ostatnim człowiekiem na ziemi i miał ją na nowo zaludnić.

- Czy masz poczucie winy? - spytał Benedykt.

- Nie, tylko wielki żal... - odpowiedział Michael.

144

Rozdział Dziewiętnasty.

Gdy siostra Langtry weszła po czwartej do pokoju pielęgniarek, był już prawie pusty. Było to pomieszczenie duże i przestronne, głównie dzięki dwójgu wielkim balkonowym drzwiom, które otwierały się na werandę i miały siatkowe zasłony. Robiło to wrażenie niesłychanego luksusu, choć takie same drzwi były także tuż obok, w mesie sąsiadującej z pokojem pielęgniarek. Nie wiadomo, który z genialnych wojskowych projektantów zaplanował wystrój tego wnętrza, ale jest pewne, że musiał lubić pielęgniarke. Na wiklinowych kanapkach leżały poduszki i widać kiedyś komuś zależało na tym, by stworzyć pogodny nastrój, bo uszyto je z kolorowego perkalu. Wprawdzie pleśń już dawno wyżarła deseń materiału, a w pralni sprano kolory, ale to nie miało żadnego znaczenia. Ten duży, wesoły pokój zachował przyjemną atmosferę i odwiedzające go pielęgniarke wprawiał w dobry humor.

Helen Langtry zastała tu siostrę Sally Dawkin z neurologii. Ta krzepka niewiasta w średnim wieku w randze majora nie była, podobnie jak siostra

Langtry, zawodową pielęgniarzką wojskową i do służby sanitarnej w wojsku wstąpiła dopiero w czasie wojny. Sally była gruba i wesoła, ale chronicznie przepracowana. Neurologia to niezwykle trudny oddział i wymaga od prowadzącej go pielęgniarzki ogromnej i wyczerpującej pracy. Siostra Langtry była przekonana, że nie ma bardziej przygnębiającego działu medycyny niż neurologia w czasie wojny. Przypadki neurologiczne nie tylko źle rokowały, ale także wlokły się nieraz niewiarygodnie długo, wbrew wszelkim prawom natury, od których zależy wyzdrowienie bądź zgon pacjenta. Jeśli ktoś traci ramię, to ono oczywiście nigdy nie odrósnie, ale organizm może funkcjonować i bez ramienia. Poszkodowany co prawda opłakuje jego utratę, ale daje sobie radę w życiu niewiele gorzej niż przedtem. Uszkodzony mózg czy rdzeń kręgowy też oczywiście nie odrasta, ale gdy go zabraknie, wysiada aparat, który rządzi całym ciałem. Na oddziale neurologii nawet najbardziej religijni ludzie nieraz marzą, by dało się pogodzić eutanazję z etyką.

Siostra Langtry uważała, że przypadki, jakie zdarzają się na oddziale X, choćby te najgorsze, jednak dadzą się przeżyć. Natomiast nigdy nie potrafiłaby się pogodzić z tragediami, które były chlebem codziennym na neurologii. Z kolei siostra Dawkin była zdania, że rzecz się ma akurat

145

odwrotnie. I bardzo dobrze, że te panie, choć obie tak samo wybitnie uzdolnione i wysoko kwalifikowane, krańcowo się różniły w swoich zawodowych preferencjach.

- Jest świeżo parzona herbata, nawet całkiem niezła - zapraszała siostra Dawkin z promiennym uśmiechem. - Cieszę się, że cię widzę, Helen. Siostra Langtry usiadła przy małym wiklinowym stoliku i sięgnęła po

czystą filiżankę i spodek. Naprzód wlała do filiżanki mleko, a następnie ciemny, aromatyczny strumień herbaty, która na szczęście nie osiągnęła jeszcze stanu „przeaparzenia”, bo wtedy robi się niesmaczna. Potem wygodnie rozsiadła się na kanapce i zapaliła papierosa.

- Spóźnisz się, Sally - upomniała koleżankę Helen.

- Wolę tego nie słyszeć, jak Mojżesz... - odburknęła siostra Dawkin. -

Wiesz, jak było z Mojżeszem? Podejdź! powiedział do niego Pan Bóg. A on usłyszał: Odejdź! - no i stracił posadę.

- Wiesz, ten dowcip to chyba dla pacjentów, którzy ucierpieli z powodu uszkodzenia mózgu... - zaśmiała się siostra Langtry.

- Wiem, ale czego innego możesz się spodziewać, skoro przebywam w takim towarzystwie: kto z kim przestaje, takim się staje...

Siostra Dawkin schyliła się, żeby rozsznurować buciki, potem podciągnęła do góry suknię i odpięła podwiązki podtrzymujące pończochy. Przy tej okazji ukazały się na moment długie majtki, jakie miała na sobie; otrzymywało się je na wojskowy przydział i dziewczyny żartowały, że są "antykonceptyjne"... Sally zdjęła pończochy i rzuciła je na fotel obok.

- Helen, skarbie, gdy myślę o tobie, że siedzisz gdzieś tam na samym końcu bazy w towarzystwie pół tuzina wariatów i nie masz nikogo do pomocy, to ani trochę ci nie zazdroszczę. Już wolę swoich trzydziestu pacjentów z ich nerwicami i swoje pomocnice. Dziś jednak miałam tak okropny dzień, że chętnie bym się z tobą zamieniła.

Przy nogach siostry Dawkin stało wiadro z ocynkowanej blachy napełnione wodą. Gdy obnażyła stopy, Helen zobaczyła, że są krótkie, szerokie, z gułami u nasady paluchów i niskim podbiciem. Obserwowała je z rozbawieniem, choć nie bez pewnego wzruszenia. Sally włożyła obie

stopy do wiadra i rozkoszowała się kąpielą.

- Aaach, jaak cudoownieeee... Chyba nie dałabym rady zrobić już ani kroku...

- Widzę, że masz odparzenia, Sally. Powinnaś zastosować cytrynian potasu.

146

- To, czego mi trzeba, to przeleżeć plackiem kilkanaście godzin ze stopami uniesionymi do góry - zawyrokowała Sally chichocząc.

Wyciągnęła jedną nogę z wiadra i bezlitośnie rozmasowywała napuchniętą czerwoną kostkę. - Masz rację, moje stopy są rozpalone jak biskup na rewii z girlsami. Niestety, nie robię się coraz młodsza i to jest moje największe zmartwienie.

Od drzwi doszedł znajomy stukot energicznych kroków siostry przełożonej i po chwili ona sama przyżeglowała w usztywnionym białym welonie pięknie uformowanym w idealny romb z tyłu. Na jej do niemożliwości wykrochmalonym uniformie nie widać było ani jednej zmarszczki, a wyglansowane na najwyższy połysk buciki oślepiały swoim blaskiem. Widząc je obie siedzące przy stole uśmiechnęła się lodowato i postanowiła wejść do środka.

- Dzień dobry, siostry! - zagrzmiała donośnie.

- Dzień dobry, siostrze przełożona - odpowiedziały unisono jak posłuszne uczennice. Siostra Langtry nie wstała tylko dlatego, że siostra Dawkin nie mogła wstać.

Przełożona od razu zauważyła wiadro i aż się wzdrygnęła.

- Siostrze Dawkin, czy siostra uważa, że to jest przyzwoite: moczyć nogi w publicznym miejscu?

- Sądzę, że wszystko zależy od miejsca i od nóg, siostrzo. Musi mi siostra wybaczyć, ale do bazy numer 15 przysłałam z Moresby, a tam raczej nie mieliśmy wygód - siostra Dawkin wyciągnęła jedną stopę z wiadra i badała ją w sposób niemal kliniczny. - Muszę przyznać, że moja stopa nie wygląda zbyt przyzwoicie. Wykręciłam ją w służbie naszej dobrej starej Florence Nightingale i całkiem wyszła z formy. Ale z drugiej strony - siostra Dawkin włożyła stopę na powrót do wody i wesoło nią pluskała, mówiąc dalej tym samym tonem: - ogromny niedobór personelu na oddziale neurologicznym też nie jest przyzwoity.

Przełożona alarmująco zeszywniała, ale widać przemyślała sobie to, co miała zamiar powiedzieć, na dodatek spieszyła ją obecność siostry Langtry, bo gwałtownie wykręciła się na pięcie i wymaszerowała z pokoju.

- Stara suka! - rzuciła za nią siostra Dawkin. - Dam ja jej przyzwoitość! Przez cały tydzień prześladowała mnie za to, że w obecności naczelnego chirurga z Ameryki, który właśnie nas wizytował, miałam czelność poprosić ją o dodatkowy personel. Ale cóż... prosiłam ją o to wiele razy bez żadnego rezultatu, więc nie miałam nic do stracenia...

147

Pomyśl tylko: mam cztery przypadki porażenia kończyn, sześć paraliżów, dziewięć porażen połowicznych, trzy utraty przytomności i poza tym całą masę mniej groźnych przypadków. Mówię ci, Helen, gdyby nie to, że mamy tych trzech czy czterech pacjentów, którzy są na tyle sprawni umysłowo, iż mogą nam pomóc, to mój okręt poszedłby na dno już dwa tygodnie temu. - Tu siostra Dawkin niegrzecznie prychnęła: - A te idiotyczne moskitiery! Tylko czekam, żeby mi powiedziała, że moskitiery na oddziale D nie wyglądają dość przyzwoicie. W tej samej minucie, jak

mi to powie, wezmę jedną z tych bezcennych moskitier, udrapuję ją pięknie wokół szyi siostry przełożonej i uduszę ją!

- Zgadzą się, że ona sobie na wiele rzeczy zasłużyła, ale żeby aż dusić? No wiesz, Sally, to przesada! - żartowała siostra Langtry, którą bawiło poczucie humoru koleżanki.

- Ach, ta stara krowa... Ona jest naprawdę nie do przyjęcia... Niestety, te wielce obiecujące fajerwerki humoru siostry Dawkin przerwało ukazanie się pielęgniarki Sue Pedder. Nie było mowy o tym, by siostra Dawkin kontynuowała swe wynurzenia w szerszym gronie. Czym innym było bowiem otwarcie serca przed siostrą Langtry i wylanie przed nią całej przepelniającej ją złości, a zupełnie czym innym wtajemniczenie w te sprawy osoby postronnej. Jeśli nawet siostra Langtry nie należała do tej samej grupy wiekowej co Sally, to była jednak pielęgniarką wysokiej klasy, z wieloletnią praktyką zawodową. Siostra Dawkin uważała ją za równą sobie. Poza tym służyły razem w wojsku począwszy od Nowej Gwinei po Morotai, no i były przyjaciółkami. Natomiast siostra Pedder była w porównaniu z nimi osobką bardzo młodą. Co prawda niewiele od niej starsze ochotniczki z Pomocniczej Służby Wojskowej Kobiet pracowały w Moresby przez czterdzieści osiem godzin bez przerwy, ale... I tu był pies pogrzebany: nikt sobie nie wyobrażał, by siostra Pedder mogła pracować tyle godzin bez przerwy wszystko jedno gdzie.

Miała dwadzieścia dwa lata, niezwykłą urodę i duży temperament. Była siostrą operacyjną i dopiero od niedawna pracowała w bazie numer 15. Po szpitalu krążyła żartobliwa opowieść, że nawet major Carstairs, wiekowy chirurg urolog, rżał i tupał z radości, gdy siostra Pedder wpadała w podskokach na salę operacyjną.

Pielegniarki, które miały pozostać w bazie numer 15 aż do jej całkowitej likwidacji, były starsze i bardziej doświadczone. To były weteranki wojny w dżungli. Jedynym wyjątkiem wśród nich była właśnie siostra Pedder.

148

Stąd też nie wszystkie jej koleżanki uważały ją za prawowitego członka swej grupy, a niektóre miały do niej nawet wyraźnie niechętny stosunek.

- Cześć, dziewczyny! - zawołała wesoło siostra Pedder wchodząc do pokoju. - Muszę powiedzieć, że jakoś ostatnio nie widywałam tu zbyt wielu naszych gwiazd oddziałowych. Jak wam się żyje w oddziałach?

- O całe niebo gorzej niż na sali operacyjnej, gdzie się tylko robi piękne oczy do chirurgów i nic więcej - stwierdziła siostra Dawkin.

- Ale baw się, póki możesz. Gdyby to ode mnie zależało, to już byś wyleciała z sali operacyjnej i przeszła do mnie na neurologię.

- O, nie! - zapiszczała siostra Pedder z wyrazem przerażenia na twarzy. - Nie wytrzymałabym na neurologii.

- To źle! - warknęła siostra Dawkin bez odrobiny współczucia.

- Ja też bym nie mogła wytrzymać na neurologii - wtrąciła siostra Langtry, chcąc nieco wesprzeć młodszą koleżankę. - Na neurologii trzeba mieć mocne plecy, brzuch i nerwy, a ja w tych dziedzinach wysiadam...

- To tak jak ja - poinformowała siostra Pedder i popiła łyk herbaty.

Stwierdziła, że herbata jest już letnia i okropnie przeparzona, ale jakoś ją przełknęła. Zapadło nieprzyjemne milczenie, niemal tak przykre jak myśl o przeniesieniu z sali operacyjnej na neurologię. Zdesperowana, zwróciła się do siostry Langtry, która była dla niej zawsze bardzo miła, choć trzymała się na dystans:

- Wiesz, Helen, przed paru tygodniami spotkałam jednego z twoich

pacjentów z oddziału dziesiątego. Okazało się, że chodziliśmy do tej samej szkoły. Czy to nie zabawne?

Siostra Langtry rzuciła jej nagle przenikliwe spojrzenie. Sue uznała, że zainteresowanie jej osobą jest znacznie większe, niż jej wypowiedź na to zasługuje.

- Córka dyrektora banku w grajdołku - powiedziała Helen Langtry wolno, jakby do siebie. - Dzięki Bogu! Całymi dniami zastanawiałam się, którą z pielęgniarek miał na myśli, ale zupełnie zapomniałam o tobie.

- W grajdołku? - powtórzyła siostra Pedder obrażonym tonem.

- No wiesz! Rozumiem, że to nie jest Sydney, ale znowu nie aż taki grajdołek...

- Nie ciskaj się, Sue, grajdołek to żartobliwe miano, jakie Lucjusz nadał swojemu rodzinnemu miasteczku - uspokajała ją Helen.

- Ach, ten Lucjusz Daggett - westchnęła siostra Dawkin ze

149

zrozumieniem, po czym skierowała ogniste spojrzenie na siostrę Pedder: - Jeśli spotykasz się z nim gdzieś po kryjomu, kotku, to pamiętaj, żebyś zawsze miała na sobie blaszane majtki i nie pozwól mu sięgnąć po nóż do cięcia blachy.

Siostra Pedder zaczerwieniła się i trochę nastroszyła. „To by dopiero było, gdybym tak znalazła się na neurologii z tym starym dragonem w spódnicy” - pomyślała. - Zapewniam was, moje panie, że nie ma powodu, by martwić się o mnie - stwierdziła wyniośle. - Znałam Lucjusza, gdy oboje byliśmy dziećmi.

- Ciekawa jestem, jaki on był wtedy. Możesz nam o nim opowiedzieć, Sue?

- Och, wcale się tak bardzo nie zmienił. - Siostra Pedder zrezygnowała ze stawiania oporu. Spodobało jej się, że siostra Langtry okazuje jej zainteresowanie. - Wszystkie dziewczyny za nim szalały, taki był przystojny... Ale jego matka przyjmowała bieliznę do prania i to trochę komplikowało sytuację. Moi rodzice zabiliby mnie, gdybym tylko zerknęła w jego stronę. Na szczęście byłam o parę lat od niego młodsza i gdy skończyłam podstawówkę, Lucjusz już wyjechał do Sydney. Całe miasto śledziło jego karierę. Nie opuściłam ani jednego słuchowiska radiowego, w którym występował. Nasza lokalna rozgłośnia zawsze te słuchowiska transmitowała. Niestety nie udało mi się zobaczyć go na scenie w teatrze Royal. Niektóre dziewczyny pojechały w tym celu do Sydney, ale mnie ojciec nie pozwolił.

- A jaki był jego ojciec?

- Właściwie nie bardzo go pamiętam. Wiem, że był naczelnikiem stacji i zmarł niedługo potem, gdy się zaczął wielki kryzys. Matka Lucjusza była bardzo ambitną kobietą. Nie chciała korzystać z zasiłków opieki społecznej i właśnie dlatego zdecydowała się brać do domu pranie.

- Podobno ma rodzeństwo?

- Dwie bardzo piękne starsze siostry. To była w ogóle bardzo ładna rodzina: najprzystojniejsza w całym naszym okręgu. Niestety, z dziewcząt nie wyrosło nic dobrego. Jedna z nich pije i lepiej nie mówić, jak się prowadzi, druga postarała się o dziecko i mieszka z nim u matki. To dziewczynka.

- Czy Lucjusz dobrze się uczył?

- Był bardzo zdolny. Oni wszyscy byli zdolni.

- A jak wyglądały jego stosunki z nauczycielami? Lubili go? Siostra

Pedder zaśmiała się chyba trochę za głośno. - O Boże, nie!

150

Nauczyciele nie znosili go. Zawsze im niegrzecznie odpowiadał.

Przeważnie wszystko uchodziło mu na sucho, bo niełatwo było złapać go na gorącym uczynku. W dodatku miał jeszcze zwyczaj mścić się na nauczycielach którzy go ukarali.

- Rzeczywiście niewiele się zmienił... - zauważyła siostra Langtry.

- Jest jeszcze przystojniejszy niż dawniej. To najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego widziałam w życiu - oświadczyła siostra Pedder z pewnym rozmarzeniem w głosie.

- Oj! Widzę, że ktoś tu szuka sobie guza... - zachichotała siostra Dawkin, mrużąc oczy. Ale nie było w tym złośliwości.

- Nic sobie z niej nie rób! - uspokajała Sue siostra Langtry. Zależało jej na tym, żeby dziewczyny, która była źródłem informacji o Lucjuszu nic nie wytrąciło z równowagi. - Siostra Dawkin ma kłopoty, bo nie dość, że siedzi jej na karku przełożona, to jeszcze dostała na stopach odparzeń.

Sally Dawkin wyjęła nogi z wiadra, wytarła je byle jak i zabrała swoje buciki i pończochy.

- Nie wiem, dlaczego mówicie o mnie tak, jakbym była nieobecna. Czyż nie jestem tutaj w całej okazałości swoich dziewięćdziesięciu pięciu kilogramów żywej wagi? A moje stopy czują się teraz po wymoczeniu o całe niebo lepiej. Tylko pamiętajcie, dziewczyny, nie pijcie wody z tego wiadra, bo pełno w nim epsomskiej soli do nóg. Ja już będę uciekała. Mam jeszcze trochę czasu, więc sobie utnę krótką drzemkę. - Skrzywiła się. - To przez te cholerne buciki, które każą nam nosić po zmroku, tak

mnie bolą nogi...

- Czy pamiętałaś, żeby unieść trochę wyżej dolną część łóżka - zawołała za nią siostra Langtry.

- Zrobiłam to już całe lata temu, kochanie - doszła ją z daleka odpowiedź.

- Łatwiej byłoby postarać się o bucki, ale nigdzie nie mogę ich znaleźć...

Nie mówię o swoich, oczywiście...

Helen i Sue skwitowały to wybuchem śmiechu, ale gdy ucichł, pogrzyły się w kłopotliwym milczeniu.

Siostra Langtry zastanawiała się, czy powinna ostrzec Sue przed Lucjuszem lub przynajmniej zrobić jakiś krok w tym kierunku. Doszła do wniosku, że ostrzeżenie Sue jest jej obowiązkiem, i uświadomiła sobie przy okazji, jakie trudne bywa nieraz spełnienie obowiązku. Wiedziała, że młoda siostra Pedder boryka się w bazie numer 15 z dużymi trudnościami, 151

otoczona przez same starsze siostry nie ma przyjaciół i czuje się osamotniona. Nie było tam nawet żadnych młodych ochotniczek Pomocniczej Służby Wojskowej Kobiet, z którymi mogłaby się spotykać. Helen Langtry była przekonana, że Lucjusz stanowi dla Sue Pedder pewne zagrożenie. Ta młoda osóbka wydała jej się bowiem dojrzała fizycznie, skora do miłości i chętna do korzystania z życia. A że Lucjusz przypomina jej dzieciństwo i rodzinne strony, w kontaktach z nim nie będzie zbyt ostrożna.

- Mam nadzieję, że Lucjusz nie zrobił ci żadnej przykrości - powiedziała w końcu. - On bywa czasem bardzo trudny.

- Nie! - odpowiedziała Sue i od razu się ożywiła.

Siostra Langtry zabrała ze stolika swoje papierosy i zapalki i wrzuciła je

do koszyka, który stał u jej stóp. - Jesteś już tak długo pielęgniarką, Sue, że chyba potrafisz o siebie dbać. Pamiętaj jednak, że Lucjusz dlatego jest pacjentem dziesiątki, iż cierpi na pewne zaburzenia. My sobie z nim radzimy, ale nie będziemy mogli pomóc tobie, jeśli coś ci się stanie.

- Mówisz o nim tak, jakby był trędowaty - z oburzeniem w głosie powiedziała siostra Pedder. - Przecież zmęczenie wojną i walką na froncie to żaden wstyd. To się zdarza wielu dobrym żołnierzom.

- Czy to ci właśnie powiedział?

- Tak, i to jest prawda. - W głosie Sue pojawiła się jednak pewna nuta niepewności. Siostra Langtry od razu to wyczuła i pomyślała, że widać zaszło coś takiego, co kazało się siostrze Pedder zawahać. Ciekawe, co to było.

- Otóż mylisz się. Prawda jest taka, że Lucjusz nigdy nie był na froncie. Przez cały czas wojny pracował w kancelarii bazy zaopatrzeniowej swego pułku daleko od frontu.

- Dlaczego więc znalazł się w dziesiątce?

- Nie wydaje mi się, żebym miała prawo powiedzieć ci coś więcej niż to, że pewne negatywne cechy charakteru Lucjusza skłoniły jego przełożonych, by umieścić go w takim miejscu jak dziesiątka.

- On rzeczywiście jest czasem jakiś dziwny... - przyznała siostra Pedder. Przypomniała sobie, jak się w nią ohydnie beznamiętnie i bezlitośnie wbijał i jak ją dziko gryzł. Miała potem posiniaczoną szyję i skórę przeciętą w kilku miejscach. Na szczęście okazało się, że posiada bezcenny mały słoiczek pudru w kremie i bardzo w tej sytuacji przydatną maseczkę kosmetyczną, które przed przyjazdem tutaj nabyła w amerykańskiej kantynie w Porcie Moresby.

- Sue, posłuchaj mojej rady i nie spotykaj się z Lucjuszem - powiedziała siostra Langtry. Podniosła swój koszyk, wstała i miała już ochotę wyjść, dodała jednak: - Wierz mi, że nie gram wobec ciebie roli siostry przełożonej ani ci nie prawię kazań. Nie mam najmniejszego zamiaru mieszać się do twoich osobistych spraw, ale osoba Lucjusza należy, niestety, do moich spraw i nic na to nie poradzę. Trzymaj się od niego z daleka!

Tego było siostrze Pedder za wiele. Poczula się skarcona, poniżona i aż się nadęła ze złości. - Czy to rozkaz? - spytała, pobladła.

Siostra Langtry spojrzała na nią zdziwiona, a nawet trochę rozbawiona. - Nie! Rozkazywać może ci tylko siostra przełożona.

- No to wypchaj się z twoimi radami... - wyrwało się siostrze Pedder nierozważnie. Zasady obowiązujące w tym zawodzie i poczucie dyscypliny, jakie jej wpojono w szkole, były wciąż jeszcze zbyt świeże, by mogła bezkarnie mówić takie rzeczy i nie bać się, że ta śmiałość od razu zwróci się przeciwko niej.

Tymczasem jej zuchwałość nie wywołała żadnego wrażenia. Siostra Langtry wyszła z pokoju i być może wcale jej nie słyszała.

Siostra Pedder siedziała jeszcze parę minut bez ruchu i ssała wargę, zagryzając ją prawie do krwi. Rozdzierały ją sprzeczne uczucia: z jednej strony zdawała sobie sprawę, że Lucjusz ogromnie jej się podoba, z drugiej czuła, że jemu zupełnie na niej nie zależy.

Część Czwarta.

Rozdział Dwudziesty.

Cały tydzień minął, zanim siostra Langtry pozbyła się uczucia zmieszania i zakłopotania, które, choć tłumione, wciąż ją męczyło. Powodem była owa chwila słabości, której uległa wtedy w kuchni w czasie rozmowy z Michaeliem. Na szczęście Michael niczego nie podejrzewał i był dla niej jak zawsze uprzejmy i przyjacielski. Dzięki temu nie ucierpiała jej duma; pozostał ból, ale dotyczył zupełnie innej sfery doznań. Tymczasem każdy dzień skracał czas dzielący oddział X od zamknięcia i przybliżał nadchodzącą wolność.

W jakieś dwa tygodnie po incydencie w kuchni siostra Langtry, wchodząc któregoś dnia późnym popołudniem na oddział, omal nie zderzyła się z Michaeliem, który właśnie w pośpiechu opuszczał brudownik. W ręku trzymał zniszczoną i wyszczerbioną metalową miskę.

- Michaelu, zakryj, proszę, tę miskę pokrywką - poleciła mu odruchowo. Zatrzymał się i nie wiedział, czy ma najpierw zrobić to, co zamierzał i co wydawało mu się pilne, czy też wykonać polecenie siostry, bądź co bądź wyższej od niego rangą.

- Niosę tę miskę Nuggetowi - wyjaśnił. - Strasznie go boli głowa i zbiera mu się na wymioty.

Siostra minęła go, sięgnęła ręką do brudownika, gdzie tuż za drzwiami leżały na półce sprane do szarości, lecz czyste ścierki, wzięła miskę z jego rąk i przykryła ścierką.

- Więc Nugget ma migrenę - stwierdziła spokojnie. - Nieczęsto ją miewa,

ale gdy go już dopadnie, to biedaka zupełnie wykańcza...

Weszła na oddział i spojrzała na Nuggeta leżącego na łóżku nieruchomo, z zimnym kompresem na oczach. Siostra bezszelestnie przysunęła krzesło do jego łóżka i usiadła przy nim.

- Czy mogę ci w czymś pomóc, Nugget? - spytała cicho, stawiając miskę na szafce przy łóżku.

Ledwo poruszając ustami wyszeptał: - Nie, siostrzyczko...

- Czy to jeszcze długo potrwa?

- Jeszcze wiele godzin - szepnął i spod kompresu na jego powiekach spłynęły dwie łzy. - Dopiero się zaczęło...

156

Nie dotknęła go nawet. - Nie przejmuj się, tylko leż spokojnie. Będę blisko, żeby mieć cię na oku.

Posiedziała przy jego łóżku jeszcze minutę, po czym wstała i przeszła do swego biura.

Czekał tam na nią wyraźnie zdenerwowany Michael. - Czy na pewno nic mu nie grozi, siostrzyczko? Nigdy nie widziałem Nuggeta leżącego tak spokojnie. Nawet nie piśnie...

Zaśmiała się. - Wszystko jest w porządku. Nic mu nie będzie. To tylko pocziwa migrena. Ból jest tak ostry, że on nie odważy się ruszyć ani wydać jakiegokolwiek dźwięku.

- Ale nie ma na to jakiegoś środka, który by siostra mogła mu podać? - dopytywał się Michael, zniecierpliwiony jej obojętnością. - A gdyby mu tak zaaplikować morfinę? To zwykle pomaga.

- Ale nie przy migrenie - powiedziała stanowczym tonem.

- A więc nic nie może siostra dla niego zrobić?

Jego ton zezłościł ją. - Nuggetowi nie zagraża żadne niebezpieczeństwo. On tylko po prostu bardzo źle się czuje. Za jakieś sześć godzin będzie pewnie miał torsję i to go powinno od razu uwolnić od najgorszego bólu. Możesz mi wierzyć, że mu bardzo współczuję i przykro mi, że musi to wszystko przechodzić, ale w żadnym wypadku nie podejmę ryzyka uzależnienia go od takich środków jak morfina. Jesteś tu już chyba wystarczająco długo, by wiedzieć, na czym polega choroba Nuggeta, więc dlaczego chcesz, żebym wyszła na czarny charakter w tej sztuce. Nie jestem oczywiście nieomylna, ale nie lubię, jak mi pacjenci mówią, co mam robić.

Serdecznie się roześmiał. Chwycił ją za rękę i potrząsał po przyjacielsku. - Brawo, siostrzyczko! - zawołał. W jego szarych oczach pojawił się błysk i coś więcej niż ciepło.

Jej oczy też zajaśniały. Poczowała nagły przypływ wdzięczności. Nie mogło tu być żadnej pomyłki. Sposób, w jaki teraz na nią patrzył, mówił wszystko o tym, co czuł. Jej wątpliwości zniknęły. Wiedziała, że go kocha. Nie będzie się już dłużej męczyć i egzaminować własnych uczuć. Kocha go! Znalazła się u kresu podróży, której nie zamierzała odbyć.

On badawczym wzrokiem taksował jej twarz, potem jego wargi rozchyliły się, jakby chciał coś powiedzieć. Czekwała, oniemiała z pragnienia, ale z jego ust nie padło żadne słowo. Z wyrazu twarzy mogła czytać, co się dzieje w jego sercu. Widziała, jak intensywnie pracuje jego umysł i jak

157

miłość zaczyna ustępować pola i znikać pod naporem... czego? Strachu? Rozwagi? Zmienił się nawet sposób, w jaki trzymał jej rękę. To już nie

była pieśczoła, lecz zwykłe, przyjacielskie dotknięcie.

- Zobaczmy się później - powiedział i wyszedł.

Wciąż jeszcze stała w osłupieniu, gdy niespodziewanie do jej biura wszedł Lucjusz. Nie miała już czasu przemyśleć tego, co się stało.

- Chcę z tobą pomówić, siostrze, i to zaraz - oznajmił, dziwnie blady na twarzy.

Zwilżyła wargi. - Oczywiście - wykrztusiła i przestała myśleć o Michaelu.

Lucjusz podszedł bliżej i stanął tuż przed jej biurkiem. Helen usiadła w swoim fotelu.

- Mam z tobą na pieńku...

- A więc usiądź - odpowiedziała spokojnie.

- Nie ma potrzeby, bo to długo nie potrwa, skarbie! Chcę wiedzieć, dlaczego pokrzyżowałaś moje plany wobec tej małej Pedder z mego rodzinnego grajdołka.

Siostra otworzyła szeroko oczy. - Ja?

- Wiesz cholernie dobrze, żeś to zrobiła. Wszystko mi się z nią pięknie układało i nagle, jak grom z jasnego nieba, ona mi mówi, że „to nie jest właściwe, żebym się zadawała z takimi jak ty, bo jesteś tylko sierżantem...” I jeszcze mówi, że rozmowa z tobą ukazała jej pewne aspekty, których przedtem nie dostrzegala.

- Oczywiście, że to nie w porządku, że się spotykacie potajemnie, i chyba sam wiesz, że oficer nie powinien utrzymywać intymnych stosunków z kimś niższej rangi.

- Daj spokój, siostrze! Wiesz równie dobrze jak ja, że w tym cholernym miejscu każdej nocy łamie się te zasady. Przecież tu w ogóle nie ma mężczyzn poza tymi niższych rang. Lekarze wojskowi? Jestem

przekonany, że żadnemu z tutejszych lekarzy nie stanie nawet dla Betty Grabie... Pacjenci w randze oficerów? Przecież to same kaleki. Zaręczam, że im nie stanie nawet dla Marii Panny...

- Jeśli już musisz używać tanich i wulgarnych słów, to przynajmniej mógłbyś się powstrzymać od bluźnierstw! - rzuciła ostro, ze stężałą twarzą i twardym wzrokiem.

- Przecież mówię o czymś, co jest właśnie tanie i wulgarnie, więc niby jakich mam używać słów? I możesz mi wierzyć, moja słodka, że stać mnie 158

na znacznie gorsze rzeczy niż bluźnierstwo... Ach, jaka z ciebie pedantyczna stara panna... Myślisz, że o siostrze Langtry nie plotkuje się w mesie?

Oparł dłonie na brzegu biurka, pochylił się i przybliżył swoją twarz do jej twarzy tak, że dzieliło je tylko parę centymetrów. Już kiedyś zbliżył do niej twarz, ale teraz malował się na niej zupełnie inny wyraz.

- Ostrzegam cię - syczał. - Nie waż się nigdy więcej wchodzić mi w drogę, bo pożałujesz, żeś się w ogóle urodziła. Słyszysz? Przyjemnie mi było z małą Pedder i robiliśmy to na wiele sposobów, których nigdy nie poznasz, ty stara, sucha raszplo!

Lucjusz nie miał pewności, czy wszystko, co powiedział, dotarło do niej, ale ten epitet dotarł bez wątpienia. Widział, jak po jej twarzy przemknął płomień cierpienia i wściekłości. I nacisnął do końca ten pedał, żeby to nieoczekiwane zwycięstwo nad nią w pełni wykorzystać. Zużył na to cały zapas swego jadu...

- Palisz się, żeby pójść do łóżka z Michaelem, ale tego bałwana trudno nazwać mężczyzną. Prędzej można uwierzyć, że to piesek pokojowy: Tu,

Mike! Tam, Mike! Do nogi, Mike! Czego ty się po nim spodziewasz? Że uklęknie i będzie cię o to błagał? Nigdy w życiu! Jego to wcale tak bardzo nie interesuje, kochanie!

- Nie uda ci się wyprowadzić mnie z równowagi - powiedziała chłodno i powoli. - Wolę myśleć, że te podłe oszczerstwa, które na mnie rzucasz, nie zostały w ogóle wypowiedziane. Wiesz, jakie badanie jest najbardziej bezsensowne? Pośmiertne! Sekcja zwłok! I to, co ty tu wydziwiasz, jest równie bezsensowne. Jeśli siostra Pedder rzeczywiście zmieniła zdanie o stosunkach z tobą, to bardzo się cieszę ze względu na was oboje, a szczególnie ze względu na nią. Twoja tyrada przeciwko mnie nie ma sensu, bo przecież nie wpłynie na to, co czuje siostra Pedder.

- Trudno o tobie powiedzieć, siostrze, że jesteś jak góra lodowa, bo przecież lód topnieje, a ty? Ty jesteś z kamienia. Ale znajdę drogę, by się na tobie zemścić. Możesz być tego pewna! Będziesz jeszcze płakała krwawymi łzami...

- Co za idiotyczny melodramat - zauważyła z pogardą w głosie. Nie boję się twoich gróźb, Lucjuszu! Czuję do ciebie obrzydzenie, przyprawiasz mnie o mdłości, ale się ciebie nie boję! Blefujesz jak zawsze, ale mnie nie wyprowadzisz w pole jak innych. Ja cię widzę na wskroś. Już dawno cię przejrzałam. Jesteś tylko małym marnym oszustem, świadomie nadużywającym cudzego zaufania.

159

- Wcale nie blefuję! - zaperzył się. - Zobaczysz! Jest coś, czego pragniesz, a ja to zniszczę. Tak! I zrobię to z największą radością...

Od razu domyśliła się, że chodzi mu o Michaela. O nią i Michaela. Ale Lucjusz nie mógł tu nic zdziałać. To, co było między nimi, mógł zniszczyć

tylko Michael lub ona sama.

- Idź już, Lucjuszu! Po prostu odejdz stąd! Zabierasz mi czas!

- Wredna suka! - rzucił przed siebie Lucjusz, patrząc na łóżko, na którym siedział zgarbiony, apatyczny Ben. Rozejrzał się po sali i zdawało mu się, że wszystko go tu osacza. - Wredna suka! - powtórzył głośniej, zwracając się do Bena. - Czy wiesz, o kim mówię, ty zbzikowany jebaku? O tej wrednej suce, twojej szacownej siostrze Langtry! - Nie panował nad sobą. Obsesja nienawiści ogarnęła go do tego stopnia, że nie pamiętał już, iż nie Bena, lecz innych kolegów zwykle tak prowokował. Po prostu musiał się na kimś wyładować, a poza Benem nikogo tu nie było.

- Myślisz, że jej na tobie zależy? Otóż nie! Ani trochę! Jej na nikim nie zależy, tylko na tym cholernym bohaterze, sierżancie Wilsonie! Czy to nie śmieszne, że Langtry zakochała się w pedale?

Ben powoli podniósł się z łóżka. - Nie mów tak, Lucjuszu! Przestań strzępić swój długi jęzor na niej i Michaelu! - zaklinał spokojnym głosem.

- Nie wygłupiaj się, idioto! Nie wiem, jak mam cię przekonać, że Langtry to głupia stara panna zakochana w największym pedale w całej australijskiej piechocie. - Podeszedł do łóżka Bena ociężałym, kołyszącym się krokiem, co potęgowało wrażenie, że jest ogromnej, mocnej postury.

- Wierz mi, Ben! Michael to ciota.

W Benedykcie narastała wściekłość, a on sam jakby rósł wraz z nią. Z jego ciemnej, surowej twarzy opadła warstwa przygnębienia i pokory, a obnażyło się coś głębszego i przerażającego - jak wtedy, gdy na dnie głębokiej rany ukazują się kości. - Odczep się od nich, Lucjuszu!

- powiedział spokojnie. - Nie wiesz, o czym mówisz.

- Ależ wiem, Ben, wiem doskonale. Przeczytałem to w jego dokumentach.

Twój ukochany Mike jest ciotą...

Dwa małe pęcherzyki o gęstej i lśniącej treści wydymały się w kącikach ust Bena. Zaczął dygotać. Trzęsły nim krótkie, szybko po sobie następujące dreszcze.

160

- Po cóż miałbym kłamać? To wszystko jest napisane w jego dokumentach: obrabiał dupy połowy batalionu! - Lucjusz cofnął się raptem o krok. Wolał nie znajdować się zbyt blisko Bena. - Jeśli Michael jest ciotą - szydził dalej, nie mogąc się powstrzymać - to kim ty jesteś, Ben?

Przeraźliwy, żaloszny krzyk wyrwał się z piersi Bena. Nie czuło się w nim niepokoju. Nie wiadomo, jak długo napięte mięśnie zdołałyby powstrzymać rosnącą w nim furie, która niby wielki cień towarzyszyła jego ciału - gdy nagle Lucjusz zaczął wydawać krótkie, urywane dźwięki przypominające terkotanie karabinu maszynowego. Ben szarpnął się, ale zaraz znieruchomiał... Całym swoim jestestwem przeniósł się w czas owej nieszczęsnej salwy.

- A-a-a-a-a-a-a-a-a! Pamiętasz, stary? Oczywiście, że pamiętasz. To dźwięk twego karabinu. Zabiłeś nim tylu niewinnych ludzi. Pomyśl o nich, Ben... dziesiątki kobiet, dzieci, staruszków: oni wszyscy nie żyją. Zamordowałeś ich z zimną krwią tylko po to, żeby znaleźć się w oddziale X i płaszczyć przed takim wyrodkiem jak Mike Wilson.

Gniew Bena przemienił się w inną formę udręki, bardziej bolesną. Osunął się na łóżko z głową odchyloną do tyłu i zamkniętymi oczami. Łzy zalewały mu twarz. Czuł tylko pustkę i rozpacz.

- Odejdź stąd, Lucjuszu! - usłyszał za plecami głos Matta. Lucjusz w

pierwszej chwili podskoczył, ale przypomniał sobie, że przecież Matt nie widzi, więc odwrócił się i starł pot z twarzy. - Idź do diabła! - zaklął i szybko przeszedł obok Matta. Po drodze wziął z łóżka swój kapelusz, nonszalanckim ruchem nałożył go na głowę i przeszedł przez cały oddział do drzwi frontowych.

Matt słyszał prawie całą rozmowę Lucjusza z Benem. Ale póki nie minęło niebezpieczeństwo przemocy fizycznej, nie miał odwagi się wtrącić. Bał się, że gdyby wkroczył między nich, mógłby jeszcze pogorszyć sytuację. Miał nadzieję, że Ben sam lepiej się obroni przed Lucjuszem.

Teraz macając dokoła rękami znalazł łóżko Bena, usiadł i szukał nadal, póki nie natrafił na jego ramię. Westchnął. - Już wszystko w porządku, Ben - powiedział łagodnie. Dotknął twarzy Bena i poczuł pod palcami łyzy. - Przestań! - prosił. - Już wszystko minęło. Ten bydlak już sobie poszedł. Nie będzie ci już więcej dokuczał, stary druhu!

Benedykt jakby nie słyszał. Nie płakał już, objął ramionami swoje ciało i kołysał się na łóżku tam i z powrotem, tam i z powrotem...

Poza Mattem nikt na oddziale nie wiedział, co zaszło. Do zboląłego Nuggeta wciąż nic nie docierało. Michael poszedł do najbliższego szpitalnego

161

pawilonu, w którym byli jeszcze ludzie, aby pożyczyć mleko w proszku. Neil zaś wszedł do biura siostry Langtry prawie w tym samym momencie, gdy Lucjusz gwałtownie z niego wypadł. Zastał siostrę z twarzą zakrytą rękami.

- Co się stało? Co ci ten bydlak zrobił?

Natychmiast odjęła ręce od twarzy. Nie było na niej ani śladu łez czy

złości. Wyraz jej twarzy był spokojny i opanowany.

- Nic mi nie zrobił - odrzekła.

- Musiał ci coś zrobić. Słyszałem jego podniesiony głos, słychać go było na końcu oddziału...

- To tylko teatralna zgrywa... On jest aktorem. A wylał na mnie swoją złość dlatego, że zastopowałam jego romansowe zapędy wobec jednej z siostr. Chodzi o tę dziewczynę z jego rodzinnego miasteczka. Córka dyrektora banku, pamiętasz?

- Doskonale pamiętam, jak nam o niej opowiadał. To była chyba jedyna okazja, gdy mi groziło, że mogę polubić Lucjusza...

Wyjął papierosa; siostra chętnie przyjęła poczęstunek i łąpczywie się zaciągnęła.

- Jego zainteresowanie tą dziewczyną ma oczywiście charakter zemsty. Zrozumiałam to w momencie, gdy się dowiedziałam o ich romansie. Nie sądzę, by ta mała żyła w jego marzeniach. Ale gdy ją tu spotkał i jego wspomnienie, że tak powiem, przyoblekło się w ciało, szybko spostrzegł, jaki może z niej zrobić użytek.

- Masz rację - przyznał Neil. - Lucjusz Ingham, słynny aktor teatralny, i Rhett Ingham, wielki gwiazdor filmów hollywoodzkich, mógł teraz nareszcie zagrać na nosie mieszkańcom rodzinnego grajdołka.

- Ta mała podkochiwała się w Lucjuszu, gdy oboje byli dziećmi, ale była zbyt wielką snobką, żeby pozwolić, by syn praczki dowiedział się, jak bardzo jej się podoba. Wtedy była zresztą za młoda, by go zainteresować. Ale gdy teraz pojawiła się na horyzoncie i mógł ją skompromitować, zrobił to z rozkoszą.

- Nic więc dziwnego, że Lucjusz się nie ucieszył, gdy mu pokrzyżowałaś

plany.

Zaśmiała się. - Można rzec, że właściwie oceniasz sytuację.

- Domyśliłem się, że to tak właśnie było. Wprawdzie nie słyszałem, co mówił, ale słyszałem, jakim tonem. Wyobrażam sobie, jaki musiał być wściekły, że tak się sprawy potoczyły. Czy ci groził?

162

- Niespecjalnie. Zajmował się raczej wyliczaniem moich wad jako kobiety. - Skrzywiła się z niesmakiem. - Nieważne. W każdym razie dałam mu do zrozumienia, że moim zdaniem plecie głupstwa.

- Na pewno nie było żadnych gróźb? - upierał się Neil.

Była zmęczona jego naciskaniem i powiedziała zniecierpliwiona: - A cóż mi może Lucjusz zrobić? Zastanów się, Neil! Pobić mnie? Zabić mnie? Daj spokój! Takie rzeczy zdarzają się tylko w powieściach, nie w życiu. Tu nie ma na to żadnej możliwości. A poza tym dobrze wiemy, że dla Lucjusza najważniejsze jest jego własne bezpieczeństwo. Na pewno nie zrobi niczego, za co mógłby zostać ukarany. On tylko rozpościera nad naszymi głowami czarne skrzydła i chce, by nasza wyobraźnia zrobiła za niego całą brudną robotę. Ale mnie na swoje triki nie nabierze.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz, siostrzyczko!

- Neil! Czy nie uważasz, że póki jestem na tym stanowisku, nie wolno mi dać się zastraszyć żadnemu pacjentowi? - Powiedziała to bardzo poważnie.

Neil wzruszył ramionami i postanowił dać już temu spokój. - Z typową dla Parkinsonów lekkością pragnę zmienić temat i poinformować cię, że słyszałem dziś pewne pogłoski. Właściwie nawet więcej niż pogłoski...

- Jakie pogłoski?

- Że nasz szpital zbliża się już nareszcie do końca swego istnienia.
- Tak? Gdzie to słyszałeś? Bo do żadnej z naszych pielęgniarek jeszcze ta wiadomość nie dotarła.
- Wiem to od samego pułkownika „Ważnego” - zaśmiał się. -

Przypadkiem przechodziłem obok jego kwatery dziś po południu. Pan pułkownik właśnie stał na balkonie, niczym Julia po spotkaniu z Romeem, i rozmyślał z radością o tym, że już wkrótce powróci na Macquarie Street w Sydney. Zaprosił mnie na górę na drinka i powiedział mi jako oficer i dżentelmen oficerowi i dżentelmenowi, że najprawdopodobniej w niecały miesiąc opuścimy to wspaniałe miejsce. Wiadomość pochodzi z kwatery głównej dywizji i została ogłoszona dziś rano.

Na twarzy siostry malowało się przerażenie, jakiego nawet Lucjusz nie był w stanie wywołać. - O Boże! Tylko miesiąc?

- Możesz dodać lub ująć tydzień. Wyniesiemy się stąd, zapewne jeszcze zanim się zacznie pora deszczowa. - Nagle spoważniał i stwierdził ze zdziwieniem: - Naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Kiedy ostatnio odbywaliśmy podobnie szczerą rozmowę we dwoje, siedziałaś tu wyglądając

163

jak trzy ćwierci do śmierci i zastanawiałaś się, czy zdołasz tu przetrzymać do końca. A teraz, gdy się okazuje, że koniec jest już tuż-tuż, znowu wyglądasz jak trzy ćwierci do śmierci...

- Nie czułam się wtedy dobrze - zauważyła sztywno.
- Gdyby mnie spytano, to powiedziałbym, że chyba teraz nie czujesz się dobrze.
- Nie rozumiesz... będzie mi brakowało dziesiątki.

- Nawet Lucjusza?

- Tak, nawet jego. Gdyby nie Lucjusz, nie udałoby mi się nawet w połowie poznać was wszystkich tak dobrze, jak poznałam dzięki niemu.

Uśmiechnęła się jakby z musu i dodała: - Ani samej siebie, na dobrą sprawę.

Rozległo się pukanie i zaraz potem w drzwiach ukazała się głowa Michaela. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam, siostrzyczko. Herbata jest już gotowa.

- Udało ci się zdobyć mleko?

- Bez kłopotu.

Od razu zerwała się na nogi, zadowolona, że może w tak naturalny sposób przerwać rozmowę z Neilem. - Chodźmy więc! Neil, weź po drodze herbatniki. Masz bliżej niż ja.

Czekała, aż Neil znajdzie puszkę z herbatnikami, przepuściła go przed sobą, a potem udała się za nim i za Michaeliem na oddział.

Rozdział Dwudziesty Pierwszy.

Siostra zatrzymała się przy Nuggecie i dała znak Neilowi i Michaelowi, żeby poszli dalej. Sama wśliznęła się za parawan, który ktoś ustawił wokół jego łóżka. Leżał bez ruchu i nie dał po sobie poznać, że wie, iż jest przy nim. Zmieniła mu więc tylko wilgotny kompres na oczach i wyszła, zostawiwszy go w spokoju.

Przy stole zauważyła, że nie ma Lucjusza. Spojrzała na zegarek i ze zdziwieniem stwierdziła, że jest dużo później, niż myślała.

- Jeśli Lucjusz będzie nadal tak nieostrożnie postępował, to się doczeka karnego raportu. Czy ktoś wie, gdzie on się podziewa?

- Wyszedł - poinformował z niechęcią w głosie Matt.

- Lucjusz kłamie! - wtrącił Ben, który przez cały czas nie przestawał się kołysać.

Siostra Langtry przyjrzała mu się bliżej. Wyglądał dziwnie, jeszcze bardziej niż zwykle zamknięty w sobie. Jego kołysanie było zupełnie nowym i niepokojącym objawem.

- Czy ty się dobrze czujesz, Ben?

- Dobrze! Nie! Bardzo źle! Wszystko jest nie tak! On kłamie! Ma język żmii.

Siostra i Michael wymienili spojrzenia. Ona uniosła brew w niemym zapytaniu, on, również zdumiony, potrząsnął przecząco głową. Neil zmartwiał. Nic z tego nie rozumiał.

- Co jest nie tak, Ben? - spytała siostra.

- Wszystko! Kłamstwa! On już dawno zaprzedał duszę...

Neil, chcąc mu dodać otuchy, pochylił się i poklepał go po szczupłych, zgarbionych plecach. - Nie pozwól, Ben, by Lucjusz cię denerwował!

- To diabeł!

- Płakałeś, Ben? - spytał Michael, siadając na łóżku obok niego.

- On mówił o tobie, Miko! Mówił okropnie podłe rzeczy.

- Ale ja nie robię niczego podłego, więc dlaczego się tym przejmujesz?

- Michael wstał, poszedł po pudło z szachami, rozłożył je na stole i zaczął ustawiać na szachownicy pionki i figury.

- Ja gram dzisiaj czarnymi - zapowiedział.

- Nie, to ja jestem czarny...

- W porządku, a więc ja gram białymi, a ty możesz sobie być czarny. To dla mnie plus, cieszę się... - dodał pogodnie.

Ben skrzywił się, zamknął oczy, odchylił głowę do tyłu, a spod jego rzęs zaśniły łzy. - Ach, Mike, przecież ja nie wiedziałem, że tam były dzieci... - tłumaczył się, płacząc.

Michael nie zwracał na niego uwagi. Zajął się szachownicą. Przesunął pionka sprzed króla dwa pola do przodu i czekał. Po chwili Ben otworzył oczy; choć patrzył przez ścianę łez, dojrzał jego ruch i szybko powtórzył go swoim pionkiem. Pociągał przy tym nosem, jak dziecko, a po chwili wytarł nos brzegiem dłoni. Michael przesunął teraz do przodu pionka sprzed królowej i ustawił go obok pionka chroniącego króla. Ben znowu powtórzył ten ruch i łzy zaczęły mu powoli wysychać. A kiedy Michael podniósł gońca od strony króla i przeniósłszy go ponad pionkiem stojącym przed nim postawił przed swoją wieżą, Benedykt zachichotał

165

i pokręcił głową. - Chyba nigdy nie nauczysz się grać! - stwierdził, bawiąc się wieżą.

Siostra Langtry odetchnęła z ulgą, wstała i żegnając każdego uśmiechem na dobranoc, wyszła z sali. Neil także się podniósł, obszedł stół dookoła i stanął przy zapomnianym przez wszystkich Matcie.

- Zapraszam cię do mego pokoju na małą pogawędkę - powiedział, dotykając lekko ramienia Matta. - Pułkownik „Ważny” ofiarował mi dziś po południu coś, czym chciałbym się z tobą podzielić. To ma nalepkę czarną jak charakter Lucjusza, ale w środku, ach, w środku jest czyste, niefalszowane złoto.

Matt zaniepokoił się. - A czy o tej porze nie obowiązuje nas cisza nocna?

- Oficjalnie tak, ale dzisiaj wszyscy jesteśmy trochę podnieceni i pewnie dlatego siostra zeszła z dyżuru nie otuliwszy nas na dobranoc. Zresztą Ben

i Mikę są zajęci szachami, a Nugget ma swoją migrenę i jeśli zaśniemy, zanim będzie miał torsje, to i tak nas obudzi.

Matt wstał i chociaż trochę zwlekał z wyjściem, uśmiechał się z niekłamana radością. - Cieszę się na wizytę u ciebie i bardzo jestem ciekaw rozwiązania zagadki. Co to jest: ma czarną nalepkę, a w środku czyste złoto?

W niewielkim pokoiku udało się Neilowi zmieścić łóżko, stół i jedno krzesło. Na ścianie przybił parę półek - przezornie w takich miejscach, by jak wstanie, nie uderzył się w głowę. Pokoik był zarzucony przyborami malarskimi. Ktoś znający się na rzeczy zauważyłby od razu, że techniki malarskie stosowane przez tego artystę należą do mniej trwałych i nie tak wymagających jak olej. Walały się tam ołówki, arkusze papieru, węgiel do rysowania, pędzle, słoiki z brudną od farb wodą, blaszane pudełka z dziecięcymi farbami wodnymi, tubki farby plakatowej, kredki i pastele. Panował tu straszny bałagan. Siostra Langtry już dawno zrezygnowała z prób zmuszenia Neila do utrzymywania pokoju w porządku. Ze stoickim spokojem znosiła nie kończące się uwagi siostry przełożonej na temat stanu, w jakim znajduje się pokój kapitana Parkinsona. Na szczęście Neil, kiedy chciał, potrafił czarować nawet ptaki, by się trzymały z daleka od drzew, więc udawało mu się także trzymać na dystans tę głupią starą kwokę, jak bez szacunku mówił o siostrze przełożonej.

Neil, gościnny gospodarz, posadził Matta wygodnie na łóżku, a sam zajął krzesło. Przedtem zrzucił z niego na podłogę jakieś szpargały i okruchy. Na stole ustawił dwie małe szklanki do mycia zębów i dwie

butelki Johnnie Walkera, szkockiej whisky z czarną nalepką. Wziął jedną z

nich do ręki, zerwał pieczęć, ostrożnie podważył korek i hojnym gestem napełnił obie szklanki.

- Na zdrowie - rzekł i wypił do dna.
- W twoje ręce - odparł Matt i zrobił to samo.

Obaj sapali jak pływacy po wynurzeniu się na powierzchnię z lodowato zimnej wody.

- Miałem za długą przerwę w picciu - powiedział Neil i oczy mu się załzawiły. - O Boże, ależ ten alkohol uderza do głowy...

- Smakuje niebiańsko - dodał Matt i znowu się napił.

Zrobili przerwę i odetchnęli głęboko, delektując się działaniem whisky.

- Coś się musiało zdarzyć dziś wieczorem, co wytrąciło Bena z równowagi. Czy wiesz coś o tym? - spytał Neil.

- To przez Lucjusza. Imitował dźwięk karabinu maszynowego i szydził z Bena, że zabijał niewinnych ludzi, a Ben, biedaczysko, wybuchnął płaczem. Ten cholerny Lucjusz powiedział mi, żebym poszedł do diabła, i gdzieś poleciał. Myślę, że on jest jakiś opętany...

- Może Ben ma rację, może to diabeł.

- O, nie! Co to, to nie, on jest na pewno z krwi i kości...

- Ale na wszelki wypadek jest bardzo ostrożny - w obawie, by któryś z nas nie zechciał się przekonać, czy on jest śmiertelny

Czy nie...

- Zgłaszam się na ochotnika, by go wypróbować! - zadeklarował Matt ze śmiechem. W wyciągniętej ręce trzymał opróżnioną szklankę.

Neil napełnił jego szklankę, potem swoją. - Boże, jak mi ta whisky była potrzebna. Pułkownik „Ważny” chyba umie czytać w myślach.

- To naprawdę on dał ci tę whisky? Myślałem, że żartujesz.

- Nie żartuję. Wręczył mi ją osobiście.
- A z jakiej okazji?
- Och, myślę, że te butelki są zaledwie małą częścią zapasu, jaki pan pułkownik zgromadził sobie na lewo. Pewnie obliczył, ile whisky zdoła jeszcze wlać w siebie do czasu zlikwidowania bazy numer 15, i bawi się w świętego Mikołaja, rozdając nadwyżki.

Ręka Matta zadrżała. - To my już wracamy do domu? Klnąc siebie w duchu za to, że whisky rozwiązała mu język, Neil spojrział ze współczuciem na Matta. Ale nawet najbardziej współczujący człowiek nie jest w stanie zrozumieć, czym jest ślepotą, wszystko jedno

167

- prawdziwa czy wyimaginowana. - Tak, stary... zostaniemy tu już tylko około miesiąca.
 - To już tak niedługo... I ona się dowie...
 - Prędzej czy później i tak się dowie.
 - Sądziłem, że będę miał trochę więcej czasu...
 - Nie przejmuj się, Matt! Ona zrozumie.
 - Czyżby? Ja jej już nie pragnę, Neil! Nawet nie mogę o tych rzeczach myśleć. Ona się spodziewa, że wróci do niej mąż, a ja już nie czuję się na siłach być mężem.
 - Oceniasz sprawy ze swej obecnej perspektywy. Nie możesz przewidzieć, jak wam się życie ułoży. Nie przekreślaj przyszłości! Przecież nie wiesz, co się jeszcze może stać. Im bardziej się gorączkujesz, tym gorzej.
- Matt westchnął, podniósł szklankę do góry i wychylił ją do dna.
- Cieszę się, że miałaś pod ręką alkohol. Działa jak anestetyk. Neil postanowił zmienić temat i wrócić do sprawy Bena.

- Lucjusz musiał być w kiepskim nastroju dziś w nocy. Najpierw naskoczył na siostrę, a potem zaatakował Bena.
- Wiem!
- Słyszałeś?
- Słyszałem, co mówił do Bena.
- To znaczy, że Lucjusz nie tylko imitował karabin maszynowy, ale jeszcze coś mówił?
- Tak, mówił, i to dużo. Wypadł wściekły z biura siostry Langtry i zaatakował Bena za to, że jej broni przed jego podłymi pomówieniami. Ale najbardziej zdenerwowało Bena to, co Lucjusz wygadywał na Michaela.

Neil patrzył na Matta z coraz większym podziwem. - A co takiego mówił o Michaelu?

- Ach, że Mikę jest ciotą. Czyś kiedy słyszał coś równie głupiego? I jeszcze cały czas wmawiał Benowi, że on o tym wie, bo czytał papiery Michaela.

- Ależ z niego bydlak! - „Czasem los bywa łaskawy” - pomyślał Neil, wdzięczny losowi, że udało mu się tego wszystkiego wywiedzieć od niewidomego Matta, który nie może zobaczyć wrażenia, jakie jego słowa zrobiły na nim. - Masz, Matt, napij się jeszcze...

Whisky szybko uderzyła Mattowi do głowy, w każdym razie tak się Neilowi zdawało. Spojrzał na zegarek i zobaczył, że jest już po jedenastej. Wstał, przerzucił sobie ramię Matta przez plecy i pomógł mu się podnieść, choć sam nie czuł się na nogach zbyt pewnie.

168

- Chodź, stary, już czas do łóżka!

Benedykt i Michael właśnie chowali już szachy do pudła. Michael szybko podszedł do Neila, żeby mu pomóc. Razem ściągnęli z Matta spodnie, koszulę, podkoszulek i kalesony, po czym położyli go do łóżka, tym razem bez piżamy.

- No, to mamy go z głowy - zauważył Michael, uśmiechając się. Neil patrzył na jego spokojną twarz o niezwykłej sile wyrazu i chociaż wiedział, że to, co zamierza zrobić, nieco tę siłę osłabi, to uświadomił sobie nagle, że lubi tego chłopca z całej swojej rozrzewnionej alkoholem duszy. Objął Michaela za szyję i bliski łez położył głowę na jego ramieniu.

- Chodź, napij się ze mną - powiedział smutnym głosem. - Zapraszam was z Benem do siebie. Musicie się napić ze starszym panem, bo jeśli się nie zgodzicie, to się chyba popłaczę... Choć jestem nieodrodnym synem swego ojca, gdy myślę o tobie, o nim i o niej, chce mi się płakać...

Chodźcie

i napijcie się ze mną!

- Nie możemy oczywiście dopuścić do tego, żebyś płakał - stwierdził Michael, uwalniając się z uścisku. - Chodź, Ben, zostaliśmy zaproszeni... Ben odstawił pudło z szachami na miejsce i podszedł do nich. Neil objął go ramieniem. - Chodź, napij się z nami. Mam jeszcze półtorej butelki. Ja już nie będę więcej pił, ale nie mogę pozwolić, żeby ten cudowny trunek nie został wysączony do dna.

Benedykt cofnął się. - Ja nie piję - oznajmił.

- Ale dziś wieczór dobrze ci to zrobi - zapewnił go stanowczym głosem Michael. - Nie musisz być bardziej święty od nas... - Michael i Ben wzięli między siebie Neila i podtrzymując go przeszli razem przez salę. Przy drzwiach na korytarz Michael poszukał kontaktu i zgasił światło nad

stołem. W tym momencie usłyszeli jakieś odgłosy i zza zasłony w drzwiach wejściowych wyłonił się Lucjusz. Wcale się nie skradał, szedł wyzywająco śmiałym krokiem, jakby się spodziewał, że czeka go spotkanie z siostrą Langtry.

Trzej mężczyźni stanęli i patrzyli na niego, a on patrzył na nich. I nagle doszedł ich odgłos torsji: Nuggetowi udało się wreszcie zwymiotować, co przyniosło mu natychmiastową ulgę.

- O Boże! Cóż to za obrzydliwy dźwięk - zauważył Neil i od razu wytrzeźwiał. Wepchnął do swego pokoiku Bena i Michaela, wszedł tam za nimi i dokładnie zamknął drzwi.

169

Rozdział Dwudziesty Drugi.

Lucjusz poszedł prosto do łóżka i nawet nie spojrzał w stronę pokoju Neila. Na sali panował łagodny półmrok. Był na oddziale sam.

Towarzyszył mu jedynie nieprzyjemny odgłos torsji Nuggeta.

Poczuł tak ogromne zmęczenie, że przysiadł na brzegu łóżka, niezdolny do najmniejszego ruchu. Przedtem przez wiele godzin chodził tam i z powrotem po plaży, wędrował po ścieżkach wokół bazy i wzdłuż jasnych szpalerów palm kokosowych i myślał, myślał, myślał...

Narastała w nim zaciekle, ślepa nienawiść. Marzył, by bić i chłostać siostrę Langtry tak długo, aż jej głowa potoczy się po ziemi jak piłka futbolowa. Ach, ta zarozumiała suka... Lucjusz Daggett nie był dla niej dość dobry, więc znalazła inne wyjście: rzuciła się w ramiona tej pedalskiej cioty. Ona ma chyba źle w głowie. Gdyby wybrała jego, żyłaby jak księżniczka. Lucjusz nie wątpił, że będzie w przyszłości bogaty i

sławny, że zostanie większym gwiazdorem niż Clark Gable i Gary Cooper razem wzięci. Nie można czegoś pragnąć tak silnie jak on i nie dostać tego! Czyż ona sama tak nie powiedziała?

W dniu, kiedy opuścił rodzinne miasteczko i przybył do Sydney, był młodym, niespełna piętnastoletnim chłopcem, ale już wiedział, że aktorstwo

otworzy przed nim drogę do sukcesu, i czekał na to z ogromną niecierpliwością. Nigdy nie widział żadnej sztuki w teatrze i nigdy nie był na żadnym filmie w kinie, ale przez wszystkie szkolne lata wysłuchiwał zachwyty dziewczyn tym czy tamtym aktorem... Zdawał się nie zwracać uwagi na ich rady, żeby, gdy dorośnie, koniecznie starał się dostać do filmu. „Niechby lepiej zajmowały się swoimi sprawami” - myślał.

Wiedział, jak chce zrobić karierę, i nie życzył sobie, by jakaś idiotka chodziła potem po mieście i chwaliła się, że to ona pchnęła go we właściwym kierunku i że wszystko zawdzięcza jej genialnemu pomysłowi.

W Sydney znalazł pracę jako magazynier w hurtowni konfekcji.

Sprzątnął tę posadę sprzed nosa kilkuset innym kandydatom. Kierownik hurtowni nie był w stanie oprzeć się chłopcu o pięknych włosach, promiennej twarzy i jeszcze do tego obdarzonemu bystrym umysłem.

Wybrał trafnie. Chłopiec okazał się bardzo dobrym pracownikiem.

170

Lucjusz szybko się zorientował, jak znaleźć dojście do zawodu aktorskiego. Od kiedy pracował i zarabiał, miał co jeść, rósł szybko, nabierał ciała i wkrótce wyglądał nad wiek poważnie. Przesiadywał u Repinsa, wypijając niezliczone filiżanki kawy. Kręcił się koło Doris Fitton w Teatrze Niezależnym. Wkrótce jego twarz stała się znana.

Niedługo potem zaczął otrzymywać małe rólki w słuchowiskach radiowych. Dostały mu się nawet parę razy drobne kwestie w prestiżowej rozgłośni, nadającej na drugim kanale. Miał doskonały radiowy głos, czysty i o właściwym tembrze, dobrą dykcję i wymowę. Obracając się przez sześć miesięcy w odpowiednim towarzystwie, wyzbył się zupełnie australijskiego akcentu i używał go tylko wtedy, gdy wynikał z roli. Zazdrościł ludziom, których stać było na ukończenie wyższej szkoły czy uniwersytetu. Próbował, najlepiej jak umiał, uczyć się sam. Czytał wszystko, co mu ludzie polecali. Często duma nie pozwalała mu spytać wprost, czym powinien się zainteresować, wyciągał więc te informacje od przyjaciół fortelem - po czym natychmiast szedł do biblioteki.

W wieku osiemnastu lat Lucjusz zarabiał już dość dużo, głównie dzięki różnym małym rolom w radiu. Gdy tylko mógł sobie na to pozwolić, porzucił pracę w magazynie i wynajął mały pokój przy Hunter Street. Urządził go ładnie i pomysłowo, najlepiej jak umiał. Na ścianach zawiesił półki i wypełnił je solidnymi książkami. Oczywiście nie zdradził się przed nikim, że kupował te książki okazjnie na bazarze Paddy'ego. Płacił za nie grosze. Bywało, że kupował za trzy pensy cały tuzin książek. Trafił mu się kiedyś komplet dzieł Dickensa oprawny w skórę, za który zapłacił raptem dwa funty i osiem pensów.

Gdy umawiał się z dziewczynami, był zawsze bez grosza i wkrótce już wszystkie wiedziały, że gdy Lucjusz je zaprasza, to muszą płacić rachunki. Większość z nich nie zraziła się i zdecydowała się mimo wszystko nadal z nim spotykać. Uważały, że to się opłaca: pokazują się z mężczyzną, za którym oglądają się dosłownie wszyscy. Wkrótce Lucjusz odkrył świat starszych pań. Płaciły jego rachunki z największą radością, by w drodze

rewanżu w miejscach publicznych korzystać z jego towarzystwa, a prywatnie z jego penisa.

Wtedy też rozpoczął trening seksualny, który doprowadził go do takiej perfekcji, że bez względu na to, jak bardzo nieciekawa, brzydka czy wręcz odpychająca była pani, która go wzięła do łóżka, zawsze potrafił stanąć na wysokości zadania. Równocześnie nauczył się posługiwać miłosną paplaniną,

171

którą czarował te panusie, wmawiając im, że budzą w nim gwałtowne pożądanie. I zaczęły napływać prezenty: garnitury i buty, kapelusze i płaszcze, spinki i zegarki, krawaty, koszule i jedwabna bielizna. Te hojne prezenty wcale go nie kępowały, uważał bowiem, że w pełni na nie zapracował.

Nie był także zdziwiony, gdy się okazało, że jest w Sydney wielu starszych panów gotowych go za usługi seksualne hojnie wynagradzać. Z czasem zaczął nawet przedkładać starszych panów nad starsze panie. Panowie bardziej otwarcie informowali go o swych erotycznych potrzebach i lepiej wywiązywali się ze swych pieniężnych zobowiązań. Nie musiał ich też ciągle na nowo zapewniać, że są piękni i pożądani, co go szalenie męczyło. Starsi panowie mieli także lepszy gust. Nauczył się od nich, jak się elegancko ubierać, jak przy każdej okazji - począwszy od koktajlów, a na ministerialnych bankietach skończywszy - demonstrować arystokratyczne maniery oraz jak rozpoznawać ludzi z lepszych sfer. Po zagranii kilku niezbyt ciekawych ról w niezbyt ciekawych sztukach wystawionych w niezbyt ciekawych teatrach Lucjuszowi zaproponowano wstępne przesłuchanie do niezłej roli w teatrze Royal i niewiele

brakowało, by tę rolę otrzymał. Po drugim przesłuchaniu w tym teatrze dostał znaczącą rolę w sztuce z prawdziwego zdarzenia. Krytycy potraktowali go raczej łaskawie i gdy przeczytał ich recenzje, miał już pewność, że nareszcie wyszedł na prostą...

To wszystko działo się w 1942 roku. Lucjusz miał wtedy dwadzieścia jeden lat i wkrótce otrzymał powołanie do wojska. Lata dzielące go od tamtej chwili uważał za stracone, a swoje życie w tym czasie za całkowicie zmarnowane.

Niemniej wkrótce się okazało, że jeśli się znajdzie frajera, to i na wojnie można sobie zapewnić wygodne życie. Frajerem okazał się pewien poważny oficer zawodowy, który do czasu zetknięcia się z Lucjuszem był raczej teoretycznym niż praktykującym homoseksualistą. Starszy pan zakochał się w nim uczuciem gwałtownym i wzniosłym, a Lucjusz, który podlegał mu służbowo, wykorzystywał go z wyrachowaniem i premedytacją. Utrzymywał ten stosunek aż do połowy 1945 roku, a potem, znudzony i niepewny przyszłości, bo wiadomo było, że wojna już się kończy, postanowił go zerwać. Zrobił to, odrzucając swego kochanka w szorstkich, jadowitych, pełnych pogardy słowach. Oficer usiłował popełnić samobójstwo. Wybuchł skandal i przy okazji wyszły na jaw pewne nadużycia

172

w rozliczeniach finansowych, a także braki w materiałach zaopatrzeniowych, które przechodziły przez ich biuro. Prowadzący śledztwo szybko wykryli udział Lucjusza, a gdy stwierdzili, że ma skłonność do awantur i niszczycielskie instynkty, pozbyli się go w bardzo prosty sposób: wysłali go na oddział X i tam już pozostał na dobre. "Długo

już tu nie będę" - pocieszał się.

- Już niedługo - powiedział teraz na głos, siedząc po ciemku na łóżku. Znajomy z żandarmerii polowej, którego spotkał podczas wieczornej wędrówki po przyszpitalnym terenie, powiedział mu, że szpital zostanie wkrótce zlikwidowany. Poszli razem do budki żandarma i wypili we dwóch butelkę piwa, wznosząc niefrasobliwe toasty dla uczczenia dobrej nowiny. Po powrocie na oddział Lucjusz pomyślał sobie jednak, że marzenia o tym, co będzie po wojnie, mogą poczekać. Najpierw to, co najważniejsze. A najważniejsze to dać nauczkę Langtry.

Rozdział Dwudziesty Trzeci.

Neil, zgodnie z obietnicą, nie dolewał już sobie whisky; napełniwszy dwie szklanki, dał jedną

Benowi, drugą Michaelowi.

- Zalałem się w pestkę! - stwierdził. - Kręci mi się w głowie. Co za głupota, tak się urznąć! Miną całe godziny, zanim przyjdę do siebie.

Michael, zanim łyknął odrobinę whisky, najpierw potrzymał ją na języku, żeby sprawdzić jej moc. - To dobra, mocna whisky - powiedział. Śmieszne, kiedyś jakoś nie przepadałem za tym trunkiem...

Ben najwyraźniej przemógł swoją początkową niechęć do alkoholu, bo szybko wypił do dna pierwszą szklankę i wyciągnął ją po repete. Neil spełnił jego życzenie w nadziei, że whisky dobrze zrobi temu biedakowi.

„Lucjusz to prawdziwy bydlak! - myślał. - Ale jakże zastanawiając się, że upragnione informacje o Michaelu zdobyłem w chwili, gdy Wydawało mi się, że już nigdy nie dowiem się prawdy". I że też musiałem dowiedzieć się o tym okreśną drogą, za pośrednictwem Lucjusza.

Postanowił

dokładnie przyjrzeć się twarzy Michaela, szukając śladów skłonności, które imputował mu Lucjusz. Wszystko jest oczywiście możliwe, ale,
173

takiego rozwiązania zagadkowej historii Michaela nigdy by się nie spodziewał... Właściwie wciąż w to nie wierzył - bez względu na to, co zawierają papiery Michaela. Homoseksualiści zawsze, ale to zawsze, czymś się w końcu zdradzają. I to jest chyba logiczne, bo jak inaczej mogliby się wzajemnie rozpoznać. Tymczasem Michael, i co do tego Neil nie miał wątpliwości, żadnych takich oznak nie zdradzał.

Siostra Langtry wprawdzie wiedziała, co jest w jego dokumentach, ale nie miała w tej dziedzinie doświadczenia. Co innego oni, którzy spędzili sześć długich lat wojny wyłącznie w towarzystwie mężczyzn. Neil zastanawiał się, czy siostra ma w związku z Michaelem jakieś wątpliwości. Musiała je mieć... zresztą, któż ich nie ma? A ostatnio niczego nie była zbyt pewna, nawet siebie samej. Na szczęście nic jeszcze nie zaszło pomiędzy nią i Michaelem - przynajmniej na razie, więc jest szansa...

- Czy waszym zdaniem - mówił z trudem, ale zupełnie wyraźnie - siostrzyczka wie, że my wszyscy się w niej kochamy?

Ben spojrzał na niego szklanymi oczami. - Nie kochamy się w niej, Neil, ale kochamy ją! Miłość, miłość, nic, tylko miłość...

- Nic dziwnego! - wtrącił Michael. - Od bardzo dawna nie mieliśmy do czynienia z kobietami; ona jest pierwszą, z którą kontakt stanowi w jakimś sensie część naszego życia. Byłoby dziwne, gdybyśmy jej nie kochali. Ona daje się kochać.

- Tak sądzisz, Mike? Naprawdę uważasz, że ona daje się kochać?

- Tak!

- Nie wiem, czy „daje się kochać” to są właściwe słowa. Zawsze myślałem, że coś, co daje się kochać, jest ciepłe, przytulne... Perkaty nos, piegi, ciepły uśmiech. Coś, co wpada w oko. A przecież ona wcale taka nie jest. Jest sztywna - jak połączenie krochmalu ze stalą. Pyskuje jak straganiarka, tyle że używa przy tym języka wyższych sfer. I wcale nie jest ładna. Fantastycznie atrakcyjna, ale nieładna. Nie, nie sądzę, by „daje się kochać” dobrze ją określało.

Michael odstawił szklankę na stół, chwilę pomyślał, uśmiechnął się i potrząsnął przecząco głową. - Jeśli takie zrobiła na tobie wrażenie, to musiałeś być wtedy bardzo chory. Gdy ja ją zobaczyłem, to pomyślałem, że jest rozkoszna. Patrząc na nią, miałem ochotę się śmiać; nie z niej, ale z radości, że jest blisko. Zupełnie nie zauważyłem w niej sztywności, krochmalu czy stali... Wcale nie, w każdym razie nie na początku. Teraz to widzę. Dla mnie była kimś, kto daje się kochać... nawet bardzo...

174

- I dalej uważasz ją za taką?

- Przecież powiedziałem...

- Czy twoim zdaniem ona wie, że my wszyscy jesteśmy w niej zakochani?

- Jest trochę inaczej, niż myślisz... Ta dziewczyna ma ideały, jest oddana sprawie. Nie należy do tych, co przeżyły życie, marząc o miłości. Nie ma w sobie nic z pensjonarki. Podejrzewam, że gdyby przyszło co do czego, to dla niej najważniejsza okazałaby się praca. Chyba najbardziej sobie ceni swój zawód pielęgniarstwa...

- Jeszcze się taka kobieta nie urodziła, która nie wybrałaby małżeństwa.

Każda z nich chce, jeśli to tylko możliwe, wyjść za mąż - upierał się Neil.

- Dlaczego?

- Bo one wszystkie żyją dla miłości.

Michael spojrzał na niego współczująco. - Ach, daj spokój, Neil!

Wydoroślej! Czy nie uważasz, że i niektórzy mężczyźni żyją dla miłości?

Ale miłość niejedno ma imię... jest miłość i miłość... i to bez względu na płeć.

- Ach, co ty o tym wiesz... - zauważył z goryczą Neil. Nie lubił, by go strofowano. Czuł się wówczas jak wtedy, gdy go strofował ojciec. A jakkolwiek na to patrzeć, Michaelowi Wilsonowi daleko było do Longlanda Parkinsona...

- Nie mam pojęcia, skąd, ale wydaje mi się, że wiem. To jest chyba instynkt, bo cóż by innego? Na pewno nie mogę się uważać za eksperta, ale na niektórych takich sprawach się znam, choć nie pamiętam, żebym się kiedykolwiek tego uczył. Są ludzie na poziomie i nie... Każdy człowiek jest inny. - Wstał, przeciągnął się. - Zaraz wrócę... - oświadczył. - Muszę zobaczyć, jak się ma Nugget.

Gdy po paru minutach wrócił, Neil powitał go nieco ironicznym spojrzeniem. W dość prosty sposób zorganizował sobie dodatkowe szkło. Wylał brudną wodę ze słoika po farbach i napełnił go whisky dla siebie.

- Napijmy się, Mike! - powiedział. - Mimo wszystko przyszła mi ochota na jeszcze jedną whisky. Jak świętować, to świętować...

175

Rozdział Dwudziesty Czwarty.

Budzik siostry Langtry zadzwonił o pierwszej w nocy. Nastawiła go na tę godzinę ze względu na Nuggeta. Chciała sprawdzić, jak będzie się czuł, gdy ból głowy zacznie ustępować. Poza tym trafiły ją złe przeczucia.

Wydawało jej się, że pacjenci jakoś dziwnie zachowywali się wieczorem i doszła do wniosku, że nie zaszkodziłoby przy okazji sprawdzić ich wszystkich.

Od czasu, gdy tuż po szkole odbywała staż w szpitalu, wyćwiczyła w sobie umiejętność zrywania się natychmiast po usłyszeniu dzwonka. I teraz od razu wyskoczyła z łóżka, zdjęła piżamę, wciągnęła spodnie i włożyła tropikalną kurtkę, nie tracąc czasu na bieliznę. O tej porze nikogo nie powinno interesować, czy jest odpowiednio ubrana czy nie. Włożyła skarpetki i zasznurowała buciki, te, które zawsze wkładała na dzienny dyżur. Zegarek i klucze leżały na biurku obok latarki. Wsunęła je do jednej z czterech naszytych na kurtkę kieszeni. Na koniec porządnie ściągnęła się paskiem. Dobrze, jest gotowa! Zostało już tylko pomodlić się, by na oddziale był spokój. Prześliznęła się przez zasłonę z kapsli i na palcach weszła na korytarz. Na sali było cicho, może nawet za cicho, tak jakby coś wisiało w powietrzu. Czegoś brakowało, a czegoś było za dużo i to sprawiało, że jej nocna wizyta była tym razem inna niż zwykle. Po paru sekundach uświadomiła sobie, na czym polega różnica: nie słyszy oddechów śpiących pacjentów! Natomiast spod drzwi pokoju Neila wydostawał się wąski strumień światła i dochodziły stamtąd niewyraźne męskie głosy. Tylko dwie moskitiery były spuszczone: Matta i Nuggeta. Przy łóżku Nuggeta przesunęła parawan tak cichutko, że nie mógł jej usłyszeć, ale zobaczyła, że ma oczy otwarte i błyszczące.

- Czy już ci się udało zwymiotować? - spytała, sprawdzwszy najpierw, że przykryta ściereczką miska jest pusta.

- Tak, siostrzyczko, przed chwilą. Mikę zmienił mi miskę. - Mówił słabym, zagubionym i jakby dalekim głosem.

- Czujesz się lepiej?

- Znacznie lepiej. Przez chwilę była zajęta mierzeniem mu tętna, temperatury i ciśnienia.

Świecąc sobie latarką zapisała wszystko na przymocowanej do łóżka karcie.

176

- Czy mógłbyś już napić się herbaty?

- Jak najbardziej! - Na samą myśl o herbacie jego głos nabrał siły. -

Wyszło mi w ustach. Język mam chropawy jak dno ptasiej klatki.

Uśmiechnęła się do niego i wyszła do kuchni. Nikt nie umiał parzyć

herbaty tak jak ona. Robiła to z łatwością i wprawą, jaką daje długoletnia

praktyka. Zaczęła się tym zajmować jeszcze na stażu i robiła to potem w

najróżniejszych warunkach i miejscach. Gdy herbatę parzył któryś z

pacjentów, zawsze zdarzały się jakieś małe wpadki: albo wysypał herbatę,

albo woda za długo się gotowała, przez co herbata traciła smak, albo

czajnik nie był dostatecznie nagrany. Ale gdy siostra parzyła herbatę,

wtedy wszystko grało. I teraz powróciła do Nuggeta szybciej, niż mógłby

przypuszczać, trzymając w ręce kubek z parującą herbatą. Postawiła go na

nocnej szafce, pomogła Nuggetowi usiąść, potem przysunęła do łóżka

krzesło i towarzyszyła mu, gdy pił. Był spragniony i pił chciwie szybkimi,

małymi łykami, jak ptak, a równocześnie niecierpliwie dmuchał na

powierzchnię herbaty, by ją ostudzić.

- Wiesz, siostrzyczko - przerwał picie - gdy czuję ból, to mi się wydaje, że

dopóki będę żył, nigdy nie zapomnę, jak to boli. Mógłbym dokładnie

opisać ten ból, tak jak opisuję zwyczajne bóle głowy. Ale gdy tylko mijają,

żebym nie wiem jak chciał, nie mogę sobie przypomnieć, jaki to był ból.

Potrafię go opisać tylko jednym słowem: straszny!

Uśmiechnęła się. - Bo tak właśnie pracuje nasz mózg! Im bardziej bolesne są wspomnienia, tym szybciej gubimy klucz, który otwiera do nich drogę.

Zapominamy o tym, co zbyt gwałtownie nami wstrząsnęło, i

powiedziałabym, że to jest słuszna i zdrowa reakcja. Bo i tak nigdy nam

się nie uda odtworzyć przeżycia w jego pierwotnej ostrości, nawet nie

próbujemy! Radzę ci nie wracać do tego, bo tylko sobie zrobisz zamęt w

głowie. Zapomnij o tym bólu. Przecież minął. Czy nie to jest

najważniejsze?

- Oczywiście że tak - zapewnił ją solennie Nugget.

- Chcesz jeszcze herbaty?

- Nie, siostrzyczko, dziękuję. Była doskonała.

- Więc spuść teraz nogi na ziemię, a ja ci pomogę wstać. Zmienię ci bieliznę i prześciele łóżko. Będziesz potem spał jak dziecko.

Nugget przesiadł się na krzesło i drżał na całym ciele. Tymczasem siostra ściągnęła pościel, zrobiła łóżko, pomogła mu włożyć na wychudzone ciało świeżą piżamę, starannie go przykryła, a na końcu obdarzyła uśmiechem i zasłoniła moskitierą.

177

Gdy podeszła do Matta, wystarczyło jej jedno spojrzenie, by stwierdzić, że leży w niezwyklej pozie: z otwartymi ustami, z których wydobywa się podejrzany dźwięk przypominający chrapanie, z odkrytą piersią. Spał tak głęboko, że nie chciała go ruszać. Nagle pociągnęła nosem i zeszywniała z przerażenia: od Matta bił wyraźny zapach alkoholu.

Przez chwilę stała patrząc ze zmarszczonym czołem na puste łóżka na sali.

Nagle powzięła decyzję, zawróciła i szybko podeszła do drzwi Neila. Nie

zadała sobie trudu, żeby zapukać, i już od progu wołała:

- Słuchajcie, chłopcy! Nie lubię zachowywać się jak przełożona, ale co za dużo, to niezdrowo!

Neil siedział na łóżku, Benedykt na krześle, obaj przygarbieni, z opuszczonymi ramionami. Na stole stały dwie butelki Johnnie Walkera. Jedna pusta, druga opróżniona do połowy.

- Idioci! - warknęła. - Czy chcecie, żebyśmy wszyscy stanęli przed sądem wojennym? Skąd macie alkohol?

- Od dobrego pana pułkownika... - z trudem wymówił Neil, choć widać było, że bardzo się stara mówić wyraźnie.

Przez zaciśnięte wargi wycedziła: - Jeśli on zgłupiał na tyle, by ci tę whisky dać, to ty powinienes mieć więcej rozumu i jej nie brać... A gdzie Lucjusz i Michael?

Neil długo się namyślał i w końcu, robiąc liczne pauzy, wydukał:

- Mikę poszedł wziąć prysznic... Przecież nic się nie stało... Lucjusza z nami nie było. Obraził się i poszedł do łóżka.

- Ale nie ma go ani w łóżku, ani nigdzie indziej na oddziale.

- To ja ci go poszukam, siostrzyczko! - dukał dalej Neil, usiłując zejść z łóżka. - To nie potrwa długo, Ben! Tylko poszukam siostrzyczce

Lucjusza... Siostrzyczka potrzebuje Lucjusza... Ja go nie potrzebuję, ale ona tak. Zabijcie mnie, jeśli wiem dlaczego. Chyba jednak muszę wpierw zwymiotować...

- Jeśli zwymiotujesz tutaj, to ci wytyłam w tym nos - zagroziła siostra. - Nie ruszaj się z miejsca. W tym stanie nie mógłbyś znaleźć nawet samego siebie... Ach, miałabym ochotę was wszystkich pozabijać...

- Ale jej złość już zaczynała słabnąć i nawet do tych narzekań wkradła się

jakby nuta dumy z nich. - A teraz zachowajcie się jak na dobrych chłopców przystało i usuńcie stąd zaraz świadectwa waszej rozpusty! Jest już pierwsza w nocy!

178

Rozdział Dwudziesty Piąty.

Siostra Langtry dokładnie sprawdziła werandę, ale nie było tam ani śladu Lucjusza i Michaela. Pomaszerowała więc dalej, w stronę łaźni. Szła krokiem żołnierskim; broda do góry, plecy proste, ale wszystko w niej wrzało. Co ich, na Boga, opętało, żeby się w ten sposób zachowywać? Nawet nie było pełni księżyca... Całe szczęście, że oddział X znajduje się na samym końcu terenu przyszpitalnego i dość daleko od innych, wciąż jeszcze zamieszkanym pawilonów. Nieprzytomna z wściekłości, wpadła na sznury do bielizny i zaplątała się w wiszące na nich wilgotne ręczniki, koszule, spodnie i szorty pacjentów. - A niech to diabli! - zakląła. Była do tego stopnia zdenerwowana, że wcale jej nie rozbawił komizm tej sytuacji. Doprowadziła wszystko do porządku i pomaszerowała dalej.

Po chwili na wprost niej wynurzyła się przysadzista bryła budynku, w którym mieściła się łaźnia. Drewniane drzwi prowadziły do przestronnego pomieszczenia przypominającego stodołę. Po jednej stronie były prysznic, po drugiej umywalki, z tyłu stało kilka balii do prania bielizny. Nie było tam żadnego przepierzenia, przegródek, żadnego miejsca, gdzie można by się schować. Podłoga obniżała się ku ściekowi, który znajdował się pośrodku, mimo to pod prysznicami było zawsze mokro.

W nocy na suficie bez przerwy paliła się słaba żarówka, choć ostatnio po zapadnięciu zmroku prawie nikt tu nie przychodził. Nie było takiej potrzeby, gdyż pacjenci oddziału X brali prysznic i golili się rano, zaś

latryna znajdowała się w oddzielnym, mniej okazałym budynku. Z ciemności bezksiężycowej nocy siostra weszła do oświetlonego pomieszczenia i niewiarygodną scenę, która się przed nią rozgrywała, widziała jasno jak na dłoni. Tak oświetla się na scenie aktorów, gdy są przesłuchiwać jako kandydaci do roli. Z jakiegoś zapomnianego prysznicza wciąż sączył się mały strumień wody. Michael, nagi i mokry, stał w najdalszym kącie łaźni i patrzył jak zahipnotyzowany na Lucjusza, który nagi, wyprostowany i uśmiechnięty znajdował się o jakieś półtora metra od niego.

Żaden z nich nie zauważył, jak weszła. Ogarnęła ją panika. Czuła, że już raz widziała tę scenę, że jest to jakiś dziwny wariant sytuacji, która niedawno miała miejsce w kuchni. Przez moment stała jak sparaliżowana.

179

Lecz szybko uświadomiła sobie, że sama sobie tu nie poradzi. Odwróciła się i ile sił w nogach pobiegła na oddział. Jeszcze nigdy w życiu nie biegła tak szybko. Pognała schodami do góry, wpadła do środka, przemknęła koło łóżka Michaela i pędem przez całą salę.

Z impetem wtargnęła do pokoju Neila i w pierwszej chwili zdawało jej się, że obaj z Benedyktem siedzą w tej samej pozycji, w jakiej ich zostawiła.

Czyżby upłynęło tak mało czasu? Nie! Coś się tu jednak zmieniło: nie było już butelek z whisky ani szklanek: wyparowały. „A niech ich diabli!” - pomyślała. Byli pijani, obaj...

Zdołała tylko krzyknąć: - Do łaźni! Szybko!

Neil od razu wytrzeźwiał. W każdym razie zerwał się na nogi i puścił się biegiem tak szybko, że aż nie wierzyła własnym oczom. Benedykt także nieźle sobie radził. Pędziła ich przed sobą, jak owce polem, w stronę łaźni.

Neil wprawdzie zaplątał się w sznury od bielizny i upadł, ale ona nie czekała, aż wstanie. Chwyliła nieszczęsnego Bena za ramię i ciągnęła za sobą.

Tymczasem scena w łaźni zmieniła się. Lucjusz i Michael gotowali się teraz do ataku. Jak zapaśnicy na ringu, wyciągali ku sobie zgięte w łokciach ramiona i okrążali się. Lucjusz, śmiejąc się, zachęcał Michaela:
- Chodź, kochasiu! Wiem, że chcesz, więc o co chodzi? Boisz się, że taki duży się nie zmieści? Daj spokój! Nie ma sensu udawać, że trzeba cię długo zdobywać. I tak wszystko o tobie wiem!

Na pierwszy rzut oka Michael wydawał się spokojny, nawet obojętny, ale pod tym pozornym spokojem coś w nim wrzało: coś ogromnego, strasznego i przerażającego, czego jednak Lucjusz zupełnie nie dostrzegał. Michael milczał i mimo nieustającego potoku słów Lucjusza ani trochę nie zmienił wyrazu twarzy. Jakby wcale nie zwracał uwagi na Lucjusza, lecz skupił się cały na straszliwej burzy, która szalała w nim samym.

- Przestańcie! - ryknął Neil.

Scena momentalnie się zmieniła. Lucjusz gwałtownie się odwrócił, stając twarzą w twarz z trójką przybyszów. Michael jeszcze przez chwilę stał w pozycji obronnej, a potem zwałił się na ścianę za swoimi plecami, oparł się o nią i wdychał powietrze wielkimi haustami, sapiąc niby miech. Nagle ogarnęło go jakieś niepohamowane drżenie, trząśł się cały, zęby głośno mu szczękały, a pod skórą brzucha widać było ruchy przepony.

Dopiero gdy siostra Langtry postąpiła o krok do przodu i wysunęła się zza Lucjusza, Michael zobaczył, że tu jest. Pot oblał mu twarz. Otworzył usta i z trudem oddychał, łapiąc powietrze. Musiało chwilę potrwać.

zanim oswoił się z jej obecnością. Potem spojrział na nią z żarliwą prośbą, którą powoli zastąpił wyraz rezygnacji. W końcu odwrócił się i zamknął oczy, jakby nic już nie miało znaczenia. Załamał się, ale - oparty o ścianę - nie upadł. Coś z niego uchodziło tak szybko, że - zdawało się - topniał w oczach. Siostra spuściła wzrok.

- Nikt z nas nie czuje się na siłach, by dziś jeszcze zameldować o tym zajściu, gdzie należy - oświadczyła, zwracając się do Neila. Potem skierowała na Lucjusza wzrok pełen obrzydzenia i pogardy.

- Sierzancie Daggett, zobaczę się z panem rano. Teraz proszę natychmiast wrócić na oddział i nie opuszczać go pod żadnym pozorem!

Lucjusz nie okazywał ani cienia skruchy czy żalu. Przeciwnie, zdawał się triumfować. Wzruszył ramionami, schylił się, żeby pozbierać swoje porozrzucane po podłodze rzeczy, otworzył drzwi i wyszedł. Sposób, w jaki się trzymał, dumnie wyprostowany, nie zostawiał złudzeń, że rano zrobi wszystko, by utrudnić i skomplikować sytuację.

- Kapitanie Parkinson! Czynię pana odpowiedzialnym za zachowanie sierżanta Daggetta. Oczekuję, że gdy jutro przyjdę na dyżur, wszystko będzie we wzorowym porządku, i niech Bóg ma w opiece tego, kto będzie miał kaca. Jestem na pana bardzo, ale to bardzo zła. Zawiódł pan moje zaufanie. Sierżant Wilson nie wróci dzisiejszej nocy na oddział i pozostanie poza oddziałem do czasu, kiedy przesłucham sierżanta Daggetta. Czy pan zrozumiał, co powiedziałam? Czy czuje się pan na siłach ze mną współpracować? - Ostatnie zdanie nie brzmiało już groźnie i wyraz jej oczu złagodniał.

- Nie jestem tak bardzo pijany, jak się siostrze wydaje - bronił się Neil, wpatrując się w nią ciemnymi z żalu oczami, które przypominały oczy

Bena. - Jestem na pani rozkazy. Wszystko będzie dokładnie tak, jak pani sobie życzy.

Od chwili, gdy weszli do łaźni, Ben nie wykonał żadnego ruchu i nie powiedział ani słowa. Lecz gdy Neil sztywno się odwrócił i skierował do wyjścia, Ben nagle drgnął i przeniósł wzrok z twarzy siostry Langtry, w którą bez mrugnięcia okiem cały czas się wpatrywał, na Michaela. Widząc, że wciąż stoi oparty o ścianę, zapytał zaniepokojony: - Czy Mike'owi nic się nie stało?

Siostra potrząsnęła głową i zdobyła się nawet na lekki, trochę kwaśny uśmiech: - Nie martw się, Ben! Zadbam o niego! Wróc na oddział razem z Neilem i postaraj się zasnąć!

181

Gdy po chwili została w łaźni sam na sam z Michaeliem, rozejrzała się dokoła, czy nie ma gdzieś jego rzeczy. Jednak poza ręcznikiem niczego nie znalazła. Widocznie przyszedł tu już rozebrany, z ręcznikiem owiniętym dokoła bioder. Postąpił tym samym wbrew przepisom, które nakazywały, by każdy, kto nocą opuszcza salę, był ubrany od stóp do głów.

Najwyraźniej Michael nie spodziewał się, że zostanie przyłapany.

Siostra zdjęła ręcznik z wieszaka i ruszyła z nim w stronę Michaela; po drodze zatrzymała się, by zakręcić ciekący prysznic.

- Idziemy! - powiedziała zmęczonym głosem. - Owiń się tym, proszę!

Nawet na nią nie spojrział. Wziął ręcznik i niedbale się nim obwiązał.

Ręce mu wciąż drżały. Potem odsunął się nieco od ściany, jakby chciał sprawdzić, czy utrzyma się na nogach bez oparcia. Okazało się, że tak.

- Ciekawa jestem, ile wypiełeś - spytała z goryczą, chwytając go niezbyt łagodnie za ramię i zmuszając do pójścia za sobą.

- Około czterech łyżek stołowych - odrzekł cicho i sztywno, ze znużeniem w głosie. - Dokąd mnie zabierasz? - spytał i nagle strząsnął z siebie jej dłoń, jakby jej władczy gest godził w jego dumę.

- Idziemy do mojej kwatery - powiedziała krótko. - Umieszczę cię w jednym z pustych pokoi i zostaniesz tam do rana. Nie możesz wrócić na oddział, dopóki nie wezwę żandarmerii polowej, a wolałabym tego uniknąć.

Poszedł za nią bez dalszych protestów. Czuł się przegrany. Cóż mógłby powiedzieć tej kobiecie, by uwierzyła jemu, a nie temu, co widziała na własne oczy? Scena, którą zobaczyła w łaźni, musiała w jej oczach wyglądać jak ta w kuchni, tyle że jeszcze o wiele gorzej. Czuł, że jego siły są na wyczerpaniu i że nie pozostało mu ani krzty rezerw po krótkiej, ale nadludzko ciężkiej walce, jaką stoczył z samym sobą. Jak się ta walka zakończy, wiedział od razu, gdy tylko zjawił się Lucjusz. Gdyby ją podjął, miałby na pewno szczególną i wielce satysfakcjonującą przyjemność zabicia tego głupiego, nic nie rozumiejącego bydlaka.

Jeśli z miejsca nie skoczył Lucjuszowi do gardła, to dlatego, że powstrzymało go wspomnienie bójk z sierżantem sztabowym i bólu, który mu od tamtego momentu nieustannie towarzyszył, a którego kulminacją stał się pobyt na oddziale X. I tak gdy Lucjusz zrobił pierwszy krok w jego stronę, Michael ponuro tkwił w bezruchu, starając się jak najdłużej utrzymać swoją słabnącą samokontrolę.

Michael był przekonany, że choć Lucjusz wydaje się potężny, męski i zręczny, to jednak brakuje mu wytrwałości i doświadczenia w walce i nie

ma w nim żądy zabijania. Przy całej swej zuchwałości i nieustającej

potrzebie zadawania bólu Lucjusz był tchórzem. Co więcej, wierzył, że jego wybryki będą mu zawsze uchodziły bezkarnie. Wierzył też, że wystarczy, by przeciwnik rzucił okiem na jego Potężną sylwetkę, a natychmiast straci całą odwagę. Natomiast Michael doskonale wiedział, że Lucjusz blefuje i że kiedy zostanie zdemaskowany, załamie się. Nie wystarczyło mu jednak doprowadzić Lucjusza do tego, by się załamał. Miał jeszcze zamiar zabić tego zarozumiałego bydlaka. Zabić dla samej przyjemności zabijania.

Dwa razy spotkała Michaela klęska. Dwa razy zdał sobie sprawę, że nie różni się od innych mężczyzn, którym dano możliwość zabijania i którzy się w tym do tego stopnia rozsmakowali, że byli w stanie zmieść wszystko, co im stanęło na drodze, by zaspokoić żądzę zabijania. To była żądza.

Teraz już o tym wiedział. Wielu rzeczy dowiedział się o sobie samym i nauczył się żyć z tą wiedzą. Ale z tym? Czy nie dlatego, że tkwił w nim ten cień, zamilkł, gdy była mowa o uczuciu w biurze siostry Langtry? A przecież uczucie rosło w nim i wylałoby się, gdyby nie ten cień, to coś bezimiennego i straszliwego. Tak, to było to. To musiało być to. W myślach określał to jako podłość, swoją własną podłość. Dopiero teraz potrafił ją nazwać po imieniu.

Dzięki Bogu, że siostra weszła w porę. Ale jak on jej to wszystko wytłumaczy?

Rozdział Dwudziesty Szósty.

Wchodzili już na schody prowadzące do jej kwatery, gdy siostra Langtry przypomniała sobie, że nie zamieszkane pokoje w tym bloku są zamknięte na klucz i zaryglowane. Ale to wcale nie znaczyło, że wszystko stracone. Są sposoby, żeby dostać się do zamkniętego pokoju! Dyplomowane

pielęgniarki, które w swoim czasie mieszkały w internatach, gdzie panowały iście klasztorne rygory, były specjalistkami we wchodzeniu do rzekomo zabezpieczonych pomieszczeń i wychodzeniu z nich. Ale na to potrzeba było czasu. Siostra

183

otworzyła więc drzwi do swego pokoju, zapaliła światło i zaprosiła Michaela, żeby wszedł, puszczając go przodem.

To dziwne, ale z wyjątkiem przełożonej, która przychodziła na inspekcje, Michael był jedyną osobą mającą okazję zobaczyć prywatne włości Helen Langtry. Siostry, które chciały się spotkać w celach towarzyskich, umawiały się zwykle w klubach czy mesach dla pielęgniarek.

Odwiedzanie koleżanki w jej pokoju wydawało się kłopotliwe: to była cała wyprawa.

Mimo zmęczenia Helen zdobyła się na to, by spojrzeć na swój pokój świeżym okiem, i od razu zauważyła, że jest ponury, surowy i bez cienia intymności. Wyglądał raczej jak większa cela niż pokój zamieszkały przez kobietę. Znajdowało się w nim wąskie łóżko, bardzo podobne do tych na oddziale, krzesło, biurko, zasłonięte parawanem miejsce, gdzie wieszala swoje suknie, i dwie półki przybite do ściany, na których stały jej książki.

- Rozgość się u mnie - zaprosiła Michaela - a ja tymczasem pójdę znaleźć ci coś do ubrania i otworzę któryś z wolnych pokoi.

Ledwie Michael zdążył usiąść na krześle obok jej łóżka, Helen wyszła z pokoju i ruszyła w drogę, przyświecając sobie latarką. Pomyślała, że łatwiej jej będzie zrobić najście na jeden z pobliskich oddziałów i pożyczyć tam coś do ubrania dla Mike'a, niż wlec się znowu na oddział X i niepokoić pacjentów. Nie czuła się też na siłach, by znowu spotkać się z

Lucjuszem. Ma na to czas do rana. Musi na spokojnie przemyśleć, co mu powie. Od pielęgniarek z oddziału B pożyczyła piżamę i szlafrok. Musiała jednak solennie przyrzec, że rano zwróci te rzeczy.

Doszła do wniosku, że najlepiej będzie umieścić Michaela w sąsiednim pokoju. Gdy zaczęła manipulować przy drzwiach, okazało się, że zamek był wpuszczany i za mocny, by go otworzyć wsuwką do włosów. Zabrała się więc do podważania drewnianych listewek w żaluzjach okna. To poszło łatwo. Cztery listewki powinny wystarczyć. Gdy je wyjęła, zaświeciła latarką przez powstałą szparę, by się upewnić, czy w środku jest jeszcze łóżko. Otóż było i stało prawie w tym samym miejscu co jej własne; leżały na nim zrolowane materace. Michael będzie musiał zadowolić się samymi materacami bez prześcieradła; to wszystko... Nie potrafiła wykrzesać z siebie współczucia dla niego, niech się trochę pomęczą...

Gdy wróciła do swego pokoju, zorientowała się, że minęły już trzy kwadranse. Noc była parna i wilgotna, a ona cała przesiąknięta potem. Poczowała jakieś kłucie w boku. Przystanęła na chwilę i rozmasowywała bolące miejsce. Gdy po chwili spojrzała na krzesło, zobaczyła, że Michaela

184

na nim nie ma. Leżał zwinięty na jej łóżku, obrzucony plecami na pokój i wyglądało na to, że mocno śpi. Spał! że też mógł spać po tym wszystkim, co przeszedł!...

Niemniej ten widok rozculił ją bardziej niż wszystko inne. Bo właściwie o co się tak złościła? Dlaczego miała ochotę chwycić, co jej się nawinie pod rękę, i rozbić w drobny mak? Czy dlatego, że oni się popili, czy dlatego, że Lucjusz zachował się zgodnie ze swoim zwyczajem? A może

dla tego, że jeśli chodzi o Michaela, nie była już niczego pewna, i to od momentu, gdy odwrócił się od niej wtedy w biurze? Tak, była na nich trochę zła za picie whisky, ale ci biedacy byli tylko ludźmi, i w dodatku niezbyt silnymi. A Lucjusz? Jego postępek niewiele dla niej znaczył i nie on ją rozgniewał. Głównym powodem było rozżalenie i poczucie niepewności, których źródłem był Michael.

Nagle uświadomiła sobie, że jest bliska wyczerpania. Uniform kleił jej się do ciała, widać na nim było ciemne plamy potu i w dodatku uwierał ją. Myślała, że jej wypad na oddział nie potrwa długo, i dlatego nie włożyła bielizny. No dobrze! Jak tylko urządzi Michaela w sąsiednim pokoju, pójdzie pod prysznic. Bezgłośnie podeszła do łóżka.

Na jej zegarku stojącym na biurku było pół do trzeciej. Śpiący Michael wyglądał na tak zrelaksowanego, że nie miała serca go obudzić. Nawet nie drgnął, gdy wyciągnęła spod niego górne prześcieradło i przykryła go. Ach, niech jeszcze pośpi!

Przecież biedny Michael padł ofiarą zemsty przeznaczonej dla niej. To jasne, że Lucjusz chciał w ten sposób odegrać się na niej za małą pannę Pedder. Dzisiejsza noc była dla Lucjusza istnym darem niebios: wszyscy prócz niego byli pijani, Nugget unieszkodliwiony przez ból głowy, a Michael udając się do łaźni dał mu pole do popisu. Helen chciała wierzyć, że Michael niczym nie zachęcił Lucjusza, by spróbował go poderwać. Ale jeśli tak było, to dlaczego po prostu nie powiedział Lucjuszowi, żeby się wypchał, i nie wyszedł z łaźni? Chyba nie bał się fizycznej przewagi Lucjusza? Nie robił wrażenia zastraszonego. A może Lucjusz zawładnął nim w jakiś inny sposób? Jaka szkoda, że nie znała się lepiej na mężczyznach...

Wyglądało na to, że jeśli nie odważy się zbudzić Michaela, to w końcu sama będzie musiała spać bez prześcieradeł w sąsiednim pokoju. Na razie postanowiła odłożyć decyzję do czasu, gdy wróci z łaźni. Zdjęła bawełniany szlafrok z haka za drzwiami i poszła prosto pod prysznic.

185

Gdy zrzuciła spodnie i kurtkę i stanęła pod strumieniem letniej wody, poczuła się niemal jak w ekstazie. Przyjemność, jaką daje umycie się do czysta, przenika czasem znacznie głębiej niż tylko do skóry. Jej szlafrok był szeroki, luźny, podobny do kimona i wiązany w talii. Osuszyła się lekko ręcznikiem i nie czekała, aż całkiem wyschnie, bo przy tak wilgotnym powietrzu jak tej nocy to było raczej wątpliwe. Włożyła szlafrok, założyła poły i przewiązała się paskiem.

Zbierając rzeczy myślała: „Dlaczego, u diabła, to ja miałabym spać na materacach pełnych robactwa? To on powinien wstać, wziąć się w garść i przenieść do drugiego pokoju”.

Zegarek pokazywał pięć po trzeciej. Siostra rzuciła swój przesiąknięty potem uniform na podłogę, przybliżyła się do łóżka i dotknęła nagiego ramienia Michaela. Dotykała go trochę niepewnie i bardzo delikatnie, zła, że musi go obudzić. Po chwili postanowiła go jednak nie budzić, więc jej dotyk pozostał delikatny. Była zbyt zmęczona, by mógł ją rozbawić ten brak decyzji. Osunęła się na krzesło przy łóżku i jej dłoń przylgnęła do jego nagiej skóry. Nie była w stanie dłużej przeciwstawiać się impulsowi, który знаła aż za dobrze: przemożnej chęci dotykania jego ciała. To było wspaniałe doznanie i nie mogła mu się oprzeć. Starła się przypomnieć sobie, jakie to było uczucie, gdy dotykała skóry ukochanego mężczyzny. Ale nie mogła przywołać tego z pamięci. Szmata czasu dzielił Michaela od

owego mężczyzny z dawnych lat i tyle różnych rzeczy tymczasem się wydarzyło, że wspomnienia tamtego przeżycia zatarły się w jej myślach. Przez ostatnie sześć lat żyła pod naporem potrzeb innych ludzi, pilniejszych od jej własnych potrzeb, więc o swoje nie dbała. Teraz uświadomiła sobie i była wstrząśnięta tym odkryciem, że jakoś dziwnie nie odczuwała braku kontaktów fizycznych. Nie tęskniła za nimi. Ich brak wcale nie wydawał się nie do zniesienia...

Ale Michael był mężczyzną z prawdziwego zdarzenia i jej uczucia dla niego też były prawdziwe. Już od dawna pragnęła to uczynić: wejść w jego życie tak, jakby miała do tego pełne prawo. „Kocham tego mężczyznę - myślała. - Nie dbam o to, kim ani czym jest. Kocham go!"

Przesuwała rękę po jego ramieniu, naprzód nieśmiało, jakby próbując, aż zaczęła zataczać małe koła ruchem coraz bardziej przypominającym pieszczotę. Była pewna siebie i zupełnie nie odczuwała wstydu. Skoro on nie uczynił niczego, by dać jej poznać, że tego pragnie, ma prawo sądzić, że dotyka go tylko po to, żeby sprawić przyjemność samej sobie i odświeżyć

186

dawne wspomnienia. Dotykała go coraz czulej, zaabsorbowana cudownym uczuciem bliskości jego ciała. W końcu nisko się nad nim pochyliła i przyłożyła swój policzek do jego pleców. Przez chwilę trwała nieruchomo w tej pozycji, a potem odwróciła głowę i zaczęła smakować jego skórę wargami.

Gdy jednak Michael poruszył się i przybliżył do niej, zeszywniała ze strachu. Nie chciała, by jej intymnie przeżywane rozkosze zostały ujawnione. Przerazona i zła, że zdradziła się ze swoją słabością, odsunęła

się od niego, Ale wtedy on ujął ją za ramiona i podniósł z krzesła tak szybko i lekko, że nie czuła w tym żadnej przemocy. Równocześnie sam się przesunął w głąb łóżka. Nie było w tym niczego gwałtownego, żadnej szorstkości. Uniósł siebie i ją tak zręcznie, że nawet nie czuła, jak i kiedy to się stało. I już siedziała na łóżku z jedną nogą podwiniętą pod siebie, a on otaczał ją ramionami. Gdy położył głowę na jej piersi, poczuła, że cały drży. Oplotła go wtedy opiekuńczo całą sobą i tak długo trzymała w objęciach bez ruchu, aż to, co spowodowało, że drżał, ustąpiło.

Nie obejmował już dłońmi jej pleców, ale przeniósł je na jej talię i zaczął rozwiązywać pasek jej szlafroka. Zdjął go, potem rozłożył połę szlafroka na boki i przywarł twarzą do jej ciała. Trzymał jej drobną pierś, wtuloną w swoją dłoń, jak jakąś świętość... Ogromnie ją to wzruszyło. Podniósł głowę i uniósł całe swoje ciało, umieszczając się nad nią, a ona poszukała jego twarzy i przytuliła do niej policzek. Odchyliła plecy, by pomóc mu ściągnąć z siebie szlafrok, a potem przygarnęła go do swoich piersi, otoczyła ramionami i zafascynowana zatopiła usta w jego ustach.

Dopiero wtedy pozwoliła uczuciu wybuchnąć z całą siłą. Na szeroko rozwarte, błyszczące oczy spuściła powieki i poczuła, jak każdą cząsteczkę jej ciała przenika miłość do niego. Czyż mógł jej nie kochać, skoro budził w niej tak radosne uniesienia i rozpalał na nowo dawno spopieliałe namiętności, o których już myślała, że są nieważne? I choć te doznania nie były jej obce, choć dobrze je znała, to przecież obdarzone nową mocą i ostrością stawały się cudownie odkrywczymi i nieznanymi.

Oboje klęczeli. Jego dłonie sunęły wzdłuż linii jej bioder, a potem nieśmiało i powoli przyciągnął do siebie jej uda, jakby chciał przedłużyć spazm rozkoszy. A ona nie miała już siły ani na to, by mu pomóc, ani by

mu się jeszcze opierać. Była zbyt pochłonięta zespalaniem się z nim w cudowną jedność.

Część Piąta.

Rozdział Dwudziesty Siódmy.

Następnego ranka, tuż przed siódmą, siostra Langtry cichutko wymknęła się ze swego pokoju. Miała na sobie pełny strój pielęgniarstwa, taki, jaki wkładała zwykle na dzienny dyżur: szarą suknię, biały welon, czerwoną pelerynkę oraz plastikowe mankiety i kołnierz. Srebrny wisiołek na szyi, przedstawiający wschodzące słońce, błyszczał jak nowy. Poświęciła dzisiaj wiele uwagi swemu wyglądowi, chciała bowiem, by wyrażał to, co czuje. Chciała, by widać było na niej znamiona miłości. Uniosła twarz do góry i uśmiechem pozdrawiała nowy dzień, z radością rozprostowując zmęczone mięśnie.

Szła ścieżką na przełaj, kierując się w stronę oddziału X. Nigdy przedtem ta droga nie wydawała jej się tak długa - a jednocześnie tak krótka.

Zostawiła Michaela śpiącego w jej pokoju bez żalu i nie było jej przykro, że idzie na dyżur. Ani na chwilę nie zmrużyła oka tej nocy i Michael też nie spał do jakiejś szóstej rano, to jest do czasu, gdy opuściła łóżko i wyszła z pokoju. Zanim wzięła prysznic, poszła do sąsiedniego pokoju, by włożyć z powrotem w okno wyjęte wczoraj listewki. To jej zabrało trochę czasu. W sumie nie było jej pół godziny, może nieco dłużej. Gdy wróciła, Michael spał mocnym, zdrowym snem. Wychodząc pocałowała go w usta,

ale nawet tego nie poczuł.

„Mamy dużo czasu - myślała. - Całe lata przed nami... Wkrótce stąd wyjedziemy i wrócimy do domu". Przecież w gruncie rzeczy ona też jest dziewczyną z australijskiego buszu, więc życie bez miejskich wygód nie powinno jej przerażać. Poza tym Maitland wcale nie jest tak bardzo odległy od Sydney, a praca na farmie mlecznej w Hunter Valley niczym nie przypomina surowego i trudnego życia rolników zajmujących się hodowlą owiec czy uprawą pszenicy na zachodzie kraju.

Była dziś trochę spóźniona. Zwykle, gdy któryś z pacjentów wstawał o pół do siódmej, ona już od godziny krzątała się po oddziale. Normalnie o tej porze zaparzyłaby już dla wszystkich herbatę i zrobiła im pobudkę. Ale tego ranka było tu cicho i spokojnie. Wszystkie moskitiery, poza moskitierą Michaela, były spuszczone.

Zostawiła pelerynkę i koszyk w biurze i poszła do kuchni. Zastała tu przyniesioną przez ordynansa dzienną rację chleba, masła i nową puszkę dżemu - znowu śliwkowego! Maszynka spirytusowa w żaden sposób nie

190
chciała się zapalić. Minęło sporo czasu, zanim udało jej się zagrzać w czajniku wodę.

Zdażyła tymczasem stracić całą świeżość, którą zawdzięczała porannemu prysznicowi. Na dworze było ciepło, maszynka buchała gorącem, w rezultacie

Helen znowu była cała spocona. Wkrótce miała nastąpić pora deszczowa. w ostatnim tygodniu wilgotność powietrza wzrosła o dwadzieścia procent. Gdy już zaparzyła herbatę i posmarowała chleb masłem, ustawiła wszystko z wyjątkiem czajnika na deskę, która służyła im za tacę i

zanosła na oddział, a właściwie na werandę. Szybko wróciła po czajnik: śniadanie dla nich było gotowe. Ale nie! Jeszcze ma coś do zrobienia... Zeszłej nocy była na nich taka wściekła, że nie przyszło jej do głowy, iż rano może ich pożałować. Ale ostatnie godziny nocy, no i uczucie do Michaela zmiękczyły jej postanowienie, że tym razem im nie daruje i będzie wobec nich twarda. Pomyślała, że skoro tyle wypili, to na pewno mają strasznego kaca.

Wróciła do biura, otworzyła szufladę z lekarstwami i wyciągnęła butelkę z roztworem APC. Aspiryna i fenacetyna opadły w postaci nieregularnych białych granulek na spód butelki, a kofeina wypłynęła na wierzch i wyglądała jak syrop koloru słomy. Z łatwością udało jej się odlać trochę kofeiny do menzurki. Gdy jej pacjenci zbiorą się na werandzie, każdemu z nich poda łyżkę stołową kofeiny. Był to jeden z najstarszych szpitalnych sposobów na leczenie kaca, który już wielu młodym lekarzom i pielęgniarce uratował reputację.

Stanąwszy przed pokojem Neila, zdobyła się tylko na to, by wsunąć głowę przez drzwi i zawołać: - Neil! Herbata gotowa! Wstań i pokaż, co potrafisz! - Ale z pokoju Neila doleciał ją jakiś przykry zapach, więc szybko wycofała się i poszła na oddział.

Nugget już nie spał i uśmiechał się do niej blado. Helen jednym ruchem ściągnęła otaczającą jego łóżko moskitierę, błyskawicznie skrzyła ją w kłębek i wprawnym rzutem cisnęła do góry tak, aby zawisła na obręczy. Nie było to ułożenie w stylu siostry przełożonej, ale Helen pomyślała, że na drapowanie moskitiery będzie czas potem.

- Jak twoja głowa? - spytała.

- W porządku, siostrzyczko.

- Dzień dobry, Matt! - powiedziała wesoło i powtórzyła manewr z moskitierą.

- Dzień dobry, Ben!

Łóżko Michaela było oczywiście puste. Odwróciła się, żeby podejść do
191

łóżka Lucjusza, i tu opuścił ją radosny nastrój. Co też ma mu powiedzieć? Jak się będzie zachowywał podczas przesłuchania? Przesłuchanie powinno się odbyć po śniadaniu - nie mogła z tym zbyt długo zwlekać. Ale w łóżku Lucjusza nie było. Moskitiera była wyrwana spod materaca; gdy odsłoniła łóżko, wyglądało na to, że ktoś w nim spał, było już jednak całkiem zimne. Spojrzała na Bena i Matta i stwierdziła, że obaj siedzą na brzegu łóżka, z głową w dłoniach, zgarbieni. Wyglądali tak, jakby najmniejszy ruch sprawiał im ból.

- Niech diabli porwą Johnnie Walkera! - zaklęła pod nosem, gdy zobaczyła, jak Neil z ręką na ustach przemyka się ze swego pokoju do brudownika. Był zielony na twarzy.

„No, tak - pomyślała. - Będę chyba musiała sama poszukać Lucjusza!” - Otworzyła drzwi, znajdujące się nie opodal łóżka Michaela, weszła na mały podest z drugiej strony i drewnianymi schodami ruszyła w dół, kierując się w stronę łaźni.

„Mimo wszystko, nawet mimo wilgotnej aury. mamy dziś bardzo piękny dzień” - stwierdziła z radością. Migąło jej się w oczach, miała zawroty głowy z niewyspania, a także od blasku, jakim wczesne słońce prześwitywało przez szpaler palm ciągnących się za terenem szpitala. Światło nigdy nie wydawało jej się tak jasne, iskrzące i delikatne. Gdy natknęła się na pozrywane sznury do wieszania bielizny, uśmiechnęła się i

przeszła przez bezładną plataninę szortów, koszul, spodni, kalesonów, podkoszulków i skarpetek. Próbowała wyobrazić sobie, jak to komicznie musiało wczoraj wyglądać, gdy ten poczciwy, dbały o formy Neil walczył po pijanemu, by uwolnić się od tej bielizny.

W łaźni było bardzo cicho, zbyt cicho. Lucjusz też był zbyt cichy. Leżał na surowej, cementowej podłodze, plecami oparty o ścianę, z brzytwą w kurczowo zaciśniętej dłoni. Na jego błyszczącej, złotej skórze pstrzyły się zastygłe strumyki rozpryskanej krwi, zakrzepła krwawa kałuża stała nieruchomo w zagłębieniu jego brzucha pośród innych bardziej jeszcze przerażających śladów, a podłoga dookoła była cała zalana krwią.

Podeszła do niego tak blisko, jak musiała, by dokładnie obejrzeć, co on ze sobą zrobił. Zobaczyła zmasakrowane genitalia i brzuch rozpruty na całej szerokości cięciem harakiri. Brzytwa, którą trzymał w ręku, to była jego własna bengalska brzytwa z hebanową rączką. Wolał ją od żyletki, bo

192

uważał, że brzytwa goli dokładniej. Prócz niego nikt nigdy nie brał jej do ręki. Na szczęście nie było niczego sztucznego w sposobie, jakim dłoń Lucjusza obejmowała rączkę brzytwy, ani w układzie palców sklejonych z nią teraz nierozzerwalnie krwią. Głowę miał nienaturalnie odchylną daleko do tyłu. Przez chwilę zdawało jej się, że jego oczy spoglądają na nią szyderczo spod na wpół opuszczonych powiek. Potem zobaczyła, że było w nich jedynie złociste lśnienie śmierci, a nie to złoto, które błyszczało w oczach Lucjusza za życia pełnego energii i wigoru. Patrząc na jego zmasakrowane ciało, siostra nawet nie krzyknęła. Przyglądała mu się przez chwilę, a potem zareagowała tak, jak jej dyktował instynkt. Szybko wyszła z łaźni, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Następnie gorączkowo manipulując przy futrynie, zdjęła ze skobla wiszącą na otwartym pałaku kłódkę i zdesperowana, lecz wciąż opanowana, nasunęła skobel na otwór w przymocowanym do drzwi zawiasie, powiesiła kłódkę i wcisnęła pałak. Dopiero wtedy dały o sobie znać nerwy.

Okłapnięta i wyczerpana, oparła się o drzwi i cicho jęczała, to otwierając, to znów przymykając wargi, jak kukła brzuchomówcy, Nie zmieniając pozycji, wykonywała ten koszmary, automatyczny ruch przez kilka minut. Dopiero gdy się uspokoiła i przestała jęczeć, mogła wreszcie oderwać od drzwi rozpląszczone na nich dłonie.

Nagle poczuła coś lepkiego między udami. W pierwszej chwili - było to straszne i poniżające - pomyślała, że może się posusiała, ale potem uświadomiła sobie, że to tylko pot i pozostałość po Michaelu.

Ach, Michael, Michael! Wściekła i zrozpaczona, waliła pięścią w drzwi. Oby Bóg skazał Lucjusza na wieczne potępienie za to, co uczynił.

Dlaczego ci pijani głupcy nie upilnowali go? Czy naprawdę zawsze musi się sama wszystkim zajmować? „Lucjuszu, ty draniu! - wygrażała mu w myślach. - Więc jednak wygrałeś! Ach, ty łajdaku, gnojku, wariacie, to aż tak daleko zaprowadziła cię żądza zemsty?”

Na myśl o Michaelu nie mogła opanować łez. Poczuła straszliwy żal za utraconą chwilą radości. To, co przeżyli, było może niedoskonałe i boleśnie krótkie, ale przyniosło im radość i szczęście. Radosny był też ten wspaniały, jasny poranek, leżący teraz w ruinie u jej stóp, utopiony we krwi. „Ach, Michaelu, mój Michaelu! Jakie to niesprawiedliwe...” Nawet nie zdążyli porozmawiać... Nici, które ich do tej pory łączyły, rozerwały się, a nowych więzów nie zdążyli jeszcze zadzierzgnąć.

Wyprostowała się i odsunęła od drzwi. Miała dziwne przeświadczenie.

że ona i Michael nie mają już żadnych szans na to, by im się poszczęściło. Była prawie pewna, że nie powiedzie im się żaden plan na wspólne życie. Lucjusz mimo wszystko postawił na swoim, zwyciężył.

Szła po terenie przyszpitalnym jak robot, krokiem szybkim, energicznym, niemal mechanicznym. Początkowo nie wiedziała, dokąd ma iść, a potem zrozumiała, że może się udać tylko w jedno miejsce. Przypomniała sobie, że płakała, więc wytarła wierzchem dłoni powieki, poprawiła welon, przygładziła brwi. „Trzymaj się, siostró Langtry! - powiedziała sobie. - Przecież jesteś pielęgniarką, odpowiadasz za ten cały kram. To jest twój cholerny obowiązek! Pamiętaj! Obowiązek! Nie tylko wobec siebie, ale wobec twoich pacjentów. Jest ich pięciu i muszą być chronieni za wszelką cenę. Ich nie może spotkać nic złego”.

Rozdział Dwudziesty Ósmy.

Pułkownik „Ważny” siedział na werandzie swego niewielkiego domku i bezmyślnie mieszał herbatę, starając się nie zaprzętać sobie głowy żadnym poważnym problemem. Nie miał dziś na nic ochoty. Zawsze tak się czuł po nocy spędzonej z siostrą Heather Connolly. Minioną noc spędzili jednak inaczej niż zwykle. Prawie całą przegadali, roztrząsając sprawy związane z likwidacją szpitala bazy numer 15. Rozmawiali też o tym, czy po powrocie do życia w cywilu będą mogli nadal się spotykać.

Pułkownik miał zwyczaj mieszania herbaty o wiele dłużej niż trzeba. Wciąż jeszcze obracał łyżeczką w filiżance, gdy zjawiała się przed nim siostra Langtry. Wyglądała schludnie, pedantycznie i elegancko. Wyszła zza rogu jego domku, stanęła na trawie pod werandą i patrzyła ku niemu, zadzierając głowę do góry.

- Panie pułkowniku, mam na oddziale przypadek samobójstwa! -
zaanonsowała.

Na wpeł podniósł się z fotela, znowu usiadł, a potem wolno odłożył
łyżeczkę na spodek i wstał. Chwiał się na nogach. Podeszedł do kruchej
balustrady, oparł się o nią i spojrzał z niepokojem w dół.

- Samobójstwo? Ależ to okropne! Naprawdę okropne!

194

- Tak jest, panie pułkowniku - potwierdziła drewnianym głosem,

- Kto?

- Sierżant Daggett, panie pułkowniku. W łaźni. Strasznie nabrudził. Pociął
się brzytwą na kawałki.

- O, Boże! - jęknął pułkownik słabym głosem.

- Czy woli pan najpierw sam to zobaczyć, panie pułkowniku, czy chce
pan, żebym zameldowała o tym od razu żandarmerii polowej? - Naciskała
go, żeby podjął decyzję, a on czuł, że nie ma siły jej podjąć.

Wytarł twarz chusteczką i tak bardzo zbladł, że czerwone wykwyty na jego
nosie przybrały sinofioletowy odcień. Ręka mu drżała. By to ukryć, włożył
ją do kieszeni. Odwrócił się od siostry i patrzył w głąb mieszkania.

- Sądzę, że najpierw powinienem to sam zobaczyć - zdecydował w
końcu i zirytowanym, podniesionym głosem dodał: - Gdzie jest mój
kapelusz? Gdzie, do diabła, podział się ten cholerny kapelusz?

Gdy szli razem przez teren szpitala, wyglądali całkiem normalnie, ale
siostra nadała takie tempo, że pułkownik się zadyszał.

- Siostro, czy siostra... może... domyśla się... dlaczego? - zapytał zziębnięty,
starając się bezskutecznie zwolnić tempo marszu. Siostra bowiem nadal
parła naprzód, nie oglądając się na niego.

- Tak, panie pułkowniku. Wiem, dlaczego. Zeszłej nocy przyłapałam sierżanta Daggetta w łaźni, jak próbował molestować seksualnie sierżanta Wilsona. Przypuszczam, że potem w którymś momencie sierżanta Daggetta zaczęły nękać wyrzuty sumienia i pod wpływem depresji postanowił skończyć ze sobą - i to tam właśnie, gdzie zdarzenie miało miejsce, a więc w łaźni. Motyw był niewątpliwie seksualny. Wskazują na to jego zmasakrowane genitalia.

Jak mogła mówić o tym tak gładko i równocześnie gnać naprzód z taką szybkością? - Na miłość boską! - zawołał. - Czy mogłaby siostra zwolnić i nie pędzić tak cholernie szybko?! - A potem dotarło do niego to, co powiedziała o genitaliach, i przeszedł go dreszcz zgrozy, jakby otarł się o meduzę. - O mój Boże!

Do łaźni, którą mu siostra bez drgnienia ręki otworzyła, zajrzał tylko na chwilę. Natychmiast się cofnął. Żołądek podskoczył mu do gardła; omal nie wymiotował. Ale nie mógł tego zrobić przed tą kobietą. Przed nią bardziej niż przed kimkolwiek innym. Przez chwilę głęboko oddychał i dla zamaskowania złego samopoczucia zaczął się przechadzać pewnym krokiem

195

tam i z powrotem. Ręce założył do tyłu i na ile mu na to pozwolił podchodzący do gardła żołądek, przybrał poważny i zamyślony wyraz twarzy. W końcu zatrzymał się przed siostrą Langtry, która cierpliwie czekała, co powie, patrząc na niego z nieco drwiącą miną. „Niech cholera weźmie tę babę!” - klął ją w duchu.

- Czy już ktoś wie o tym, co tu się stało? - spytał. Wyciągnął chusteczkę i wytarł twarz, na której znowu wystąpiły kolory, przywracając jej zwykłą

intensywną czerwień.

- O samobójstwie? Nie sędzę. - Mówiła głosem obojętnym, w którym wyczuwało się lekkie wahanie. - Ale scenę molestowania sierżanta Wilsona widzieli oprócz mnie także kapitan Parkinson i sierżant Maynard. Mlasnął językiem. - Wielka szkoda! A kiedy to się stało?

- Mniej więcej o pół do drugiej w nocy.

Spojrzał na nią podejrzliwie, nie mogąc ukryć irytacji: - A co wyście, na miłość boską, robili o tej porze w łaźni? I jak siostra mogła dopuścić, żeby do czegoś takiego doszło? Dlaczego siostra nie zostawiła na noc na oddziale ordynansa albo nie postarała się o jakąś pielęgniarkę na zastępstwo?

Popatrzyła na niego trochę nieprzytomnie. - Jeśli chodzi o molestowanie sierżanta Wilsona, to nie miałam podstaw do przypuszczeń, że sierżant Daggett ma homoseksualne skłonności. Jeśli zaś chodzi o jego samobójstwo, to nic absolutnie nie wskazywało na to, że sierżant Daggett nosi się z takim zamiarem.

- Czy to znaczy, że siostra nie ma żadnych wątpliwości, iż chodzi o samobójstwo?

- Żadnych! Nie ulega kwestii, że brzytwa w momencie zadawania ran znajdowała się w jego ręku. Przecież sam pan to widział! A jeśli się trzyma w ręku bengalską brzytwę, to tylko siła nacisku decyduje o tym, czy się skórę gładzi czy tnie głęboko.

Pułkownik nie chciał się przyznać, że w łaźni chwyciły go mdłości i nie mógł tam dłużej zostać, by tak jak ona dokładnie obejrzeć ciało.

Postanowił zmienić taktykę. - Pytam jeszcze raz: dlaczego nie zostawiła siostra nikogo na dyżurze w nocy i dlaczego nie otrzymałem od siostry

natychmiastowego meldunku, że Daggett molestował sierżanta Wilsona? Otworzyła szeroko oczy. - Panie pułkowniku, o drugiej nad ranem? Bałam się, że mi pan nie podziękuję, jeśli pana wyrwę ze snu o tej porze dla sprawy, która nie wymaga natychmiastowej medycznej pomocy. Podjęliśmy interwencję w porę, zanim sierżant Wilson doznał jakiegokolwiek fizycznego

196

uszczerbku. Gdy opuszczałam oddział, sierżant Daggett był już opanowany i stan jego władz umysłowych nie odbiegał od normy. Kapitan Parkinson i sierżant Maynard przyrzekli, że będą mieli na niego oko, pod warunkiem że usunę z oddziału sierżanta Wilsona. Nie widziałam potrzeby, aby sierżanta Daggetta siłą przetrzymać na miejscu lub go aresztować czy zamknąć. Nie uważałam także za konieczne dopominać się o dodatkowy personel. Prawdę mówiąc, miałam nadzieję, że w ogóle nie będę musiała zaprzętać panu głowy tą sprawą. Sądziłam, że jeśli porozmawiam z sierżantem Daggettem i sierżantem Wilsonem, kiedy obydwaj już się uspokoją, to wszystko da się załatwić bez angażowania oficjalnych czynników. W momencie gdy opuszczałam oddział, byłam pełna optymizmu i wierzyłam, że tak właśnie ta sprawa się zakończy. Pułkownik uczeplił się teraz innego aspektu sprawy: - Siostra mówi, że usunęła sierżanta Wilsona z oddziału. Nie rozumiem, co siostra chce przez to powiedzieć?

- Panie pułkowniku, sierżant Wilson był w ciężkim szoku emocjonalnym i dlatego uważałam za wskazane przenieść go do mojej kwatery. Nie mogłam pozostawić go na oddziale pod nosem sierżanta Daggetta.

- Czy siostra była cały czas przy nim?

Przestraszyła się. Zrozumiała, że pułkownik nie podejrzewał jej i Michaela o żadne nieprzyzwoitości. Przypuszczalnie nie sądził, by ona w ogóle była zdolna do takich rzeczy. Miał na myśli coś zupełnie innego niż miłość.

Pułkownik podejrzewał Michaela o morderstwo.

- Zapewniam pana, panie pułkowniku, że ani na chwilę nie opuściłam sierżanta Wilsona - aż do rozpoczęcia dyżuru pół godziny temu. Zwłoki sierżanta Daggetta odkryłam parę minut potem i był już wtedy od kilku godzin martwy - powiedziała tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Rozumiem! - odrzekł pułkownik, zaciskając wargi. - Ładna historia, co?

- Nie, panie pułkowniku, nie ma w tym nic ładnego. Pułkownik jednak wracał z uporem do zasadniczego tematu. - Więc

siostra jest absolutnie pewna, że sierżant Daggett ani nie uczynił, ani nie powiedział niczego, co mogłoby wskazywać, że myśli o samobójstwie?

- Jestem absolutnie pewna, panie pułkowniku. Prawdę mówiąc, bardzo się dziwię, że sierżant Daggett popełnił samobójstwo. Nie dlatego, że trudno uwierzyć, by mógł to zrobić, ale dlatego, że uczynił to w taki krwawy i obrzydliwy sposób. A już absolutnie nie mogę pojąć, dlaczego

•197

targnął się na swoją męskość. Ale tak to jest z ludźmi: nigdy nie czynią tego, czego się od nich oczekuje. Chcę być z panem szczerą, panie pułkowniku. Mogłabym skłamać i powiedzieć, że sierżant Daggett był w zdecydowanie samobójczym nastroju. Wolę jednak mówić prawdę. To, że w samobójstwo Daggetta trudno uwierzyć, wcale nie zmienia mego przekonania, że mamy tu do czynienia z samobójstwem. To po prostu nie może być nic innego.

Pułkownik zawrócił i ruszył w stronę oddziału X. Teraz on narzucał tempo

marszu, i to takie, jakiemu mógł sprostać, a siostra chętnie na nie przystała. Nagle zatrzymał się przy urwanym sznurze do bielizny. Pochylił się nad leżącą na ziemi stertą bielizny i grzebał w niej laseczką - przypominał tym siostrze kierowniczkę obozu wakacyjnego dla dziewcząt i chłopców, która miała zwyczaj szukania podejrzanych plam na ich bieliźnie. - Wydaje mi się, że tu stoczono jakąś walkę - zauważył pułkownik, prostując się. Helen nie mogła powstrzymać się od ironicznej uwagi: - Tak, panie pułkowniku! Tu się rzeczywiście odbyła walka, a stoczył ją kapitan Parkinson: walczył z koszulami. - Pułkownik szybko poszedł dalej.

- Wydaje mi się, siostrze, że zanim zawiadomię władze, powinienem zobaczyć się z kapitanem Parkinsonem i sierżantem Maynardem.

- Oczywiście, panie pułkowniku. Nie byłam jeszcze na oddziale od chwili, gdy odkryłam ciało, więc przypuszczam, że żaden z nich nie wie, co się wydarzyło. Nawet jeśli ktoś usiłował dostać się do łaźni, to nie mógł, bo zamknęłam ją na klucz, zanim poszłam do pana.

- Nareszcie coś, za co mogę wyrazić siostrze uznanie. - Mówiąc to, uświadomił sobie nagle, że samo życie daje mu wspaniałą okazję, aby wymierzyć siostrze Langtry cios, po którym się już nigdy nie pozbiera. Bo oto mężczyzna spędził noc na jej kwaterze, czyli brudna seksualna afery, w dodatku zakończona samobójstwem. Tylko patrzeć, jak siostra stanie pod pręgierzem i w niesławie wyrzucą ją z wojska. O, Boże, co za szczęście!

- Chciałbym zauważyć, siostrze, że sfuszerowała pani tę sprawę od początku do końca. Osobiście dopilnuję, by siostra otrzymała nagane, na którą tak bardzo zasłużyła.

- Dziękuję, panie pułkowniku! - odparowała na pozór bez ironii.
- Choć ja uważam, że bezpośrednią przyczyną całej sprawy były dwie butelki Johnnie Walkera, które pacjenci oddziału X wypili zeszłej nocy. I gdybym tylko wiedziała, kim był ten bezmyślny idiota, który dał wczoraj dwie butelki whisky kapitanowi Parkinsonowi, niezrównoważonemu emocjonalnie pacjentowi naszego oddziału, tobym z największą przyjemnością

198.

osobiście dopilnowała, by otrzymał nagane, na którą tak bardzo zasłużył. Pułkownik, który właśnie w tym momencie wchodził schodami na górę, potknął się i musiał się uchwycić rachitycznej poręczy, by nie upaść. Jak ona powiedziała? Bezmyślny idiota. Rzeczywiście, skończony z niego idiota. Że też zupełnie o tej whisky zapomniał... Ale ona wiedziała, dobrze wiedziała... Teraz musi zapomnieć o zemście i natychmiast zastopować całą sprawę... Niech diabli wezmą tę babę! Ma w sobie jakąś nieustraszoną butę. A jeśli nie utraciła jej wtedy, gdy ją szkolono na pielęgniarkę, to już w żaden sposób jej się tej buty nie pozbawi.

Matt, Nugget, Benedykt i Neil siedzieli przy stole na werandzie. Wyglądali okropnie. Biedne chłopaki, nawet im nie dała tej kofeiny, którą zebrała dla nich z roztworu APC. Oczywiście teraz, pod okiem pułkownika, nie mogła im już jej zaaplikować.

Na widok pułkownika wszyscy stanęli na baczność, a on usiadł ciężko na końcu ławki. Musiał się jednak natychmiast podnieść i przenieść na środek, gdyż niebezpiecznie się zachwiała.

- Siadajcie, panowie - powiedział. - A pana, kapitanie Parkinson, bardzo bym prosił o filiżankę herbaty.

Herbaty do dzbanka kilkakrotnie dosypywano, a raz ją nawet na nowo zaparzano, więc ta, którą Neil niepewną dłonią wlał pułkownikowi do kubka, była całkiem świeża. Pułkownik wziął kubek do ręki, nie zwracając uwagi na jego brzydotę, i z wdzięcznością zagłębił w nim nos. W końcu musiał jednak kubek odstawić i spojrzeć obecnym w oczy.

- Słyszę, że dziś nad ranem doszło w łaźni do jakiegoś incydentu, w który zamieszany był sierżant Wilson i sierżant Daggett. - Ton, jakim mówił, wskazywał, że pułkownik ma pretensję, iż musiał się tak wcześnie pofatygować na oddział i w dodatku przejść cały przyszpitalny teren, żeby się tu dostać.

- Tak jest, panie pułkowniku - odpowiedział Neil. - Sierżant Daggett usiłował seksualnie molestować sierżanta Wilsona, ale siostrze Langtry udało się w porę nas, to znaczy sierżanta Maynarda i mnie, zawołać do łaźni i z miejsca położyliśmy temu kres.

- Czy pan widział to wydarzenie na własne oczy, kapitanie, czy tylko słyszał pan o tym od siostry Langtry?

199

Neil zmierzył pułkownika od stóp do głów wzrokiem pełnym pogardy, której nawet nie usiłował ukryć. - Ależ tak, oczywiście, że widziałem to na własne oczy - wyjaśnił z niechęcią, jak ktoś zmuszony wbrew swej woli do zaspokojenia czyjejś niezdrowej ciekawości. - Sierżant Wilson musiał chyba zostać zaskoczony pod prysznicem, bo był nagi i mokry. Sierżant Daggett też był nagi, ale suchy i znajdował się w stanie bardzo silnego podniecenia seksualnego. Gdy nas troje, to jest siostra, sierżant Maynard i ja, weszło do łaźni, Daggett jakby się brał za bary z sierżantem Wilsonem, który przyjął pozycję obronną i starał się odparowywać ciosy.

Neil chrząknął i unikając wzroku pułkownika dodał: - Na szczęście sierżant Wilson nie wypił zbyt wiele whisky, która przypadkiem wpadła nam w ręce zeszłej nocy. W przeciwnym razie sprawy potoczyłyby się dla niego znacznie gorzej.

- W porządku, to mi zupełnie wystarcza - zawyrokował pułkownik, dla którego każdy szczegół tej relacji był jak ukłucie szpilką, a wzmianka o whisky jak uderzenie pałką po głowie. - Sierzancie Maynard - zwrócił się teraz do Bena. - Czy pan się zgadza z opisem kapitana Parkinsona?

Ben dopiero teraz na niego spojrzał. Na jego wymizerowanej twarzy malowało się ogromne napięcie i zmęczenie, jakby się znalazł w punkcie, z którego nie ma już odwrotu. Wokół oczu wciąż miał czerwone obwódki po wczorajszym piciu. - Tak jest, panie pułkowniku, tak właśnie się rzeczy miały - potwierdził, wydobywając z siebie słowa, jakby całymi dniami koncentrował się tylko na nich i na niczym więcej. - Lucjusz Daggett, panie pułkowniku, był plamą na obliczu naszej ziemi. To człowiek sprośny, obrzydliwy...

Matt zerwał się z miejsca i położył stanowczym ruchem dłoni na ramieniu Bena, zmuszając go tym do powstania. - Chodź, Ben! - zawołał nerwowo. - Pośpiesz się! Musisz mnie stąd wyprowadzić... nie czuję się dobrze po wczorajszej whisky...

Pułkownik nie zareagował. Ponowna wzmianka o whisky bardzo go zdenerwowała. Siedział cicho jak myszka i patrzył, jak Ben pośpiesznie wyprowadza Matta z werandy. Potem zwrócił się do Neila: - Powiada pan, kapitanie, że wasze przybycie położyło kres incydentowi. No dobrze. A co było potem?

- U sierżanta Wilsona wystąpiła ostra reakcja. Sam pan wie, pułkowniku,

że takie odreagowanie następuje wówczas, gdy się człowiek nastawi na walkę, a z jakiegoś powodu do niej nie dochodzi. Cały

200

dygotał, brak mu było tchu, więc pomyślałem, że będzie lepiej, jak go siostra Langtry stąd zabierze. Poradziłem jej, żeby wyprowadziła go z oddziału i wzięła na swoją kwaterę. Chodziło mi o to, żeby Wilson znalazł się jak najdalej od Daggetta. Tym sposobem Daggett został uwolniony od pokus na resztę nocy. Napędziliśmy mu trochę strachu. Przyznaję, że sam także się do tego przyczyniłem, nie mogę powiedzieć, panie pułkowniku, żebym lubił sierżanta Daggeta.

Z początku siostra Langtry patrzyła na Neila z uprzejmym zainteresowaniem, ale gdy usłyszała, jak opowiada pułkownikowi, że to był jego pomysł z usunięciem Michaela z oddziału, otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia. A potem spojrzała na niego ciepło i z wdzięcznością: jakież szlachetny i wspaniały człowiek z tego Neila! Pułkownik na pewno nie poda w wątpliwość jego słów. Zawsze był zdania, że mężczyźni są bardziej odpowiedzialni od kobiet i że do nich należy podejmowanie decyzji. Przy okazji okazało się, że Neil wie, gdzie ona umieściła Michaela na noc. To jej dało wiele do myślenia. Czyżby miała wypisane na twarzy, do czego doszło między nimi tej nocy? A może Neil miał szósty zmysł?

- Chciałbym wiedzieć, jak się zachowywał Daggett, gdy pan wrócił na oddział, kapitanie. - Indagował Neila dalej pułkownik.

- Jak się zachowywał? - Neil przymknął oczy. - Normalnie... Był złośliwy i podły... jak zawsze... Wcale nie żałował tego, co zrobił, tylko tego, że go przyłapano. Odnosił się do nas jak zwykle z pogardą i groził, że się z nami policzy, a szczególnie z siostrą Langtry. Lucjusz jej nienawidzi...

Nie ukrywana niechęć Neila do kogoś, kto już przecież nie żyje, bardzo raziała pułkownika, ale zaraz sobie uzmysłowił, że Neil nie wie, iż Lucjusz nie żyje. Postanowił dalej iść tym tropem. - A gdzie jest teraz sierżant Daggett? - spytał jak najzwyczajniejszym tonem.

- Nie wiem i nie dbam o to, panie pułkowniku - odrzekł Neil. - Jeśli o mnie chodzi, byłbym najszczęśliwszy, gdyby Lucjusz już nigdy nie wrócił na oddział.

- Ach, tak? Widzę, że pan jest ze mną szczery, kapitanie. - Pułkownik, biorąc pewnie pod uwagę zachwianą równowagę psychiczną pacjentów oddziału X, okazywał im szczególne względy. Niemniej gdy zwrócił się do Nuggeta, widać było, że narasta w nim rozdrażnienie.

- Szeregowy Jones! Cóż pan tak cicho siedzi? Czy ma pan coś do dodania?

201

- Kto, panie pułkowniku, ja? Ja miałem wtedy migrenę - oznajmił Nugget z ważną miną. - To był klasyczny przypadek migreny, naprawdę! Naprzód przez dwa dni miałem objawy zwiastunowe i lekkie zaburzenia mowy, potem miałem przez całą godzinę błyski, to znaczy ubytki po prawej stronie pola widzenia, a w końcu połowiczny, lewostronny ból głowy. Leżałem jak neptek, panie pułkowniku. - Pomyślał przez chwilę i dodał: - Całkiem bez życia, naprawdę!

- Błyski to jeszcze nie ubytki, Jones - zauważył pułkownik.

- Ale ja miałem ubytki - bronił się Nugget. - Bo to nie była byle jaka migrena, panie pułkowniku, o nie! Gdy patrzyłem na jakiś duży przedmiot, to widziałem go bez trudu, ale gdy patrzyłem na coś małego, na przykład na klamkę u drzwi albo dziurę w ścianie, to widziałem tylko lewą połowę

tej klamki czy dziury. Prawej połowy... po prostu nie było. To były ubytki, panie pułkowniku!

- Wie pan co, szeregowy Jones - powiedział pułkownik znużonym głosem - gdyby pańska wiedza militarna choć w części dorównywała pańskiej wiedzy o symptomach własnej choroby, zostałby pan marszałkiem polnym i już dawno bylibyśmy w Tokio. Jak pan wróci do cywila, to usilnie namawiam, żeby pan rozważył, czy nie studiować medycyny.

- Nie mogę, panie pułkowniku - odparł Nugget z żalem. - Skończyłem tylko podstawówkę. Ale myślę o tym, żeby się zapisać do szkoły pielęgniarstwa. W Repat.

- Szkoda! Być może świat stracił w panu Pasteura, ale za to zdobędzie pielęgniarza na miarę Florence Nightingale. Ma pan na to dużą szansę, szeregowy Jones.

Pułkownik dostrzegł kątem oka, że Matt wrócił bez Bena i stanął w drzwiach przysłuchując się z uwagą temu, co mówili.

- Kapralu Sawyer, a co pan ma do dodania?

- Ja nic nie widziałem, panie pułkowniku.

Pułkownik zacisnął wargi tak, że ich prawie wcale nie było widać, i głęboko wciągnął powietrze. - Czy któryś z panów odwiedzał łaźnię po tym, jak sierżant Daggett zaatakował tam sierżanta Wilsona?

- Niestety nie, panie pułkowniku - powiedział Neil, jakby się chciał usprawiedliwić. - Przepraszamy, że nas pan zastał nie umytych i nie ogolonych, ale po naszej wczorajszej alkoholowej przygodzie rano najbardziej nam była potrzebna herbata. Piliśmy ją litrami.

202

- Trzeba im było zaaplikować górną warstwę roztworu APC, siostró

- mruknął pułkownik, patrząc na nią z wyrzutem. A ona uniosła lekko brwi i odpowiedziała z uśmiechem: - Już ją przygotowałam, panie pułkowniku. Pułkownik zdecydował się w końcu wyjawić im prawdę. - Przypuszczam, że nikt z was jeszcze nie wie, że sierżanta Daggetta znaleziono dziś martwego w łaźni - oświadczył krótko. Ale to, co miało być rewelacją, okazało się smutnym niewypałem: żaden z nich nie przejawiał zdziwienia, szoku, żalu czy choćby zainteresowania. Nadal siedzieli czy stali tam gdzie przedtem, z takimi minami, jakby pułkownik zrobił jakąś banalną uwagę o pogodzie.

- Ale dlaczego, na Boga, Lucjusz miałby coś takiego uczynić? - odezwał się wreszcie Neil, czując, że pułkownik czeka na komentarz z ich strony.

- Nigdy bym nie przypuszczał, że jest taki ambitny...

- Chwała Bogu, żeśmy się pozbyli tego śmiecia - dorzucił Matt.

- Dla mnie to jak najpiękniejszy podarunek na gwiazdkę - stwierdził Nugget.

- A dlaczego pan uważa, że to było samobójstwo, kapitanie? - spytał pułkownik.

Neil zrobił zdziwioną minę. - Więc to nie samobójstwo? Przecież on był za młody, aby wykorkować z przyczyn naturalnych.

- To prawda. Nie umarł z przyczyn naturalnych. Ale dlaczego pan zakłada, że to było samobójstwo? - nalegał dalej pułkownik.

- Jeśli nie dostał ataku serca, wylewu czy czegoś w tym rodzaju, to znaczy, że sam ze sobą skończył. Co prawda chętnie byśmy mu w tym pomogli... ale minionej nocy nie mieliśmy do tego głowy, panie pułkowniku. Tamtej nocy marzyła nam się tylko kropelka whisky i nic więcej.

- A jak on umarł? - spytał Nugget z widocznym zainteresowaniem.
- Poderżnął sobie gardło? Pchnął się nożem? A może się powiesił?
- Oczywiście, kogóż jak nie ciebie takie rzeczy mogłyby interesować, ty mały wampirze! - zażartował trochę znudzony pułkownik. - On chyba popełnił to, co Japończycy nazywają harakiri.
- Kto go znalazł? - zainteresował się Matt, wciąż stojąc w drzwiach.
- Siostra Langtry.

Tym razem ich reakcja była właśnie taka, jakiej się pułkownik spodziewał, gdy powiadomił ich o śmierci Lucjusza. Zapanowała przerażająca cisza i wszystkie oczy skierowały się na siostrę. Nugget wyglądał tak, jakby miał się za chwilę rozpłakać, Matt był zdumiony, Neil zrozpaczony. - Droga moja, tak mi przykro - szepnął. Ona zaś pokręciła głową i uśmiechnęła

203

się do nich z czułością. - Wszystko w porządku, naprawdę! Jak widać, przeżyłam to i nic mi się nie stało. Nie martwcie się, bardzo was proszę! Pułkownik westchnął i uderzył się dłońmi po udach, jakby chciał w ten sposób pokazać, że mu się nie udało, że przegrał. Bo co robić z mężczyznami, którzy nie okazują żalu z powodu śmierci kolegi, ale rozdierają szaty tylko dlatego, że ich ukochana siostra Langtry musiała przeżyć taką przykrość? Wstał. - Panowie, dziękuję wam za wspólnie spędzony czas i za herbatę. Życzę wam przyjemnego dnia.

- Oni musieli wiedzieć! - zauważył pułkownik, przechodząc z siostrą Langtry przez główną salę oddziału. - Te chytre diabły wiedziały, że on nie żyje...

- Tak pan sądzi? - spytała chłodno. - Chyba pan jest w błędzie, panie pułkowniku. Oni po prostu chcieli wyprowadzić pana z równowagi i nie

może pan pozwolić, żeby im się to udało, bo to tylko pogorszy sprawę...

- Gdy będę potrzebował pani rady, to o nią poproszę, siostró - warknął, kipiąc ze złości. Potem uświadomił sobie, w jakiej delikatnej sytuacji się znajduje i że siostra ma w tej chwili nad nim przewagę. Mimo to nie mógł się powstrzymać, by nie dodać złośliwie: - Trzeba będzie zarządzić śledztwo.

- Oczywiście, panie pułkowniku - powiedziała spokojnie. Stanowczo miał już tego wszystkiego dosyć, szczególnie że był zmęczony, po nie przespanej nocy. - Mam nadzieję, że nie ma tu jakichś nieczystych machinacji - dodał. - Jak to szczęśliwie się składa dla sierżanta Wilsona, że ma takie żelazne alibi, dostarczone ni mniej, ni więcej tylko przez siostrę we własnej osobie. Wolałbym jednak wstrzymać się z podjęciem decyzji do chwili, gdy żandarmeria polowa przeprowadzi oględziny zwłok. Jeśli oni przyznają, że nie można tu podejrzewać nieczystych machinacji, to sądzę, że śledztwo będzie zwykłą formalnością. Tym się oczywiście będzie musiał zająć pułkownik Seth. Zaraz go powiadomię. - Westchnął i rzucił jej szybkie, ukośne spojrzenie. - Tak! Szczęściarz z tego młodego sierżanta... Jak by to było cudownie, gdyby wszystkie pielęgniarki w moich oddziałach troszczyły się o dobro pacjenta tak jak siostra... Zatrzymała się przy ażurowej zasłonie w drzwiach i zastanawiała się, dlaczego mamy nieraz taką nieprzewartą chęć ranić boleśnie innych i dlaczego się potem dziwimy, gdy oni chcą się na nas odegrać. Bo tak właśnie układały się wzajemne stosunki między nią i pułkownikiem. Zmierzyli się ze sobą, gdy się poznali, i od razu zaczęły się zawody, kto kogo mocniej ugodzi.

Tkwiła już tak głęboko w tej grze, że nawet teraz nie mogła znaleźć w sobie dość dobrej woli, aby puścić płazem ubliżające jej słowa o Michaelu. Cedząc jedwabne słówka, odbiła piłkę: - Poproszę pacjentów, żeby zachowali dyskrecję i nie rozpowiadali wszystkim dookoła o swoich alkoholowych wyczynach. Prawdę mówiąc, nie widzę powodu, żeby w ogóle mieli o tym wspominać... zakładając oczywiście, że żandarmeria nie będzie miała wątpliwości, iż sierżant Daggett popełnił samobójstwo. Pułkownika skręcało ze złości. Dałby wszystko, aby móc rzucić jej te słowa z powrotem w tę uśmiechniętą twarz i wykrzyknąć jej, że niech sobie mówi na cały cholerny świat, iż to on dał whisky pacjentom chorym na tropikalną psychozę. Wiedział jednak, że nie może tego zrobić. Więc tylko sztywno potaknął: - Proszę zrobić, co pani uważa za stosowne, siostró. Ja na pewno o tym nie wspomnę.

- Jeszcze pan nie rozmawiał z sierżantem Wilsonem, pułkowniku. Spał, gdy wychodziłam, ale czuje się już dobrze i może być przesłuchiwany. Może przejdę się z panem do mojej kwatery. Miałam zamiar umieścić sierżanta Wilsona w jednym z pustych pokoi tuż obok mojego, ale niestety okazało się, że wszystkie są zamknięte. Okazuje się, że dobrze się stało, jak się stało, gdyż dzięki temu miałam sierżanta Wilsona cały czas na oku. Co prawda było nam bardzo niewygodnie, bo jest tam tylko jedno wąskie łóżko...

Suka... cholerna suka... Jeśli szeregowiec Jones był potencjalnym Pasteurem, to ona jest potencjalnym Hitlerem. Musiał jednak przyznać, że nawet w swoich najlepszych dniach nie dorównywał siostrze Langtry. Czuł się bardzo zmęczony. Ta sprawa była dla niego ciężkim przeżyciem.

- Zobaczę się z sierżantem później! Do widzenia, siostró.

Rozdział Dwudziesty Dziewiąty.

Siostra Langtry stała i patrzyła za nim, póki pułkownik nie znalazł się daleko od niej w drodze do swego domku. Potem wolno ruszyła w stronę swojej kwatery.

Jaka szkoda, że kiedy dzieje się z nami coś wielkiego, przeważnie nie mamy czasu, by rzecz dokładnie przemyśleć. Teraz mogła tylko trzymać rękę na pulsie i starać się przewidzieć, co przyniesie przyszłość. Ani trochę

205
nie wierzyła pułkownikowi, że nikomu nic nie powie. Ucieknie do swego domku jak karaluch i naśle na nią siostrę przełożoną, by za niego zrobiła brudną robotę i przeprowadziła inspekcję w jej pokoju, to bardziej do niego podobne. Trzeba Michaela przenieść stamtąd, i to jak najszybciej. A przecież zanim się z nim zobaczy, powinna mieć trochę czasu, choć parę godzin, aby zastanowić się, jak mu powiedzieć to, co musi być powiedziane. Myślała o paru godzinach, ale przecież i dni byłoby za mało, by to przemyśleć.

Katastrofa wisiała w powietrzu. Cynicy mogliby złożyć wszystko na karb zbliżającego się monsunu, ale siostra Langtry miała na ten temat własne zdanie. Wznosili budowlę, która pięła się w górę, ale runęła, rozsypując się w proch, i to tak szybko, że jasne było, iż nie ustawili jej na solidnym fundamencie. I taka jest prawda, jeśli chodzi o Michaela i o nią. Jak mogła w ogóle mieć nadzieję, że w tak niepewnej sytuacji może zrodzić się coś trwałego.

Przecież z takiego samego powodu nie zgodziła się na rozwinięcie przyjaźni z Neilem Parkinsonem. Zwykle mężczyzna idzie do łóżka z kobietą, którą zna lub myśli, że zna. Tymczasem Michael nie miał żadnych

realnych możliwości, by poznać Helen Langtry. Była dla niego postacią fikcyjną, chimera. Jedyńą Langtry, jaką znał, była siostra Langtry. W stosunkach z Neilem zachowała dość zdrowego rozsądku, aby - dopóki oboje nie znajdą się w bardziej normalnych warunkach, w których Neil będzie miał szansę poznać Helen Langtry - nie budzić w sobie i w nim żadnych poważnych nadziei. Ale z Michaeliem nie potrafiła zdobyć się ani na logiczne myślenie, ani na zdrowy rozsądek. Poddawała się pożądaniu. Pragnęła się z nim kochać tu i teraz, pał licho konsekwencje. Może w podświadomości czuła, jak kruche jest to, co ich łączy, i jak bardzo pozbawione szans na przyszłość?

Wiele lat temu, gdy Helen chodziła jeszcze do szkoły pielęgniarstwa przy szpitalu Księcia Alfreda, na lekcji mówiono o emocjonalnym ryzyku związanym z wykonywaniem zawodu pielęgniarstwa. Przedstawiając niebezpieczeństwa, jakie grożą pielęgniarce, nauczycielka wymieniła między innymi ryzyko zakochania się w pacjencie. - Jeśli już pielęgniarce musi zakochać się w pacjencie - stwierdziła - to niech to będzie pacjent, który dobrze rokuje i jest tylko na krótko w szpitalu, z powodu jakiejś nagłej choroby, ale nigdy, przenigdy pacjent z chorobą chroniczną. Szansę na powodzenie i trwałość może mieć miłość do pacjenta z ostrym

206

zapaleniem wyrostka albo ze złamaniem kości udowej. Ale miłość do kogoś, kto cierpi na spastyczne porażenie mięśni, paraliż kończyn czy gruźlicę, nie ma najmniejszych widoków na sukces.

Tej lekcji Helen Langtry nigdy nie zapomniała.

Wprawdzie Michael nie był chory, a już na pewno nie chronicznie ale poznała go w warunkach zakładających długotrwałą hospitalizację, a do

tego doszły jeszcze wszystkie ciemne strony oddziału X. Nawet jeśli przyjmujemy, że Michael nie był zaangażowany emocjonalnie, to ona na pewno była; tymczasem pierwszym i jedynym jej obowiązkiem było widzieć w nim wyłącznie pacjenta. Z Neilem nie miała tych problemów, bo go nie kochała, a więc nic jej nie przeszkadzało kierować się głosem obowiązku.

Teraz chciała pogodzić ze sobą miłość i obowiązek. W dodatku oba te uczucia dotyczyły jednej i tej samej osoby, jej pacjenta. Tak go określał regulamin i nie miało znaczenia, że nie mieścił się w jego ramach. Dla niej przez lata liczyła się przede wszystkim praca. Obowiązek był zawsze na pierwszym miejscu i żadna miłość na świecie nie mogła tego zmienić.

„Co wybrać: miłość czy obowiązek?” - pytała samą siebie, wchodząc na górę po schodach cięższym niż zazwyczaj krokiem. Zatrzymała się na werandzie. „Kim mam być? - zastanawiała się. - Kochanką czy pielęgniarzką Michaela? A kim on jest? Moim kochankiem czy pacjentem?” Nagle silny podmuch wiatru uniósł jej welon. „Oto odpowiedź na moje pytanie - pomyślała. - Welon jest częścią uniformu pielęgniarki, a więc mam wybrać obowiązek”.

Otworzyła drzwi do swego pokoju i zobaczyła, że Michael siedzi na krześle i cierpliwie na nią czeka. Miał na sobie piżamę i szlafrok, które pożyczyła dla niego w oddziale B. Przesunął krzesło na środek pokoju, daleko od łóżka; łóżko ładnie zaścielił i wyglądało teraz tak przyzwoicie, że nawet najbardziej rozpasana wyobraźnia nie kojarzyłaby go z miejscem dzikich porywów namiętności. Spartańska nieskazitelnosc tego łóżka podziałała na nią dziwnie ożywiająco. Wcześniej, na werandzie, przeżywała wyimaginowaną scenę swego wejścia do pokoju. Wyobraziła

sobie w niej Michaela wciąż jeszcze leżącego nago w jej łóżku. Gdyby go tak zastała, może znalazłaby w sobie więcej czułości. Położyłaby się koło niego na materacu i nie zważając na to, co jest jej obowiązkiem, zebrałaby się na odwagę i zrobiła to, czego najbardziej pragnęła: wzięła go w ramiona, ofiarowała mu usta w mocnym i gorącym

207

pocałunku i wzbogaciła nowymi doświadczeniami wspomnienia ubiegłej nocy, które przesłonił teraz ponury cień martwego ciała w łaźni.

Stała w drzwiach bez uśmiechu. Nie mogła się ruszyć ani przemówić, opuściły ją wszystkie siły. Wyraz jej twarzy musiał mu powiedzieć więcej, niż chciała, bo zerwał się na równe nogi i podszedł do niej blisko, choć nie tak blisko, by jej dotknąć.

- Co się stało? - spytał, - O co chodzi? Co takiego zaszło?

- Lucjusz popełnił samobójstwo - poinformowała bez żadnych osłonek i zamilkła.

- Samobójstwo? - Najpierw patrzył na nią z szeroko rozwartymi ustami, ale wyraz zdumienia i odrazy szybko znikł z jego twarzy, przechodząc gwałtownie w przerażenie, a potem w konsternację, jakby on w tym jakoś zawinił. - O mój Boże! O Boże! - jęczał i wyglądał jak bliski śmierci. Na jego coraz bardziej blednącej twarzy widoczne było poczucie winy i rozpacz. - Cóż ja najlepszego zrobiłem? - wyszeptał i powtórzył:

- Co ja zrobiłem? - głosem dziwnie postarzałym i osłabłym. Serce skoczyło jej do gardła. Stała blisko niego, tak że mogła objąć jego ramię obiema dłońmi i patrzyła na niego błagalnym wzrokiem.

- Ależ ty nic nie zrobiłeś, Michaelu, nic! Lucjusz sam skończył ze sobą. Słyszysz? On tylko dlatego ciebie napastował, że chciał poprzez ciebie

uderzyć we mnie, chciał się na mnie zemścić. Nie możesz się o nic obwiniać. Nie ty zacząłeś i nie ty go zachęcałeś. Czyż to nie było tak?

- Nie było? - spytał szorstko.

- Przestań! - krzyknęła przerażona.

- Powinienem być zostać tam przy nim, a nie tu być z tobą. Nie miałem prawa go zostawić.

Patrzyła na niego ze strachem, jakby go wcale nie знаła, ale po chwili w zestawie min na każdą okoliczność udało jej się znaleźć mały kpiący uśmieszek i przykleiła go do ust. - Do licha! - zawołała. - Ładny komplement dla mnie, nie ma co!

- Ach, siostrzyczko, przecież nie o to mi chodziło - tłumaczył rozżalony. - Za nic na świecie nie chciałbym cię zranić.

- Nie możesz zapamiętać, że mam na imię Helen, i nawet teraz nazywasz mnie siostrzyczką?

- Twoje imię bardzo do ciebie pasuje i pragnę je zapamiętać, ale jakoś zawsze myślę o tobie jako o siostrzyczce, nawet teraz. Naprawdę nie chciałbym cię urazić, siostrzyczko, ale gdybym został tam, gdzie moje
208

miejsce, nigdy by się to nieszczęście nie zdarzyło. On byłby bezpieczny, a ja wolny. To moja wina...

Nie mogła przejąć się jego cierpieniem, bo go nie rozumiała. Nie wiedziała, o kim mówi. Kim był ten on? Co za on? Poczwała, że narasta w niej obrzydzenie i ogromny, choć nieokreślony żal i że te uczucia przenikają ją od koniuszków palców po szeroko otwarte i patrzące z niedowierzaniem oczy. Cóż z niego za człowiek, jeśli po nocy miłosnego zapamiętania i po tak namiętym kochaniu się może tu teraz stać i

żałować, że w ogóle do tego doszło; może to, co było między nimi, odrzucić, przedkładając nad nią Lucjusza. Potrafiłaby ukoić jego żal i ból, i lęk, ale nie wtedy, gdy dotyczyły Lucjusza. Nigdy w życiu nie czuła się tak poniżona w swojej kobiecości i człowieczeństwie. Michael odrzucił jej miłość, rzucił jej w twarz jej uczucia i zrobił to przez pamięć na Lucjusza Daggetta.

- Rozumiem - powiedziała nieszczerze. - Myliłam się w wielu sprawach. Jakaż byłam głupia... - zaśmiała się gorzko. Ten śmiech, który wyrwał jej się mimo woli, miał taki skutek, że Michael cofnął się, jakby chciał wyjść. - Poczekaj chwilę! - zawołała i szybko się odwróciła. - Muszę się raz-dwa umyć, a potem zaprowadzę cię z powrotem na oddział. Pułkownik chce ci zadać kilka pytań. Wolałabym, żeby nie widział cię już tutaj.

Na półeczce pod oknem stała miska z wodą. Helen podbiegła do niej ze zmienioną twarzą. Łzy obficie spływały po jej policzkach.

Zainscenizowała małe przedstawienie, hałaśliwie pluszcząc się w tej wodzie. Potem stała z ręcznikiem przyciśniętym do oczu, policzków i nosa, z całej siły starając się powstrzymać te bezsensowne, zawstydzające łzy.

„Michael jest, jaki jest - myślała. - Czy dlatego powinnam uznać, że moja miłość do niego jest bez sensu? Czy nie ma już w nim niczego, co warte jest kochania, tylko dlatego, że woli Lucjusza ode mnie? Ach, Michaelu, Michaelu!" Nigdy w życiu nie czuła się tak bardzo zdradzona i urażona w swej godności. Po chwili jednak przyszła refleksja: właściwie dlaczego patrzy na to w taki sposób? Michael już widać taki jest, ale musi chyba być w nim coś pięknego, bo inaczej nie mogłaby go pokochać. Niemniej przepaść pomiędzy logicznym rozumowaniem a jej kobiecym

instynktownym uczuciem była nie do pokonania. Może gdyby jej rywalką była inna kobieta, a nie Lucjusz, nie cierpiałaby tak bardzo, Michael pewnie wszystko wyważył i doszedł do przekonania, że bardziej pragnie Lucjusza niż jej.

A pułkownik „Ważny” podejrzewał Michaela, że zabił Lucjusza. Jakież z niego idiota... Szkoda, że nie mógł być świadkiem sceny, która się tu

209

przed chwilą rozegrała. Z miejsca oddaliłby wszelkie podejrzenia. Jeszcze nigdy nie widziała, by jakiś mężczyzna tak bardzo rozpaczał po śmierci innego mężczyzny. A właściwie to Michael mógł zabić Lucjusza. Była dość długo nieobecna w swoim pokoju tej nocy. Mógł w tym czasie pójść na oddział, zrobić to i wrócić. Ale wiedziała, że on tego nie zrobił. Biedny Michael... Chyba ma rację: gdyby został na oddziale, to Lucjusz by się nie zabił. Nie miałby potrzeby się zabijać, bo odniósłby nad nią zwycięstwo jeszcze pełniejsze niż teraz. To byłoby jego całkowite zwycięstwo, jego triumf.

O Boże, jakież tu powstało pomieszanie z poplątaniem żądź i motywów. Dlaczego zabrała Michaela z oddziału? Wtedy wydawało jej się to słuszne. Więcej, jedyne, co należało zrobić. Czy nie planowała od samego początku, że wykorzysta każdą sytuację, by mieć Michaela dla siebie? Oddział X nie stwarzał po temu żadnej możliwości. Wszyscy byli straszliwie o nią zazdrośni. Przecież ona się dosłownie rzuciła w objęcia Michaela, a mężczyzna jak to mężczyzna... W dodatku Michael czuł się wówczas w pewnym stopniu wyobcowany na skutek zdarzenia w łaźni. Dlaczego miałyby więc teraz oskarżać go o to, że ją poderwał i uwiódł? Już nie płakała. Odłożyła ręcznik i przeszła do lustra. Dobrze, że na twarzy

nie widać śladów łez... Ale ma przekrzywiony welon, a przecież welon jest symbolem pracy i obowiązku, tych dwóch wartości, które jej nigdy nie zdradziły. Miłość może zdradzić, obowiązek nigdy. Z obowiązkiem wiadomo, na czym stoi. Ile weń włoży, tyle odbierze. Bez żalu otworzyła głęboką, ciemną szufladę w swej duszy, włożyła do niej miłość i z powrotem ją zamknęła. Poprawiła przy lustrze welon i stwierdziła, że jej oczy są chłodne i obojętne, jak tej nauczycielki sprzed lat, która ostrzegała przed miłością bez szans.

Odwróciła się od swego odbicia w lustrze i łagodnym głosem zwróciła się do Michaela: - Chodź, zaprowadzę cię z powrotem tam, gdzie twoje miejsce.

Michael szedł obok niej, co i raz się potykając, tak bardzo pogrążony w swoim nieszczęściu, że ledwo zdawał sobie sprawę z jej obecności. Nawet nie chodziło mu o to, że wszystko zaczęło się jeszcze raz od nowa, bo zaczęło się już dawno, ale że tym razem wyrokiem będzie dożywocie, kara na całe życie. Dlaczego to musiało się przydarzyć właśnie jemu? Co

210

takiego uczynił, że ludzie cierpią z jego powodu? Czy jest w nim coś takiego? Czyżby był Jonaszem...?

Jakaż to była pokusa, leżeć na jej łóżku, czuć zapach jej prześcieradeł, przyciskać swoje ciało do miejsca, gdzie ona przedtem leżała... Teraz ona tego żałuje, ale wtedy było inaczej... Miłość, której nigdy nie zaznał, a która przecież istnieje, przyszła do niego jak sen... Zjawiała się po tym okropnym przeżyciu, zrodziła się ze wstydu, że przyłapano go nagiego, że został skompromitowany przez Lucjusza Daggetta. Ta miłość zrodziła się

w momencie, gdy utracił szacunek dla siebie, gdy w pełni siebie uświadomił, że i on ma w sobie żądzę zabijania...

Przed jego oczami stawał Lucjusz w różnych sytuacjach: śmiejący się, przedrzeźniający go, zaskoczony, że Michael z własnej woli sprząta po nim, Lucjusz w łaźni, nie mogący uwierzyć, że jego zaloty nie są Michaelowi miłe, Lucjusz pełen pogardy, nie zdający sobie sprawy, że śmierć wisi nad nim jak miecz. „Głupi ośle!” - tak Lucjusz kiedyś zwrócił się do niego, a teraz on powiedział cieniowi Lucjusza: „Ty głupi ośle! Nie rozumiałeś, że sam się prosisz o śmierć? Nie wiedziałeś, że wojna osłabia ludzkie skrupuły, że przyzwyczajają żołnierza do zadawania śmierci? Oczywiście nie mogłeś tego wiedzieć... nie byłeś na wojnie, patrzyłeś na nią tylko z dalekiej bazy zaopatrzeniowej...”

Nie widział już dla siebie przyszłości. Być może nigdy jej nie miał. Ben powiedziałby, że człowiek zawsze jest winien swego nieszczęścia. To niesprawiedliwe! A ona, której nie zdołał poznać i teraz już nigdy nie pozna, patrzyła na niego przed chwilą jak na mordercę. Bo był mordercą: zabił nadzieję!

Rozdział Trzydziesty.

Michael odszedł od niej w pośpiechu, gdy tylko zjawili się na oddziale. Przedtem raz tylko miała okazję spojrzeć mu w twarz. Odczuła to jako jeszcze jeden bolesny cios. Tyle głębokiej troski dostrzegła w jego łzami przesłoniętych oczach, że miała ochotę stanąć przy nim i pocieszyć go - najlepiej jak umiała. Ale

211

Michael opuścił ją tak szybko, jakby chciał się jak najprędzej od niej uwolnić. Kiedy zobaczył Bena, siedzącego ze strapioną miną na krawędzi

łóżka, od razu usiadł przy nim. Zła i udęczona, nie mogła na to dłużej patrzeć i zawróciła, by udać się do swego biura. Najwidoczniej każdy był dla Michaela ważniejszy od niej.

Neil wszedł do niej niosąc w jednej ręce filiżankę herbaty, a w drugiej na małym talerzu kilka kromek chleba z masłem. W pierwszej chwili miała pokusę, żeby mu kazać wyjść. Powstrzymał ją jednak wyraz jego twarzy. Emanowała z niej nie tyle słabość, ile raczej usilna chęć służenia i pomocy, a tego nie mogła odrzucić. - Napij się herbaty i zjedz coś, od razu poczujesz się lepiej - powiedział. Była mu wdzięczna za herbatę, ale sądziła, że nie będzie w stanie przełknąć ani kęsa chleba. Tymczasem po jednej filiżance herbaty przyszła kolej na drugą i udało jej się zjeść połowę chleba, który był na talerzu. Rzeczywiście poczuła się lepiej.

Neil usiadł w fotelu dla gości i z uwagą jej się przyglądał. Widział, jaka jest rozszalona, i było mu przykro, że nie może jej pomóc. Złościło go, że wciąż trzyma go na dystans. Zdawał sobie sprawę, co łączy ją z Michaelem: on nie mógł liczyć na nic. To doprowadzało go do rozpacz. Wiedział bowiem, że jest lepszym człowiekiem niż Michael. W każdym razie lepszym dla niej. Podejrzewał, że Michael też to wie. Jeśli nawet przedtem nie wiedział, to wie o tym od dzisiejszego ranka. Ale jak przekonać Helen? Nie zechce o tym słyszeć.

Gdy odsunęła talerz, powiedział: - Tak mi przykro, że to właśnie ty musiałaś odkryć zwłoki Lucjusza. To musiał być okropny widok.

- Tak, rzeczywiście, ale ja umiem sobie radzić w takich sytuacjach. Nie masz się czym przejmować. - Uśmiechnęła się do niego, nie zdając sobie sprawy, że widać po niej, iż przeżyła koszmar. - Chcę ci podziękować, że wzięłaś na siebie odpowiedzialność za moją decyzję, by usunąć Michaela

z oddziału.

Wzruszył ramionami. - No, tak. Wiedziałem, że to ci pomoże. A pułkownik niech sobie nadal będzie przekonany o wyższości mężczyzn. Gdybym się przyznał, że byłem wówczas pijany i do niczego, ty natomiast w jak najlepszej formie, by podejmować decyzje, to pewnie by uznał, że nie zasługuję na zaufanie.

- Tak, to prawda.

- Czy jesteś pewna, że nic ci nie dolega, siostrzyczko?

212

- Nic takiego... Jeśli mnie coś gnębi, to tylko to, że czuję się w jakiś sposób oszukana.

- Oszukana? To dziwne.

- Ale nie dla mnie. Wiedziałeś, że mam zamiar wziąć Michaela do swojej kwatery, czy strzelałeś w ciemno?

- To było logiczne, bo gdzie indziej mogłabyś go zabrać? Przypuszczałem też, że nie zechcesz rano ciągać Lucjusza po sądach, a więc nie będziesz też mogła przenieść Michaela do innego oddziału, bo to by dało pole do plotek.

- Nie wiedziałam, że jesteś taki wnikliwy...

- Chyba sobie nie zdajesz sprawy, jak bardzo.

Nie wiedziała, co powiedzieć, więc odwróciła się i wyjrzała przez okno.

- Chciałabyś, żebym poczęstował cię papierosem? - spytał. Było mu jej żal, ale równocześnie czuł się rozgoryczony, bo wiedział, że są takie sprawy, o których nie zechce z nim rozmawiać.

Spojrzała na niego. - Chciałabym, ale nie śmiem. Lada chwila zjawi się tu siostra przełożona. Pułkownik już ją pewnie o wszystkim powiadomił, a

także dał znać dowódcy bazy i żandarmerii. Mogę sobie wyobrazić, że przełożona nie będzie się hamować w gniewie. Dla niej im większa sensacja, tym lepiej - pod warunkiem oczywiście, że jej to nie dotyczy. I na pewno będzie się czepiać każdego drobiazgu.

- A gdybym to ja zapalił papierosa, a ty byś tylko parę razy pociągnęła? Potrzebujesz chyba czegoś mocniejszego niż herbata.

- Jeśli się ośmielisz wspomnieć o whisky, to chyba ci każę siedzieć za karę przez miesiąc w swoim pokoju. Poradzę sobie bez papierosa. Wierz mi. Przełożona poczułaby dym w moim oddechu, a muszę ratować te resztki szacunku, które mi jeszcze zostały, inaczej ona z hukiem wywali mnie z wojska.

- Najlepsze, że ofiarodawca whisky, pułkownik, sam złapał się we własne sidła.

- A to mi przypomina, że chcę cię prosić o dwie przysługi: po pierwsze, żeby żaden z was nie pisnął nikomu ani słówka o whisky, po drugie, żebyś wziął ze sobą tę menzurkę na oddział i zaaplikował wszystkim po jednej łyżce stołowej tego płynu. I sam wypij. To was wyleczy z kaca.

Zaśmiał się. - Chciałbym ci za to ucałować rączki i paść do nóżek.

W tym momencie wparowała do pokoju siostra przełożona, wężąc niczym pies. Neil zniknął, składając po drodze lekki ukłon siostrze przełożonej i zostawiając Helen sam na sam z szefową.

213

Rozdział Trzydziesty Pierwszy.

Z wejściem siostry przełożonej zaczął się dla Helen Langtry nowy etap tego trudnego dnia. Tuż za przełożoną zjawił się bowiem w jej biurze naczelnym dowódca bazy numer 15. Tak naprawdę ten łagodny niewysoki

pułkownik w czerwonym kapeluszu zajmował się szpitalami jedynie w teorii i raczej abstrakcyjnie. Gdy stawał wobec autentycznych pacjentów, czuł się zupełnie bezradny. Jako oficer dowodzący bazą odpowiadał jednak za właściwe przeprowadzenie śledztwa. Po krótkiej inspekcji w łaźni zadzwonił do biura żandarmerii w kwaterze głównej dywizji i zażądał, by mu przydzielono do pomocy sierżanta do specjalnych dochodzeń. Naczelnym dowódcą bazy był człowiekiem bardzo zajęтым i nie miał zamiaru zajmować się tym, co - jak sądził - było oczywistym i nie podlegającym dyskusji aktem samobójstwa. Choć przyznawał, że było to samobójstwo wyjątkowo drastyczne.

Prowadzenie śledztwa powierzył kwatermistrzowi bazy 15. Był nim John Penniquick: wysoki, grzeczny, miły i bardzo inteligentny młody człowiek. Uwolniwszy się od ciężaru śledztwa, które dla niego było równoznaczne z samymi przykrościami, dowódca powrócił do skomplikowanego zadania, jakim się ostatnio zajmował, mianowicie do likwidacji szpitala bazy numer 15.

Kapitan Penniquick był jeszcze bardziej zajęty niż jego szef, ale umiał sobie zorganizować pracę. Przysłany z kwatery głównej sierżant do specjalnych dochodzeń otrzymał od niego następującą instrukcję: - Mam zamiar spotykać się tylko z tymi osobami, które pan uzna za na tyle ważne, bym musiał z nimi rozmawiać osobiście - mówiąc to uważnie przypatrywał się przez okulary sierżantowi Watkinowi, którego uważał za człowieka pojętnego, rozsądnego i sympatycznego. - Zasadniczo jednak to śledztwo jest pańską działką, sierzancie. Każdy przesłuchiwany jest tak długo pańskim gołębiem, aż nie okaże się jastrzębiem, wtedy wystarczy głośno krzyknąć i ja natychmiast przybiegnę.

Sierżant Watkin spędził piętnaście minut w łaźni z majorem Menziesem, patologiem bazy 15, a potem, uważnie się rozglądając, przeszedł z łaźni do schodów, które prowadziły do tylnego wejścia na oddział X. Następnie obszedł oddział dookoła i wszedł do środka frontowymi drzwiami. Siostry Langtry nie było wtedy w biurze, ale usłyszała podejrzany

214

szelest ażurowej zasłony w drzwiach wejściowych i szybko zjawiała się na oddziale.

„Sympatyczna mała kobietka - pomyślał na jej widok sierżant Watkin - i chyba niezły materiał na oficera". Zasalutował jej bez żadnych wewnętrznych oporów.

- Witam, sierżancie - powiedziała z uśmiechem.

- Siostra Langtry? - spytał zdejmując kapelusz.

- Tak!

- Jestem z biura żandarmerii przy kwaterze głównej dywizji. Mam zbadać sprawę śmierci sierżanta Lucjusza Daggetta. Nazywam się Watkin.

- Sierżant mówił powoli, sennym głosem, ale okazało się, że wcale nie jest senny. Gdy znaleźli się w jej biurze i siostra zaproponowała mu herbatę, odmówił i przeszedł z miejsca do sprawy.

- Będę chciał porozmawiać z pacjentami, siostro, ale najpierw, jeśli siostra nie ma nic przeciwko temu, zamierzam zadać jej kilka pytań.

- Bardzo proszę.

- Chodzi mi o brzytwę. Czy należała do Daggetta?

- Tak, na pewno. Kilku moich pacjentów używa brzytwy bengalskiej, ale chyba tylko brzytwa Lucjusza miała hebanową rączkę. - Postanowiła być z nim całkiem szczerą, chcąc w ten sposób podkreślić, że czuje się

współodpowiedzialna za przebieg śledztwa. - Nie sędzę, sierżancie, by miał pan jakiegokolwiek wątpliwości co do tego, że mamy tu do czynienia z samobójstwem. Widziałam, w jaki sposób Lucjusz zwykł trzymać brzytwę, gdy się golił. Otóż jego palce zastygły na niej identycznie, jak ją trzymał za życia. Na jego dłoni i ramieniu widziałam bardzo dużo krwi, co jest zrozumiałe przy takich cięciach. Ile cięć panowie stwierdzili?

- Tylko trzy, ale i tak o dwa za dużo. Żeby się zabić, wystarczyłoby jedno.

- A co mówi patolog? Czy pan wezwał kogoś z zewnątrz, czy skorzystał z usług majora Menziesa?

Zaśmiał się. - A może ja bym się zdrzemnął na jednym z wolnych łóżek, a siostra by się zajęła prowadzeniem śledztwa?

Przybrała pokorny, przesadnie skromny, a równocześnie dziwnie dziewczęcy wyraz twarzy. - Przepraszam, sierżancie, że się tak wymądrzam... To tylko dlatego, że jestem tak przejęta śledztwem.

- W porządku, siostrze, proszę pytać dalej... ogromnie mnie to bawi... Ale mówiąc poważnie, raczej nie mam wątpliwości, że to było samobójstwo,
215

i ma pani zupełną rację, jeśli chodzi o sposób, w jaki denat trzymał brzytwę. Major Menzies też uważa, że sierżant Daggett sam sobie zadał te rany. Chcę jeszcze popytać pacjentów o brzytwę i jeśli ich wypowiedzi będą zgodne, to sędzę, że cała sprawa może być całkiem szybko zakończona.

Westchnęła z ulgą i obdarzyła go czarującym uśmiechem. - Ach, tak się cieszę... Wiem, że niezrównoważonych pacjentów uważa się za zdolnych do wszystkiego, ale tak naprawdę to moi pacjenci są bardzo łagodni.

Gwałtowny był tylko sierżant Daggett.

Spojrzał na nią z zaciekawieniem. - A czy oni wszyscy byli żołnierzami, siostrze?

- Oczywiście.

- I mógłbym się założyć, że w większości przyszli tu wprost z pierwszej linii frontu, inaczej skąd by im się wzięła tropikalna psychoza? Przykro mi, że muszę zaprzeczyć pani słowom, ale ci pacjenci z pewnością nie są łagodną gromadką, siostrze - mówiąc to chciał jej dać do zrozumienia, że będzie prowadził śledztwo tak, jak sam uzna za stosowne.

Wszystko zależało teraz od tego, czy sierżant mówił prawdę twierdząc, że wierzy, iż Lucjusz popełnił samobójstwo.

Jego dochodzenie w sprawie brzytwy wykazało, że rzeczywiście na oddziale była tylko jedna bengalska brzytwa z hebanową rączką i że należała ona do Lucjusza. Matt miał brzytwę z rączką z kości słoniowej, a rączki trzech brzytw Neila były wykładane masą perłową. Ojciec Neila zapoczątkował tę tradycję jeszcze przed pierwszą wojną światową.

Michael golił się żyletką; tak samo Ben i Nugget.

Pacjenci oddziału X nie kryli niechęci do zmarłego sierżanta. Żaden z nich nie utrudniał sierżantowi Watkinowi śledztwa, choć gdyby chcieli, mieliby na to swoje sposoby, począwszy od udawania obłędu do zupełnego zamknięcia się w sobie. Z początku siostra Langtry bała się, że mogą być z nimi kłopoty. Samotność, izolacja i nuda sprawiały, że mieli nieraz ochotę powyglupiać się po szczeniacku, tak jak tamtego popołudnia, gdy na oddział przybył Michael. Jednak tym razem apel do zdrowego rozsądku poskutkował i chętnie współpracowali z prowadzącymi śledztwo. Co prawda sierżant Watkin nie zwierzał się, czy długie rozmowy, jakie z nimi przeprowadzał, są dla niego przyjemne, ale nie ulegało kwestii, że odnosił

się do nich z powagą. Wydawał się przywiązywać wagę do wszystkiego, co mówili, nawet do szczegółowego opisu ubytków w polu widzenia Nuggeta. To przez nie, twierdził Nugget, nie widział w tę feralną
216

noc nic więcej jak tylko kłamki i dziury w ścianie - i też tylko ich lewe połowy.

Jedynym pacjentem oddziału X, z którym kwatermistrz chciał spotkać się osobiście, był Michael. Nie można tego było jednak nazwać przesłuchaniem, raczej przyjacielską rozmową. Odbyła się wprawdzie w biurze kwatermistrza, ale tylko dlatego, że w oddziale nie było po temu warunków.

Michael nie zdawał sobie nawet sprawy, że dobra prezencja była jego najlepszą obroną. Zameldował się u kwatermistrza w pełnym umundurowaniu, tyle że bez kapelusza. Nie mógł zaszalutować, ale stał na baczność, póki mu nie pozwolono usiąść.

- Proszę się nie denerwować, sierżancie! - powiedział mu kapitan Penniquick. Siedział przy czysto uprzątniętym biurku, na którym poza dokumentami dotyczącymi sprawy sierżanta Daggetta nic nie leżało. Raport patologa obejmował dwie ręcznie napisane strony. Zawierał szczegółowy opis ran, które były bezpośrednią przyczyną śmierci, i stwierdzał, że ani w żołądku, ani w krwiobiegu zmarłego nie znaleziono ciał obcych w postaci barbituratów czy opiatów. Raport sierżanta Watkina, również pisany ręcznie, był dłuższy i przynosił streszczenie rozmów, jakie sierżant przeprowadził z pacjentami oddziału X oraz z siostrą Langtry. Sądowe przeprowadzenie dowodów było w czasie wojny raczej ograniczone i zazwyczaj nie posuwało się do pobierania odcisków

daktyloskopijnych. Gdyby sierżant Watkin zauważył coś podejrzanego, byłby się pewnie bohatersko podjął dopełnić obowiązku w tym zakresie, chociaż nie miał wprawy w braniu odcisków. Ale ani on, ani patolog nie stwierdzili niczego podejrzanego, więc dali sobie z tym spokój.

- Chciałbym pana, sierżancie, spytać o okoliczności poprzedzające śmierć Lucjusza Daggetta - rozpoczął swoją indagację kwatermistrz, czując się trochę niezręcznie. - Czy podejrzewał pan, że sierżant Daggett ma wobec pana takie zamiary? Czy już przedtem próbował pana uwodzić?

- Tak! Raz, ale nic z tego nie wynikło. Jeśli mam być szczery, to powiem panu, kapitanie, że nie wydaje mi się, by sierżant Daggett był homoseksualistą. On był po prostu agresywny, i to wszystko...

- Sierżancie, czy ma pan skłonności homoseksualne?

- Nie, panie kapitanie.

- Czuje pan niechęć do homoseksualistów?

- Nie, panie kapitanie.

- Dlaczego nie?

217

- Bo walczyłem z nimi ramię w ramię, a także służyłem pod rozkazami homoseksualistów. Miałem przyjaciół o takich skłonnościach. Jeden z nich był mi szczególnie bliski, był moim bardzo dobrym przyjacielem. To byli przyzwoici ludzie, a ja, panie kapitanie, tylko tego wymagam od ludzi, żeby byli przyzwoici. Wydaje mi się, że homoseksualiści to tacy sami ludzie jak wszyscy inni. Niektórzy z nich są dobrzy, inni źli, a jeszcze inni obojętni.

Kwatermistrz lekko się uśmiechnął. - Czy pan się domyśla, sierżancie, dlaczego Daggett miał właśnie pana na oku?

Michael westchnął. - Sądzę, że udało mu się dobrać do moich dokumentów i przeczytał je. Nie widzę innego powodu, dla którego miałby zwrócić na mnie uwagę. - Patrzył kwatermistrzowi prosto w oczy. - Jeśli pan, panie kapitanie, czytał moje dokumenty, to pan już wie, że nie po raz pierwszy mam kłopoty z homoseksualistami.

- Tak, wiem. Ma pan pecha, sierzancie. Czy podczas tamtej nocy opuszczał pan pokój siostry Langtry?

- Nie, panie kapitanie.

- A więc po incydencie w łaźni nie widział pan już więcej sierżanta Daggetta?

- Już go nie widziałem, panie kapitanie.

Kwatermistrz skinął głową. - Dziękuję, sierzancie. To wszystko.

- Dziękuję, panie kapitanie.

Po wyjściu Michaela kapitan zebrał dokumenty dotyczące śmierci sierżanta Daggetta, wyciągnął czystą kartkę papieru, położył ją na biurku i zabrał się do pisania raportu do naczelnego dowódcy bazy.

Rozdział Trzydziesty Drugi.

Bazie 15 zostało jeszcze trzy lub cztery tygodnie do likwidacji, ale pacjenci oddziału X i ich pielęgniarzka od dnia śmierci sierżanta Lucjusza Daggetta stracili wszelkie poczucie przynależności do grupy. Nie wiedząc, jaki będzie wynik dochodzenia, woleli trzymać się od siebie z daleka.

Każdy z nich był świadom, że dopóki istnieje na oddziale napięcie i toczy się wiele podskórnych procesów, nie mogą utrzymywać ze sobą zbyt bliskich kontaktów. Wszyscy przeżywali

218

to, co ich spotkało, jako zbiorowe nieszczęście, ale każdy z osobna czuł się

tym nieszczęściem dotknięty w jakiś poniżający i wstydlivy sposób. Nie mogli o tym mówić, nie potrafili nawet udawać wesołości. Każdy modlił się o to, by śledztwo skończyło się bez orzekania czyjejkolwiek winy.

Siostra Langtry, choć głęboko pogrążona we własnych kłopotach, dostrzegała jednak złą formę psychiczną swoich pacjentów. Obserwowała każdego z nich z osobna i wszystkich razem i z dnia na dzień oczekiwała oznak jakiegoś załamania nerwowego któregoś z nich. Ale, ku jej zdziwieniu, nic takiego nie nastąpiło. Byli wprawdzie zamknięci w sobie, ale nie uciekali od rzeczywistości. Zamknęli się natomiast przed nią.

Odsunęli ją na boczny tor, zwracali się do niej jedynie w mniej ważnych sprawach. Jej kontakty z nimi ograniczały się do podawania im porannej herbaty, wyrzucania ich z łóżek, zmuszania do sprzątania, wypędzania na plażę i zapędzania do spania. Byli dla niej wprawdzie uprzejmi i jak zawsze pełni szacunku, ale nie było już mowy o dawnej serdeczności i przyjaźni.

Miała ochotę bić pięściami w ścianę i krzyknąć, że nie powinni jej w ten sposób karać, że cierpi, że pragnie być nadal zauważana i desperacko potrzebuje ich uwagi, że ich obojętność jest dla niej zabójcza. Ale oczywiście nie mogła tego zrobić i nie zrobiła... Nie potrafiła interpretować ich stosunku do siebie inaczej niż w kategoriach własnej winy. Chociaż jej tego wyraźnie nie powiedzieli, bo byli na to za uprzejmi, doskonale wiedziała, że nie spełniła wobec nich swego obowiązku, że ich zawiodła. Czy to nie było szaleństwo? Tak, musiała być szalona, jeśli do tego stopnia zatraciła poczucie ważności swojej misji, że mogła zapomnieć o pacjentach i myśleć tylko o zaspokojeniu własnych fizycznych potrzeb. Teraz z kolei straciła zdolność do obiektywnej oceny sytuacji. Zawiodła ją

również intuicja, skoro nic jej nie ostrzegło przed przyjęciem tej zbyt uproszczonej tezy.

Helen nieraz doznawała bólu - ale nigdy nie cierpiała bólu tak głęboko przenikliwego, dławiącego, nie kończącego się. Nawet nie chodziło o to, że bała się wejść na oddział X. Przeciwnie, myślała z goryczą, że już nie ma oddziału X, do którego mogłaby przyjść jak do rodziny. Ich bliska komitywa przestała istnieć.

- Mamy już werdykt - powiedziała Neilowi w trzy dni po śmierci Lucjusza.

- Tak? Od kiedy? - spytał takim tonem, jakby go to specjalnie nie
219

interesowało. Wciąż jeszcze przychodził do niej, aby, jak dawniej, porozmawiać sam na sam, ale rozmowa kończyła się na wymianie paru banalnych uwag na taki czy inny temat.

- Dowiedziałam się o tym dziś po południu najpierw od pułkownika „Ważnego”, a następnie od siostry przełożonej. Wysłuchałam więc tego dwa razy. Werdykt brzmi: samobójstwo pod wpływem silnej depresji spowodowanej zaostrzeniem stanu maniakalnego. Jest to oczywiście czysty frazes, ale musieli napisać coś, co robi wrażenie.

- Czy powiedzieli ci coś jeszcze? - spytał, pochylając się, by strząsnąć popiół z papierosa.

- Nie mają do nas zbyt wielkiego przekonania, co jest zrozumiałe, ale nikogo z nas oficjalnie nie oskarżyli.

- A czy ty, siostrzyczko, nie dostałaś po łapach?

- Oficjalnie nie. Ale siostra przełożona powiedziała mi parę przykrych słów za to, że zabrałam wtedy Michaela do swego pokoju. Uratowała mnie

dotychczasowa nieskazitelna reputacja. Siostra przełożona po prostu sobie nie wyobrażała, bym mogła zaciągnąć Michaela do siebie, nie kierując się tylko i wyłącznie szlachetnymi motywami. „Ale to trochę źle wyglądało...” - powiedziała.

W ciągu ostatnich trzech dni wyobrażenia Neila płatała mu ciągle figle. Jej wytworem były fantastyczne wizje, przedstawiające Helen i Michaela w tysiącu różnych sytuacjach, niekoniecznie kojarzących się z seksem. Choć go bolała jej zdrada, starał się być obiektywny i wyrozumiały. To nie było łatwe, nie bardzo bowiem wiedział, jak ma sobie radzić z dręczącą go zazdrością i z niezłomnym przekonaniem, że powinien zdobyć tę, której pragnie i potrzebuje - nie bacząc, iż ona najwyraźniej woli Michaela. Najtrudniej mu było wybaczyć jej, że wybrała Michaela, nie oglądając się na to, co czuje reszta. Mimo to jego uczucia dla niej pozostały silne i niewzruszone. „Muszę ją zdobyć - myślał. - Nie zrezygnuję z niej. Wszak jestem nieodrodnym synem swego ojca”. Dopiero teraz przekonał się, jak dalece nim jest. To było zaskakujące, lecz bardzo przyjemne uczucie. O Helen myślał jak o biednej, zagubionej duszyczce. Żał mu jej było, bo widział, że cierpi. Będąc świadkiem jej cierpienia i współczując jej, miał jednak dziwne przeczucie, że doprowadzi ono w końcu Helen tam, gdzie jest jej miejsce: do niego, nie do Michaela.

- Za bardzo sobie bierzesz wszystko do serca - orzekł. Uśmiechnęła się sądząc, że Neil nawiązuje do tego, iż „dostała po

220

łapach”. - Nie myślę o tym, to już, dzięki Bogu, należy do przeszłości. Myślę o Lucjuszu. Jaka szkoda, że był dla nas wszystkich taki przykry. Nigdy mu nie życzyłam śmierci, lecz marzyłam o tym, żebyśmy nie

musieli znosić jego obecności. Jednak to, co teraz przeżywamy, to istne piekło...

- Czy to naprawdę Lucjusz był wszystkiemu winien? - spytał. Pomyślał, że może teraz, gdy już wiadomo, jaki zapadł wyrok, mogą sobie pozwolić na większą swobodę i rozmawiać ze sobą szczerze jak dawniej.

- Nie! - odrzekła smutno. - To była wyłącznie moja wina i niczyja więcej. Ktoś zapukał. - Herbata już gotowa, siostrzyczko - zaanonsował od drzwi Michael. Od razu zapomniała, o czym chciała pomówić z Neilem.

Omijając go wzrokiem, spojrzała prosto w twarz Michaela. - Czy mógłbyś wejść na chwilę? Chciałabym z tobą porozmawiać. Wybacz, Neil, zaraz zejdę. A może chciałbyś teraz zanieść nowinę kolegom?

Michael zamknął za Neilem drzwi z takim wyrazem twarzy, jakby przeżywał równocześnie ból, rozpacz, strach i skrepowanie. Widać było, że wolałby znaleźć się w każdym innym miejscu na ziemi byle nie tu, przed jej biurkiem.

Jeśli nawet przyczyną jego zmartwień były trudne problemy nie dotyczące bezpośrednio siostry, to jednak były one nierozzerwalnie z nią związane.

Michael bał się, że mógłby się załamać na jej oczach. Chciał jej powiedzieć całą prawdę, wyznać, dlaczego cierpi, ale rozumiał, że to byłoby równoznaczne z podniesieniem zapory przeciwpowodziowej, która przecież musi pozostać zamknięta, by nie doszło do katastrofy. Mąciło mu się w głowie. Panował w niej straszliwy chaos. Nigdy przedtem nie przeżywał czegoś takiego. Chciał rozwiązać tę sprawę inaczej, ale wiedział, że nie ma prawa. Żałował, że ona nie zna całej prawdy, choć zgadzał się, że nie wolno mu jej przed nią odkryć. Walczył ze sobą i z tym, czego pragnął. Z kolei wiedział, że to, czego ona chce, nie może dać jej

szczęścia. Patrząc na nią, coraz lepiej rozumiał, że sprawił jej okrutny ból. Stał przed jej biurkiem i czekał, a przebłyśki tego, co przeżywał, przemykały po jego twarzy.

I nagle coś w niej wybuchło. Tak, jakby podpalił stos, na którym złożyła swoją zranioną dumę i nie dający się określić ból.

- Na miłość boską! - zawołała. - Czy ty nie możesz zmienić tej cholernej miny? Czego się boisz? Że upadnę na kolana i będę cię błagała,

221

byś powtórzył wyczyn tamtej nocy? Wolałabym raczej umrzeć. Słyszysz? Wolałabym umrzeć!

Cofnął się, zbladł, zacisnął usta i nic nie powiedział. - Mogę pana zapewnić, sierzancie Wilson, że jestem jak najdalsza od myśli o jakichkolwiek osobistych stosunkach między nami. - Mówiła to gorączkowo, przechodząc na oficjalny ton. - Poprosiłam pana tutaj tylko po to, aby go poinformować, że otrzymaliśmy już werdykt w sprawie śmierci Lucjusza Daggetta; stwierdza się w nim, iż to było samobójstwo. Podobnie jak my wszyscy, został pan całkowicie oczyszczony z zarzutów. Więc może pan już skończyć z tą komedią samooskarżania się, od której robi się niedobrze. To wszystko!

Jakoś dotąd nie przyszło mu na myśl, że najbardziej boli Helen to, iż ją odepchnął. To odkrycie go przeraziło. Próbował postawić się w jej położeniu, odczuć to odepchnięcie tak, jak ona je zapewne odczuwa.

Gdyby Michael miał wyższe mniemanie o sobie, być może zrozumiałby to wcześniej i lepiej. Ale dla niego jej reakcja była zupełnie niezrozumiała.

Nie dlatego, że był gruboskórny, niespostrzegawczy czy niezbyt zaangażowany uczuciowo, ale dlatego, że od śmierci Lucjusza cały czas

przebywał myślami gdzie indziej. Niczego, nawet tego, co zaszło między nimi w jej pokoju, nie rozważał w aspekcie osobistym. Tyle miał innych spraw do przemyślenia i tyle roboty, że nie miał czasu zastanawiać się, jak ona odbiera jego zachowanie. A teraz było już na wszystko za późno. Wyglądał jak człowiek chory, rozżalony, a przy tym dziwnie bezbronny. Cały czas jednak panował nad sobą. - Dziękuję! - powiedział i nie było w tym ironii.

- Nie patrz na mnie w taki sposób!

- Przepraszam! Tak mi przykro... Nie będę już wcale patrzył... Przeniosła wzrok na dokumenty leżące na biurku. Równie dobrze mogłyby być napisane po japońsku, bo i tak nie rozumiała, co czyta. - Mnie też jest przykro, sierżancie, proszę mi wierzyć - wyrzekła tonem chłodnym i bezwzględny. Nagle poczuła, że przebrała się miara i że już dłużej tego nie zniesie. Spojrzała na niego serdecznym wzrokiem i szepnęła z westchnieniem: - Ach, Michaelu... - Ale on już wyszedł. Była tak zdruzgotana, że przez parę minut nie mogła się w ogóle ruszyć z miejsca. Trzęsła się cała i zęby jej dzwoniły. Przez moment zastanawiała się, czy nie zwariowała. Taki wstyd... taki brak opanowania... Nigdy nie sądziła, że mogłaby zadać ból komuś, kogo kocha. Nie przypuszczała też, że świadomość,

222

iz zadała ból komuś, kogo kocha, może być tak trudna do zniesienia. „Ach, Boże, dobry Boże - modliła się - jeśli to miłość, to ulecz mnie z niej! Ulecz lub pozwól mi umrzeć, bo nie mogę już dłużej tak cierpieć...” Podeszła do drzwi, zdjęła z haka kapelusz i przypomniała sobie, że musi zmienić buciki. Ręce wciąż jej się trzęsły i zasznurowanie butów i

włożenie getrów trwało dłużej niż zwykle. Neil zjawił się w chwili, gdy siedząc jeszcze na krześle, schyliła się po koszyk.

- Wychodzisz? - spytał, zdziwiony i rozczarowany. Po tym, co powiedziała, zanim przyszedł Michael, miał nadzieję podjąć rozmowę w miejscu, gdzie ją przerwali.

- Jestem straszliwie zmęczona - uzalała się. - Czy myślisz, że dacie sobie radę beze mnie do końca wieczoru?

To było elegancko powiedziane, ale wystarczyło spojrzeć w jej oczy, by zobaczyć, że ta elegancja graniczy z rozpaczą. Wbrew sobie wyciągnął do niej obie ręce, zamknął w nich jej dłoń i pocierał ją, póki się nie ogrzała.

- O, nie, droga siostrze! Nie możemy w żaden sposób obejść się bez ciebie. Ale zrobimy to ten jeden raz, w drodze wyjątku - żartował, uśmiechając się. - Idź do łóżka i prześpij się! - dodał.

Odwzajemniła uśmiech, patrząc na niego z sympatią. Znowu widziała w nim wiernego towarzysza, z którym spędziła tyle miesięcy na oddziale X. Zastanawiała się, co się stało z budzącym się doń uczuciem i dlaczego pojawienie się Michaela tak raptownie je ostudziło. Kłopot polegał chyba na tym, że nie umiała traktować miłości w logiczny sposób. Jeśli taki sposób w ogóle istniał...

- Ty zawsze uwalniasz mnie od bólu - powiedziała. To on zwykł był tak mawiać do niej. To były jego słowa. Ogromnie się wzruszył, słysząc je skierowane do siebie. Szybko wypuścił jej dłoń ze swych rąk. To nie była odpowiednia chwila, by wyznać to, co od tak dawna pragnął jej powiedzieć.

Wziął od niej koszyk i puścił ją przodem-jakby on tu był gospodarzem, a ona gościem. Nie chciał oddać koszyka, póki nie wyszli poza obręb

szpitala. Potem jeszcze długo stał w miejscu i wpatrywał się w jej szarą sylwetkę rysującą się w dali i niknącą w ciemności. Patrzył w okalający go mrok, słuchał delikatnego szelestu kropli wody spływających z okapu, potężnego chóru żab i nie kończącego się szemrania przybrzeżnych fal na rewie. Ulewa wisiała w powietrzu. Już wkrótce zacznie padać. Jeśli Helen się nie pośpieszy, to na pewno zmoknie.

223

- A gdzie nasza siostrzyczka? - spytał Nugget, gdy Neil usiadł w jej fotelu i sięgnął po czajnik z herbatą.

- Głowa ją boli - poinformował Neil krótko. Nie chciał spotkać się ze wzrokiem Michaela, który siedział obok i wyglądał tak, jakby też cierpiał na ból głowy. - Boże, jak ja nie lubię rozlewać herbaty... - skrzywił się Neil. - Komu dolać mleka?

- Mnie! - odezwał się Nugget. - Mamy pomysłyne nowiny: Lucjusz wreszcie umarł na dobre i został pogrzebany. Muszę przyznać, że poczułem ulgę.

- Niech Bóg zmiłuje się nad jego duszą - westchnął Benedykt.

- ...i nad nami wszystkimi - dodał Matt.

Neil skończył rozlewanie herbaty i teraz przesuwiał kubki na koniec stołu.

„Bez siostrzyczki herbata na dobranoc nie jest taka sama” - pomyślał.

Obserwował Michaela, który zajmował się Mattem i Benem.

Nugget udawał ważnego, prezentując wszystkim zebranym przy stole bardzo dużą księgę. Rozłożył ją tam, gdzie nie groziło, że ktoś ją obleje herbatą, i otworzył na pierwszej stronie. Michael patrzył na niego rozbawiony, choć nie bez wzruszenia. - Na jaką chorobę pomaga ci ta książka? - spytał żartem.

- Myślałem o tym, co mi powiedział pułkownik - wyjaśnił Nugget. Jedną rękę położył na księdze z takim nabożeństwem, jakby był duchownym i chronił swą Biblię. - Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy zapisał się do wieczorowej szkoły i zdobył maturę. A potem będę mógł pójść na uniwersytet i studiować medycynę.

- W ten sposób dojdiesz do czegoś w życiu. To dobrze, Nugget! Życzę ci dużo szczęścia! - powiedział Michael.

„Dlaczego muszę go lubić, choć chciałbym nienawidzić? - zastanawiał się Neil. - Ale tego właśnie nauczyła mnie wojna. To jest lekcja życia, jakiej chciał dla mnie ojciec. Zrozumiałem, że mając coś ważnego do zrobienia nie należy kierować się sercem. Dopiero po wykonaniu zadania można znowu zacząć powodować się uczuciem". - Gdy przyjdzie czas opuścić tę zieloną dżunglę, każdy z nas będzie musiał zdecydować, co zrobi ze swoim życiem - stwierdził. - Ciekaw jestem, jak będę wyglądał w garniturze. Nigdy dotąd niczego takiego nie nosiłem. - Powiedziawszy to czekał, jak zareaguje Matt.

Matt, drżąc z przejęcia, rzucił pytanie, którego na pewno nigdy nie miał zamiaru powiedzieć na głos, choć o niczym innym nie mógł ostatnio

224

myśleć: - Jak ja będę teraz zarabiał na życie? Jestem księgowym.

Księgowy musi widzieć... Z wojska nie dostanę renty inwalidzkiej, bo ich zdaniem moim oczom nic nie brakuje. O Boże, Neil, co ja zrobię?

Wszyscy ucichli i patrzyli na Neila. I jego, jak innych, głęboko wzruszył krzyk rozpaczyny Matta, ale przemógł litość, żeby osiągnąć cel, do którego zmierzał. „Nie będę teraz wchodził w szczegóły - pomyślał. - Wystarczy, że nakreśliłem plan działania. Zobaczą, czy moje posłanie dotrze do

Michaela". - Stanowczym ruchem położył rękę na ramieniu Matta.

- O nic się nie martw, Matt! Ja już zadbam o to, żebyś dobrze wylądował. Pozwól, bym mógł to wnieść jako swój udział do naszego paktu.

- Nigdy w życiu nie korzystałem z dobroczynności i nie mam zamiaru teraz tego robić - zapewnił Matt dumnie się prostując.

- To nie jest dobroczynność - upierał się Neil. - Przecież zawarliśmy pakt, więc niech to będzie mój wkład. - Mówiąc to patrzył nie na Matta, ale na Michaela.

- Dobrze, w porządku! - odezwał się Michael, który od razu zrozumiał, czego się od niego żąda. Poczł nawet ulgę, że go o to poproszono, a więc nie będzie musiał sam zaoferować swego wkładu. Już od jakiegoś czasu wiedział, że nie ma innego rozwiązania. Ale nie pragnął tego i dlatego nie czuł się na siłach z tym wystąpić jako pierwszy. - Zgadza się - zwrócił się do Neila

- aby to był twój udział. - Przeniósł wzrok z poważnej, stanowczej twarzy Neila na Matta i spojrzał na niego z wielką sympatią. - To nie jest dobroczynność, Matt! To ci się sprawiedliwie należy - zapewnił.

Rozdział Trzydziesty Trzeci.

Siostra Langtry wygrała wyścig z deszczem. Zaczł padać, i to kaskadami, dopiero w momencie, gdy weszła w drzwi. Już po paru minutach z deszczu wyroilo się wszelkiego rodzaju robactwo. Zewsząd wylaziły moskity, pijawki, żaby, pająki uparcie unikające zamoczenia nóg, mrówki wędrujące czarnymi lepкими strugami, zmokłe ćmy i karaluchy. Ponieważ siostra miała w obu oknach ochronne siatki, więc nie musiała na co dzień opuszczać na łóżko moskitiery. Tej nocy jednak od razu uwolniła moskitierę z obręczy i opuściła ją do samego dołu.

Potem poszła do łaźni wziąć prysznic, otuliła się szlafrokiem, ułożyła obie okropnie cienkie poduszki wysoko na ścianie w głowach łóżka i położyła się, opierając o nie głowę. W ręku trzymała książkę, której nie miała siły otworzyć, choć daleko jej było do spania. Odchyliła głowę do tyłu i słuchała nieustannego, głuchego bicia deszczu o blaszany dach. Kiedyś uważała, że jest to najbardziej porywający, najcudowniejszy dźwięk na świecie. Ale to było dawno, w dzieciństwie, gdy mieszkała na wsi, a deszcz był życiodajnym zwiastunem urodzaju i dobrobytu. Tu jednak, w tym do przesady rozrzuconym klimacie, gdzie wszystko bez przerwy i rosło, i gniło, deszcz wszystko tłamsił. Ocalić przed nim można było tylko własne myśli. Nie słyszało się słów drugiego człowieka, chyba że krzyczał ci wprost do ucha. Jedyne dźwięki, które można było usłyszeć, to te, co grały w duszy.

Przerażające odkrycie, że mogła zadać ból komuś, kogo kocha, przestało ją już nękać. Został po nim tylko pewien niesmak wobec samej siebie. Pojawiła się natomiast potrzeba usprawiedliwienia się we własnych oczach. Czyż Michael nie wyrządził jej krzywdy, jakiej żaden mężczyzna nie powinien nigdy wyrządzić kobiecie? Czy nie miał perwersyjnej słabości do Lucjusza Daggetta? Ze wszystkich mężczyzn na świecie właśnie do niego! Jakież to bezowocny trud, nieustanne krążenie myślą wokół tej sprawy, zataczanie coraz ciaśniejszych okrążeń. To prowadziło donikąd. Miała już dość samej siebie, była zmęczona. I kim właściwie jest Michael Wilson? Nie umiała znaleźć odpowiedzi na te pytania, więc po co zawracać sobie nimi głowę.

Było jej duszno pod moskitierą, więc ją gwałtownie odrzuciła. Nie usłyszała słabego bzykania komara, który unosił się nad nią jak nurkujący bombowiec. Zresztą deszcz tak hałasował, że zagłuszyłby nawet huk prawdziwego bombowca. Pod moskitierą było za słabe światło, by czytać, ale teraz, kiedy ją odrzuciła, poczuła się lepiej i postanowiła, że trochę poczyta, a sen, miała nadzieję, sam nadejdzie.

Pijawka, klapnąwszy bezdźwięcznie, wypadła przez jakąś szparę w strzesze i wylądowała, kręcąc się obrzydliwie, na jej gołej nodze.

Wściekła, próbowała ją oderwać; samo dotknięcie przyprawiało ją o mdłości, ale w żaden sposób nie mogła ruszyć jej z miejsca. Skwapliwie zapaliła papierosa i nie bacząc, iż może się poparzyć, przytknęła rozżarzony koniuszek do śliskiego, czarnego, podobnego do sznurka ciała pijawki. To była duża, tropikalna pijawka, miała może około piętnastu centymetrów długości i Helen nie czuła się na siłach czekać, aż sama odpadnie. Bo to był długi

226

proces. Musiałaby patrzeć, jak pęcznieje karmiąc się jej krwią, by w końcu odpaść, gdy się nasyci, jak samolubny mężczyzna po akcie miłosnym.

Gdy pijawka była dostatecznie spieczona i spadła z jej nogi na ziemię, Helen rozgniotła ją butem na miazgę. Cała drżała, nie mogła się opanować. Czuła się zbezczeszczona i skalana, niczym jakaś wiktoriańska bohaterka. Cóż za ohydne, odrażające i straszliwe przeżycie. O Boże, to przez ten klimat, przez deszcz...

Teraz oczywiście miejsce, w które pijawka wbiła swoją ślepa, szukającą przyssawkę, będzie krwawiło i krwawiło. Pijawka nasączyła je bowiem wydzieliną hamującą krzepnięcie krwi. Trzeba natychmiast zająć się ranką,

inaczej w tym klimacie na pewno ulegnie owrzodzeniu.

Nieczęsto zdarzało się, by baza 15 dawała jej się we znaki w tak namacalny sposób, by tak dotkliwie odczuwała tutejsze trudności, izolację, konieczność analizowania siebie samej. Przykładając do rany jodynę i sterylne tampony myślała o tym, że ze wszystkich miejsc, w których dotąd była, ta baza wywarła na niej najmniejsze wrażenie. Zupełnie jakby to była ustawiona na scenie dekoracja, a nie coś namacalnego i prawdziwego; jak wywołujące klaustrofobię pudło sceny, na której wzajemnie na siebie oddziałują skomplikowane ludzkie emocje, pragnienia i żądze. To było logiczne. Nigdy chyba nie stworzono czegoś równie jałowego i ponurego. Nawet mokre brezentowe namioty przyfrontowych punktów opatrunkowych miały więcej osobowości niż ta baza, wzniesiona po to, by służyć wojnie. Umieszczono ją tam, gdzie dla potrzeb wojny było najwygodniej. Nie brano w ogóle pod uwagę odpowiedniego położenia, zadowolenia personelu czy dobra pacjentów. Nic więc dziwnego, że był to świat jak z tekturowej dekoracji.

Ułożywszy nogę na krześle, Helen patrzyła na spotniałe od wilgoci ściany upstrzone wielkimi plamami pleśni, na karaluchy wysuwające z każdej ciemnej szczeliny swoje anteny i niecierpliwie czekające na zgaszenie światła. Długo rozglądała się dokoła - jak ktoś, komu trudno uwierzyć, by coś takiego mogło się nawet przyśnić. I po raz pierwszy z radością pomyślała o wyjeździe. Jak to dobrze, że już wkrótce znowu znajdzie się w swoim domu...

Część Szósta.

Rozdział Trzydziesty Czwarty.

Następnego dnia siostra Langtry weszła do pokoju pielęgniarek około czwartej po południu. Czuła się już lepiej i miała wielką ochotę na filiżankę herbaty. Było tu pięć sióstr, które skupiły się w dwóch grupach, i siostra Dawkin, siedząca samotnie w jednym fotelu z nogami opartymi o drugi. Jej głowa stopniowo opadała coraz niżej i niżej na bujną pierś, aż obudził ją jeden gwałtowniejszy ruch. Już miała zamiar znowu zamknąć oczy, gdy spostrzegła stojącą w drzwiach Helen. Pomachała do niej ręką i przywołała do siebie.

Przechodząc przez pokój, aby przysiąść się do przyjaciółki, siostra Langtry poczuła nagle silny zawrót głowy. Przestraszyła się nie na żarty. Ostatnimi czasy źle spała i nie jadła jak należy, czuła więc, że jeśli się za siebie nie weźmie, może się rozchorować. Dzięki opiece nad pacjentami oddziału X i zapoznaniu się z ich problemami potrafiła określić swój stan psychiczny. Wiedziała, że to jest eskapizm, czyli ucieczka w chorobę. Ale wiedziała także, że jeśli to potrwa dłużej, będzie musiała się w końcu upokorzyć i zwrócić do siostry przełożonej o przeniesienie. A że jej duma nigdy by na to nie pozwoliła, więc Helen twardo sobie powiedziała, że odtąd będzie i spać, i jeść. Jeszcze tej nocy postanowiła wziąć nembutal, a nie brała go od dnia, gdy wydarzył się ten przykry incydent w kuchni.

- Siadaj, kochanie, wyglądasz na zmęczoną - zapraszała ją siostra Dawkin. Klepała zapraszająco fotel obok siebie, choć sama nie wstała.

-,Ty chyba też musisz być bardzo zmęczona, jeśli korzystasz z każdej chwili, żeby uciąć sobie drzemkę.

- Musiałam całą ubiegłą noc spędzić na oddziale, to wszystko!
- tłumaczyła się siostra Dawkin, zmieniając pozycję nóg. - Pewnie w oczach tamtych sióstr wyglądamy komicznie, jak Abbott i Costello
- dodała. - Ja, stare pudło, ty -jak dziewczyna z plakatu rekrutująca pielęgniarki do armii. Że też ta kretynka ośmieliła się sugerować, że mogłaś mieć jakieś ukryte motywy... Tak jakbyś ty się mogła zniżyć do jakiejś wulgarnej sytuacji lub fałszywego kroku.

Siostra Langtry skrzywiła się na wzmiankę o siostrze przełożonej. Sądziła, że przełożona będzie miała na tyle zdrowego rozsądku, żeby trzymać język za zębami. Tymczasem ta głupia baba wypaplała wszystko swojej najlepszej przyjaciółce, ta z kolei swojej i tak to się rozeszło. Wkrótce

230

cały personel pielęgniarski (a to znaczyło, że także lekarze) wiedział już, że siostra Langtry, „właśnie ona, któż by się spodziewał”, przez całą noc miała żołnierza w swojej kwaterze. Na szczęście siostra Langtry miała tak dobrą opinię, że tylko nieliczni dopatrywali się w jej postępowaniu wobec tego żołnierza czegoś więcej niż tylko zrozumiałej troski o zapewnienie mu bezpieczeństwa w nagłej potrzebie. I oczywiście szpital huczał o harakiiri Lucjusza. Co prawda, trudno się spodziewać, żeby taki dramat nie stał się przedmiotem plotek.

„Gdyby one wiedziały... - myślała siostra Langtry, czując na sobie spojrzenia koleżanek - gdyby one wiedziały, jakie mam kłopoty: homoseksualizm, morderstwo, odtrącenie... Dobrze, że chociaż morderstwo zostało wykluczone i nie muszę się już tym przejmować”. Łagodnie, trochę wyblakłe oczy siostry Dawkin mogłyby uchodzić za pospolite, gdyby nie ich otwarte spojrzenie. Teraz spoglądały na siostrę

Langtry tak przenikliwie, że westchnęła i lekko się poruszyła, ale nic nie powiedziała.

Siostra Dawkin spróbowała z innej beczki: - Czy wiesz, moja droga, że już w przyszłym tygodniu wracamy do kochanej starej Australii i do cywila?

Siostra Langtry nie trafiła filiżanką na spodek i rozlała herbatę na stół. - A niech to! Popatrz, co ja tu narobiłam! - zawołała, sięgając do koszyka po chustkę.

- Żal ci, że to już koniec? - spytała siostra Dawkin.

- Nie, po prostu mnie zaskoczyłaś. - Wytarła stół chusteczką i wyżeła ją do swojej filiżanki. - Jak się dowiedziałaś, Sally?

- Powiedziała mi o tym przed kilkoma minutami sama siostra przełożona. Wkroczyła tu majestatycznie, jak okręt wojenny w pełnym ożaglowaniu, i wycedziła mi tę nowinę przez zasznurowane usta, jakby przez cały tydzień nie jadła nic prócz ałunu... Była bardzo przejęta. Będzie chyba musiała wrócić do tego małego, marnego domu dla rekonwalescentów, który prowadziła przed wojną. Jestem przekonana, że żaden wielki szpital, a nawet żaden z okręgowych szpitali jej nie zechce. Nie rozumiem, jak ona w ogóle mogła zająć tak wysoko w armii.

- Ja też tego nie rozumiem - wyznała siostra Langtry, rozkładając chusteczkę na rogu stołu, by szybciej wyschła. Wzięła świeżą filiżankę ze spodkiem i naląa sobie jeszcze herbaty. - Masz rację: żaden przyzwoity szpital nie zechce mieć z nią nic do czynienia. Zawsze mi bardziej przypominała brygadzystkę z nocnej zmiany w dużych zakładach

231

spożywczych. Oczywiście, jeśli armia zechce ją dalej trzymać, to na pewno zostanie w wojsku. I więcej płaca, i emerytura lepsza, a jej już

chyba nie brakuje dużo do wieku emerytalnego.

- Ha! Jeśli wojsko ją zechce zatrzymać, to będzie miała więcej szczęścia, niż na to zasługuje. - Siostra Dawkin sięgnęła po czajnik z herbatą i też naląła sobie do pełna. - Jeśli o mnie chodzi, to muszę przyznać, że będę z żalem wracała do domu. Mimo że nienawidzę tego miejsca i nie znosiłam placówek, na które mnie armia wysyłała, to jednak bardzo kochałam swoją pracę i nade wszystko ceniłam niezależność, jaką miałyśmy w wojsku.

- Tak, niezależność to właściwe słowo. Ja też ją kochałam. Czy pamiętasz ten okres w Nowej Gwinei, gdy nie było nikogo, kto mógłby operować rannych - tylko ty i ja. Nie zapomnę tego, póki będę żyła.

- I świetnieśmy sobie poradziły... - siostra Dawkin uśmiechała się, prostując się z dumą. - Wylatałyśmy tych chłopców tak, jakbyśmy należały do Królewskiego Kolegium Chirurgów, a szef zarekomendował nas do odznaczenia. Nigdy nie będę nosiła żadnej wstążki z większą dumą niż mój Order Brytyjskiego Imperium.

- I ja żałuję, że to już koniec... - powiedziała siostra Langtry. - Robi mi się słabo na myśl o przejściu do cywila. Już widzę ten rząd basenów i wiecznie jęczące i narzekające pacjentki w łózkach. Przy moim szczęściu na pewno wyląduję na ginekologii albo na położnictwie. Z mężczyznami jest jednak o wiele łatwiej...

- Masz rację! Nigdy nie miałam pacjentki, która by mi pomogła w trudnej chwili - na przykład kiedy nagle zabraknie personelu. Raczej by umarła... Gdy kobieta znajdzie się w szpitalu, to oczekuje, że będziemy koło niej skakać i zgadywać życzenia. A mężczyzna zdejmuje aureolę, chowa ją do kieszeni i stara się nas przekonać, że nawet najlepsza żona nigdy nie dorówna pielęgniarce.

- Co będziesz robiła w cywilu, Sally?
- Zacznę od tego, że sobie wezmę mały urlop i poodwiedzam przyjaciół. A potem wrócę do North Shore. Wiesz, ja kończyłam szkołę pielęgniarstwa w Royal Newcastle, a kurs położniczy odbyłam w szpitalu na Crown Street. Najdłużej jednak pracowałam w North Shore i ten szpital uważam teraz nieomal za swój dom. Siostra przełożona powinna być zadowolona, że wróciłam. Być może tylko ona... Musisz wiedzieć, że staram się o stanowisko zastępczyni przełożonej i na to się najbardziej cieszę.

232

- Moja przełożona też będzie zadowolona, gdy wrócę - stwierdziła z pewnym roztargnieniem siostra Langtry.
- W K. A.? - spytała siostra Dawkin, używając przyjętego wśród pielęgniarek skrótu, który, rozszyfrowany, brzmi: Królewski Szpital imienia Księcia Alfreda.
- Tak, właśnie tam.
- Nigdy nie lubiłam wielkich szpitali, jeśli o to chodzi...
- Właściwie wcale się jeszcze nie zdecydowałam, czy chcę tam wrócić. Zastanawiam się, czyby się nie przenieść do Callan Park. Ponieważ Callan Park był znanym szpitalem psychiatrycznym, siostra Dawkin na moment zaniemówiła i rzuciła Helen przenikliwe spojrzenie. - Mówisz poważnie, Helen?
- Najpoważniej!
- A czy zdajesz sobie sprawę, że pielęgniarki w szpitalach dla psychicznie chorych mają u nas znacznie gorszy status zawodowy? Mówiąc dosadniej, te pielęgniarki nie są zbyt cenione.
- Mam dyplom z ogólnego pielęgniarstwa i świadectwo ukończenia kursu

położniczego; więc w razie czego zawsze będę mogła wrócić, do pracy w normalnym szpitalu. Chyba dlatego, że przebywałam jakiś czas na oddziale X, chciałabym teraz popracować z chorymi psychicznie.

- Ależ Helen, te szpitale w niczym nie przypominają oddziału X.

Tropikalna psychoza jest stanem przejściowym i większość żołnierzy wychodzi z tego. Ale kiedy pacjent wchodzi w bramę szpitala dla psychicznie chorych, to tak jakby otrzymał dożywocie.

- Wiem! Ale to się może zmienić. W każdym razie chcę w to wierzyć.

Wojna ogromnie pomogła w rozwoju chirurgii plastycznej. Coś podobnego może się zdarzyć i w psychiatrii. Chciałabym mieć w tym swój udział.

Siostra Dawkin pogłaskała Helen po rękę. - Dobrze, kotku, ty najlepiej wiesz, co ci odpowiada. Nigdy nie byłam dobra w prawieniu kazań. Tylko pamiętaj, że o pielęgniarce pracujących z psychicznie chorymi mówi się, iż w końcu stają się bardziej zwariowane niż ich pacjenci.

W tym momencie w drzwiach stanęła siostra Pedder. Rozglądała się po sali: zastanawiała się, w której grupie będzie dobrze widziana. Szeroko uśmiechnęła się na widok siostry Dawkin i z lodowatą miną kiwnęła głową siostrze Langtry.

- Czy słyszałaś najświeższe nowiny, mała? - zagadnęła ją siostra Dawkin, trochę dotknięta nieuprzejmością młodej siostry. Chcąc być

233

w zgodzie z zasadami dobrego wychowania, siostra Pedder podeszła do stolika, ale miała taką minę, jakby jej coś śmierdziało pod nosem.

- Nic nie wiem. Jakie nowiny? - spytała.

- Jeszcze trochę, a będziemy już należały do przeszłości, moja droga.

Twarz dziewczyny ożywiła się. - Chcesz powiedzieć, że wracamy do

domu?

- Tak! To już koniec pieśni...

W oczach siostry Pedder pojawiły się łzy. Skrzywiła się ni to do płaczu, ni to do śmiechu. - Ach, Bogu dzięki!

- To rozumiem! Nareszcie ktoś zareagował prawidłowo. Od razu poznać, z kogo stary wojak, z kogo nie... - rzuciła przed siebie siostra Dawkin, do nikogo szczególnie się nie zwracając.

Siostra Pedder na dobre się teraz rozplakała. Wycierając łzy, zdołała wyartykułować pomiędzy szlochami: - Nie wiem, jak spojrzę w oczy jego biednej matce... - Powiedziała to tak głośno i dobitnie, że wszystkie głowy w pokoju zwróciły się w jej stronę.

- Przestań płakać! - krzyknęła oburzona siostra Dawkin. - Wydorosłej, na miłość boską! Jeśli czegoś nie mogę ścierpieć, to krokodylich łez. Jakim prawem osądzasz starszych rangą?

Siostra Langtry skoczyła na równe nogi. - Daj spokój, Sally! Proszę cię... Ona jest w porządku, naprawdę!

Wszystkie obecne na sali pielęgniarki przestały udawać, że się tą sprawą nie interesują. Te, które siedziały plecami do stolika zajmowanego przez siostrę Langtry, demonstracyjnie przesunęły swoje fotele tak, by mieć lepszy widok. I nie wynikało to z żadnej złośliwości. Po prostu chciały zobaczyć, jak sobie Sally Dawkin poradzi z tym pewnym siebie młodym potworem, jakim była w ich oczach siostra Pedder.

- Trzymałaś sierżanta Wilsona całą noc na swojej kwaterze, żeby go niby uspokajać po szoku... - mówiła szlochając siostra Pedder. Po chwili wyjęła chusteczkę do nosa i rozryczała się na całego. - Twoje szczęście, że w pobliżu już nikogo nie było. Ale ja i tak wiem, co zaszło między tobą a

sierżantem Wilsonem: Lucjusz mi powiedział!

- Zamknij się, gówniaro! - krzyczała siostra Dawkin, zbyt wściekła, by pamiętać o manierach.

- Ona jest w porządku, Sally! - uspokajała ją siostra Langtry.

- Nie, do cholery! Nie jest w porządku! - krzyczała siostra Dawkin

234

głosem, który u praktykantek zawsze wywoływał dreszcz zgrozy. - Nie zniosę jej gadania. Nie waż się szerzyć takich insynuacji. Powinnaś się wstydić. To nie siostra Langtry zadurzyła się po czubki włosów w żołnierzu niższej rangi, ale ty.

- Jak śmiesz? - parsknęła siostra Pedder.

- Owszem, śmiem, i przychodzi mi to cholernie łatwo - stwierdziła gładko siostra Dawkin. Mimo złej postury i zniekształconych stóp zawsze potrafiła zapewnić sobie szacunek należny pielęgniarce starszej rangą.

- Zapamiętaj, co ci powiem, moja panno: za kilka tygodni wszystko będzie wyglądało zupełnie inaczej. W cywilu nie będziesz niczym więcej jak tylko małym kamyczkiem na wielkiej plaży. I ostrzegam cię, nie waż się zabiegać o pracę w szpitalu, w którym ja będę. Nie chciałabym cię mieć wśród personelu nawet w charakterze salowej. Kłopot z wami, młodymi, polega na tym, że wkładacie zgrabny oficerski mundurek i od razu przewraca wam się w głowie...

Tę tyradę przerwał straszliwy krzyk, który wyrwał się nagle z piersi siostry Langtry. Było w nim tyle rozpacz, że siostry Dawkin i Pedder od razu zapomniały o swojej kłótni. Helen opadła na kanapkę i zaczęła płakać. Ale nie był to cichy, nerwowy szloch siostry Pedder, ale potężne, rozdzierające łkanie bez łez, które wstrząsało nią falami. Siostrze Dawkin wydało się

niemal konwulsją.

Ach, co za ulga! Napięta atmosfera, współczucie siostry Dawkin i niechęć siostry Pedder, to wszystko spowodowało, że przebrała się miara i siostrze Langtry nareszcie udało się wyrzucić z siebie ten straszliwy, ściskający gardło ból, który narastał w niej i trawił ją od wielu dni.

- Widzisz, do czego doprowadziłaś? - warknęła siostra Dawkin, podnosząc się ociężale z fotela i siadając obok siostry Langtry. - Teraz się wynoś! - powiedziała do siostry Pedder. - Już cię nie ma! Zmykaj!

- Sue Pedder uciekła przerażona, a pozostałe pielęgniarki skupiły się wokół powszechnie lubianej Helen.

Siostra Dawkin spojrzała po nich, potrząsnęła głową, a potem pochyliła się nad Helen i bardzo łagodnie zaczęła głaskać jej rozdygotane i wstrząsane łkaniem plecy.

- No, już! Już wszystko dobrze!... - szeptała cicho. - Wypłaczesz się i dobrze ci to zrobi, kochanie. Najwyższy czas, żebyś to wyrzuciła z siebie... Moja ty biedulko: tyle zmartwienia i bólu... Ja wiem, ja wiem, ja wiem...

235

A siostra Langtry płakała, płakała i płakała... Nawet nie bardzo zdawała sobie sprawę, że siostra Dawkin siedzi obok niej i tak serdecznie do niej przemawia ani że otaczają ją inne pełne współczucia koleżanki.

Rozdział Trzydziesty Piąty.

Ordynans, który przyniósł na oddział X wiadomość o mającej lada dzień nastąpić likwidacji bazy 15, przekazał ją Michaelowi w kuchni. Uśmiechał się przy tym od ucha do ucha i coś tam plótł bez związku, że znowu zobaczy swój dom i że go już nigdy nie opuści.

Gdy ordynans się oddalił, Michael nie poszedł z tą nowiną od razu do

kolegów na werandę, ale stał jeszcze przez jakiś czas pośrodku kuchni • i rozmyślał. „To się stało za szybko, zdecydowanie za szybko - powtarzał sobie trochę otepiał. - Nie jestem jeszcze całkiem gotów. Ciagle się jeszcze boję. Nie że jestem przygnębiony albo że brak mi dobrej woli, po prostu boję się tego, co przyszłość kryje dla mnie w zanadrzu, co ze mną dalej będzie. Choć z drugiej strony wiem, że to się musi stać, i mam w sobie dość siły, by się tego podjąć. To najlepsze wyjście dla wszystkich; także dla mnie i dla niej".

- Za tydzień o tej porze będziemy już wszyscy w drodze powrotnej do Australii - poinformował kolegów wszedłszy na werandę. Przywitali tę wiadomość głuchą ciszą.

Nugget pólleżał na najbliższym łóżku, trzymając przed sobą podręcznik medyczny Besta i Taylora, który wycygał od pułkownika „Ważnego”. Była to ogromna księga i trzymanie jej w pozycji pionowej wymagało nie lada siły. Usłyszawszy nowinę, opuścił książkę nieco niżej i patrzył na Michaela. Długie dłonie Matta zacisnęły się w pięści, a rysy twarzy zastygły w bezruchu. Neil, zajęty akurat rysowaniem, i to właśnie rąk Matta, rzucił ołówek na leżącą przed nim kartkę papieru; wyglądał, jakby nagle postarzał się o dziesięć lat. Tylko Ben huśtał się na krześle i nie okazał żadnego zainteresowania nowiną.

Na ustach Nuggeta powoli pojawił się uśmiech: - Do domu? - rzekł, jakby ucząc się tego słowa. - Do domu? Znowu zobaczę mamę!

236

Twarz Matta pozostała napięta. Michael domyślił się, że Matt lęka się spotkania z żoną.

- Wszystko do dupy! - zawołał Neil, gdy podniósłszy ołówek stwierdził, że spokojny układ pięknych rąk Matta został zburzony. Odłożył ołówek,

wstał, przeszedł na koniec werandy i stanął tam, odwrócony plecami do wszystkich. - Wszystko do dupy! - powtórzył z goryczą w głosie palmom rosnącym przed domem.

- Ben! - krzyknął ostro Michael. - Ben, słyszysz? Pora jechać do domu! Wracamy do Australii. - Ale Ben nadal się kołysał; krzesło niebezpiecznie trzeszczało, a on miał oczy zamknięte i nieodgadzioną twarz. - Pójdę do niej i wyznam jej prawdę - odezwał się nagle Michael mocnym głosem. Powiedział to do każdego z osobna i do wszystkich razem, ale patrzył tylko na Neila.

Neil się nie odwrócił, lecz jego długie, wąskie, kształtne plecy zmieniły wygląd. Nie były już zgarbione, zmęczone i bezsilne. Wyglądały teraz jak plecy silnego i agresywnie usposobionego mężczyzny.

- Nie, Mike, nie powiesz jej! - sprzeciwił się Neil.

- Muszę! - odparł twardo Michael. Nie patrzył na Matta, Nuggeta ani Bena, chociaż obaj, Matt i Nugget, przysłuchiwali się z napięciem rozmowie.

- Nic jej nie powiesz, Mike. Ani słowa. Nie masz prawa nic na ten temat powiedzieć bez naszej zgody, a my ci jej nie dajemy.

- Muszę jej to powiedzieć i powiem. Cóż to ma teraz za znaczenie? Nawet jeśli się dowie, to i tak niczego nie zmieni. Przecież podjęliśmy tę decyzję wspólnie i w konkretnej sytuacji. - Położył rękę na plecach Bena, jakby go denerwowały jego ruchy, i Benedykt natychmiast przestał się kołysać. - Wziąłem na siebie największą część odpowiedzialności, ponieważ nikt inny nie mógł tego zrobić i ponieważ moja wina jest większa niż czyjakolwiek. Ale nie mam zamiaru cierpieć w milczeniu. Po prostu nie jestem aż takim bohaterem. Wiem, że nie jestem jedynym, który ucierpiał,

ale czuję, że muszę jej to powiedzieć.

- Nie możesz jej powiedzieć - upierał się Neil. - Jeśli to zrobisz, to Bóg mi świadkiem, że cię zabiję. Czy nie rozumiesz, że to jest niebezpieczne?

Michael nie zgrywał się na odważnego, jak by to pewnie robił Lucjusz, ale na jego twarzy nie było cienia lęku. - Nie miałyby sensu zabijać mnie i dobrze o tym wiesz, Neil. Dość już było zabijania...

Usłyszeli ciche kroki siostry Langtry i zmartwieli.

237

Weszła na werandę, stanęła i przez chwilę, nieco zaskoczona, lustrowała ich wzrokiem. Zastanowiło ją, że najwyraźniej w czymś im przeszkodziła swoim wejściem. Jeśli ktoś ją uprzedził, przynosząc wcześniej wiadomość o likwidacji bazy, to dlaczego miałyby to sprowokować kłótnię?

- Ten chód... - odezwał się nagle Matt, przerywając ciszę. - Ten wspaniały chód... To jest jedyny chód kobiecy, jaki znam. Wtedy, gdy widziałem, nigdy nie słuchałem, jak kto chodzi. Gdyby moja żona weszła tu teraz, nie byłbym w stanie rozpoznać jej po chodzie.

- Nie jestem jedyną kobietą, której chód znasz, Matt - sprostowała siostra Langtry. Podeszła blisko i stanąwszy za nim położyła mu dłonie na ramionach. Matt zamknął swoje niewidzące oczy i pochylając się odrobinę do tyłu oparł się o nią lekko, ale tak, by nie mogła poczuć się tym urażona.

- Przecież co najmniej raz na tydzień słyszysz kroki siostry przełożonej - wyjaśniła.

- Ach, te kroki... - uśmiechnął się. - Siostra przełożona stapa głośno jak Z W A P. To, co wychodzi spod jej stóp, to nie jest odgłos kobiecego chodu, siostrzyczko.

- Jak Z W A P? - spytała, nie bardzo wiedząc, co ma powiedzieć.

- To jest skrót od Za Wysoko Awansowany Podoficer! - odparł Matt. Wybuchnęła śmiechem. Mocno trzymając go za ramiona, śmiała się z dowcipu, który równie dobrze mógł być jej autorstwa. Śmiała się żywiołowo, pełną piersią. - Ach, Matt, nawet nie wiesz, jak bardzo prawdziwe jest to określenie - powiedziała, gdy wreszcie mogła przemówić.

- Ale się siostra Dawkin uśmieje, gdy jej to powiem. Nigdy ci tego nie zapomni.

- Siostrzyczko, czy to nie wspaniała wiadomość? - zawołał Nugget ze swego łóżka, zapomniawszy o książce Besta i Taylora. - Wracam do domu i już wkrótce zobaczę mamę.

- Tak, to na pewno jest dobra wiadomość, Nugget.

Neil nadal stał odwrócony tyłem. Siostra Langtry pochyliła się nad jego rysunkiem, a potem wyprostowała się, puściła ramiona Matta i odsunęła się od niego o parę kroków. Wreszcie udało jej się spojrzeć na Michaela, który wciąż trzymał dłoń na plecach Bena, jakby parodiował jej gest wobec Matta. Ich oczy spotkały się. Oboje byli uodpornieni na ból i oboje myśleli o ważnych sprawach, jakie stały przed nimi; patrzyli na siebie jak obcy ludzie, grzecznie, lecz bez zaangażowania.

Helen odwróciła się i opuściła werandę.

238

Niedługo potem zjawił się w jej biurze Neil. Wszedłszy, zatrzasnął za sobą drzwi, jakby chciał tym gestem zastąpić tabliczkę z napisem: „Proszę nie przeszkadzać”. Wpatrywał się ponuro w jej twarz i zwrócił uwagę na podpuchnięte oczy: - Płakałaś?

- Jak wodospad - przyznała się bez żenady. - Strasznie się wygłupiłam, i

to na samym środku pokoju pielęgniarek. Nie myśl też, że byłam tam sama. Nic podobnego. Miałam wcale pokazne audytorium. To była pewnie spóźniona reakcja... Ta młoda siostra z miasteczka, z którego pochodził Lucjusz, wiesz, ta córka dyrektora banku, zjawiła się w nieodpowiednim momencie i zarzuciła mi, że to ja jestem winna śmierci Lucjusza. To z kolei oburzyło siostrę Dawkin z oddziału D, która jest moją przyjaciółką, zaczęły się kłócić, a ja nagle rozbeczałam się jak nigdy. Śmieszne, co?

- Czy to, o czym opowiadasz, naprawdę się zdarzyło?

- A co, sądzisz, że mogłabym wymyślić taką historię? - Teraz jej głos bardziej przypominał dawne brzmienie, był znowu łagodny i spokojny.

- Czy poczułaś się lepiej po tym płaczu? - spytał, podając jej papierosa.

Zaśmiała się. - Gdzieś głęboko w duszy na pewno tak. Ale jeśli chodzi o stronę fizyczną, to czuję się okropnie. Jak coś, co kot przywlókł do domu. Jak rozkręcona sprężyna... jakbym straciła całą siłę napędową...

- To bardzo skomplikowana metafora - powiedział łagodnie. Zamyśliła się. - Właściwie wszystko zależy od tego, co ten kot przywlókł. Może to była nakręcana mysz. Czuję się właśnie jak nakręcony automat.

- Wiesz co, siostrzyczko? Niech będzie po twojemu. Wolę nie wałkować tego tematu ani cię, to musi być bolesne...

- Doceniam to i jestem ci bardzo wdzięczna.

- Za tydzień i tak się wszystko skończy - dodał.

- Tak! Podejrzewam, że oni chcą się nas wszystkich pozbyć, zanim zacznie się pora monsunu.

- Czy po zwolnieniu z wojska wracasz do Australii?

- Tak!

- A co zamierzasz tam robić, jeśli wolno spytać?
- Będę pracowała jako pielęgniarka w Callan Park. Ale ty jesteś z Melbourne, więc może nie wiesz, że Callan Park to wielki szpital dla psychicznie chorych w Sydney.

Ta wiadomość go zaszokowała, ale wiedział, że ona mówi poważnie.

239

- O Boże, przecież ciebie na to szkoda.
- Wcale nie. To jest pożyteczna i potrzebna praca, a ja czuję, że muszę w dalszym ciągu robić coś pożytecznego. Mam na szczęście rodzinę, która posiada wystarczające środki, by mi zapewnić byt, gdy będę stara i niezdolna do pracy. Mogę więc robić ze swoim życiem to, na co mam ochotę. - Uniosła przekrwione powieki i patrzyła na niego zimnymi oczami. - A ty, Neil, co zamierzasz robić?

Skoro tak, to znaczy, że dla niej Neil Parkinson już zszedł ze sceny. Jej głos, wygląd, zachowanie, wszystko mówiło mu, że przy niej nie ma dla niego miejsca po wojnie.

- Ach, ja wyjeżdżam do Melbourne - odparł beztrąsko. - Tak naprawdę, to chciałbym wrócić na Peloponez. Mam domek koło Pylos. Niestety, moi rodzice, szczególnie ojciec, starzeją się, a i ja też nie młodnieję. Sądzę więc, że osiadę raczej w Melbourne niż w Grecji. Poza tym na Peloponezie powróciłbym do malarstwa, a ja jestem tylko dobrym rzemieślnikiem, nie artystą. Kiedyś mnie to bolało, ale teraz, o dziwo, już nie boli. Nawet przestało być ważne. Wiele się nauczyłem w ciągu ostatnich sześciu lat, a oddział X był pięknym uwieńczeniem tej edukacji. Obecnie znam już hierarchię ważności. Zamierzam pomagać w pracy memu ojcu. A skoro mam pójść w jego ślady, muszę się wciągnąć w prowadzenie naszego

familijnego interesu.

- Będziesz miał sporo obowiązków?

- Tak, na pewno. - Wstał. - Nie gniewaj się, ale już pójdę. Jeśli to prawda, że wkrótce się stąd wyprowadzamy, to muszę się zabrać do pakowania. Patrzyła, jak się zamykają za nim drzwi, i pomyślała, że Michael mimo wszystko się jej przysłużył. Dzięki niemu zrozumiała, jak ogromna jest różnica między sympatią a miłością. Teraz wie, że bardzo lubiła Neila, ale na pewno go nie kochała. Wierny, spolegliwy, szczery, szarmancki, dobrze wychowany Neil umiał zrezygnować ze swego miejsca w jej życiu. Jest świetnym kandydatem na męża, jest przystojny i ma mnóstwo zalet towarzyskich. To nierozsądne, że wołała Michaela. Najbardziej ceniła w Michaelu opanowanie i tę emanującą z niego pewność, że nikt nigdy nie potrafi go zawrócić z raz obranej drogi. Może i był zbyt enigmatyczny, ale to, że go dobrze nie znała, nie przeszkadzało jej go kochać. Kochała w nim siłę. U Neila zaś raziła ją gotowość podporządkowania własnych pragnień temu, czego ona sobie życzyła.

240

To dziwne, ale Neil wydał jej się ostatnio znacznie spokojniejszy. Przecież musiał wiedzieć, że ona nie widzi żadnej szansy na ich wspólną przyszłość po wojnie. Z ulgą stwierdziła, że go to nie załamało. Nie sprawiał wrażenia, że czuje się odrzucony. Świadomość, że go rani, żyła w niej cały czas, od chwili tego incydentu w kuchni. Tyle jednak innych rzeczy wydarzyło się wówczas, że nie myślała o tym, co czuje Neil. A teraz, gdy przyszedł czas na poczucie winy, okazało się, że nie ma ku temu powodu. Neil lubił ją jak dawniej i dał dzisiaj dowód, i nie było w nim ani śladu goryczy czy bólu: to była wielka ulga. W momencie gdy chciała okazać

zał, iż go zraniła, przekonał ją, że bez względu na to, jak się wobec niego zachowała - jest cały i zdrowy. To był jej pierwszy dobry dzień od tygodni.
Rozdział Trzydziesty Szósty.

Mieszkańcy bazy numer 15 przeżywali teraz dziwny okres. Gdy ktoś przebywa miesiące czy lata w jednym miejscu, a potem przygotowuje się do opuszczenia go, ma wtedy zwykle mnóstwo spraw na głowie: musi się zatroszczyć o wszystko, co posiada, od ulubionych zwierząt do samochodów. Pośpieszna likwidacja bazy 15 wyglądała jednak inaczej. Już przedtem, a zwłaszcza w ostatnich miesiącach, systematycznie redukowano liczbę jej mieszkańców. Pozostał jedynie sam trzon, który należało teraz ewakuować szybko i sprawnie. Ani personel bazy, ani jej pacjenci nie byli obarczeni bagażami, ponieważ w gruncie rzeczy tutaj nie było co gromadzić. W okolicy nie można było nabyć ciekawych wyrobów rękodzieła, rzeźbionych mebli ani niczego, co zbierali kolekcjonerzy na innych terenach, gdzie toczyła się wojna: w Europie, w Indiach, na Bliskim Wschodzie czy w Afryce Północnej. Jeśli nawet siostry otrzymywały od pacjentów skromne prezenty, to były one najczęściej własnej roboty. Odjeżdżając stąd, mieszkańcy bazy nie mieli do załadowania na statek więcej niż to, co tu ze sobą przywieźli.

Wyznaczono termin, w którym należało być gotowym do drogi. To nie stanowiło dla zdyscyplinowanego i fachowego personelu bazy żadnej
241

trudności. Wiadomo: personel przychodzi i odchodzi, a baza zostaje; nikt nie oczekiwał, że tu będzie inaczej. Termin był jedynie ostrzegawczym dzwonkiem, na którego dźwięk każdy miał być gotów do natychmiastowej ewakuacji.

Siostra przełożona ciągle się awanturowała o byle co i nawoływała swoje pielęgniarki jak kwoka pisklęta. Moskitiery przestały już być dla niej ważne. Ich miejsce zajęły plany i rozkłady jazdy, które wszędzie ze sobą nosiła i omawiała podczas nie kończących się zebrań z siostrami. One zaś, gdyby mogły, z radością by ją udusiły, bo w te ostatnie dni jak najwięcej czasu chciały spędzać ze swymi pacjentami.

Oddział X leżał daleko od głównych obiektów działań ewakuacyjnych. Zajmował mały pawilon na końcu terenu przyszpitalnego i liczył zaledwie pięciu pacjentów oraz jedną pielęgniarkę. A i tak ta mała grupka ludzi przeżywała w tych dniach więcej smutków niż radości. Rozmowa rwała się. Gdy atmosfera stawała się nie do zniesienia, zmuszali się do sztucznej wesołości.

Siostra Langtry bywała często nieobecna. Choć nie miała na to wcale ochoty, musiała uczestniczyć w różnych powołanych przez siostrę przełożoną podkomisjach, które zajmowały się organizacją ewakuacji. Natomiast jej pacjenci chodzili teraz codziennie na plażę. Mogli to robić bez przeszkód, bo przestały obowiązywać wszelkie ograniczające zarządzenia.

Siostra była rozżalona, że jej pacjenci, gdzie tylko mogli, radzili sobie bez niej - nawet gdy miała czas i chętnie by go z nimi spędziła. Czuła, że Neil już jej wszystko wybaczył, ale pozostali nie. Zauważyła też, że nastąpiła wśród nich pewna polaryzacja. Nugget odseparował się od kolegów.

Przepełniała go teraz nadzieja i radosny optymizm: cieszył się na spotkanie z matką i wierzył, że jego życie w cywilu zaowocuje karierą lekarza. Bóle, na które się przedtem uskarżał, teraz prawie zniknęły. Neil i Matt stanowili nierozłączną parę. Helen wiedziała, że Matt szuka w Neilu

oparcia, by móc zrzucić z siebie ciężar myślenia o licznych problemach, które go czekają w domu. W tej sytuacji Michaelowi pozostało już tylko skoncentrować się na Benie, co zresztą robił i przedtem. Ci dwaj też byli nierozłączni.

Siostra wiedziała, że Ben jest w złej formie, ale nie mogła na to nic poradzić. Rozmawiała o nim z pułkownikiem „Ważnym”, ale, jak się spodziewała, to nic nie dało. Pułkownik zadeklarował natomiast pomoc w załatwieniu Mattowi wojskowej renty - i to pomimo wzmianki

242

o historii w karcie chorego. Gdy jednak prosiła pułkownika, aby rozważył wysłanie Bena na dalsze badania do odpowiedniej jednostki psychiatrycznej, ten stanowczo odmówił. Powiedział jej, że skoro opiera swoje podejrzenia jedynie na zauważonych u sierżanta Maynarda objawach lekkiego niepokoju, to niech się nie spodziewa, że podejmie jakieś działania. Zbadał sierżanta i nie stwierdził pogorszenia. Jak więc miała wytłumaczyć temu skądinąd kompetentnemu neurologowi, który jednak zupełnie nie interesował się zaburzeniami psychicznymi nie mającymi przyczyn organicznych, że Ben Maynard wymyka się jej z rąk. Nie była pewna, czy w ogóle ktoś umiałby sobie z takim przypadkiem poradzić. Ben nigdy nie był łatwym pacjentem, bo miał tendencje do zamykania się w sobie. Martwiła się, że gdy utraci on poczucie bezpieczeństwa, jakie mu zapewnia oddział X, to na dobre pograży się w czeluściach samotności: Dlatego tak bardzo cieszyło ją przywiązanie, jakie mu okazywał Michael. Odniósł on bowiem więcej sukcesów w postępowaniu z Benem niż ktokolwiek inny, nie wyłączając jej samej. Gdy obserwując swoich pacjentów, siostra zauważyła, że - lepiej lub

gorzej - umięją już sobie radzić bez niej, zaczęła inaczej oceniać sytuację. Doszła do wniosku, że po śmierci Lucjusza zbyt emocjonalnie interpretowała ich zachowanie. Zrewidowała także ocenę własnych zachowań i stwierdziła, że wybuch płaczu w pokoju pielęgniarek wyszedł jej na dobre. Chociaż nie byli tego w pełni świadomi, mieszkańcy oddziału X rozluźnili łączące ich do tej pory związki. Wraz z likwidacją bazy 15 rodzina, jaką stanowił swego czasu oddział X, rozpadła się. A ona sama, grająca w tej rodzinie rolę matki, poczuła się obecnie bardziej poszkodowana niż jej pacjenci. To dziwne: w miarę jak jej siły malały, ich siły wydawały się rosnać. Zastanawiała się, jak powinna się zachować matka, gdy rodzina się rozpada. Czy ma walczyć o jej zachowanie nawet wtedy, gdy już nie ma powodu, by istniała? Nadszedł moment, w którym jej pacjenci wrócą do życia w normalnym świecie. Rozumiała, że jest w tym i jej zasługa, bo to ona właśnie nauczyła większość z nich radzić sobie w tym świecie. W każdym razie zrobiła wszystko, co w jej mocy, by ich tego nauczyć. Nie powinna więc teraz trzymać się ich kurczowo ani pozwolić, by oni kurczowo trzymali się jej. Powinna dać im odejść i uczynić to z największym taktem i godnością, na jakie ją stać.

243

Rozdział Trzydziesty Siódmy.

W końcu ewakuacja ruszyła pełną parą. Towarzyszył jej huk samochodów ciężarowych oraz ogromne podniecenie. Na szczęście monsun jeszcze się nie zaczął. Wyglądało na to, że ewakuacja zostanie zakończona na długo przed nastaniem pory deszczowej.

Apatia przeszła w euforię. Dopiero teraz, gdy ich pobyt tutaj rzeczywiście się skończył, ludzie uwierzyli w to naprawdę. Powrót do domu przestał

być marzeniem, stał się czymś realnym. Słysząc było krzyki, przeraźliwe gwizdy, bojowy okrzyk aborygenów „kuuuui” i urywki pieśni.

Siostry, choć wychowane w żelaznej dyscyplinie, dały się porwać powszechnemu nastrojowi: ściskano je, całowano, porywano w ramiona w isticie hollywoodzkim stylu; zdarzały się i łzy. Każda z nich osobno i wszystkie razem wydawały się w urzekający sposób zażenowane tym, co się wokół nich dzieje. Dla nich było to rozstanie z najważniejszym okresem w życiu, z wielką przygodą. Wszystkie były niezamężne. Większość z nich była już po czterdziestce. Na tej niezwykle trudnej, odległej placówce dały z siebie wszystko, co najlepsze; oddały część swego życia dla wielkiej sprawy. Już nigdy więcej los nie zaoferuje im tak wiele. Ci chłopcy zastąpili im synów, których nigdy nie miały - czuły się godne być matkami takich synów. Teraz ich wielkie chwile należą do przeszłości i choć powinny dziękować Bogu, iż doczekały końca, wiedziały, że już nigdy nic nie da się porównać z przeżyciami ostatnich kilku lat: z radościami, bólami i wzlotami tego okresu.

W ten ostatni swój ranek na oddziale X pacjenci nie ubrali się w to, co akurat było czyste i pod ręką, ale wystąpili w pełnym umundurowaniu. Na podłodze walały się blaszane pudła, brezentowe worki, tornistry i chlebaki. I po raz pierwszy, jak sięgnąć pamięcią, chodzili po sali w butach. Do siostry Langtry zgłosił się sierżant, który przekazał jej ostatnie instrukcje. Poinformowano ją, na który pokład ma doprowadzić ludzi znajdujących się na jej liście, oraz polecono zadbać o przetransportowanie na statek dodatkowych bagaży.

Odprowadziła sierżanta do drzwi frontowych, a gdy się odwróciła, zobaczyła Michaela. Był w kuchni sam i robił herbatę. Szybko rozejrzała

się po oddziale i upewniła się, że nikt ich nie obserwuje. Pozostali pacjenci najprawdopodobniej siedzieli na werandzie i czekali, by ich obsłużył.

- Chcę cię o coś prosić, Michaelu - powiedziała. - Czy nie wybrałbyś się ze mną na mały spacer? Zostało nam już tylko pół godziny do wyjazdu i bardzo mi zależy, żebyś poświęcił mi dziesięć minut.

Spojrzał na nią zamyślonym wzrokiem. Wyglądał niemal tak samo jak owego popołudnia, gdy przybył na oddział: miał na sobie zielone spodnie i koszulę, amerykańskie getry, pas z oporządzeniem, wypucowane do połysku brązowe buty i lśniące sprzączki. Wszystko było czyste, wyprasowane i prezentowało się bardzo dobrze.

- Bardzo chętnie - odparł. - Ja też tego pragnę. Pozwól tylko, że wpierw zaniosę im herbatę na werandę. Spotkajmy się na końcu podjazdu.

„Ciekawa jestem, czy zjawi się razem z Benedyktem. Są teraz nierozłączni”

- myślała. Czekala na niego na podjeździe, stojąc w słońcu, które jakby wróżyło już deszcz.

Michael przyszedł jednak sam. Ruszyli ścieżką w dół plaży i zatrzymali się w miejscu, gdzie zaczynał się piasek.

- Za wcześnie ten wyjazd - powiedziała, patrząc mu w oczy. - Nie jestem jeszcze gotowa.

- Ja też nie jestem gotów.

- Od śmierci Lucjusza dopiero dziś pierwszy raz mam okazję widzieć cię samego. Ach, nie! Przepraszam! Widzieliśmy się przecież po ogłoszeniu werdyktu. Powiedziałam ci wtedy wiele przykrych słów. Wierz mi, że nie miałam złych intencji... Jeszcze raz cię przepraszam, Michaelu!

Wysłuchał tego ze spokojem i powagą. - Nie masz za co przepraszać. To ja powinienem cię prosić o przebaczenie. - Zamyślił się na moment, jakby coś rozważał, a potem mówił dalej, powoli dobierając słowa:

- Koledzy są innego zdania, ale ja czuję, że jestem ci winien wyjaśnienie - zwłaszcza teraz, gdy to, co się stało, nie ma już i tak żadnego znaczenia.

Zwróciła uwagę tylko na ostatnie słowa. - Masz rację, nic nie ma już teraz znaczenia. Ale chcę zmienić temat i zapytać cię o dom. Czy od razu wracasz do siebie na farmę? A co z twoją siostrą i szwagrem? Chciałabym to wiedzieć, a nie mamy za wiele czasu.

- Nigdy nie mieliśmy za wiele czasu - przyznał. - Więc tak: najpierw muszę uzyskać zwolnienie z wojska. Potem jedziemy z Benem na moją farmę. Właśnie otrzymałem list od siostry. Oboje z mężem liczą dni do mego przyjazdu. Harold, mój szwagier, ma zamiar jak najprędzej

245

wrócić na swoją dawną posadę, póki jeszcze nie zdemobilizowało się zbyt wielu żołnierzy.

- Powiedziałeś „razem z Benem”? - spytała zdziwiona.

- Tak!

- Ben i ty?

- Tak jest!

- Na miłość boską, dlaczego?

- Jestem mu to winien - odparł Michael.

- Ach, daj spokój! - parsknęła i aż się skrzywiła.

- Benedykt jest zupełnie sam, siostrzyczko. Nikt na niego nie czeka. A on cały czas musi mieć kogoś przy sobie... będzie miał mnie. Bo to, co się stało, to moja wina. Bardzo chciałbym móc cię o tym przekonać. Muszę

mieć pewność, że to się już nigdy nie powtórzy.

Wciąż nie rozumiała, o co chodzi, i to zaczynało być męczące. Patrzyła na niego i zastanawiała się, czy kiedykolwiek uda jej się dotrzeć do jego tajemnicy. - O czym ty myślisz? Co ma się już nigdy nie powtórzyć?

- Mówiłem już, że jestem ci winien wyjaśnienie. Koledzy uważają, że powinniśmy trzymać cię od tego z daleka, ale ja chcę ci powiedzieć prawdę. Rozumiem racje Neila, który jest temu przeciwny, ale mnie się wydaje, że winienem wyznać ci... To nie Neil był z tobą tamtej nocy, ale ja, i dlatego sądzę, że masz prawo usłyszeć ode mnie wyjaśnienie.

- Jakie wyjaśnienie? O co tu chodzi?

- Niełatwo mi znaleźć właściwe słowa. Ale nie chcę, żebyś patrzyła na mnie nic nie rozumiejąc, jak patrzysz od tamtego pamiętnego ranka.

Zgadzam się z Neilem, że powiedzenie ci prawdy niczego już nie zmieni, ale dziś, kiedy cię widzę po raz ostatni, nie chcę, żebyś spoglądała na mnie z nienawiścią. Nie jest mi łatwo... - powtórzył.

- Nie myśl, że cię nienawidzę, Michaelu. Nie mogłabym cię znienawidzić. Ale powiedz mi, proszę, o co chodzi w tym wszystkim. Chcę i mam prawo wiedzieć.

- Lucjusz nie popełnił samobójstwa - powiedział. - To Benedykt go zabił. Znów stanął jej przed oczami ten obraz: morze krwi i to zmasakrowane piękno. Lucjusz rozciągnięty na podłodze, nie dbający o harmonię ruchów ani o estetyczny układ ciała czy teatralny efekt - chyba że chodziło mu o efekt czystego horroru. To nie było do niego podobne: za bardzo kochał siebie, a już na pewno swą urodę.

246

Zbladła jak płótno, a prześwitujące przez liście palm promienie słońca

nadały jej twarzy zielony odcień. Michael po raz drugi w czasie ich znajomości objął ją ramieniem w talii, przycisnął do siebie i mocno oparł na sobie, tak że nic już nie czuła, tylko bliskość jego ciała.

- Kochanie, tylko mi nie zemdlej! - przemawiał do niej serdecznie i obejmował czule. - Przyjdź do siebie, proszę! Weź kilka głębokich wdechów, taaak, dobrze! Zuch dziewczyna!

- Cały czas podejrzewałam, że coś było nie tak! To po prostu nie było w stylu Lucjusza, ale oczywiście jak najbardziej w stylu Benedykta. - Wróciły jej kolory, zacisnęła pięści w poczuciu bezsilnej złości na samą siebie. - Ach, jaka ze mnie idiotka!

Michael wypuścił ją z ramion i cofnął się o krok. Wyglądał na uspokojonego. - Gdyby nie to, że tak bardzo mi na tobie zależy, nie powiedziałbym ci tego, ale nie mogłem znieść twojej niechęci do mnie. To mnie po prostu zabijało. - Zdawało mu się, że odszedł od tematu, i jeszcze raz wrócił do tej sprawy: - Benedykt już nigdy niczego podobnego nie zrobi! Daję ci na to moje słowo, siostrzyczko! Będę przy nim i będę go pilnował. To chyba jasne, prawda? Muszę się nim opiekować. Jestem za niego odpowiedzialny. On zrobił to przecież dla mnie. W każdym razie myślał, że robi to dla mnie, co na jedno wychodzi. Pamiętasz?

Powiedziałem tamtego ranka u ciebie, że nie powinienem był zostawać z tobą na całą noc. Powinienem był wrócić na oddział i nie spuszczać Bena z oczu. Gdybym był wtedy tam, gdzie moje miejsce, nigdy by nie doszło do tej tragedii. To dziwne, przecież na wojnie zabijałem ludzi. Kto wie, może niejeden z nich był lepszym człowiekiem niż Lucjusz... Lecz tylko za jego śmierć czuję się odpowiedzialny. Odpowiedzialność za śmierć tamtych, których zabiłem na wojnie, spada na króla. To król będzie za nich

odpowiadał przed Bogiem, nie ja. Ale powstrzymać Benedykta mogłem tylko ja i nikt inny, bo nikt nie miał pojęcia, co mu chodzi po głowie. Byłem słaby, postąpiłem samolubnie. Ale tak bardzo chciałem zostać z tobą, Helen. Nie mogłem wprost uwierzyć we własne szczęście. Otworzył się przede mną mały skrawek nieba, a tak długo byłem w piekle... Kochałem cię, ale nie śmiałem nawet marzyć, że i ty mogłabyś mnie pokochać. Dopiero wtedy...

- Powinnam była o tym wiedzieć - szepnęła. - To jasne, że mnie kochałeś.
- Tamtej nocy myślałem przede wszystkim o sobie - wyznał, szczęśliwy, że nareszcie może z nią szczerze rozmawiać. - Żebyś wiedziała, jak wiele
247

mam sobie do zarzucenia! Lucjusz wcale nie musiał zginąć. Wystarczyło być wtedy na oddziale i pokazać Benowi, że nic mi się nie stało. Tymczasem byłem z tobą, w twoim pokoju, a Ben został sam na oddziale i coś mu się uroiło, że Lucjusz mnie zniszczył, że mu się udało mnie skrzywdzić, A gdy już doszedł do takiego wniosku, to reszta potoczyła się szybko. Szkoda, że Neil o tym nie wiedział, bo też mógłby zapobiec nieszczęściu. Ale on nie miał o niczym pojęcia i co innego mu było wtedy w głowie. Nie mogę sobie darować, że mnie tam nie było - także wtedy, gdy trzeba było uprzątnąć te krwawe jatki. I to spadło na pozostałych kolegów. Czuję się odpowiedzialny za bardzo wiele rzeczy. Także za to, że cię zraniłem. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Ale chciałbym, żebyś wiedziała, iż zdaję sobie z tego sprawę i że z tym właśnie, z tym, że zadałem ci ból, najtrudniej mi się pogodzić...

Po jej twarzy spływały łzy. Płakała bardziej z powodu jego cierpienia niż nad sobą. - A teraz mnie już nie kochasz? Wszystko zniosę, Michaelu, ale

nie mogę stracić twojej miłości.

- Kocham cię, ale ta miłość nie ma przyszłości, nie może jej mieć, nigdy jej nie miała, i to bez względu na Lucjusza czy Bena. Gdyby nie wojna, nigdy bym się nawet nie zetknął z kimś takim jak ty. Obracałabyś się wśród takich mężczyzn jak Neil, nie takich jak ja. Ani moi przyjaciele, ani życie, jakie prowadzę, nawet dom, w którym mieszkam, nie pasują do ciebie.

- Najpierw kocha się mężczyznę, a dopiero potem układa się z nim życie, nie na odwrót - powiedziała, ścierając łzy.

- Nigdy byś sobie nie ułożyła życia z takim mężczyzną jak ja. Jestem prostym farmerem, który prowadzi mleczną farmę.

- To, co mówisz, jest śmieszne. Nie jestem snobką. Nie widzę różnicy między rolnikiem, którym jest mój ojciec, a farmerem jak ty. To tylko kwestia skali, nic więcej. Nie zależy mi na pieniądzach, bo nie w nich widzę szczęście.

- Wiem, ale jesteś z innej sfery i mamy różne poglądy na życie. Popatrzyła na niego ze zdziwieniem. - Różne? Czyżby? Cóż ty za dziwne rzeczy dzisiaj wygadujesz? Moim zdaniem mamy takie same poglądy na życie. Oboje otaczamy troską ludzi słabszych i oboje widzimy swój cel w tym, by dodać im odwagi i pomóc im stanąć na własnych nogach.

- To prawda... tak, to na pewno prawda... Ale czy możesz mi powiedzieć, czym jest dla ciebie miłość?

248

- Moja miłość do ciebie czy miłość w ogóle?

- Twoja miłość do mnie. - Widać było, że wymawianie tych słów sprawia

mu radość.

- Kochać cię to dla mnie dzielić z tobą życie.

- Co przez to rozumiesz?

- Życ z tobą, zajmować się twoim domem, mieć z tobą dzieci, razem się starzeć... - Widziała po nim, że go jej słowa obeszły, nie tak jednak, by wpłynąć na zmianę jego planów.

- Ale nie masz doświadczenia w tej dziedzinie, że tak powiem... Masz teraz trzydzieści lat i twoje przygotowanie zawodowe nie ma z takim życiem nic wspólnego. - Zamilkł, ale nie spuszczał oczu z jej twarzy. Malował się na niej straszliwy chaos myśli i jakby rodzący się załamek zrozumienia, którego jednak nie chciała teraz przyjąć do wiadomości. - Sądzę - mówił dalej - że żadne z nas nie nadaje się do życia, jakie przed chwilą opisałaś. Nie chciałem stawiać kropki nad „i”, ale ty chyba nie dasz się zbyć byle czym i chcesz poznać całą prawdę.

•- Tak.

- A więc prawdą jest to, co właśnie powiedziałem: żadne z nas nie nadaje się do takiego życia, jakie opisałaś. Nie mamy już czasu, by dochodzić, dlaczego tak jest. Należę do ludzi, którym obce są żądze wymykające się spod kontroli rozumu. Nie deprecjonuję ich przez to, że nazywam je żądzami cielesnymi, i nie chcę, żebyś myślała, że moja miłość do ciebie traci przez to na ważności. - Chwycił ją za ramiona. - Posłuchaj mnie, Helen! Nie wiesz, jakim byłbym mężem. Otóż mógłbym pewnego dnia nie wrócić do domu, bo w drodze do miasta spotkałbym kogoś, kto, według mnie, potrzebuje mnie bardziej niż ty. Nie chcę przez to powiedzieć, że mógłbym cię porzucić dla innej kobiety. Nie! Po prostu wiedziałbym, że póki nie wrócę, poradzisz sobie świetnie beze mnie. A pomaganie temu

komuś mogłoby mi zająć może dwa dni, a może dwa lata... Taki już jestem. Zrozumiałem to dopiero dzięki wojnie. Chyba i tobie wojna pozwoliła uświadomić sobie, jaka naprawdę jesteś. Nie wiem, na ile jesteś skłonna przyznać się sama przed sobą, co w tobie siedzi... Ja wiem: gdy mnie wzruszy czyjś los, nie potrafię pozostać bezczynny, zrobię wszystko, by pomóc. Ty jesteś niezależna i nie potrzebujesz pomocy, a skoro tak, to możesz sobie świetnie poradzić beze mnie. Miłość, widzisz, nie ma tu żadnego znaczenia.

- To brzmi jak paradoks - powiedziała, z trudem powstrzymując łzy.
- Być może - przyznał, szukając w myśli nowych argumentów.

249

- Nie mam zbyt dobrej opinii o sobie. Inaczej nie czułbym prawdopodobnie tak silnej potrzeby pomagania innym. Ale ja muszę czuć się komuś potrzebny. Zrozum mnie, Helen, to potrzeba serca.

- Ale ja też cię potrzebuję - niemal krzyczała. - Moja dusza, serce, ciało, każda moja cząsteczka potrzebuje twojej obecności i będzie jej zawsze potrzebowała. Ach, Michaelu, przecież każdy ma inne potrzeby, tak jak każdy inaczej znosi samotność. Nie myśl, że skoro jestem silna, to cię nie potrzebuję. Nie myśl tak, proszę... Potrzebuję ciebie. Tylko ty możesz wypełnić moje życie...

Ale on wciąż potrząsał głową w geście przeczenia. - Nie! Nie potrzebujesz mnie i nigdy nie będziesz potrzebowała. Jesteś dojrzała i samodzielna. W przeciwnym razie nie mogłabyś być tą ciepłą, kochającą i głęboko zaangażowaną kobietą, którą znam i która znajduje ogromną radość w pracy. A w tej pracy nie każdy umiałby sobie radzić tak dobrze. Tak! Tylko nieliczne kobiety mogłyby wykonywać dobrze twoją pracę - natomiast

założyć dom i mieć dzieci może prawie każda. Tobie to nie wystarczy. Przygotowanie zawodowe predestynuje cię do czego innego. Jestem pewny, że po jakimś czasie życie ze mną wydałoby ci się klatką, czułabyś się ograniczona. Ty musisz mieć dużo przestrzeni, by móc rozpostrzeć skrzydła.

- Jestem jednak gotowa podjąć to ryzyko - stwierdziła Helen, blada, pokonana, ale wciąż walcząca.

- A ja nie! Gdyby chodziło tylko o ciebie, może bym poszedł na to ryzyko, ale tu chodzi również o mnie.

- A jednak wiążesz się z Benem znacznie silniej, niż ewentualnie związałbyś się ze mną.

- Nie mogę zranić Bena tak, jak bym w końcu musiał zranić ciebie.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że opieka nad Benem to praca w pełnym wymiarze? Nikt cię z niej nie zwolni, gdy „spotkasz w drodze do miasta” kogoś, komu zechcesz pomóc.

- Ben mnie potrzebuje. Poświęcę mu życie.

- A gdybym ci zaproponowała, że będę dzielić z tobą opiekę nad Benem? Czy zgodziłbyś się dzielić ze mną naszą wspólną potrzebę pomagania innym?

- Czy składasz mi taką ofertę?

- Nie! Nie mogę się dzielić tobą z kimś takim jak Benedykt Maynard.

- No to nie mamy już o czym mówić.

- O nas nie. Ale czy twoi koledzy też uważają, że powinieneś się zaopiekować Benem?

250

- Zawarliśmy pakt i wszyscy zgodziliśmy się, że bez względu na to, co się

stanie, Ben nie znajdzie się w domu wariatów, a żona i dzieci Matta nie będą głodować. To nasze wspólne postanowienie.

- Wspólne? Czy tylko twoje i Neila?

Skinieniem głowy i smutnym uśmiechem przyznał, że pakt dotyczył tylko ich dwóch. - Pożegnany już - powiedział i pocałował ją. W tym pocałunku wyraził wszystko: miłość i ból, zgodę na to, co być musi, i żal za tym, czego być nie może. Ten namiętny, zmysłowy pocałunek raz jeszcze przywołał wspomnienia tamtej ich nocy. Ale oderwał od niej usta gwałtownie i zbyt wcześnie. Choć gdyby nawet ten pocałunek trwał całe życie, to i tak nie miałyby go dość. Potem z uśmiechem w oczach stanął w postawie na baczność, obrócił się na obcasie i odszedł.

Nie chciała patrzeć, aż jej zniknie z oczu, więc wędrowała wzrokiem dokoła: spojrzała na swoje buty, na niki, brązowe źdźbła trawy, by w końcu utkwic oczy w niezliczonych ziarenkach piasku.

„A więc to tak” - myślała. Nie mogła walczyć o Michaela z kimś takim jak Ben. On go na pewno bardziej potrzebował, tu Michael ma rację. Skąd u niego ten przymus czy to poczucie winy, które jemu, silnemu, każe służyć słabszemu. Kto zaczął? Czy to słaby żądał, czy też silny ofiarował siebie z własnej woli? Czym właściwie jest siła, a czym słabość? Michael miał rację, ona sobie da radę bez niego. Ale czy to znaczy, że nie potrzebuje go? Kochał ją, bo była silna, a mimo to nie chciał być z kimś, kogo kocha. Kochając, odwracał się od miłości, gdyż sama miłość mu nie wystarczała. Miała ochotę zawołać za nim: Zapomnij o całym świecie, Michaelu! Pozwól, bym cię utuliła. Ze mną zaznasz szczęścia, o jakim ci się nie śniło. Ale to byłoby wołanie na puszczy... Czy ona to zrobiła świadomie? Czy świadomie obdarzyła miłością mężczyznę, który wołał służyć niź

kochać? Czują dla niego podziw od dnia, w którym przybył na oddział, i z tego podziwu zrodziła się miłość. Ceniła go za to, kim był. Każde z nich kochało drugie za siłę, samodzielność, za zdolność do dawania. A jednak właśnie te cechy rozdzieliły ich, zamiast połączyć... Mój kochany, najdroższy Michaelu, będę o tobie myślała i będę się za ciebie modliła, żebyś zawsze umiał znajdować w sobie tę siłę.

Patrzyła w dal na plażę, której spokój zburzył niedawny wiatr i deszcz. Dwie piękne mewy szybowały w powietrzu, niemal dotykając się skrzydłami. Po chwili jedna zaczęła kołować i wciąż trzymając się blisko siebie obie

251

zanurzyły się w wodzie; zniknęły. „Nie chcę żadnej klatki, Michaelu. Pragnę razem z tobą wzbić się w błękit nieba” - myślała.

Czas już wracać. Musi teraz zaprowadzić Matta, Benedykta, Nuggeta i Michaela na miejsce zbiórki. Została do tego zobowiązana. Neil, jako oficer, wyjedzie osobno. Na razie nie wiedziała kiedy. Powiedzą jej we właściwym czasie.

Po drodze naszły ją inne myśli. Któż by się spodziewał, że pacjenci oddziału X zawiążą spisek, którego duszą był Michael, a szefem Neil? Początkowo zdawało jej się, że to wszystko nie miało żadnego sensu, ale potem zrozumiała, że trzymanie jej w niewiedzy o tym, co się naprawdę wydarzyło w łaźni, miało swoje uzasadnienie - ale tylko póki przyczyna śmierci Lucjusza nie została oficjalnie ustalona i dochodzenie zamknięte. Dlaczego jednak Neil był tak bardzo przeciwny życzeniu Michaela, by wyjawić jej prawdę teraz, gdy to już nie miało żadnego znaczenia? Neil wiedział, że nie leży w jej naturze donosić, że na pewno nie poleci do

pułkownika „Ważnego” i nie powie mu, jak to było naprawdę. Czy to by coś zmieniło? Tak! To mogłoby spowodować zamknięcie Bena w jakimś cywilnym zakładzie dla psychicznie chorych. Ale mogłoby również sprawić, że wszyscy pozostali uczestnicy spisku zostaliby wyrzuceni z wojska, i to karnie, kto wie, może nawet trafiliby do więzienia. Ale była i taka możliwość, że w razie ujawnienia przez nią prawdy zwarliby szeregi przeciwko niej i wszystkiemu zaprzeczyli. Dlaczego Neil walczył o to, by utrzymać ją w niewiedzy? Zresztą nie tylko Neil: Matt i Nugget także. Co jej powiedział Michael na końcu? Że zawarli pakt. Dzięki temu paktowi żona i dzieci Matta nie będą głodować, Nugget podejmie studia medyczne, a Ben nie znajdzie się w zamkniętym zakładzie. Michael i Neil podzielili między siebie odpowiedzialność za tamtych trzech. Ale co przyjdzie Neilowi z tego, że będzie utrzymywał rodzinę Matta i pomoże Nuggetowi na studiach? Jeszcze dwa tygodnie temu powiedziałyby, że nic. Ale dzisiaj nie była już tego taka pewna. Zaraz, zaraz... Neil nie czuł się rzekomo dotknięty tym, co ona uczyniła. Spokojnie i bez żalu przyjął wiadomość, że ona go nie chce, i cały czas usilnie starał się dać jej do zrozumienia, że go nie zraniła. Ale kto wmówił Michaelowi te wszystkie staromodne pojęcia o różnicach klasowych, jakie ich podobno dzielą? Chwyciła się tego promyka nadziei, by ratować swą godność. Ktoś pracował nad Michaeliem, próbował go przekonać, żeby z niej zrezygnował. Kto? Neil!

252

Rozdział Trzydziesty Ósmy.

Ewakuacja została zorganizowana bez zarzutu. Ledwo siostra Langtry dotarła ze swoimi czterema pacjentami na miejsce zbiórki, a już ich jej

porwano. Zdążyli się tylko objąć i musnąć wargami. Nie mogła sobie potem przypomnieć, jak Michael na nią patrzył i jak ona patrzyła na niego w chwili, gdy się rozstawali. Wiedziała, że nie ma szansy na to, by się przed wyjazdem jeszcze raz zobaczyli. Prześliznęła się więc zrećznie przez liczne grupy czekających na załadowanie pacjentów oraz opiekujących się nimi sióstr i wróciła na oddział X.

Z nawyku, będącego jej drugą naturą, sprzątnęła pozostawiony na oddziale bałagan i wszystko uporządkowała. Przeszła przez salę, wygładzając prześcieradła i po raz ostatni drapując moskitiery w stylu siostry przełożonej. Zajrzała do szafek i zestawiała parawany, które przedtem zasłaniały długi refektarzowy stół.

Potem poszła do swego biura. Nie rozwiązując sznurowadeł jednym kopnięciem zrzuciła buty i usiadła w fotelu z nogami podwiniętymi pod siebie, czego by nigdy dawniej nie zrobiła w czasie służby. Teraz to już nie miało znaczenia. Nikt tego i tak nie widział, bo już tu nikogo nie było. Neil też zniknął. Zmieszany sierżant z identyfikacyjną plaketką na piersi poinformował ją, że Neil już wyjechał. Może to i lepiej, że nie spotkała się oko w oko z inicjatorem spisku. Musiałaby mu zadać zbyt wiele kłopotliwych pytań.

Głowa jej opadła na pierś. Zdrzemnęła się i przyśnił jej się Michael. To był przyjemny sen.

Dwie godziny później Neil zamaszyście maszerował przez teren szpitala. Wesóło pogwizdując, zbliżał się od tyłu do pawilonu X. W kapitańskim mundurze, z laseczką wetkniętą pod pachę wyglądał schludnie, szykownie i elegancko. Wszedł po schodach na górę i przez drzwi prowadzące na tyły oddziału dostał się do ciemnego i opustoszałego wnętrza. Widok był

szokujący. Stał i rozejrzał się. Nie było tu żywej duszy. Po chwili ruszył dalej, ale już nie tak pewnie i wesoło. Otworzył drzwi do swego pokoju i - nowy szok: jego bagaż zniknął. Nie było tu nawet śladu po Neilu

253

Parkinsonie, pacjentce z tropikalną psychozą. Jakby już dawno opuścił oddział.

- Halo! - przez cienką ścianę usłyszał wołanie siostry Langtry.

- Halo! Jest tam kto? Proszę się odezwać!

Siedziała w pozie, w jakiej jej nigdy przedtem nie widział: bokiem do biurka, z podkurczonymi nogami, buty rozrzucone na podłodze. Pomyślał, że to nieładnie i nawet nie przystoi pielęgniarce. Pokój był pełen dymu, papierosy i zapalki leżały na widoku. Musiała tu już długo siedzieć.

- Neil! - krzyknęła zdziwiona. - Myślałam, że już wyjechałeś.

Powiedziano mi, że opuściłeś oddział wiele godzin temu.

- Wyznaczono mi termin dopiero na jutro. A co z tobą?

- Zostałam przydzielona do specjalnej jednostki, w której znajdują się ciężko chorzy, na noszach. Będę przy nich cały czas, póki nie dojedziemy do Brisbane czy Sydney. Mój wyjazd został zaplanowany na jutro lub pojutrze. - Podniosła się. - Znajdę ci coś do jedzenia.

- Nie rób sobie zachodu, naprawdę! Nie jestem głodny. Cieszę się, że nie musiałem dzisiaj wyjechać - westchnął - bo nareszcie mam cię wyłącznie dla siebie.

Z błyskiem w oczach spytała: - Naprawdę myślisz, że mnie masz?

- Sposób, w jaki to powiedziała, nieco go osadził, mimo to rozsiadł się wygodnie w fotelu i odparł z uśmiechem: - Oczywiście, że cię mam, i choć kosztowało mnie to trochę zachodu, w ostatniej chwili jednak się udało.

Pułkownik „Ważny”, wciąż żywo reagujący na wspomnienie o whisky, postarał się, aby mój wyjazd odłożono o dzień. Mieliśmy różne sprawy do załatwienia i przy okazji wystawił mi świadectwo zdrowia. Nie jestem już pacjentem oddziału X. Dzisiejszej nocy przebywam tu jedynie jako lokator.

Uciekła się do podstępu. - Wiesz, Neil, nienawidzę wojny i tego, co nam zrobiła. Czuję się w jakiś sposób osobiście za to odpowiedzialna.

- Chcesz wziąć na siebie winy całego świata, siostrzyczko? Daj temu lepiej spokój! - pouczał ją łagodnie.

- Nie, Neil, nie całego świata. Chcę wziąć na siebie jedynie część winy za to, co ty i reszta trzymaliście przede mną w tajemnicy - odrzekła szorstko.

- Że też Michael nie mógł zamknąć swej cholernej gęby na kłódkę!
- syknął.

- Michael miał w tym wypadku rację. Mam prawo i chcę znać prawdę. Powiedz mi, co się naprawdę wydarzyło tamtej nocy.

254

Wzruszył ramionami, jeszcze wygodniej usadowił się w fotelu i przybrał taki wyraz twarzy, jakby miał opowiedzieć jakąś anegdotę, o której z góry wiedział, że będzie nudna i niewarta cienia zainteresowania. Helen, przyglądając mu się z bliska, myślała o jego rysunkach, które zdjęła ze ściany i schowała w swoim bagażu. Cieszyła się, że Neil jest na luzie. Taki stan ducha był mu od dawna potrzebny.

- A więc - zaczął, zapalając papierosa. Nawet się nie zorientował, że tym razem zapomniał ją poczęstować - miałem wielką ochotę jeszcze się napić i wrócić do swojej whisky. Ale Lucjusz tak rozrabiał, że obudził Matta i Nuggeta. Obaj postanowili pomóc mi skończyć tę napoczętą butelkę. Na

sali został sam Benedykt i to on miał pilnować Lucjusza. Prawdę mówiąc, zupełnie zapomnieliśmy o Lucjuszu, czy może po prostu nie chcieliśmy o nim pamiętać.

W miarę jak mówił, wspomnienie tamtej nocy ożywało w jego pamięci i na nowo budziło grozę - widać to było na jego twarzy.

- Tymczasem Ben poszperał w swoim tornistrze i znalazł jedną z tych nielegalnych pamiątek, któreśmy przywieźli z wojny. To był pistolet należący kiedyś do japońskiego oficera. Lucjusz leżał już w łóżku. Ben podszedł do niego i grożąc pistoletem zmusił go, by wstał i wziął swoją brzytwę. Potem, trzymając cały czas pistolet przytknięty do jego żeber, kazał mu iść ze sobą do łaźni.

- Czy wiesz o tym od Bena?

- Tak, ale to wszystko, co udało nam się z niego wydobyć. Nie wiemy dokładnie, co się wydarzyło w łaźni. Ben sam się nie może w tym połapać.

- Zamilkł.

- I co dalej? - ponaglała go.

- Nagle usłyszeliśmy, że Lucjusz wrzeszczy jak opętany. Mimo że łaźnia jest daleko stąd, ten straszny krzyk dochodził aż tutaj. Niestety, gdy przybyliśmy na miejsce, było już o wiele za późno, by uratować Lucjusza. Jakimś cudem nikt z innych oddziałów nie usłyszał jego krzyku. Może dlatego, że wiatr wiał w stronę lasu palmowego i że jesteśmy na najdalszym krańcu przyszpitalnego terenu. Czy już mówiłem o tym, że przyszedliśmy za późno?

- Tak! Czy masz jakieś wyobrażenie o tym, jak Ben go zabił?

- Przypuszczam, że Lucjusz nie miał odwagi podjąć z nim walki. Być może nie wierzył, że coś mu się stanie - do chwili, gdy było za późno. Te

cholerne brzytwy są tak ostre... Sądzę, że Ben trzymając Lucjusza na
255

muszce zmusił go, żeby wziął do ręki brzytwę, a potem złapał go za rękę, odpowiednio nią pokierował i... już było po wszystkim. Lucjusz zapewne krzyczał ze strachu i może coś tam niewyraźnie bełkotał, nie zdając sobie w pełni sprawy z tego, co Ben z nim robi, aż to się stało. Gdy się ma do czynienia z czymś tak ostrym jak bengalska brzytwa, to trudno cokolwiek przewidzieć.

- Ale na dłoni Lucjusza nie było zadrapań. Gdyby je miał, major Menzies zobaczyłby je. Ben musiał więc bardzo mocno trzymać go za rękę.

- Nie myśl, że tak łatwo można sobie zadrapać dłonie, siostrzyczko. Co innego ramiona... Na szczęście major nie szukał niczego prócz obrażeń. Dobrze, że nie był ze Scotland Yardu. Znając Bena, wiem, że działał szybko. Dobrze to przedtem obmyślił. Nie zabił Lucjusza pod wpływem nagłego impulsu. A jednak nie mogło to być morderstwo doskonałe. Musiał się chyba liczyć z tym, że to się wyda. Ale w chwili, gdy się wszystko zaczęło, Ben jakby oszalał. Nie wiem. W każdym razie wcale się nie martwił, że go złapią. Chciał zabić Lucjusza w taki sposób, aby umierając zachował do końca świadomość. Zdaje mi się, że Benowi chodziło głównie o to, żeby Lucjusz widział swoje okaleczone genitalia.

- Czy Lucjusz już nie żył, gdy weszliście?

- Dogorywał. Dzięki temu mogliśmy ocalić Bena. Odciągnęliśmy go od jego ofiary w momencie, gdy Lucjusz miał już przedśmiertne drgawki, ale wciąż jeszcze trzymał w ręce brzytwę i krew tryskała z niego jak z fontanny. Miał chyba uszkodzone ważne arterie. Matt wyciągnął Bena na zewnątrz i stał na straży, a Nugget i ja doprowadzaliśmy wszystko do

porządku. To nam zajęło tylko kilka minut. Najdłużej trwało wyczekiwanie, żeby Lucjusz wydał ostatnie tchnienie. Chcieliśmy być absolutnie pewni, że wyzionął ducha; nie mieliśmy odwagi dotknąć go przedtem.

- A nie przyszło wam do głowy, że trzeba wezwać pomoc, próbować go ratować? - spytała przez zaciśnięte zęby.

- Nie, moja droga, nie było najmniejszej szansy na uratowanie go.

Mogłabyś mi okazać więcej zaufania w tej kwestii. Nie mam co prawda medycznego wykształcenia, ale jestem żołnierzem. Przyznaję, że nigdy nie lubiłem Lucjusza, ale wierz mi, to był koszmar: stać tam i patrzeć, jak ten człowiek umiera.

Z poszarzałą twarzą pochylił się, by strącić popiół z papierosa.

Wpatrywała się w niego ogromnie przejęta, z oczami pełnymi bólu.

256

- Nie uwierzysz, jak zadziwiająco spokojny był Nugget i jak świetnie sobie radził w tej sytuacji. To tylko dowodzi, że można żyć z człowiekiem wiele miesięcy i wcale nie wiedzieć, co w nim siedzi. Także potem, przez te wszystkie dni, ani razu nie widziałem, żeby Nugget stracił panowanie nad sobą. Oczywiście najważniejsze dla nas było upewnić się, że zrobiliśmy wszystko, by to wyglądało na samobójstwo, że nie przeoczyliśmy niczego, co mogłoby nasunąć podejrzenie o morderstwo. Gdy skończyliśmy sprzątać, zaprowadziliśmy Bena do sąsiedniej łaźni i podczas gdy Matt stał na straży... Musisz wiedzieć, że Matt jest wspaniałym nocnym stróżem: wszystko słyszy... Nugget i ja ściągaliśmy z Bena spodnie. Był cały we krwi, ale na szczęście nie miał zakrwawionych stóp. Nie sądzę, że bylibyśmy w stanie usunąć z ziemi

krwawe ślady stóp. Spaliliśmy jego spodnie od piżamy. Pamiętasz? Gdy liczyłaś bieliznę, miałaś o jedną parę za mało.

- A jak się zachowywał Ben? - spytała.

- Był bardzo spokojny i wcale nie żałował swego czynu. On chyba nadal uważa, że spełnił jedynie swój chrześcijański obowiązek. Dla niego Lucjusz był diabłem z piekła rodem, nie człowiekiem.

- I ty, i twoi koledzy postanowiliście Bena chronić. Byliście wszyscy za tym?

- Tak, wszyscy. Nawet Michael. Gdy mu powiedziałem, że Lucjusz nie żyje, od razu zrozumiał, co się naprawdę stało. Żał mi go było. Był taki przybity i miał tak straszne wyrzuty sumienia, jakby własnymi rękami dokonał tego czynu. Cały czas powtarzał, że to wszystko przez jego egoizm, że nie powinien był zostać z tobą, że jego obowiązkiem było pilnować Bena.

Nie zamierzała uchylić się od odpowiedzialności. To, o czym teraz mówił Neil, dotyczyło jej udziału w winie. - To samo mówił mnie - potwierdziła.

- Że nie powinien był zostać ze mną, że jego miejsce było „przy nim”, ale nie wymienił imienia i sądziłam, że ma na myśli Lucjusza. - Głos jej się załamał i na chwilę zamilkła. - Nie przyszło mi do głowy, że mówi o

Benedykcie. Byłam pewna, że chodzi mu o Lucjusza, i nawet przypuszczałam, że ma homoseksualne skłonności i Lucjusz mu się podoba. Żebyś wiedział, co ja wygadywałam i jak się wygłupiłam.

Musiałam go bardzo zranić. Wszystko poplątałam. Nawet teraz, gdy o tym myślę, to czuję się okropnie.

- Nie wiem dlaczego. Skoro Michael nie wymienił imienia, to miałaś prawo się pomylić - tym bardziej że jego dokumenty sugerowały, iż jest

homoseksualistą.

257

- Skąd o tym wiesz?

- Od Lucjusza, ale za pośrednictwem Bena i Matta.

- Spryciarz z ciebie. Znałeś całą prawdę, a jednak zdecydowałeś się ją ukryć. Dlaczego?

- A czego innego od nas oczekiwaliśmy? - celowo nie użył liczby pojedynczej. - Nie mogliśmy tak po prostu oddać Bena w ręce władz. Śmierć Lucjusza nie jest żadną stratą dla świata, tymczasem Ben na pewno nie zasługuje na to, żeby go zamknąć w jakimś cywilnym zakładzie dla wariatów i żeby przebywał tam do końca życia dlatego, że zabił Lucjusza. Zapominasz, że wszyscy byliśmy pacjentami oddziału X. Mieliśmy więc pewien przedsmak tego, jak wygląda życie psychicznie chorych pacjentów.

- Tak, ja to wszystko rozumiem, ale to nie zmienia faktu, że wzięliście prawo w swoje ręce i świadomie zatailiście morderstwo, by chronić jego sprawcę. Trzymaliście mnie z daleka od tej sprawy, chcąc uniemożliwić mi ujawnienie prawdy. Gdybym o wszystkim wiedziała, na pewno doprowadziłabym do osądzenia Bena tu na miejscu. On jest niebezpieczny - czy żaden z was tego nie rozumie? Miejsce Bena jest w zamkniętym zakładzie dla psychicznie chorych. Nie mieliście racji chroniąc go - zwłaszcza ty, Neil. Jesteś oficerem, znasz przepisy i jesteś obowiązany ich przestrzegać. Gdybyś chciał tłumaczyć się swoją chorobą, toby znaczyło, że twoje miejsce jest także w zamkniętym zakładzie. Bez mojej zgody uczyniliście mnie stroną w tej sprawie i gdyby nie Michael, nigdy bym się o tym nie dowiedziała. Jestem Michaelowi wdzięczna za wiele

rzeczy - ale przede wszystkim za to, że mi powiedział prawdę o śmierci Lucjusza. Choć Michael też nie był ze mną do końca szczery, to jednak stawiam go wyżej od was wszystkich.

Neil rzucił papierośnicę na biurko z takim impetem, że spadła z hałasem na podłogę, zamek się otworzył, a papierosy wysypały. Nie zwrócili jednak na to uwagi. Byli zbyt zajęci sobą.

- Michael, Michael, Michael! - krzyczał Neil, zmieniony na twarzy, z oczami pełnymi łez. - Zawsze Michael! Wszędzie Michael! Na miłość boską, czy ty się nie wyzbędziesz obsesji na jego punkcie? Michael to, Michael tamto, już mi bokiem wychodzi to cholerne imię. Raz na niego spojrzałaś i nie miałaś już czasu dla nikogo innego. A co z całą naszą resztą?

Nie miała dokąd uciec ani gdzie się skryć - tak jak kiedyś podczas awantury z Lucjuszem. Siedziała przed nim i powoli zaczęło w niej dojrzewać zrozumienie dla tej prawdy, którą wykrzyczał z głębi serca.

258

Przeszła jej złość na niego. Neil tymczasem bardzo się starał narzucić sobie spokój i opanować się. Gdy się znowu odezwał, jego głos brzmiał już spokojnie i słowa były bardziej wyważone. „Ach, Neil - pomyślała - jak ty się zmieniłeś, jak wydorósłłeś! Dwa miesiące temu nie potrafiłbyś się tak szybko opanować po gwałtownym wybuchu emocji”.

- Słuchaj! - powiedział. - Wiem, że go kochasz. Nawet Matt, choć ślepy, dawno to dojrzał. A więc przyjmijmy to jako bezsporny fakt. Zanim przyszedł do nas Mike, należałaś do nas wszystkich, a my należeliśmy do ciebie. Troszczyłaś się o nas, zależało ci na nas. Byłaś ukierunkowana na nas i na to, by nas wyleczyć. Oczywiście wtedy, gdy byliśmy chorzy, nie

patrzyliśmy na to tak obiektywnie, jak ja to teraz przedstawiam. Patrzyliśmy na wszystko wyłącznie przez pryzmat własnej osoby. Otoczyłaś nas opieką, czuliśmy się przy tobie bezpieczni. I nigdy nikomu z nas nie przyszłoby do głowy, że mogłabyś swoje uczucia ulokować gdzie indziej. Gdy zjawiał się Michael, byliśmy wszyscy przekonani, że skoro jest zdrowy i nic mu nie brakuje, nie będziesz się nim zajmować. Tymczasem odwróciłaś się od nas i zainteresowałaś wyłącznie nim. Porzuciłaś nas dla niego. Zdradziłaś nas. I przez to właśnie zginął Lucjusz. Przez to, że byłaś cały czas wpatrzona w Michaela, zachwycona jego zdrowiem i siłą, żeś go kochała. Jak myślisz, cośmy wtedy czuli?

Chciała mu wykrzyczeć to, co ona o tym myślała. „Nigdy nie przestałam troszczyć się o was. Ani przez chwilę... Chciałam jedynie czegoś dla siebie, czegoś nowego, jakiejś odmiany. Tylko do pewnej granicy można dawać z siebie wszystko, nie biorąc nic w zamian. Nie sądziłam, że chcę za dużo. Moja praca na oddziale X zbliżała się ku końcowi, a ja go kochałam. O, Boże! Byłam zmęczona tylko daniem i daniem. Dlaczego nie mogliście być wspaniałomyślni i pozwolić i mnie coś mieć?” Ale nie mogła nic z siebie wykrztusić. Zamiast tego zerwała się z miejsca i ruszyła w stronę drzwi. Chciała odejść stąd, uciec. Gdy przechodziła obok niego, złapał ją za nadgarstek i okręcił wkoło. Trzymał ją mocno, brutalnie ścisnął przeguby obu rąk, póki nie przestała się wyrywać. Po chwili jego uchwyt zelżał, pieszczotliwym ruchem przesunął dłońmi po jej ramionach. - Widzisz? - zapytał cicho. - Trzymałem cię o wiele mocniej, niż Ben musiał trzymać rękę Lucjusza, a nie sądzę, żebyś miała jakieś zadrapania. Popatrzyła mu prosto w twarz, bardziej oddaloną niż twarz Michaela, gdyż Neil był bardzo wysoki. Wyraz jego poważnych i chłodnych oczu mówił

jej, że Neil dobrze wie, co ona czuje, i nie potępia jej. Był gotów znieść wszystko, byle osiągnąć swój cel.

Nie doceniała dotąd Neila, nie wiedziała, ile w nim było pasji i wytrwałości. Nie zdawała sobie też sprawy, jak głębokie jest jego uczucie do niej. Albo zbyt dobrze ukrywał ból, jaki mu zadała, albo miał rację oskarżając ją, że nie widziała świata poza Michaeliem. Dlatego z taką łatwością uciszyła sumienie - założyła, że Neil wcale się nie poczuł dotknięty tym, iż go porzuciła. A tymczasem on był głęboko zraniony. Nie przeszkodziło mu to jednak podjąć pewnych kroków, które miały na celu oddalić konkurencję Michaela; nie powstrzymało go od działania: brawo, Neil!

- Strasznie mi przykro, Neil! - powiedziała rzeczowym tonem.

- Nie czuję się na siłach, by załamywać ręce, płakać czy paść przed tobą na kolana. Wierz mi jednak, że bardzo mi przykro, bardziej, niż możesz przypuszczać... Jest mi tak przykro, że nawet nie chcę się usprawiedliwiać. Pragnę ci tylko uświadomić, że my, opiekujący się chorymi, jesteśmy tak samo omylni i błędzący jak każdy z was, pacjentów. Nie powinieneś myśleć o mnie jak o jakiejś bogini, jak o kimś, kto nigdy nie błędzi. Nie jestem taka. Nikt z nas nie jest. - Jej oczy napęłniły się łzami. - Ale nie masz pojęcia, jak bardzo bym chciała, żebyśmy tacy byli...

Objął ją i pocałował w czoło. - Co się stało, to się nie odstanie. Znasz to stare powiedzenie: nie płacze się nad rozlanym mlekiem... Wyrzuciłem z siebie wszystko, co mi leżało na sercu, i czuję się lepiej. I mnie jest przykro... Nie chciałbym sprawić ci bólu, to dla mnie żadna satysfakcja - mimo że mnie nie kochasz.

- Bardzo chciałabym móc cię kochać...

- Ale nie możesz i nic na to nie poradzisz. Widziałaś mnie w strasznym stanie - wtedy gdy przybyłem na oddział X. Wciąż noszę w sobie to piętno, które nigdy nie da się zmyć; Michael nie ma z tym nic wspólnego. Zakochałaś się w Michaelu, bo gdy do nas przyszedł, był normalny i widziałaś w nim nie pacjenta, ale mężczyznę w pełnym tego słowa znaczeniu. Nie krył się, nie płakał, nie użalał się nad sobą. Nie był tak strasznie niemęski jak my. Nigdy nie musiałaś zmieniać mu spodni, myć go ani godzinami wysłuchiwać jego nie kończącej się litanii żalów, tak jak wysłuchiwałaś żalów dziesiątków innych chorych żołnierzy, w tym i moich.

- Ach, przestań, proszę cię! - zawołała. - Nigdy nie patrzyłam na te sprawy ani na ciebie w taki sposób.

- Ale ja, gdy patrzę wstecz, bo mogę już teraz patrzeć wstecz, tak
260

właśnie widzę siebie. To, co widzę, jest chyba prawdziwszym obrazem mojej osoby niż ten, który ty podajesz. Ale jestem już wyleczony i teraz trudno mi nawet zrozumieć, że mi się coś takiego mogło przydarzyć.

- To dobrze! - zauważyła idąc w stronę drzwi. - Proszę cię, Neil, chciałabym, żebyśmy na tym skończyli. Pragnę się teraz pożegnać. Staraj się mnie zrozumieć zgodnie z moją intencją i nie myśl, że to jest z mojej strony niechęć, lekceważenie czy brak uczucia. Miałam dziś bardzo trudny dzień i marzę o tym, żeby się już skończył. Ale póki tu jesteś, nie mogę przestać czuwać. Jeśli wolałabym cię już nie widzieć, to tylko dlatego, by móc się uwolnić od obowiązku czuwania. Nie ma już oddziału X, nie istnieje, chcę być wolna.

Odprowadził ją do końca korytarza. - Od tej chwili będę sam czuwał nad sobą. Jeśli kiedykolwiek zechcesz się ze mną zobaczyć, znajdziesz mnie w Melbourne pod telefonem Toorak, Parkinson, N. L. G. Długo szukałem odpowiedniej kobiety. Mam już trzydzieści siedem lat, a więc i ugruntowane gusta. - Zaśmiał się. - Jakże mógłbym cię kiedykolwiek zapomnieć? Nigdy cię nawet nie pocałowałem.

- To pocałuj mnie teraz - zaproponowała czując, że go prawie kocha. Ale tylko prawie...

- Nie! Wprawdzie nie ma już oddziału X, ale ja wciąż jeszcze tkwię w jego nie ostygłym ciele. To, co mi proponujesz, to łaska, a ja nie chcę żadnej łaski. Nigdy już żadnych łask.

Wyciągnęła do niego rękę. - Żegnaj, Neil. Życzę ci szczęścia i wierzę, że ci dopisze.

Przyjął jej wyciągniętą dłoń, serdecznie ją uściskał, a potem podniósł do ust i lekko pocałował. - Żegnaj, Helen! Nie zapomnij, że znajdziesz mnie w książce telefonicznej Melbourne.

Po raz ostatni przemierzała drogę z oddziału X do swojej kwatery. Nigdy nie wierzyła, że do tego dojdzie. Nawet wtedy, gdy tęskniła za tą chwilą. Jakby ten rozdział życia, który spędziła w bazie 15, intensywnością zrównoważył wszystko, co było dotąd. To dobrze, że zakończył się pożegnaniem z Neilem. Neil był prawdziwym mężczyzną, miał jednak rację mówiąc, że początek ich znajomości postawił go w bardzo niekorzystnym położeniu. Rzeczywiście myślała o nim raczej jako o pacjencie i mierzyła jedną miarą z pozostałymi. Nieszczęśliwy, smutny, kruchy... jak

to dobrze, że żadne z tych określeń nie okazało się trafne. Neil sugerował, że wyleczenie zawdzięcza wydarzeniom, które ostatnio miały miejsce na oddziale. Ale to nieprawda. Źródło jego wyleczenia było w nim samym. Zawsze tak było, gdy pacjenci wracali do zdrowia. Mimo rozpacz, strachu i bólu, jakie tu przeżyła, uznała istnienie oddziału X za celowe i słuszne.

Neil nawet się nie zainteresował, czy ona będzie jeszcze dochodziła sprawiedliwości, która, jego zdaniem, została już wymierzona. Według niej to, co wtedy tu miało miejsce, było pogwałceniem prawa, ale teraz i tak jest za późno na podejmowanie jakichś działań. Chwała Bogu, że Michael jej o wszystkim powiedział. Gdy się dowiedziała o ich spisku, przestała mieć poczucie winy wobec nich. Bo skoro oni uważali, że ich zdradziła zwracając się ku Michaelowi, ona mogła teraz twierdzić, że to oni ją zdradzili. Do końca życia będzie ich i ją prześladowało wspomnienie o Lucjuszu Daggetcie. Neil nie chciał, by dowiedziała się prawdy, bo bał się, że gdy ona w to wkroczy, to uwolni Michaela od zobowiązań. Z drugiej strony chciał jej zapewne oszczędzić udziału w winie. W połowie chciał dobrze, w połowie źle. Częściowo myślał o sobie, a częściowo nie. To było mniej więcej normalne.

Część Siódma.

Rozdział Trzydziesty Dziewiąty.

Nikt nie czekał na Helen Langtry, gdy wysiadła z pociągu w Yass. Wcale jej to nie zdziwiło, bo nie dała znać rodzinie, że przyjeżdża. Kochała ich, ale nie chciała stawać z nimi twarzą w twarz na dworcu, wolała, żeby powitanie odbyło się w domu. Czuła się tak, jakby wracała do bardzo odległych lat dzieciństwa. Zastanawiała się, jaka się wyda rodzicom, co o niej pomyślą. Chciała odsunąć moment spotkania. Posiadłość jej ojca nie leżała zbyt daleko od miasta; zawsze się znajdzie ktoś, kto ją podwiezie. I rzeczywiście znalazł się ktoś taki, i to zupełnie obcy. Mogła więc siedzieć na tylnym siedzeniu i w czasie ponaddwudziestokilometrowej drogi rozkoszować się jazdą w milczeniu. Była pewna, że zanim zjawi się w domu, rodzina dowie się o jej przyjeździe od naczelnika stacji. Powitał ją z otwartymi ramionami i znalazł człowieka, który zgodził się ją podwieźć. Nie wątpiła, że uprzedził telefonicznie jej rodziców, iż córka jest w drodze.

Cała rodzina czekała na nią na ganku: ojciec, jakby tęższy i bardziej łysy, matka, taka sama jak zawsze, i brat Jan, młodsze i szczuplejsze wydanie ojca. Uściskom i pocałunkom nie było końca. Odsuwali się trochę, żeby się jej lepiej przyjrzeć, wykrzykiwali, zaczynali coś mówić i nie kończyli, bo ciągle ktoś przerywał.

Dopiero po kolacji życie domu zaczęło wracać do normy. Ojciec i brat poszli spać, bo ich dzień pracy zaczynał się o świcie, a matka przeszła z Helen do sypialni, aby posiedzieć przy niej, popatrzeć, jak się rozpakowuje, porozmawiać.

Pokój Helen był duży, sympatyczny i bezpretensjonalny, choć dość kosztownie urządzone. Przy zakupie mebli nie starano się o jakiś szczególny dobór kolorów czy form. zadbano raczej o wygodę. Na bardzo

wygodne wyglądało zarówno duże łóżko, jak i pokryty kretonem fotel, w którym siedziała teraz matka Helen. Stary stół politurowany na wysoki połysk i drewniane rzeźbione krzesło służyły jako miejsce do pracy. Obszerna szafa, wysokie lustro ustawione na konsoli, mała toaletka i jeszcze jeden fotel dopełniały umeblowania.

Helen cały czas krążyła pomiędzy szafą, toaletką i walizkami leżącymi na łóżku. Matka obserwowała ją z fotela, nie mogąc się na nią napatrzeć.

264

Miała właściwie pierwszą po temu okazję, gdyż dopiero ten przyjazd Helen do domu był powrotem na dobre. W ciągu lat spędzonych na wojnie miewała oczywiście urlopy z wojska, ale towarzyszyła im zawsze atmosfera przelotności i pośpiechu. Nie było więc czasu, by przyjrzeć się córce i utrwalić swoje wrażenia. Teraz mogła to zrobić w spokoju - nie myśląc jednocześnie, co będzie musiała jutro dopasować czy naprawić ani jak przeżyją następne miesiące - świadomi grożącego Helen niebezpieczeństwa. Brat Helen, Jan, nie poszedł do wojska, gdyż był potrzebny na roli. „Gdy mi się urodziła córka - myślała Faith Langtry - nigdy nie przypuszczałam, że to właśnie ją, moją pierworodną, wyślę na wojnę. Chyba obecnie płeć przestała być ważna, bo różnica płci nie odgrywa już takiej roli jak dawniej”.

Za każdym razem, gdy Helen przyjeżdżała do domu, rodzice dostrzegali w niej zmiany, począwszy od koloru skóry, który zrobił się żółty od atabryny, po różne drobne nawyki i zachowania - świadczące o tym, że jest dorosłą kobietą. Była poza domem sześć lat. Tylko Bóg jeden wie, co się z nią przez te lata działo, bo w czasie pobytu w domu nie chciała nigdy mówić o wojnie. Bez względu na to, jakie były te lata, Faith wiedziała, że Helen nie

uważa już domu rodziców za swój.

Była bardzo szczupła, czemu trudno się dziwić. Na jej twarzy pojawiły się już pierwsze zmarszczki, choć na szczęście nie miała ani śladu siwizny we włosach. Robiła wrażenie poważnej, ale nie surowej, pewnej siebie, na pewno nie była nieufna, ale może nieco zamknięta w sobie. Nie mogłaby nigdy wydać się swojej matce obca, ale była jakaś inna...

Jakże oni się cieszyli, gdy Helen wybrała pielęgniarstwo zamiast medycyny! Sądziła, że ta decyzja oszczędzi ich córce wielu kłopotów. Ale gdyby studiowała medycynę, zostałaby w domu. Patrząc teraz na nią Faith zastanawiała się, czy wybór medycyny nie oznaczałby na dłuższą metę mniej kłopotów.

Gdy Helen wyjęła z walizki swoje medale i odznaczenia, Faith pomyślała, że to dziwnie mieć córkę - właśnie córkę, nie syna - odznaczoną Orderem Brytyjskiego Imperium. Już sobie wyobrażała, jacy dumni z niej będą Charlie i Jan.

- Nigdy nie wspominałaś, że zostałam odznaczona Orderem Brytyjskiego Imperium.

265

Helen spojrzała na nią zdziwiona: - Nie mówiłam ci? Musiałam zapomnieć. Tyle rzeczy działo się w tym czasie, miałam mnóstwo pracy, listy pisałam zawsze w ogromnym pośpiechu, a zresztą dopiero niedawno otrzymałam oficjalne potwierdzenie.

- Czy masz jakieś fotografie, kochanie?

- Tak, mam je gdzieś tutaj. - Poszukała po kieszeniach walizki i wyjęła dwie koperty: jedną małą, drugą większą. - O, tu są! - Usiadła obok matki i sięgnęła po papierosa. - To jest Sally, Teddy, Willa i ja... To mój szef w

Lae... A tu ja w Darwin, właśnie wybierałam się gdzieś w tym momencie, nie pamiętam dokąd... To w Moresby... Tu są pielęgniarki ze szpitala na Morotai... A tu stoję przed oddziałem X.

- Muszę powiedzieć, że pięknie wyglądasz w kapeluszu z odwiniętym rondem.

- Są wygodniejsze niż welony, ponieważ zdejmuje się je wchodząc do mieszkania czy szpitala.

- A co masz w tej drugiej kopercie? Inne fotografie?

Ręka Helen zawisała w powietrzu, jakby nie była pewna, czy chce pokazać zawartość koperty. Po chwili wahania otworzyła ją jednak. - Nie, to nie są zdjęcia. To rysowane portrety pacjentów oddziału X, mojej ostatniej placówki.

- Te rysunki są naprawdę dobre - stwierdziła Faith, przypatrując się dokładnie każdej twarzy. Helen odetchnęła z ulgą widząc, że matka przeszła do porządku nad Michaeliem, nie przyglądając się jego portretowi dłużej niż pozostałym. Bo niby dlaczego miałyby to zrobić? To śmieszne: oczekiwała, że matka zobaczy w Michaelu to, co ona zobaczyła podczas ich pierwszego spotkania na korytarzu oddziału X.

- Kto je rysował? - spytała Faith, odkładając portrety.

- Ten facet! - Helen wyjęła na wierzch portret Neila. - Nazywa się Neil Parkinson. Nie wypadł tu zbyt dobrze, bo jakoś nigdy nie wychodziły mu autoportrety.

- A jednak chyba dobrze ujął podobieństwo, bo jego twarz mi kogoś przypomina. Chyba go już gdzieś widziałam. Skąd on pochodzi?

- Z Melbourne. Jego ojciec jest chyba jakimś potentatem przemysłowym.

- Longland Parkinson! - wykrzyknęła triumfalnie Faith. - Jednak znam

tego młodego człowieka! To było w 1939 roku na zawodach o puchar Melbourne. Był wtedy z rodzicami i nosił mundur. A jego matkę, Frances, spotkałam parę razy w Melbourne na jakichś przyjęciach.

266

Helen od razu przypomniały się słowa Michaela. Powiedział, że w jej świecie bywają mężczyźni tacy jak Neil, a nie tacy jak on. Gdyby nie wojna, kto wie, może rzeczywiście poznałaby Neila na jakimś spotkaniu towarzyskim.

Faith przerzuciła kilka portretów i znalazła szkic, którego szukała.

- Ciekawa jestem, kim jest ten mężczyzna? Co za twarz! Jakie oczy!

- Widać było, że jest oczarowana portretem. - Trudno powiedzieć, czy mi się ten człowiek podoba, ale ma fascynującą twarz.

- To sierżant Lucjusz Daggett. On został... on popełnił samobójstwo na krótko przed zlikwidowaniem bazy 15. - O, Boże, omal jej się nie wysnęło, że został zamordowany...

- Biedny chłopak, co też go mogło do tego doprowadzić? Wygląda tu tak, jakby się raczej nie zamierzał zniżyć do czegoś takiego... - Oddała córce rysunki. - Muszę ci powiedzieć, że rysunki podobają mi się znacznie bardziej niż fotografie. Ręce i nogi niewiele mówią o ludziach. Ważne są twarze. Patrząc na zdjęcia zawsze skupiam się na twarzach. Niestety, przeważnie widać na nich tylko zamazane plamki. Powiedz mi, Helen, który z nich był twoim ulubieńcem.

Pokusa była zbyt wielka, by mogła jej się oprzeć. Znalazła portret Michaela i pokazała go matce: - Ten! Sierżant Michael Wilson.

- Naprawdę? - spytała Faith, patrząc na córkę z niedowierzaniem.

- Ty oczywiście ich znałaś i byłaś z nimi blisko. Owszem, sympatyczny, to

widać... ale wygląda jak robotnik na owczej farmie.

„Znow miałeś rację, Michaelu! - pomyślała Helen. - Tak mówi żona bogatego hodowcy bydła, która spotyka Neila Parkinsona na wyścigach i ludzi ze swojej sfery rozpoznaje instynktem. A przecież przy tym wszystkim moja mama wcale nie jest snobką”.

- Michael ma farmę mleczną - wyjaśniła.

- No tak! Stąd ten wiejski wygląd... - westchnęła. - Nie jesteś zmęczona, kochanie?

- Nie, mamusiu, ani trochę. - Położyła rysunki na podłodze obok fotela i zapaliła papierosa.

- Wciąż nie myślisz o małżeństwie?

- Nie! - odpowiedziała Helen z uśmiechem.

- Właściwie to lepiej zostać starą panną, niż wyjść za mąż tylko po to, by być mężatką. - Powiedziała to na pół ironicznie, co spowodowało, że jej córka parsknęła śmiechem.

267

- Zupełnie się z tobą zgadzam, mamusiu.

- To pewnie oznacza, że wrócisz do pielęgniarstwa?

- Tak!

- Znowu do szpitala Księcia Alfreda? - Faith była prawie pewna, że córka nie zechce być pielęgniarzką w małym miejscowym szpitalu, gdyż zawsze wolała pracować w dużych zespołach.

- Nie! - Helen najwyraźniej nie miała ochoty rozwijać tego tematu.

- A więc dokąd?

- Wybieram się do miejscowości, która nazywa się Morisset; chcę się tam zapisać na kurs pielęgnacji psychicznie chorych.

- Chyba żartujesz?
- Nie, nie żartuję.
- Ależ to śmieszne. Przecież jesteś dyplomowaną pielęgniarką. Z twoją praktyką wszędzie znajdziesz pracę. Pielęgnowanie psychicznie chorych? Dobry Boże, Helen! Równie dobrze mogłabyś zostać strażniczką w więzieniu. Tam nawet lepiej płacą!

Helen zacisnęła usta.

- Wiesz, dlaczego wybieram pracę pielęgniarce na psychiatrii? Bo przez ostatnie półtora roku pielęgnowałam żołnierzy cierpiących na różne zaburzenia psychiczne i stwierdziłam, że praca na takim oddziale odpowiada mi bardziej niż na jakimkolwiek innym. Ludzie tacy jak ja są tam bardzo potrzebni już choćby dlatego, że ludzi takich jak ty przeraża sama myśl o takiej pracy. Pielęgniarki na psychiatrii mają tak niski status zawodowy, że uważa się tę pracę niemal za hańbiącą, a więc jeśli do tego zawodu nie wejdą ludzie mego pokroju, to nic się nigdy nie zmieni na lepsze. Gdy zadzwoniłam do Departamentu Zdrowia Publicznego po informacje na temat przeszkolenia na pielęgniarce psychiatryczną, to pomyśleli, że sama mam źle w głowie. Musiałam się tam wybrać osobiście, i to dwa razy, aby ich przekonać, że wprawdzie jestem dyplomowaną pielęgniarką, ale mam szczerzy zamiar zostać pielęgniarcą psychiatryczną. Okazuje się, że nawet Departament Zdrowia Publicznego, któremu podlegają wszystkie szpitale dla psychicznie chorych w kraju, uważa pielęgniarce psychiatryczną za rodzaj strażnika wariatów.
- Właśnie kimś takim będziesz - stwierdziła Faith.
- Gdy pacjent wchodzi do szpitala dla psychicznie chorych, wchodzi w świat, którego prawdopodobnie nigdy nie opuści. Sytuacja żołnierzy,

których pielęgnowałam, nie była aż tak tragiczna, ale w ich położeniu jest wiele podobieństw i dlatego uważam, że ludzie tacy jak ja są tam potrzebni.

- Ależ Helen! To, co mówisz, brzmi tak, jakbyś odbywała jakąś pokutę albo usiłowała nawracać na jakąś wiarę. Rozumiem, że wiele przeżyłaś w czasie wojny, ale czy to musi aż tak wpływać na twoje poglądy?

- Może rzeczywiście mówię tak, jakbym miała jakąś misję do spełnienia - przyznała Helen. Zamyśliła się i znowu zapaliła papierosa. - Ale tak nie jest. Nie odbywam także żadnej pokuty. To, że swoją pracą pragnę przyczynić się do zmniejszenia cierpień psychicznie chorych pacjentów, bynajmniej nie świadczy, że sama jestem psychicznie niezrównowazona.

- W porządku, kochanie, nie denerwuj się! - uspokajała ją Faith.

- Chyba nie miałam racji sugerując coś takiego. Nie złość się, ale chcę cię zapytać, czy ta praca da ci coś konkretnego, na przykład jeszcze jeden dyplom.

Helen roześmiała się i przeszła jej cała złość. - Niestety, obawiam się, że nic takiego nie dostanę, mamusiu. To nie będzie żaden formalny kurs, tam nie dają dyplomów ani niczego podobnego. Po ukończeniu szkolenia będę po prostu zwykłą pielęgniarką psychiatryczną. Ale gdyby mnie zrobili odpowiedzialną za oddział, otrzymam tytuł „oddziałowa”.

- Skąd ty to wszystko wiesz?

- Odwiedziłam siostrę przełożoną w Callan Park. Początkowo planowałam, że tam właśnie będę pracować, ale w dłuższej rozmowie przełożona namówiła mnie, żebym najpierw poszła do Morisset. Szkolenie jest tam równie dobre, a atmosfera znacznie lepsza.

Faith wstała i zaczęła przechadzać się po pokoju. - Morisset? To blisko Newcastle.

- Tak, i jakieś sto kilometrów od Sydney. Mogę wpadać do Sydney, ilekroć zatęsknię za odmianą, a myślę, że często będzie mi potrzebna. Wcale nie patrzę na tę pracę przez różowe okulary. Wiem, że nie będzie mi łatwo. A już szczególnie ciężko jest wrócić do roli praktykantki. Ale wiesz, mam, wolę już być znowu praktykantką i uczyć się czegoś nowego, niż tkwić w szpitalu Księcia Alfreda, płaszczyć się przed każdym - począwszy od siostry przełożonej, skończywszy na naczelnym lekarzu - i co pięć minut przystosowywać się do nowych regulacji czy przepisów. Po prostu po życiu, jakie miałam w wojsku, nie mogłabym znieść tych formalności i bzdur.

269

Faith wyjęła papierosa z paczki Helen i zapaliła.

- Mamo, ty palisz? - spytała Helen nie ukrywając zdziwienia. Faith roześmiała się. - Ach, jak to miło, że jednak masz jakieś uprzedzenia. Już się bałam, że urodziłam jakąś współczesną sufrażystkę, kogoś takiego jak Sylvia Pankhurst. Ty kopczysz jak komin, dlaczego ja nie mogę? Helen podeszła do matki i serdecznie ją uściskała. Masz rację. Nie krępuj się, pal. Bez względu na poziom wykształcenia i tytuły wciąż nam się wydaje, że rodzice są bogom podobni, że nie mają ludzkich słabości ani pragnień. Przepraszam cię za to, mamusi!

- Przyjmuję przeprosiny! Charlie pali, Jan pali, ty palisz... Po prostu doszłam do wniosku, że nie chcę być poza nawiasem. Zaczęłam także pić. Co wieczór przed kolacją wypijamy z Charliem szklaneczkę whisky i bardzo mi to odpowiada.

- To jest całkiem przyjemny styl życia - stwierdziła Helen ze śmiechem.
- No, dobrze! Mam nadzieję, że wszystko ci się ułoży tak, jak tego pragniesz, kochanie - powiedziała Faith, wypuszczając dym. - Przyznam ci się jednak: wolałabym, żeby cię nie przydzielili w wojsku do oddziału dla chorych na tropikalnego bzika.

Helen nie odpowiedziała od razu, ale w końcu wyrzuciła z siebie: - Wiesz, mamusiu, czuję, że nawet tobie nie mogę powiedzieć, co mi się przydarzyło, gdy pielęgnowałam żołnierzy chorych na tropikalną psychozę. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek była w stanie mówić o tym. To nie twoja wina, lecz moja. Niektóre sprawy sięgają za głęboko i są zbyt bolesne. Nie chodzi o to, że zamykam się w sobie. Nie! Po prostu tego nikt nie potrafi zrozumieć, chyba że sam się spotkał z takim światem, jaki przedstawiał sobą oddział X. Żebyś to mogła zrozumieć, musiałabym ci wszystko szczegółowo wyjaśniać, a na to nie mam siły. To by mnie zabiło. Mogę ci powiedzieć tylko tyle: nie wiem dlaczego, ale mam przekonanie, że jeszcze nie skończyłam z oddziałem X, że jeszcze będzie ciąg dalszy. Jako pielęgniarka psychiatryczna będę lepiej przygotowana do tego, co jeszcze może się zdarzyć.

- A cóż takiego może się zdarzyć?
- Nie wiem. Mam tylko przeczucie, żadnych faktów...

Faith zgasiła papierosa, wstała, pochyliła się nad córką i czule ją ucałowała. - Powiem ci już dobranoc, kochanie. Tak dobrze mieć cię

270

w domu. Bardzośmy się o ciebie martwili, nie wiedząc, gdzie jesteś i jak blisko frontu. Po tym, co ci groziło, pielęgnowanie chorych psychicznie wydaje się spokojną synekurą.

Gdy Faith znalazła się w swojej sypialni, bez pardonu zaświeciła nocną lampkę przy łóżku i twarz jej śpiącego męża zalał jasny snop światła. Charlie skrzywił się, mruknął coś i przewrócił się na drugi bok. Faith weszła do łóżka i oparłszy się o plecy męża, jedną ręką głaskała go po policzku, a drugą silnie nim potrasała.

- Obudź się, Charlie! Bo jak nie, to cię chyba zamorduję... -zagroziła.

Otworzył oczy, usiadł, dotknął ręką swoich rzadkich włosów i ziewnął.

Znał żonę zbyt dobrze, żeby się na nią gniewać. Wiedział, że na pewno nie obudziłaby go bez powodu.

- Chodzi o Helen - szepnęła. - Ach, Charlie! Nie zdawałam sobie z tego sprawy, dopiero gdy z nią porozmawiałam...

- Z czego nie zdawałaś sobie sprawy? - spytał, całkiem już rozbudzony.

Poczuła nagle taki żal i lęk, że nie mogła mówić. Rozplakała się i szlochała długo i gorzko. - Ona od nas odeszła i już nigdy nie wróci - wykrztusiła.

Zesztywniał. - Odeszła? Dokąd?

- Nie ciałem. Fizycznie wciąż jest w swoim pokoju. Przepraszam, nie chciałam cię przestraszyć. Nie wiem, co w niej jest, może to jej dusza tak ją wciąż gna... Charlie, my w porównaniu z nią jesteśmy jak małe dzieci... To jeszcze gorzej, niż gdyby nasza córka została zakonnica, bo wtedy przynajmniej wiedzielibyśmy, że jej nic nie grozi, że jej świat nie skrzywdzi. Tymczasem Helen nosi w sobie ślady po tych cięgach, które dało jej życie, a jednak jest jakby ponad to. Sama nie wiem, co mówię, to chyba nie tak... Porozmawiaj z nią i poobserwuj, to zrozumiesz, co mam na myśli. Ja wzięłam się za palenie i picie whisky, ale Helen wzięła chyba na siebie wszystkie nieszczęścia tego świata, i to jest nie do zniesienia. Nie

chę, by nasze dziecko tak cierpiało!

- To przez wojnę - powiedział Charlie. - Nie powinniśmy jej byli pozwolić pójść na wojnę.

- Przecież ona nie pytała nas o pozwolenie. Dlaczego miałyby nas pytać? Kiedy wstąpiła do wojska, miała dwadzieścia pięć lat, była dojrzałą kobietą. Myślałam wtedy, że jest wystarczająco dorosła, by przeżyć tę wojnę. Tak, to wszystko przez wojnę...

271

Rozdział Czterdziesty.

tak siostra Langtry zdjęła welon, włożyła czepek i została szeregową pielęgniarzką w szpitalu psychiatrycznym w Morisset, Był to ogromny, chaotycznie zbudowany obiekt, na który składało się wiele budynków, rozrzuconych na przestrzeni kilku hektarów. Szpital położony był w jednej z najpiękniejszych okolic, jakie spotkać można w tej części świata. Była to kraina okolona z jednej strony malowniczymi zatokami, z drugiej dzikimi górami. Pokrywały ją gęste, deszczodajne lasy i łagodne żyzne płaskowyże. A na pobliskich przybrzeżnych wodach można było uprawiać surfing.

Z początku Helen była w trochę przykrej sytuacji, nikt bowiem nigdy w Morisset nie słyszał, żeby dyplomowana pielęgniarzka z długim stażem na internie rezygnowała z całej dotychczasowej kariery, aby się przyuczać na pielęgniarzkę psychiatryczną. Wśród jej koleżanek praktykantek wiele było kobiet w jej wieku lub starszych, gdyż opieka nad psychicznie chorymi pociąga raczej kobiety niż dziewczyny. Niektóre miały nawet za sobą służbę w armii w czasie wojny, ale ze względu na szczególny status siostry Langtry trzymały się od niej raczej z daleka. Wszyscy wiedzieli, że

przełożona pozwoliła Helen stanąć do egzaminu na oddziałową już po dwóch latach zamiast trzech i że ją nie tylko szanuje, ale bardzo wysoko ceni. Chodziły słuchy, że siostra Langtry w czasie wojny pełniła trudną i odpowiedzialną służbę, za co otrzymała Order Brytyjskiego Imperium. Ta informacja pozostawała jednak wyłącznie w sferze plotek, gdyż ona sama nigdy się na lata wojny nie powoływała.

Dopiero po pół roku spędzonym w Morisset udało się Helen przekonać wszystkich, że nie odbywa tu pokuty, nie szpieguje na rzecz jakiejś tajemniczej agencji w Sydney ani nie jest kopnięta. Wiedziała już teraz, że lubią ją oddziałowe, ponieważ pracuje ciężko i wydajnie, nigdy nie choruje i przy niezliczonych okazjach udowadnia, jak bardzo jej przygotowanie zdobyte na internie przydaje się w takim miejscu jak Morisset. Garstka tutejszych lekarzy nie dałaby nigdy rady przebadać każdego pacjenta, aby sprawdzić, jakie schorzenia organiczne wpływają na jego stan psychiczny. Siostra Langtry spadła im więc z nieba. Nie tylko potrafiła zauważyć

272

i rozpoznać początkowe stadium zapalenia płuc, ale wiedziała także, jak je leczyć. Potrafiła rozpoznać półpasiec, gruźlicę, ostre schorzenia brzuszne, zapalenie ucha wewnętrznego i środkowego, anginę i wiele innych dolegliwości, które od czasu do czasu nękały pacjentów tutejszego szpitala. Umiała także odróżnić zwichnięcie od złamania, zwykły katar od kataru siennego i migrenę od bólu głowy na tle nadciśnienia. Miała również talent do przekazywania swej wiedzy innym. To wszystko czyniło ją niezwykle użyteczną.

Pielęgniarki pracowały tu bardzo ciężko. Dyżury trwały po dwanaście

godzin: dzienny od 6.30 do 18.30, nocny od 18.30 do 6.30. Na oddziałach było od sześćdziesięciu do stu dwudziestu pacjentów. Salowych w ogóle nie zatrudniano. Na oddział przypadały trzy lub cztery pielęgniarki, w tym jedna oddziałowa. Każdy pacjent musiał być codziennie kąpany, choć w większości oddziałów znajdowała się tylko jedna wanna i jeden natrysk. Sprzątanie, mycie ścian, proste naprawy urządzeń elektrycznych, nawet froterowanie podłóg - to wszystko należało wyłącznie do personelu pielęgniarskiego. Gorącą wodę dostarczały bojlerki na koks. Palenie pod nimi też było obowiązkiem pielęgniarek. Poza tym musiały dbać o odzież pacjentów, oddawać ją do pralni i reperować. Wprawdzie posiłki przygotowywano w centralnej kuchni, ale dostarczano je do poszczególnych oddziałów nie porcjowane, więc trzeba je było odgrzać, podzielić na porcje, pokroić. To wszystko robiły pielęgniarki. Często musiały także gotować na oddziale desery i jarzyny. Wszystkie sztuce, garnki i patelnie myło się na oddziale. Pielęgniarki przygotowywały również posiłki pacjentom na specjalnej diecie, gdyż nie było tu ani kuchni dietetycznej, ani żadnego dietetyka.

Ale gdyby nawet gotowe były pracować nie wiem jak długo i ciężko, to i tak w żaden sposób nie mogłyby zrobić wszystkiego na czas. To było zupełnie niemożliwe, skoro były tylko trzy lub cztery i musiały bez pomocy salowych doglądać co najmniej sześćdziesięciu, a często dwa razy tyle pacjentów. Dlatego też i tutaj, podobnie jak w bazie 15, korzystano z pomocy pacjentów, którzy bardzo sobie ten obowiązek pracy cenili. Każdą nową pielęgniarkę pouczano od razu na wstępie, że naczelną zasadą jest nigdy nie przeszkadzać pacjentowi w pracy. Jeśli dochodziło do nieporozumień, to przeważnie przez to, że pacjenci kradli sobie nawzajem

pracę albo utrudniali czy wręcz uniemożliwiali jej wykonanie.

273

Na ogół pracowali bardzo dobrze. Ustanowili sobie nawet pewną hierarchię trudności - zależnie od możliwości i ambicji każdego z nich. Podłogi zawsze błyszcząły, nigdzie nie było nawet pyłka, a urządzenia w łazience i kuchni lśniły czystością.

Wbrew popularnej opinii o szpitalach psychiatrycznych panował tu ciepły i serdeczny klimat. Robiono wszystko, by stworzyć pacjentom domową atmosferę. Pielęgniarki z reguły dbały o nich. Razem stanowili jedną społeczność. Zatrudniano tu całe rodziny: matkę, ojca i ich dorosłe dzieci, i wszyscy mieszkali w Morisset, więc dla wielu członków personelu szpital był prawdziwym domem i traktowali go tak, jak się traktuje własny dom.

Szpital dbał o towarzyskie i kulturalne rozrywki - zarówno pacjentów, jak i personelu. I jedni, i drudzy starali się aktywnie w nich uczestniczyć. W poniedziałki wieczorem w holu wyświetlano filmy. Oglądano je wspólnie. Często organizowano koncerty, których wykonawcami oraz entuzjastyczną widownią byli pacjenci i ludzie z personelu. Raz na miesiąc urządzano tańce, a po nich na stołach pojawiała się wyborna i obfita kolacja. W czasie zabawy pacjenci siedzieli pod jedną ścianą, pacjentki pod drugą. Przed każdym tańcem mężczyźni pędzili przez salę i porywali w tan ulubione partnerki. Od personelu oczekiwano, że będzie tańczył wyłącznie z pacjentami.

Na co dzień oddziały pozostawały zamknięte. Pacjenci i pacjentki mieszkali w oddzielnych budynkach i nie spotykali się. Przemieszanie następowało jedynie w czasie towarzyskich okazji, z tym że tuż przed

spotkaniem i zaraz po dokładnie liczono pacjentów. Pacjentki były dogłądane przez personel żeński, pacjenci wyłącznie przez mężczyzn. Tylko niewielu odwiedzali bliscy. Niewielu też miało prywatne dochody. Niektórzy otrzymywali małe wynagrodzenie za specjalne prace, które nieraz wykonywali na terenie szpitala lub w jego sąsiedztwie. Pacjenci uważali szpital za swój stały i jedyny dom. Niektórzy w ogóle nie pamiętali innego domu, inni zdążyli już o nim zapomnieć, ale byli i tacy, którzy umierali z tęsknoty za pamiętanym, prawdziwym domem, w którym zostawili kochających rodziców lub współmałżonków. Zdarzało się, i to wcale nierzadko, że w dozwolonych godzinach pacjentom z demencją towarzyszyli ich zupełnie normalni mężowie czy żony, którzy z własnej woli przebywali w pobliżu swych chorych, nie mogąc się zdobyć na rozstanie z nimi na zawsze.

274

Szpital w Morisset nie był oczywiście rajem, ale stosunek do pacjentów był tu serdeczny i troskliwy. Większość personelu rozumiała, że nic nie zyska, a może wiele stracić, jeśli uczyni ze szpitala miejsce, w którym chorzy nie będą się dobrze czuli. Pacjenci i bez tego byli dostatecznie nieszczęśliwi. Oczywiście zdarzały się złe oddziały, złe oddziałowe i złe pielęgniarki, ale na pewno nie było ich wiele. W każdym razie na oddziale kobiecym, gdzie pracowała pielęgniarka Langtry, nie tolerowano pielęgniarek sadystek ani też nie pozwalano, aby oddziałowe rządziły jak udzielne władczynie.

Pewne tutejsze zwyczaje sprawiały, że szpital w Morisset mógł się wydawać trochę śmieszna i staromodną instytucją. Niektóre oddziały znajdowały się bardzo daleko od hotelu pielęgniarek, a więc siostry

przywożono tu i odwożono krytą konną bryczką, którą powoził jeden z pacjentów. Podobnie siostra przełożona i dyrektor szpitala na swój codzienny obchód o dziewiątej rano jeździli z oddziału na oddział dwukołowym gigiem, też powożonym przez pacjenta. Przełożona siedziała jak królowa w przepychu pełnej bieli. W silnym słońcu i w czasie deszczu trzymała zawsze nad głową parasol. W pełni lata pamiętano i o koniu: wkładano mu na głowę wielki słomiany kapelusz z wyciętymi otworami na uszy.

Helen wiedziała, że pewnych spraw, które ją szczególnie denerwowały, nie da się uniknąć. Jeśli trudno jej było wrócić po latach do statusu praktykantki, to nie dlatego, że niechętnie słuchała cudzych rozkazów, ale dlatego, że nie mogła korzystać z rozmaitych uprawnień i wygód.

Podejrzewała, że byłoby jej jeszcze trudniej, gdyby wcześniej nie przeszła zwycięsko przez miażdżące tryby pielęgniarstwa wojennego. Niemniej dla kobiety po trzydziestce, która przedtem zajmowała stanowisko oddziałowej, należała do obsady polowych szpitali działających na pierwszej linii frontu i będących pod ostrzałem nieprzyjaciela, pracowała w przyfrontowych stacjach opatrunkowych i wreszcie w wojennym szpitalu bazie, niektóre tutejsze zwyczaje były trudne do zaakceptowania. W każdy wtorek rano musiała przed inspekcją siostry przełożonej przygotować pokój do gruntownego przeglądu: zrolować materac, aby przełożona mogła zobaczyć, co jest pod łóżkiem; koce i prześcieradła poskładać w przepisową kostkę i porządnie ułożyć na materacu. Mogła się tym nie przejmować, bo jednocześnie miała ten przywilej, że nie musiała dzielić pokoju z inną pielęgniarzką. To małe ustępstwo uczyniono z uwagi na jej wiek i status zawodowy.

Gdy pierwszy rok jej pobytu w Morisset dobiegał końca i wciągnęła się już w nowe obowiązki, znowu dały o sobie znać pewne cechy jej osobowości. Dotąd działał w niej jakiś mechanizm obronny i pomagał jej godzić się ze statusem praktykantki i pracą, której jeszcze tak do końca nie opanowała.

Powiadają, że zawsze w końcu szydło wyjdzie z worka: duch przekory, który Helen nigdy tak do końca nie opuścił, znów się pojawił. Ogarnął ją z tym większym impetem, że odezwał się po przerwie spowodowanej przymusowym odpoczynkiem. Ta jej przekora nie była wadą, dawała bowiem o sobie znać tylko wtedy, gdy Helen natrafiała na czyjaś bezdenną głupotę, niekompetencję czy zaniedbanie.

Właśnie ostatnio przytrafiło jej się coś takiego. Przyłapała jedną z pielęgniarek, jak się znęcała nad pacjentką. Natychmiast zawiadomiła o tym siostrę oddziałową. Ta jednak uważała, że siostra Langtry jest histeryczką i na to, co zaszło, reaguje w histeryczny sposób.

- Su-Su jest epileptyczką - uzasadniała swoją opinię siostra oddziałowa - a epileptykom nie można ufać.

- Cóż za kompletne dno! - zareagowała na to siostra Langtry nie ukrywając złości.

- Nie próbuj mnie pouczać, jak mam pracować! To nic, że masz dyplom! - odparowała oddziałowa. - Jeśli mi nie wierzysz, to zajrzyj do czerwonej książki! Tam jest napisane czarno na białym, że epileptykom nie można ufać, bo nie dość, że oszukują, to jeszcze są chytry i złośliwi.

- Jeśli czerwona książka tak mówi, to nie ma racji - stwierdziła Helen. - Dobrze znam Su-Su i ty też ją znasz. Jest osobą absolutnie zasługującą na

zaufanie. Ale to i tak jest bez znaczenia, bo nawet czerwona książka nie każe bić pacjentów.

Oddziałowa popatrzyła na nią tak, jakby popełniła co najmniej bluźnierstwo - i chyba je w jakimś sensie popełniła. Czerwona książka była czerwono oprawnym podręcznikiem dla pielęgniarek psychiatrycznych i jedynym źródłem wiedzy, jakie miały do dyspozycji. Był to podręcznik przestarzały i nieścisły. Jeśli istotnie był przeznaczony dla studentów, to chyba tych o żenująco niskiej inteligencji. Tego typu podręczniki na wszystkie dolegliwości zalecają lewatywę. Helen tylko raz go przejrzała i znalazła w nim tyle oczywistych błędów, że wolała w inny sposób zdobywać wiedzę o chorobach psychicznych. Ilekroć odwiedzała Sydney,

276

kupowała tam książki naukowe z dziedziny psychiatrii. Była przekonana, że gdy zostanie wreszcie wprowadzona reforma pielęgnowania psychicznie chorych, to opierać się będzie na ostatnich podręcznikach psychiatrii.

Wojna o Su-Su doszła w końcu aż do przełożonej. Nic nie mogło uspokoić i osadzić Helen. Nie spoczęła, póki winna nie została dyscyplinarnie ukarana i przeniesiona na inny oddział, gdzie uważnie patrzono jej na ręce. Oddziałowej wprawdzie nie ukarano, ale dano jej do zrozumienia, że gdy chce wejść w konflikt z siostrą Langtry, powinna zawczasu dobrze sprawdzić wszystkie fakty. - Siostra Langtry - powiedziano oddziałowej - jest nie tylko inteligentna, ale nie boi się żadnych utytułowanych autorytetów i ma dużą siłę perswazji.

Gdy Helen Langtry zjawiła się w Morisset, dobrze wiedziała, że farma

mleczna Michaela jest oddalona od szpitala o niecałe sto kilometrów na północny wschód. Ale nie to bliskie sąsiedztwo było powodem, że Helen postanowiła być pielęgniarzką właśnie tu. Kierowała się radami siostry przełożonej z Callan Park i po rocznej pracy w szpitalu wiedziała już, że był to dobry wybór.

Bywały dyżury, po których nie czuła się tak wyczerpana, że chciała tylko zjeść coś naprędce i rzucić się spać. Miała chwile wytchnienia i wtedy często myślała o Michaelu i Benedykcie. Planowała, że zamiast pojechać do Sydney, wybierze się któregoś dnia do Maitland na farmę Michaela. Choć była na to zdecydowana, jeszcze się wstrzymywała. Odwlekała wizytę u Michaela nie tylko dlatego, że rana była wciąż zbyt bolesna, ale chciała dać mu trochę czasu, by zrozumiał, iż to, co zaplanował z Benem, nie może się udać.

Po pierwszym roku w Morisset wiedziała już na pewno, że ludzie tacy jak Benedykt nie powinni być trzymani w izolacji. Przebywanie Bena na farmie w towarzystwie tylko jednej osoby, choćby najbardziej łagodnej i kochającej, nie mogło wpływać na niego dobrze. Stan Benedykta na farmie Michaela mógł się tylko pogorszyć. Martwiła się tym, chociaż czuła, że nie ma sensu interweniować, póki Michael sam się nie przekona, że popełnił błąd.

Na terenach przyszpitalnych w Morisset znajdował się także szpital więzienny dla umysłowo chorych zbrodniarzy. Solidne bloki z czerwonej cegły były wyższe niż drzewa. Widać było okratowane okna i mury wokół

277
budynków. Chorych pilnował specjalny personel, ten widok zawsze budził w Helen dreszcz zgrozy. Tam właśnie przebywałby teraz Benedykt. gdyby

wydarzenia w łaźni przyjęły inny obrót. Na pewno Strasznie jest przebywać w takim miejscu i nie powinna krytykować Michaela, że próbował uchronić przed tym Bena. Ona zaś musi być w pogotowiu, by mu pomóc, gdy się do niej o to zwróci, albo by mogła mu sama zaoferować pomoc, gdy uzna, że już na to pora.

Rozdział Czterdziesty Pierwszy.

Gdy powiadomiono ją pewnego wieczoru, że ktoś chce się z nią zobaczyć i czeka w pokoju dla gości, Helen natychmiast pomyślała o Michaelu. Jeśli nie zrażając się trudnościami, zdołał wyśledzić, gdzie się teraz znajduje, to widać jest mu potrzebna. Nie wykluczała jednak, że tym czekającym może być także Neil. Ma przecież dość sprytu i pieniędzy, by sobie poradzić z odnalezieniem każdego. I to byłoby nawet podobne do tego nowego i opanowanego Neila, z którym się pożegnała przed półtorarokiem.

Wydawało jej się, że to było bardzo dawno temu. Widać nie mógł się już jej doczekać i zdecydował, że pora znów zagościć w jej życiu. A może, kto wie, jeszcze raz skrzyżowały się ścieżki jej mamy i Neila?

Z trudem zachowała spokój. Po drodze do pokoju dla gości wyobrażała sobie scenę, jaka ją czeka, w różnych wersjach, to z jednym, to z drugim mężczyzną w głównej roli. Miło byłoby zobaczyć zarówno Neila, jak i Michaela, co do tego nie miała wątpliwości.

Ale gościem, który siedział w fotelu z wyciągniętymi do przodu stopami i bez pantofli, była siostra Sally Dawkin. Helen stanęła jak wryta, obie dłonie przyciskając do serca. „O, Boże! Dlaczego kobiety są takie głupie?” - pomyślała. Zreflektowała się jednak, przywołała uśmiech, i godnie powitała pierwszą osobę, jaka ją tu, w Morisset, odnalazła. Zastanawiała się, dlaczego myśli kobiet zawsze krążą wokół jakiegoś mężczyzny. I

mogą sobie wmawiać, że tak nie jest... Niech no się tylko mężczyzna zjawi na horyzoncie, od razu staje się ośrodkiem wszystkiego.

278

Siostra Dawkin przywitała Helen szerokim uśmiechem, ale nie ruszyła się z miejsca. - Byłam już tu wcześniej - powiedziała - ale nie chciałam odrywać cię od pracy. Zafundowałam więc sobie mały podwieczorek w smażalni ryb Wyong i przyszłam jeszcze raz. Jak ci się wiedzie, Helen?

- Dziękuję, bardzo dobrze, a tobie?

- Wiesz, jestem trochę jak balon na długiej nitce. Nie wiem, co najpierw pęknie, ja czy nitka.

- Na pewno nie ty, nigdy! - zapewniała ją Helen. - Ty jesteś nie do zdarcia.

- Powiedz to moim stopom. Ja już nawet nie próbuję, ale może tobie uwierzą... - żartowała siostra Dawkin, spoglądając ponuro w dół.

- Ty i twoje stopy... Zawsze to samo...

Siostra Dawkin była ubrana brzydko i niegustownie. Tak to bywa z pielęgniarkami z długim stażem: przyzwyczajone straszyć wszystkich surowością mocno nakrochmalonego uniformu i welonu, nie bardzo wiedzą, co to szyk i elegancja.

- Zmieniłaś się, Helen, i to na korzyść - stwierdziła siostra Dawkin. - Odmłodziłaś i wyglądasz na szczęśliwą.

Helen rzeczywiście nie wyglądała starzej od większości tutejszych praktykantek. Miała na sobie uniform taki sam, jak ten sprzed lat, który nosiła na praktyce w szpitalu Księcia Alfreda. Choć były pewne niewielkie różnice. Dzisiaj jej suknia była w drobne biało-liliowe prążki, z długim rękawem, zapięta wysoko pod szyją, z nakładanymi plastikowymi mankietami i kołnierzykiem. Fartuch był identyczny z tamtym u Księcia

Alfreda: duży, biały, sztywny od krochmalu, dokładnie zakrywający spódnicę, z bawetem na piersi, zakończonym z tyłu szerokimi, skrzyżowanymi na plecach paskami. Jej zgrabną i bardzo wąską talię podkreślał szeroki sztywny biały pas. Zarówno suknia, jak i fartuch sięgały do pół łydki. Buciki miała czarne, sznurowane, na płaskim obcasie, pończochy też czarne, bawełniane, nieprzezroczyste. Tutaj czepek był mniej atrakcyjny od tego, jaki noszono u Księcia Alfreda: okrągły jak bania, biały, na karku ściągnięty tasiemką, z szeroką, sztywną opaską z przodu. Na tej opasce siostra Langtry miała dwa czarne poprzeczne paski, co znaczyło, że jest na drugim roku szkolenia.

- To przez uniform wydaję ci się inna. Przywykłaś mnie widzieć bez fartucha i w welonie.

279

- Bez względu na to, co nosisz, zawsze wyglądasz elegancko.

- Powiedz, Sally, czy otrzymałaś w końcu stanowisko zastępczyni przełożonej w North Shore?

Siostra Dawkin nagle spoważniała. - Nie! Nie mogłam zostać w Sydney. To prawdziwy pech. Wróciłam do Royal Newcastle, bo mam stamtąd tak blisko, że mogę mieszkać w domu. A jak ci się podoba na psychiatrii?

- To moje powołanie. Ta praca w niczym nie przypomina pielęgnacji ogólnej, choć oczywiście i tu zdarzają się sytuacje kryzysowe. Nigdy w życiu nie widziałam tylu stanów padaczkowych co tu. Niestety, nie udaje nam się tych wszystkich biedaków uratować. Wiesz, jako pielęgniarzka psychiatryczna czuję się w jakiś sposób ważniejsza, bardziej potrzebna. Jako oddziałowa nie miałam kontaktu z prawdziwym pielęgnowaniem, ale tu, pomijając wszystko inne, tu się naprawdę pielęgnuje! Pacjenci są dla

nas prawie jak rodzina. Wiadomo, że będą tu tak długo jak my, a może dłużej - chyba że umrą w stanie padaczkowym albo na zapalenie płuc. Zauważyłam, że nasi pacjenci są słabsi niż ci, którzy mają głowę w porządku. Powiem ci tylko tyle, Sally: jeżeli uważasz, że pielęgniarstwo ogólne wymaga zaangażowania, to radzę ci popробować pielęgnacji psychiatrycznej. - Westchnęła. - Żałuję, że nie zrobiłam tego parę lat temu, zanim objęłam oddział X. Popełniłam tam wiele błędów przez czystą niewiedzę... Pocieszam się, że lepiej późno niż wcale, jak powiedział pewien staruszek...

Siostra Dawkin roześmiała się. - No! No! To powiedzonko pasuje raczej do mnie niż do ciebie. Pilnuj się, żebyś nie wylądowała jak ja, skrzyżowanie dragona w spódnicy z dworskim błaznem.

- Można znacznie gorzej wylądować, wierz mi! - Helen uśmiechnęła się i w nagłym przyływie serdeczności powiedziała ciepło: - Sally, moja droga, tak miło cię widzieć! Zastanawiałam się, kto też tu na mnie czeka... To miejsce jest tak oddalone, że nikt mnie jeszcze nie odwiedził...

- I ja się cieszę, że cię widzę. Zastanawiałam się, dlaczego nigdy nie uczestniczysz w zjazdach koleżeńskich czy innych takich imprezach. Ty chyba zupełnie nie utrzymujesz kontaktu ze starą paczką z bazy 15?

- Nie lubię rozgrzebywać przeszłości. Dla mnie to coś w rodzaju sekcji zwłok, nienawidzę tego...

- Czy ty czasem nie masz już małego fioła? - spytała siostra Dawkin. - Wiedziałam, że to cię czeka, skoro mieszkasz i pracujesz w takim miejscu jak to...

280

- Ciekawam, skąd ci nagle przyszła do głowy baza 15?

- Zanim przeniosłam się z North Shore do Newcastle, miałam u siebie pacjenta, którego znałam z bazy. To był żołnierz z oddziału X.

Helen poczuła, że skóra na niej cierpnie. - Kto? - zapytała.

- Matt Sawyer. Jego ślepotą nie była żadną histerią.

- Cały czas to wiedziałam... A co było jej przyczyną?

- Ogromny guz uciskający nerw oczny. Oponiak. Ale nie przez to został przyjęty do szpitala North Shore. Miał wylew podpajęczynówkowy.

Helen westchnęła. - A więc oczywiście nie żyje...

- Przywieziono go do nas w stanie śpiączki i zmarł tydzień później. Nie cierpiał. Tak mi żal jego rodziny. Ładne małe córeczki, ładna żona.

- Tak, to strasznie przykre - przyznała Helen.

Zapadła cisza. Była jak chwila milczenia, którą czci się tych, co coś znaczyli w świecie, a udają się na spotkanie Stwórcy. Helen wciąż myślała o żonie Matta. Jak się zachowała, gdy się w końcu dowiedziała o ślepotie męża? Jak się to wszystko odbiło na dzieciach? Czy żona Matta zdawała sobie sprawę, jak strasznie go skrzywdzono, stawiając diagnozę hysterii? Czy wściekała się, że jego chory mózg uparcie nie pozwala oczom widzieć, czy może się domyślała, że za tą ślepotą kryje się coś znacznie bardziej złośliwego? Było coś w oczach pani Sawyer, którą Helen знаła ze zdjęcia stojącego na szafce Matta, co kazało przypuszczać, że domyślała się tragicznej prawdy. „Śpij spokojnie, mój drogi - pomyślała Helen z czułością. - Twoja długa batalia już skończona, Matt!"

- Sally, ale ty mi w końcu nie powiedziałaś, czemu musiałaś opuścić North Shore i wrócić do Newcastle. - Helen nie mogła zrozumieć, dlaczego siostra Dawkin, która tak marzyła, żeby zostać zastępczynią przełożonej, sama z tego zrezygnowała.

- To przez mego ojca - wyznała Sally. - Nie dość, że staruszek ma daleko posuniętą sklerozę i starczą demencję, to jeszcze cierpi na zaniki kory mózgowej. Przywiozłam go do was dziś rano.

- Sally, tak mi przykro. Więc on tu jest?

- Tak, jest tutaj. Byłam wściekła na siebie, że muszę to zrobić, ale nie miałam wyjścia. Próbowałam wszystkiego, wierz mi! Właśnie dlatego wróciłam do Newcastle. Myślałam, że mieszkając w domu jakoś go poskromię. Ale mama ma grubo ponad siedemdziesiątkę i nie jest w stanie poradzić sobie z ojcem. Wiesz, co on wyprawia? Narobi w spodnie,

281

a potem kładzie to sobie wszystko na głowę i truchcikiem biegnie zupełnie nagi do sklepu spożywczego... Mogłabym sobie z nim poradzić, gdybym rzuciła pracę i pilnowała go. Ale w naszej rodzinie tylko ja zarabiam i nie mamy żadnych oszczędności. W dodatku jestem starą panną i nie mam męża, który by przynosił do domu swoją pensję. To mój pech!

- Nie martw się, będzie mu tu dobrze - zapewniała ją Helen przekonującym tonem. - My jesteśmy bardzo dobre dla naszych staruszków, a mamy ich tutaj wielu. Będę regularnie do niego zaglądała, obiecuję. Czy dopiero gdy przywiozłaś ojca, dowiedziałaś się, że tu pracuję?

- Nie! Myślałam, że jesteś w Callan Park i początkowo starałam się tam umieścić ojca. Pojechałam nawet, żeby się zobaczyć z siostrą przełożoną. Na szczęście znajomości robią swoje. Od niej dowiedziałam się, że jesteś tu, w Morisset. Od razu sobie przypomniała, że byłaś u niej z wizytą. Nieczęsto się zdarza, żeby pielęgniarce z twoimi kwalifikacjami ustawiały się w kolejce do psychiatrycznego przeszkolenia. Wiadomość, że tu jesteś,

spadła mi jak z nieba. Przez cały dzień kręciłam się tutaj, nie chcąc ci przeszkadzać w pracy. Przełożona ofiarowała się, że cię wywoła z oddziału, ale się nie zgodziłam. Musisz wiedzieć, że ze mnie straszny tchórz. W żaden sposób nie mogłam się zdecydować na wcześniejszy powrót do domu, bo bałam się spotkania z moją biedną mamą. - Przerwała na chwilę, żeby się pozbierać. - A więc odłożyłam tę przykrą sprawę o parę godzin i przyszedłam do ciebie, żeby się wypłakać na twoim ramieniu.

- To zawsze możesz, Sally. Pamiętasz, jak ja płakałam na twoim? Siostra Dawkin rozjaśniła się. - Tak, rzeczywiście tak było. Płakałaś przez tę cholerną małą sukę, Pedder.

- Raczej się nie spodziewam, że wiesz, co się z nią teraz dzieje...

- Nie wiem i, co więcej, nie chcę wiedzieć! Na pewno już wyszła za męża. Mogłabym się założyć o całoroczną pensję, że tak. Pedder nie była z tych, co zarabiają na sobie.

- Kimkolwiek jest jej mąż, powinien często przebywać poza domem i umieć przebaczać.

- Tak! - zgodziła się siostra Dawkin, trochę nieprzytomnie. Widać było, że o czymś intensywnie myśli, waha się; w końcu wzięła głębszy oddech, jakby przedsiębrała coś trudnego, i wreszcie trochę niezdarnie wyrzuciła to z siebie: - Przyznam ci się, Helen, że chciałam się z tobą zobaczyć nie tylko ze względu na ojca, ale jeszcze z jednego powodu. Czy ty czytujesz gazety wychodzące w Newcastle?

282

- Nie!

- Tak właśnie myślałam... Gdy się dowiedziałam, gdzie jesteś, przyszło mi do głowy, że pewnie nie czytasz lokalnej prasy z Newcastle. Wiem, że ci

bardzo zależało na Michaelu Wilsonie. To było dla mnie jasne już wtedy w bazie 15. Muszę ci się przyznać, że się spodziewałam, iż będziecie razem po wojnie. Ale kiedy przeczytałam tę historię w gazecie z Newcastle, zrozumiałam, że nie połączyliście swoich losów. A potem dowiedziałam się, że jesteś w Morisset, i pomyślałam, że może chciałaś być gdzieś blisko, może liczyłaś na to, że kiedyś przypadkiem na niego wpadniesz... a może planowałaś zobaczyć się z nim... gdy już kurz opadnie... Helen, ty chyba nie masz zielonego pojęcia, o czym ja mówię?

- Nie mam! - z trudem wyszeptała Helen.

Siostra Dawkin wcale nie zamierzała wycofać się. Zbyt długo miała do czynienia z sytuacjami podobnymi do tej, aby miała teraz stchórzyć.

Spełniła swój obowiązek, zwracając się do swej młodszej koleżanki w serdecznych, szczerych i pełnych zrozumienia słowach.

- Helen, kochanie! Michael Wilson nie żyje od przeszło czterech miesięcy...

Twarz Helen pokryła się martwą bladością.

- Nie mówię ci tego, aby plotkować ani patrzeć, jak cierpisz. Uważam jednak, że skoro o tym nie wiesz, to powinnaś się ode mnie dowiedzieć. Ja też byłam kiedyś w twoim wieku i dobrze rozumiem, co czujesz. Nadzieja bywa nieraz okrutna. Bywają takie sytuacje, że trzeba zabić czyjaś beznadziejną nadzieję... i to jest najlepsza przysługa. Doszłam do wniosku, że jeśli powiem ci o tym teraz, to może uda ci się jeszcze zrobić coś ze swoim życiem, inaczej nim pokierować, zanim będzie za późno, zanim zapuścisz korzenie, jak ja... I chyba lepiej, żebyś się o tym dowiedziała ode mnie, niż miałabyś pewnego pięknego dnia udać się do Maitland i usłyszeć o tym od tamtejszego sklepikarza...

- Benedykt go zabił? - spytała bezgłośnie siostra Langtry.
- Nie! To on zabił Benedykta, a potem siebie. Zaczęło się od psa. Mieli takiego głupiego psa, który kiedyś poleciał na sąsiednią farmę i podusił tam kurczaki. Poszkodowany sąsiad długo nie czekał, tylko z miejsca najechał farmę Michaela i rzucił się na niego, okropnie rozwścieczony. Wtedy Benedykt zaatakował farmera z taką furją, że byłby go zabił, gdyby Michaelowi nie udało się go w porę powstrzymać.

283

Farmer udał się na policję. Gdy policja przybyła na farmę Michaela, już było po wszystkim... obaj nie żyli. Michael dał Benedyktowi za dużą dawkę barbituranów, a potem się zastrzelił. Wcale nie cierpiał. Dobrze wiedział, jak i w co celować.

Helen opadła na oparcie fotela i zawisła na nim bezwładnie, jak szmaciana lalka. - Ach, Michaelu, Michaelu! - szlochała. Cała jej dawno pogrzebana miłość, tęsknota, pragnienie wróciły teraz z całą mocą, by nią na nowo zawładnąć. Serce pękało jej z bólu. Więc już nigdy, nigdy go nie zobaczy, a tak bardzo go jej brakowało. W czasie minionych miesięcy mogła wpaść na jego farmę w każdy wolny od pracy dzień, ale nie zrobiła tego. Nie żył, a ona nawet o tym nie wiedziała. Jej ciało, któremu go tak strasznie brakowało, nawet nie wyczuło, że go już nie ma.

Było dla niej zupełnie jasne, że sprawa Benedykta musiała się tak zakończyć. To było nieuniknione. Michael sądził, że póki będzie przy nim, nic Benowi nie grozi. Musiał w to wierzyć, bo z własnej woli wziął na siebie ciężar troski o niego. Wierzył, że spełnia swój obowiązek, że czyni dobrze. A gdy nie mógł być już tego pewny, zabił Benedykta. Był to z jego strony akt łaski. A potem nie miał już innego wyboru: sam pozbawił się

życia.

Michael nie nadawał się do więzienia bez względu na to, czy to był oddział X, czy szpital więzienny w Morisset. Był ptakiem, który nie zniósłby żadnej klatki prócz tej, jaką sam sobie zbudował. „O, Michaelu, mój Michaelu! Nie wiedziałeś, że człowiek nie może przeskoczyć samego siebie; ścięto cię jak trawę”.

- Dlaczego on nie przyszedł do mnie? - zwróciła się z gwałtownym wyrzutem w stronę siostry Dawkin. - Dlaczego?

Czy siostra Dawkin mogła powiedzieć jej prawdę, nie sprawiając jej przy tym bólu? Nie była pewna, czy jej się uda, ale spróbowała.

- Może on po prostu o tobie zapomniał? Oni o nas zapominają, wiesz?

- tłumaczyła jak dziecku.

To było dla Helen nie do zniesienia. - Nie mają prawa o nas zapominać! - krzyczała.

- Ale zapominają! Taka już jest ich natura. To nie znaczy, że nas nie kochają. Wszyscy musimy iść naprzód, i oni, i my. Nie wolno nam żyć przeszłością - ruchem ręki wskazała szpital - jeśli nie chcemy skończyć tutaj...

- Tak! Myślę, że mogłabym tu wylądować - powoli wycedziła Helen.

- Dobrze, że jestem tu już zawczasu.

284

Siostra Dawkin wstała, włożyła pantofle, złapała Helen za rękę i wyciągnęła z fotela. - Masz rację, jesteś tu, ale z drugiej strony muru, i twoim celem jest troska o innych. Nie zapominaj o tym nigdy, bez względu na to, co zdecydujesz się robić w przyszłości. - Westchnęła. - Muszę już iść. Mama wciąż czeka...

„Ach, Sally! Ty masz gorsze zmartwienie” - myślała Helen, odprowadzając przyjaciółkę. Chyba nie takie życie powinno było przypaść w udziale siostrze Dawkin: za mało pieniędzy, starzy rodzice, żadnej nadziei na pomoc, a w przyszłości całkowita samotność. Całe życie towarzyszyło jej poczucie obowiązku i co z tego ma? Tylko więcej obowiązków! „A ja? - zastanawiała się Helen. - Ja też całe życie kierowałam się tylko poczuciem obowiązku i mam już go dość. To ono zabiło Michaela”.

Doszły razem do miejsca, gdzie siostra Dawkin zostawiła wypożyczony samochód, którym przywiozła ojca do Morisset. Zanim wsiadła, Helen wyciągnęła ku niej ramiona i uścisnęła ją krótko i mocno. - Dbaj o siebie, Sally, i nie martw się o ojca. Na pewno będzie mu tu dobrze!

- Już ja o siebie zadbam, możesz być pewna. Dziś jest mi ciężko, ale jutro, kto wie? Może wygram los na loterii? A Royal Newcastle to całkiem niezły szpital. Będę się starała zostać w nim przełożoną, a nie tylko jedną z zastępczyń.

Weszła do samochodu. - Gdybyś się kiedyś wybierała na północ od Newcastle, zadzwoń do mnie, spotkamy się, przegryziemy coś i pogadamy sobie. Trzeba utrzymywać kontakty z ludźmi, Helen! Chciałabym, żebyś mi dotrzymywała towarzystwa, ilekroć przyjadę odwiedzić ojca. Już ja cię do tego zmuszę...

- Bardzo mi będzie miło, ale nie sądzę, żebym tu jeszcze długo była. W Melbourne jest ktoś, komu chciałabym się przypomnieć. Muszę to zrobić, zanim będzie za późno.

Siostra Dawkin cała się rozjaśniła. - Zuch z ciebie! Staraj się przeżyć życie tak, jak ci serce dyktuje. - Włączyła bieg i jej samochód ruszył w

podskokach, jak kangur.

Helen obserwowała ją przez chwilę, machając ręką, a potem odwróciła się i z pochyloną głową poszła w stronę domu pielęgniarek. Patrzyła na ciemne plamy swoich stóp, odcinające się w zmroku.

Neil powiedział, że będzie na nią czekał. Do Melbourne wcale nie jest tak daleko! Mogłaby polecieć samolotem. Polecą, jak tylko dostanie

285

cztery wolne dni. A gdyby się okazało, że on naprawdę na nią czeka, nigdy by już nie musiała wrócić do Morisset. Miała trzydzieści dwa lata i co osiągnęła w tym czasie? Kilka dyplomów, jakieś odznaczenia, parę medali. Nie miała męża ani dzieci, ani prywatnego życia. Cały czas w służbie dla innych, trochę wspomnień i mężczyzna, który nie żyje. Do niczego nie doszła.

Uniosła głowę i patrzyła na żółte światła bijące z wielu okien i rozjaśniające ten ogromny ludzki śmietnik, na którym znaleźli się ci zdesperowani i odarci ze wszystkiego. Kiedy będą jej się znowu należały cztery dni wolne? Musi policzyć... Wychodzi na to, że za jakieś dziesięć dni... To się dobrze składa. Pojedzie do Melbourne dopiero po wielkim koncercie, który ma być ich największym osiągnięciem... Gdyby tylko biedna stara Marg potrafiła zapamiętać swoją kwestię: te dwa słowa, które ma powiedzieć. Tak bardzo pragnęła wziąć udział w przedstawieniu, że nikt nie miał serca jej odmówić. Każdy modlił się, żeby się udało. Jak to dobrze, że oddziałowa odkryła, iż Annie umie śpiewać. Annie, jak się podmałuje, wygląda całkiem ładnie... Pacjenci pracujący przy wyrobie koszyków mają upleść z wikliny wielką klatkę. Pomalują ją na złoty kolor, a Annie zaśpiewa: „Jestem ptakiem w złoczonej klatce...” Skecz o kotku i

myszce też się na pewno spodoba tej niewymagającej widowni. Oby tylko Su-Su nie dostała ataku padaczki, gdy będzie występowała na scenie. Nagle Helen zatrzymała się. Miała wrażenie, że jakaś potężna siła zagroziła jej drogę. „O czym ja, na Boga, myślę? O jakim wyjeździe? Jakże mogłabym ich opuścić? Co im pozostanie, gdy ludzie tacy jak ja odejdą stąd, by nierozsądnie gonić za chimerami? Przecież to, o czym myślę, to urojenie, marzenie głupiej, niedojrzałej dziewczyny. Moje życie to praca tutaj. Po to się uczyłam, po to szkoliłam na praktykach... Michael to wiedział. Prawda jest okrutna, ale nie da się od niej uciec. A jeśli to boli, to trzeba po prostu znieść ten ból. Mężczyźni o nas zapominają, powiedziała Sally Dawkin. Michael nie odezwał się do mnie przez całe osiemnaście miesięcy. Neil także już o mnie zapomniał. Kochał mnie, gdy mnie potrzebował, gdy byłam jego ostoją. A po co jestem mu potrzebna teraz? Dlaczego miałby mnie kochać? Pomogłam mu wrócić do innego, lepszego życia, o wiele bardziej podniecającego, w którym jest miejsce dla

286

atrakcyjnych kobiet. Dlaczego, na Boga, miałby pamiętać o tym okresie swego życia, w którym doznał tyle bólu? Albo, co ważniejsze, dlaczego miałby pamiętać o mnie?"

Jej obowiązkiem jest pozostać tutaj. Czy wielu ludzi ma przygotowanie do pracy, która jej przychodzi z łatwością? Czy mają odpowiednie wykształcenie, wiedzę i wrodzone zdolności w tym kierunku? Z dziesięciu pielęgniarek psychiatrycznych, które rozpoczęły trzyletnie szkolenie, dziewięć rezygnuje. A ona ma wytrwałość i serce do tej pracy. To nie jest ot, taka sobie praca. Wszystko w nią włożyła. Tkwi w niej całą sobą. To

jest to, czego naprawdę chce. Związała się z tymi ludźmi, o których zapomniał świat, którzy mu nie są do niczego potrzebni, na których po prostu nie może patrzeć. Jej obowiązkiem jest pozostać z nimi.

Helen Langtry energicznie ruszyła w dalszą drogę. Nie czuła lęku.

Nareszcie zrozumiała samą siebie. Zrozumiała, że obowiązek, ta najbardziej nieprzyzwoita ze wszystkich obsesji, to tylko inne imię miłości.

Koniec.

Spis rzeczy.

CZĘŚĆ PIERWSZA 5.

CZĘŚĆ DRUGA 83.

CZĘŚĆ TRZECIA 109.

CZĘŚĆ CZWARTA 155.

CZĘŚĆ PIĄTA 189.

CZĘŚĆ SZÓSTA 229.

CZĘŚĆ SIÓDMA 263.